



# VREELAND SUSAN

## PASJA ARTEMIZJI

Historia Artemizji Gentileschi - malarki, która oczarowała postrenesansowe Włochy pięknem swej sztuki - obfituje w wiele dramatycznych zdarzeń. Jako osiemnastoletnia dziewczyna - uwikłana w upokarzający proces o gwałt - opuszcza Rzym i poślubiona przez malarza udaje się do Florencji. Jej rosnąca sława przyczynia się jednak do rozpadu małżeństwa i Artemizja rozpoczyna życie na własną rękę, starając się pogodzić sztukę i macierzyństwo, uczucie i geniusz.

## SYBILLA

Ojciec szedł obok mnie, chciał dodać mi odwagi. Dłonią dotykał lekko sznurówek na plecach mojego gorsetu. Nieruchomy cień inkwizytorskiego stryczka zwieszającego się nad Tor di Nona, papieskim trybunałem, odcinał się groteskowo na tle ściany, pętla tworzyła kształt łązy oświetlonej słońcem poranka; jego światło złościło już brukowce placu.

— To nic takiego, drobna nieprzyjemność, Artemizjo — powiedział ojciec, patrząc przed siebie. — Trochę tylko ścisną ci palce.

Mówił o torturze zwanej sybillą.

Jeśli ze spętanymi rękami złożę takie same zeznania, jak parę tygodni wcześniej, będą wiedzieli, że powiedziałam prawdę i proces się skończy. To nie mój proces. Wciąż powtarzałam sobie: to nie ja jestem sądzona. To proces Agostina Tassiego.

Dźwięczały mi w uszach słowa petycji wysłanej przez mego ojca do papieża Pawła V: „Agostino Tassi pozbawił moją córkę dziewictwa i zmuszał ją do stosunków cielesnych wielokrotnie, przez co uczynił wielką i poważną szkodę mnie, Oraziowi Gentileschiemu, malarzowi i obywatelowi Rzymu, nieszczęsnemu skarżącemu, który nie będzie mógł teraz sprzedać jej malarskiego talentu za odpowiednio wysoką cenę”.

Nie chciałam, by ktokolwiek o tym wiedział. Nie chciałam powiedzieć nawet jemu, ale usłyszał kiedyś, jak płaczę, i wymógł na mnie to zwierzenie. Poza tym zginął obraz, ten sam, który tak bardzo podobał się Agostinowi, a więc ojciec zdecydował się go oskarżyć.

— Jak bardzo będą mi ścisnąć palce? — zapytałam.

— Wkrótce będzie po wszystkim.

Nie patrzyłam na twarze ludzi stłoczonych u wejścia do więzienia. I tak wiedziałam, co na nich zobaczę: lubieżną ciekawość, potępienie, pogardę. Zamiast tego patrzyłam na złociste kapryfolium na tle muru w kolorze żółtej ochry. Kwiaty jakby wibrowały żywszym kolorem, barwa ściany wydawała się tym intensywniejsza; jeden kolor wzmacniał drugi — tato nauczył mnie dostrzegać takie rzeczy.

— Wonne kwiecie! — krzyczeli zebracy, próbując sprzedać je kobietom, które tu przyszły, by obserwować przebieg procesu odbywającego się w zatechłej sali sądowej. Kosztowały zaledwie jednego *giulio*. Jakiś kaleka wcisnął mi do ręki zwiędły kwiat unurzany w urynie. Wiedział, że to ja jestem Artemizją Gentileschi. Rzuciłam zielsko na jego zniekształcone kolano.

Kiedy wchodziliśmy do zimnej i wilgotnej Sala del Tribunale, czułam, jak coś ścisnąć mnie za gardło. Tato usiadł w pierwszym rzędzie, a ja wstąpiłam na dwa schodki i zajęłam to samo co zwykle miejsce naprzeciwko Agostina Tassiego, przyjaciela i współpracownika mojego ojca. Mężczyzny, który mnie zgwałcił. Siedział, podpierając głowę łokciem; nawet nie drgnął na mój widok. Miał długą brodę i potargane włosy. Jego twarz — piękniejsza, niż na to zasługiwał — miała barwę i zdecydowany wyraz posągu odlanego z brązu.

Za stołem siedział papieski notariusz, niski mężczyzna

odziany w purpurową togę. Ostrzył pióra za pomocą noża, ścinki spadały na podłogę. Przez wysokie okno na jego rękę padała smuga światła, w której wirowały drobinki kurzu; w słonecznej plamie fałdy jego rękawa miały kolor lawendy. „14 maja 1612 roku” — wymamrotał pod nosem; po raz pierwszy od dwóch miesięcy nie miał na twarzy wyrazu znudzenia. Dziś zostanie pomszczona. Przycisnęłam mocno rękę do boków.

Prowadzący przesłuchania wielmożny pan Geronimo Felicio, *locumtenente* Rzymu, wyznaczony przez Jego Świątobliwość na sędziego, wszedł do sali i z godnością zajął miejsce w fotelu stojącym na podwyższeniu, układając poły swej szkarłatnej togi tak, by wydawały się jeszcze obszerniejsze. Papiescy dostojnicy zawsze dbali, by swym wyglądem budzić szacunek. Pod jedwabną piuską jego policzki zwisały jak skóra zwiędłego owocu. Tuż za nim wszedł potężnej budowy mężczyzna z wygoloną głową, w skórzanym kaftanie bez rękawów: *assistente di tortura*. Poczulałam gorącą falę strachu. *Locumtenente* ruchem dłoni kazał mu zaciągnąć zasłonę oddzielającą nas od taty i tłumu gapiów zgromadzonych na ławkach. Tej zasłony przedtem nie było. Pan Felicio zmarszczył groźnie krzaczaste brwi, pod którymi pojawił się cień.

— Signorina Gentileschi, rozumiesz, jaki jest cel tego przesłuchania — jego słowa płynęły gładko jak olej lniany. — Sybilla delficka zawsze mówiła prawdę.

Pamiętałam delficką Sybillę na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej. Michał Anioł odmalował ją jako silnie zbudowaną kobietę, przerażoną swą wizją. Ojciec i ja staliśmy, przyglądając się jej w niemym podziwieniu, i trzymaliśmy się mocno za ręce. Może sybilla nie będzie ścisnąć mocniej.

— Otóż sybilla to narzędzie służące temu, by usta ko-

biece mówiły prawdę. Przekonamy się, czy podtrzymasz swoje poprzednie zeznania. — Pan Felicio zmrużył koźle oczy. — Zastanawiam się, jak zaciskane sznury mogą wpłynąć na możliwość trzymania pędzla w dłoni.

Poczułam skurcz w żołądku. *Locumtenente* zwrócił się do Agostina:

— Signor Tassi, czy jako malarz jest pan w stanie ocenić, na ile sybilla może uszkodzić palce młodej dziewczyny?

Agostino nawet nie mrugnął. Moje palce zacisnęły się w pięści.

— Co może mi się stać? Powiedzcie mi!

*Assistente* rozprostował moje dłonie i owinał długi sznur wokół każdego palca, a potem związał ręce w nadgarstkach; następnie przeciągnął sznur wokół każdej pary palców; do sznurów przymocował drewnianą śrubę i obrócił ją — tylko tyle, żeby sznury zacisnęły się nieco.

— Co może mi się stać? — krzyknęłam. Odwróciłam się i przez półprzezroczystą zasłonę zobaczyłam, jak ojciec pochylony do przodu szarpie brodę.

— Nic ci się nie stanie — zapewnił *locumtenente* — nic ci się nie stanie, jeśli będziesz mówić prawdę.

— Czy sznury utną mi palce?

— To zależy tylko od ciebie.

Poczułam lekkie pulsowanie w dłoniach. Spojrzałam na ojca. Skinął głową w moim kierunku.

— Powiedz nam teraz, bo z pewnością zdajesz już sobie sprawę z powagi sytuacji, czy miałaś stosunki cielesne z Geronimem Modenesem?

— Nie znam nikogo o tym imieniu.

— Z Pasquinem Florentinern?

— Jego też nie znam.

— Z Franceskiem Scarpellinem?

— To nazwisko nic mi nie mówi.

— Z klerykiem Artigeniem?

— Już mówiłam, że nie. Nie znam tych ludzi.

— To kłamstwo. Ona kłamie. Chce okryć mnie hańbą, aby odebrać mi zamówienia — rzucił *Agostino*. — To nienasycona dziwka!

Nie wierzyłam własnym uszom.

— Nie! — krzyknął ojciec. — On chce przedstawić ją jako dziwkę, żeby uniknąć *nozze di ripara zione*. Chce pohańbić nazwisko Gentileschich. To zawiść!

*Locumtenente* nie zwrócił uwagi na niego i przygryzł wargę.

— Czy miałaś stosunki cielesne ze swym ojcem, Ora-ziem Gentileschim?

— Gdybyśmy nie byli w sądzie, splunęłabym w twarz każdemu, kto by tak twierdził — wyszeptałam.

— Zaciśnij mocniej! — nakazał *locumtenente*.

Śruba zaskrzypiała. Zachłysnęłam się powietrzem. Twarde sznury wpiły mi się w palce. Moje uszy wypełni! pomruk głosów zza zasłony.

— Signorina Gentileschi, ile masz lat?

— Osiemnaście.

— Osiemnaście. Nie jesteś więc już dzieckiem i wiesz, że nie powinnaś obrażać sędziego. Powróćmy jednak do sprawy. Czy miałaś stosunki cielesne z kwatermistrzem Ojca Świętego, zmarłym Cosimem Quorlim?

— On... próbował, ekscelencjo. *Agostino Tassi* wprowadził go do domu. Udało mi się obronić. Oni obaj napastowali mnie. Patrzyli na mnie obleśnie. Czynili nieprzyzwoite aluzje.

— Jak długo to trwało?

— Wiele miesięcy. Rok. Miałam niespełna siedemnaście lat, kiedy to się zaczęło.

— Jakie to były aluzje?

— Wolałabym nie mówić.

Sędzia spojrzał na kata, który postąpił krok w moim kierunku.

— Aluzje do mych ukrytych wdzięków. Cosimo Quorfi groził, że rozpowie wszystkim, że mu się oddałam, jeśli się nie zgodzę.

— I zgodziłaś się? -Nie.

— Ten sam Cosimo Quorli rozpowiadał innym urzędnikom intendentury Palazzo Apostolico, że w rzeczywistości jest twoim ojcem, że twoja matka, Prudenzia Mon-tone wielokrotnie przyjmowała go w odosobnieniu, aż wreszcie zaszła w ciążę. — San Felicio zamilkł na chwilę, przyglądając mi się. — Musisz przyznać, że istnieje między wami pewne podobieństwo. Czy Quorli mówił ci kiedyś o tym?

— To istna kpina! Czy prócz swego honoru muszę także bronić honoru mojej matki przeciwko wszystkim tym oszczerstwom?

Wydawało się, że temat uznał za wyczerpany. Od-kaszlnął i zaczął się przyglądać jakiemuś dokumentowi.

— Czy prawdą jest, że wielokrotnie i z własnej woli utrzymywałaś stosunki cielesne z Agostinem Tassim?

Zrobiło mi się słabo. Wstrzymałam oddech. *Assistente* znów zacisnął sznury.

Z całej siły napięłam wszystkie mięśnie. Sznury wpijały mi się w ciało. Ogniste pierścienie. W dwóch miejscach trysnęła krew, potem w trzech, wszędzie było pełno krwi. Dlaczego tato im na to pozwolił? Nie mówił, że będzie



krwawić. Oddychałam przez zaciśnięte zęby. To Agostino był oskarżony, a nie ja. Co zrobić, żeby to się skończyło? Mówić prawdę.

— Nie z własnej woli. Agostino Tassi pohańbił mnie. Zgwałcił mnie i pozbawił dziewictwa.

— Kiedy to się stało?

— W zeszłym roku. Tuż po Wielkanocy.

— Kiedy kobieta zostaje zgwałcona, z pewnością zrobiła coś, co skłoniło napastnika do gwałtu. Co wtedy robiłaś?

— Malowałam! — Zacisnęłam oczy, żeby wydusić z siebie słowa. — Malowałam naszą gospodynię Tuzię i jej dziecko jako Madonnę z Dzieciątkiem. To ona go wpuściła. Ojca nie było w domu. Ona знаła Agostina. Był przyjacielem mojego ojca. Mój ojciec najął go, by uczył mnie perspektywy.

— Dlaczego nie krzyczałaś?

— Nie mogłam. Zasłonił mi usta chusteczką.

— Nie próbowałaś go powstrzymać?

— Szarpałam go za włosy, podrapałam jego twarz i... członka. Nawet rzuciłam się na niego ze sztyletem.

— Po co kobieta cnotliwa trzyma sztylet w sypialni? Czułam, że głowa mi zaraz pęknie.

— Czułam się zagrożona...

— Co nastąpiło po tym wydarzeniu?

— Znowu przyszedł, znowu wpuściła go Tuzia. Wepchnął się na mnie i we mnie. Czułam, jak pot spływa mi między piersiami.

— Broniłaś się?

— Drapałam i odpychałam go.

— Zawsze się broniłaś?

Szukałam twarzy Agostina. Był nieporuszony, jak obraz. Powiedz coś, prosiłam go w myśli. Jeszcze dwa mie-

siące wcześniej mówił, że mnie kocha. Agostino, nie pozwól im na to. Patrzył na ziemię i czyści! sobie paznokcie.

*Locumtenente* zwrócił się do Agostina:

— Czy nadal twierdzisz, że jesteś niewinny?

Twarz Agostina była zimna i brzydka. Nie chciałam go prosić. Nie jego. Santa Maria, modliłam się, spraw, żebym go nie prosiła.

— Jestem niewinny — powiedział. — A ona jest dziwką, tak samo jak jej matka.

— Ona myślała, że zostanie jego żoną! — krzyknął ojciec zza zasłony.

— Miał ją pojąć za żonę. Miały się odbyć *nozze di riparazione*.

*Locumtenente* pochylił się ku mnie.

— Nie odpowiedziałas na pytanie. Sybilla naprawdę może odciąć palce.

— Przecież to Agostino jest oskarżony, nie ja. Jego poddajcie tej próbie!

— Zacisnąć!

*Madre di Dio*, pozwól mi zemdleć, zanim zacznę krzyczeć. Krew ściekała mi po rękach, białe rękawy koszuli przesiąknięte były czerwienią. Tato, niech oni przestaną. Co ja mam robić? Powiedzieć im, co chcą usłyszeć? Skłamać? Powiedzieć, że jestem dziwką? Wtedy wypuszczą Agostina na wolność. Jeszcze jeden obrót śruby. „Nie, nie, przestańcie!” Czy to ja krzyczałam?

— Na miłość boską, przestańcie! — krzyknął ojciec, zrywając się na równe nogi.

*Locumtenente* strzelił palcami, by go uciszyć.

— Bóg kocha tych, którzy mówią prawdę, signor Gen-tileschi. — Popatrzył na mnie. — A teraz powiedz mi i mów prawdę, czy po tym pierwszym razie zawsze się opierałaś?

Sala sądowa wirowała wokół mnie, cały świat wymknął się spod kontroli. Była tylko śruba i moje dłonie, nic innego. Potworny ból i... *Che Dio mi salvi* — czy sznury uszkodzą kości? — *Che Santa Maria mi salvi. Gesu, Madre di Dio*, niech to się już skończy! Musiałam powiedzieć.

— Z początku tak, ale potem już nie. Obiecał, że pojmie mnie za żonę, a ja... ja mu wierzyłam. — *Dio misalvi*, niech to się już skończy! — Więc pozwalałam mu... choć wbrew moim chęciom... żeby dotrzymał obietnicy. Cóż innego mogłam zrobić?

Powietrze. Nie mogłam oddychać.

— Dość tego. Sprawa odroczonej do jutra! — Sędzia machnął ręką z pogardą i triumfem. — Wszystkie strony mają być obecne.

Sybillę poluzowano i zdjęto z moich dłoni.

Byłam wściekła. Ręce mi się trzęsły, kropelki krwi spadały na spódnicę. Agostino chyba chciał podejść do mnie, ale pochwycili go strażnicy i wyprowadzili z sali. Chciałam zaczekać, aż tłum się rozejdzie, ale jeden ze strażników wypchnął mnie, musiałam iść z krwawiącymi rękami pośród urągającego mi tłumy. Kiedy wyszliśmy na ulicę, coś uderzyło mnie w plecy. Nie odwróciłam się, żeby zobaczyć, co to było. Ojciec stał obok mnie i podawał mi chustkę.

— Niech krwawią.

— Artemizjo, weź to.

— Nie powiedziałaś mi, co sybilla zrobi z moimi rękami. Ominęłam go, szłam tak szybko, że nie mógł mnie

dogonić. Kiedy już byłam w domu, przesunęłam skrzynię na ubrania do zamkniętych drzwi pokoju i z płaczem rzuciłam się na łóżko.

Jak mógł do tego dopuścić? Jak mógł być tak samolub-

ny? Mój ukochany tato. Wspominałam te wszystkie szczęśliwe dni spędzone na via Appia, wycieczki z mamą, która wsłuchiwała się w gruchanie synogarlicy, podczas gdy ojciec zbierał szałwię do szorowania podłóg. Potem tato owijał swoje i moje stopy w szmaty namoczone w wodzie z szałwią i ślizgaliśmy się w nich po podłodze w rytm śpiewanych przez niego piosenek; śpiewał o miłości, jego głos załamywał się przy wysokich tonach, wówczas wymachiwał rękami jak cyprys na wietrze, a ja nie mogłam wytrzymać i zanosłam się ze śmiechu. To był mój tato. Był.

Wszystkie jego opowieści o wielkich malarzach... Siedział na moim łóżku, tuliłam się do niego, a on częstował mnie słodką skórką pomarańczową. Cudowne historie: Rebeka przy studni w Nachorze, o skórze tak przejrzystej, że gdy unosiła podbródek, pijąc wodę, widać było krople spływające jej przelykiem. Kleopatra żeglująca po Nilu statkiem wypełnionym po brzegi owocami i kwiatami. Danae i złoty deszcz, Batszeba, Judyta, Sybilla, muzy, święte — w jego opowieściach stawały się żywymi postaciami. To za jego sprawą zapragnęłam zostać malarką. Pozwalał mi kopiować rysunki z opasłego tomu *Ikonologii* oprawnej w skórę; kiedy miałam pięć lat, nauczył mnie, jak należy trzymać pędzel; kiedy byłam dziesięciolatką, nauczył mnie ucierać pigmenty i robić z nich farby. Podarował mi moździerz i marmurowy tłuczek. Podarował mi życie.

Co będzie, jeśli już nigdy nie będę mogła malować? Po co mi to życie? Sztylet wciąż czekał pod moim łóżkiem. Nie muszę żyć, jeśli życie stanie się zbyt okrutne.

Ale przecież miałam do skończenia moją *Judytę* — jeśli dam radę. W tamtej chwili bardziej niż kiedykolwiek pragnęłam malować.

Ojciec zastukał do drzwi.

— Artemizjo, otwórz.

— Nie chcę z tobą rozmawiać. Wiedziałaś, co może się stać z moimi rękami.

— Nie myślałem...

— No pewnie. Nie myślałeś.

Napał na drzwi, odpychając skrzynię. Przyniósł miskę wody i czyste szmatki, żeby umyć mi dłonie. Odwróciłam się plecami do niego.

— Artemizjo, pozwól mi...

— Gdyby mama żyła, nigdy nie dopuściłaby do tego.

— Nie zdawałem sobie sprawy...

— Nie chciałyby wywlekać wszystkiego na światło dzienne, tak samo jak ja nie chciałam.

— Za jakiś czas to wszystko będzie bez znaczenia.

— To nie jest bez znaczenia, skoro dobre imię jest wszystkim, co posiada kobieta.

## JUDYTA

Kiedy weszłam do sklepu piekarza z obandażowanymi rękami, rozmowy umilkły, zapanowała niezręczna cisza. Piekarczyk kpiącym gestem uniósł dłoń, rozczapierzając palce. Kiedy wracałam do domu, żona naszego krawca, wyglądająca przez okno, splunęła z pogardą. Kiedy szłam przez via del Corso, zatrzymałam się na chwilę, żeby popatrzeć na jaskółki przemykające pośród suszącej się pościeli rozwieszanej na sznurach między oknami domów. „*Puttanal* Dziwka!” — usłyszałam. Na ulicy było pusto, widziałam tylko jakąś starą kobietę, która sprzedawała owoce. „*Puetanal*” — jeszcze raz dobiegł mnie donośny, chrapliwy głos. Odeszłam, nie oglądając się za siebie. Z okna na górnym piętrze ktoś wylał zawartość nocnika, cuchnąca ciecz rozbryznęła się na bruku trzy kroki przede mną.

Proces się nie zakończył. Za każdym razem, kiedy mnie wzywano, musiałam tam iść i wysłuchiwać kolejnych oskarżeń i kłamstw. Nie mogłam pracować, a bezczynność doprowadzała mnie do szaleństwa. Kiedy tato zdejmował bandaż, żeby założyć nowe, rany wokół palców wciąż krwawiły. Kiedy zasklepiały się, wystarczyło nieznacznie poruszyć palcem i strupy znów pękały. Nie mogłam trzy-

mac pędzła ani łyżki. Ojciec nakazał Tuzii, żeby mnie karmiła. Tuzii nie wystarczyło, że wślizgnęła się do łóżka ojca, chciała go zdobyć. Była zazdrosna o jego miłość do mnie. Dlatego wpuściła Agostina. Wolałam umrzeć z głodu, niż pozwolić, żeby to ona mnie karmiła, więc nie jadłam. Pewnego dnia ojciec wrócił z sądu i rozwścieczony powiedział, że Tuzia zdradziła mnie podczas przesłuchania. Zeznała, że widziała, jak wielu mężczyzn wchodziło do mojego pokoju. Wyrzucił ją na bruk i poprosił sąsiadkę, Porzię Stiattesi, żeby mnie karmiła.

Staralam się nie poruszać palcami, żeby zagoiły się wreszcie i żebym mogła znów malować. Wciąż jednak rany jątrzyły się i krwawiły, a potem zaczynało się nieznośne swędzenie. Nie mogłam nic zrobić, chodziłam tylko po domu, gapiałam się przez okno i przyglądałam moim szkicom do *Judyty*, bohaterki, która ocaliła lud żydowski. Ojciec opowiedział mi jej historię. Zakradła się do nieprzyjacielskiego obozu, udając, że chce uwieść asyryjskiego tyrana, Holofernesa. Zwodziła go, wymigując się zręcznie i nie ulegając jego zachciankom; wciąż dolewała mu wina, aż się upił i usnął. Wtedy odcięła mu głowę i pokazała ją swoim rodakom. Pozbawiona wodza wroga armia poszła w rozsypkę. Taką właśnie kobietę chciałam namalować. Judyta namalowana przez ojca była tak anielską i delikatną istotą, że nie zdołałaby dokonać swojego czynu bez bożej pomocy.

Któregoś ranka na naszej ulicy, via delia Croce, pojawiła się handlarka dźwigająca dwa kosze suszonych ryb. Miała podwinięte rękawy, jej ramiona były silne i muskularne jak u Mojżesza w kościele San Pietro in Vincoli. Takie właśnie powinny być ręce Judyty, grubsze i silniejsze, niż ja bym je naszkicowała, z zakasanyimi rękawami, gotowe do krwawej łaźni, znieruchomiałe w zdecydowanym geś-

cie, kiedy to ze wstrętem przecina krtań stalowym ost rzem. Służąca Judyty, Abra, także musi być silna, by móc przytrzymać wyrrywającego się mężczyznę. Ramiona to nie wszystko, moja Judyta będzie się jednym kolaniem opierać o łoże Holofernesa, będzie wyglądać jak wieśniaczka zarzynająca prosię.

Handlarka zawodziła śpiewnie *cefalo, baccala* i śmiała się na głos do dzieci baraszkujących na ulicy. Była wolna, aż przez chwilę jej zazdrościłam. Nie, nie chciałabym handlować rybami, ale nie chciałabym też spędzić całego życia zamknięta w domu, by się skrywać przed ludzką pogardą.

Zarzuciłam chustę i schowałam pod nią ręce. Pospieszyłam bocznymi ulicami do obszernego placu przy Santa Maria del Popolo. Tam, w małej kapliczce, znajduje się obraz *Nawrócenie świętego Pawła* Caravaggia. Przyglądałam się jego *chiaroscuro*, obserwowałam, jak się posługuje jaskrawym światłem na mrocznym tle, i marzyłam, by również tego spróbować. Święty Paweł leży na plecach, głową i ramionami w kierunku widza, uchwycony w chwili nawrócenia. Mogłabym namalować Holofernesa w takim samym skrócie, jego głowa wystawałaby niemal z płótna w kierunku oglądającego, odwrócona pod kątem niemożliwym, gdyby była jeszcze całkowicie złączona z ciałem — ale wciąż jeszcze żywa, w ostatnim oddechu agonii; jego pięść uderzać będzie w podbródek Abry.

Pamiętam moje rozczarowanie na widok Judyty Caravaggia. Jest bierna, stoi sztywno, odpiłowując głowę mężczyzny. Wszystkie uczucia Caravaggio przypisał Holofernesowi. Pewnie nie przyszło mu do głowy, że kobieta może mieć jakiegokolwiek myśli. Ja zaś chciałam namalować jej odczucia, jeśli tylko zdołam: determinację i skupienie, i prze-



konanie o nieuniknionej konieczności tego czynu. Na jej barkach spoczywała odpowiedzialność za los całego ładu. Sam czyn nie sprawiał jej radości, po prostu spełniała swój obowiązek, jego myśli też chciałam wyrazić. Zdumienie i przerażenie. Świat wymyka mu się z rąk. Byłam pewna, że potrafię to namalować.

Ale czy sobie poradzę z namalowaniem Judyty?

Pewnego dnia zostałam wezwana do sądu. Agostino był nieobecny. W pobliżu miejsca, gdzie zawsze siedziałam, dwie kobiety układały jakąś tkaninę na długim drewnianym stole, przyniosły też miskę wody i szmaty. Po co? Czy znowu będą mnie torturować? Starsza i wyższa, z tłustym podbródkiem, spoglądała na mnie z pogardą, mrużąc pomarszczone powieki. Młodsza, tak chuda, jakby się składała z samych kości, nie patrzyła na mnie wcale. Przyciskałam ręce do boków. Notariusz uśmiechał się szyderczo. *Locum tenen te adkasziął*, by uciszyć widownię.

— A więc powiadasz, że ty, dziewczyna niespełna osiemnastoletnia, nie jesteś już dziewicą z powodu postępu pana Tassiego? Czy tak? — zapytał natarczywym tonem.

Skinęłam głową. Mimo wszystko nie potrafiłam przyznać na głos, że nie jestem dziewicą. Oznaczało to, że jestem napiętnowana do końca życia i nigdy nie będę mogła wyjść za mąż.

— Odpowiedz.

— Tak, to prawda.

— Co jest prawdą? Powiedz.

— Nie jestem już dziewicą.

*Locumtenente* zajrzał do jakiegoś dokumentu i wskazał ręką na dwie kobiety.

— To są akuszerki o wielkim doświadczeniu — przerwał i popatrzył na mnie — oraz nieposzlakowanej reputacji. Diambra z piazza San Piëtro oraz Caterina z Corte Ma-siano. Czy potwierdzasz z całą świadomością, że nie jesteś już dziewicą?

Zacisnęłam kolana.

— Tak, wasza wysokość, z powodu Agostina Tassiego, który przemocą...

— Milcz. — Kiwnął na akuszerki. — Pod nadzorem notariusza dokonajcie oględzin wstydliwych części signoriny Gentileschi.

Wyprostował nogi, rozpierając się w fotelu i krzyżując ręce na piersi. Zamarłam.

W sali rozległ się gwar przyciszonych głosów.

— Możecie jej wierzyć — usłyszałam głos ojca — ona nigdy nie kłamie.

Młodsza z akuszerok zaciągnęła zasłonę, tak cienką, że widziałam przez nią prawie wszystko. Woźny ustawił parawan pomiędzy stołem i sędzią, ale notariusz stanął tuż przy stole.

Nie mogłam się ruszyć. W sali zapanowała cisza. Starsza akuszerka podeszła do mnie. Wpiłam się dłońmi w oparcia krzesła, chociaż czułam, że moje rany znów się otwierają. Chwyciła mnie za ramię i pociągnęła do stołu. Zobaczyłam plamy na tkaninie. Czy pozostawiła je jakaś inna nieszczęsna kobieta zgwałcona w ten sam sposób? Co teraz się z nią dzieje? Czy zdołała powrócić do normalnego życia? A może zamknięto ją w klasztorze?

Czego oni chcą dowieść? Przecież Agostino od razu powie, że to kto inny pozbawił mnie dziewictwa.

Usiadłam na stole. Starsza akuszerka z beznamiętnym

wyrazem twarzy kazała mi się położyć i podkurczyć kolana. Zrobiło mi się słabo. Ta młodsza wysmarowała palce jakąś tłustą mazią o kwaśnym zapachu i uniosła moją spódnicę. Patrzyła na mnie tak, jak początkująca pomoc kuchenna spogląda na kurczaka, którego ma wypatroszyć po raz pierwszy w życiu. Jej oślizłe palce wsunęły się we mnie. Zacisnęłam mięśnie, broniąc się przed jej wtargnięciem. Przypomniało mi się, jak zaciskałam je, broniąc się przed Agostinem, i wzdrygnęłam się.

— Rozluźnij się — szepnęła — a szybciej będzie po wszystkim.

Zmusiłam się do rozluźnienia mięśni.

— Nie przypominaj mi tego — wyszeptałam.

Wepchnęła palce głębiej. W oczach miałam łzy, a w ustach poczułam jakiś gorzki smak. Skończyła i opłukała ręce w misce z wodą.

Teraz podeszła do mnie ta grubsza, zawijając rękawy. Miała grube palce i była brutalniejsza. Wzięłam głęboki wdech i zacisnęłam oczy. Czułam, że zaraz się rozplącę. Staralam się ze wszystkich sił, by nie wydać żadnego dźwięku. Nie dam im tej satysfakcji.

Miałam zamknięte oczy, dopóki nie usłyszałam plusku wody, kiedy płukała ręce. Opuściłam spódnicę, obróciłam się na bok plecami do sali sądowej i podkurczyłam kolana. Pragnęłam, by podłoga rozstała się pode mną i pochłonęła mnie. Tak samo jak wtedy, kiedy jako mała dziewczynka otworzyłam drzwi do sypialni, niosąc dla mamy bukiet dmuchawców. Puchate nasionka opadały na podłogę, a ja patrzyłam na nagie plecy ojca, leżał w łóżku na mamie, miała uniesione kolana, zadartą spódnicę, widziałam tajemne miejsce między jej kolanami. Byłam wstrząśnięta. Pamiętam, że płakałam przez wiele dni i nie

chciałam się do niej odezwać, nie mogłam znieść jej obecności. Teraz mnie wystawiono w ten sposób na widok publiczny, jakby przyłapaną na gorącym uczynku.

— Jest tak, jak mówi — usłyszałam głos chudej kobiety.

— Proszę złożyć zeznanie do protokołu. — *Locumte-nente* mówił obojętnie, jakby spełniał kolejną rutynową czynność bez znaczenia.

— Ja, Diambra Blasio, zbadałam dotykiem waginę panny Artemizji i mogę stwierdzić, że nie jest dziewicą. Wiem o tym, ponieważ wsunęłam palec do jej pochwy i stwierdziłam, że błona dziewicza jest naruszona. Mam odpowiednie doświadczenie, ponieważ jestem akuszerką od dziesięciu czy jedenastu lat.

Chciałam się odciąć od wszystkich moich zmysłów, żeby nic z zewnątrz nie docierało do mnie. - A ty?

— Ja, Caterina z Corto Masiano, zbadałam... jej pochwę... wsunęłam palec... rozdziewiczona... naruszona błona dziewicza... jakiś czas temu, nie ostatnio... doświadczenie... piętnastu lat.

Czekałam na stole, aż posiedzenie sądu zostanie zamknięte. Patrzyłam wyzywająco prosto w oczy notariusza; niech no tylko ośmieli się choćby spojrzeć na mnie z pogardą zza tego swojego haczykowatego nosa.

W drodze do domu ani ojciec, ani ja nie odezwaliśmy się ani słowem. Dopiero kiedy drzwi zatrzasnęły się za nami, powiedziałam:

— Gdyby mama żyła, byłoby ci wstyd.

— Jest mi wstyd.

— Czego? Tego, że wszyscy przyglądali się twojej córce, czy jest ci wstyd za siebie?

Potrząsnął głową jak pies otrzepujący się z wody.

— *Madre di Dio*, co jeszcze mnie czeka? — rzuciłam niecierpliwie.

— Ale to jest dowód, nie rozumiesz? Dowód na wyrządzoną szkodę.

— Nie jestem malunkiem! — krzyknęłam. — Jestem człowiekiem!

Twoją córką.

Zebra! pospiesznie swoje narzędzia malarskie, przewracając kubek z pędzlami, i wyszedł. Jak gdyby nigdy nic. Poszedł malować *Casino delie Muse* dla kardynała Borghese w *Palazzo Pallavicini*. Przed procesem pracował razem z Agostinem. Chodził tam codziennie. I tego dnia też, jak gdyby nic się nie wydarzyło i jak gdyby nie miało to żadnego znaczenia.

Nie chciałam, żeby zastał ranie w domu, kiedy wróci. Włożyłam mój krótki szary płaszczyk i wychodząc, nasunęłam kaptur na głowę, choć powietrze aż drżało od skwaru. Poszłam *via del Babuino* do *Piazza di Spagna*, cały czas z opuszczoną głową, żeby aptekarz stojący w drzwiach sklepu nie mógł mnie rozpoznać. Wspinając się na *Pincio*, potykałam się o koleiny i omijałam kamienie, obchodząc szerokim łukiem grupki włóczęgów, które zawsze snuły się po tym wzgórzu dzielącym miasto i kościół. Na pewno znaleźliby dla mnie jakąś obelgę. Kiedy byłam już blisko szczytu, zwolniłam kroku, aż dotarłam do dzwonnicy *Santa Trinita dei Monti*. Weszłam zdyszana po schodach prowadzących do klasztoru i pociągnęłam za sznur od dzwonka.

Wiedziałam, że siostra Paola podejdzie do drzwi — była jedną z niewielu włoskich zakonnice w tym francuskim klasztorze. Do jej obowiązków należało pilnowanie bramy, sprzedawanie leczniczych ziół uprawianych przez mniszki i komunikowanie się ze światem zewnętrznym.

— Artemizjo! Tak się cieszę, że cię widzę.

Jej uśmiech zawsze przywodził mi na myśl figlarne twarzyczki kupidynów z obrazu, ale teraz na jej twarzy malowała się troska.

— Dobrze się miewasz? — zapytałam.

Otworzyła skrzypiącą drewnianą bramę, by wpuścić mnie do małej sieni.

— Na tyle dobrze, na ile podoba się Bogu, a to mi wystarczy — jej głos wznosił się i opadał jak śpiew ptaka.

Zawsze, kiedy znajdowałam się w klasztorze, czułam, że to inny świat. Tutaj oddychałam swobodniej.

— A ogród? Co słyhać w ogrodzie?

— Jest wspaniały tego roku. Chodź i zobacz. Rozmaryn i rumianek siostry Margerity właśnie zakwitły, a moje ziele świętego Jana zakwitnie niebawem. Oregano siostry Grazielli gęsto porasta grządki i pnie się ku Bogu.

Kiedy kroczyłam za Paolą po słomie rozsypanej na kamiennej podłodze klasztoru, spostrzegłam, że jej buty są przetarte na piętach. Zrobiło mi się smutno i na chwilę przestałam myśleć o moich własnych kłopotach, zrobiło mi się wstyd. Ojciec powinien więcej zapłacić za te kilka lat, które spędziłam w klasztorze po śmierci mamy.

— W kuchni już się suszy lawenda. Cóż za niebiański zapach!

Przeszliśmy przez klauzurę z różowego stiuku i dalej korytarzem do ogrodu znajdującego się na tyłach budynku. Zobaczyłam równe grządki bujnie porośnięte ziołami. Jakaś zakonnica, której nie znałam, obrywała kwiatki.

— Jak tu pięknie! Z pewnością Matka Boska uśmiechnęła się do was — stwierdziłam.

— A ponadto ogród przynosi klasztorowi trochę pie-

niędzy — dodała siostra Paola, uśmiechając się szelmowsko i unosząc brwi, pulchne policzki i ramiona.

— Strzeż się takich światowych myśli — napomniałam ją, patrząc na nią z udawaną surowością.

Zachichotała.

— Rozdaje lecznicze rośliny nawet tym, którzy nie mogą zapłacić. Prawdziwe wynagrodzenie przychodzi od Pana. — Uśmiechnęła się słodko. — Chcesz się spotkać z siostrą Graziellą? Niedługo będą nieszpory.

Wróciłyśmy do środka. Wiedziałam, gdzie szukać siostry Grazielli, ale miło mi było, że siostra Paola idzie ze mną.

— Czy już straciłyście nadzieję co do mnie? — zapytałam.

— Oczywiście, że nie — powiedziała z zapalem. — My tutaj wierzymy w cuda. Któregoś dnia przyjdę do tych drzwi i ty tam będziesz, i powiesz „jestem gotowa<sup>1</sup>”. A ja zaprowadzę cię do moich sióstr i wszystkie razem podziękujemy Bogu.

Jak dobrze byłoby przyjść tutaj na zawsze, niepostrzeżenie wymknąć się ze świata. Niech proces trwa sobie dalej beze mnie, już nigdy nie musiałabym patrzeć na tego wstrętnego sędziego, na tego wzgardliwego notariusza, który wciąż tylko udaje, że po prostu wykonuje swoją pracę. Nie musiałabym się bać, że kiedyś spotkam Tuzię albo Agostina na ulicy. A ojciec niech sobie tęskni!

Siostra Graziellą była sama, siedziała na wysokim stołku przy wąskim oknie, przez które padała smuga jasnozłocistego światła, oświetlając jej policzki i spiczasty nos. Wokół niej wirowały lśniące drobinki kurzu. Czarny habit i biały kaptur stanowiły doskonałą oprawę jej gładkiej, owalnej twarzy, która wyrażała spokój i skupienie. Spo-

glądała w dół, na obrazek zdobiący brzeg strony książki. Przywodziła mi na myśl *Pietę* Michała Anioła w kościele Świętego Piotra. Tak samo jak Maria pogrążona była w spokojnych rozmyślaniach i tak samo wydawała mi się piękna.

Na brzegu stołu leżały skorupy ostryg, które podarowałam jej wiele lat temu. Ucieszyłam się, że nadal ich używa. W każdej z nich znajdowały się pigmenty o najwspanialszych, najczystszych, nasyconych kolorach: ciemnoczerwona madera, jasny wermilion, ciemna ultramaryna z rozartego lapis-lazuli, żółty szafran i zieleń tak świetlista, jak natka wiosennej pietruszki.

Podniosła wzrok.

— Artemizjo! Niech Bóg cię błogosławi, stęskniłam się za tobą.

Wskazała ręką drugi stół. Ozdabiała właśnie stronicę delikatnym motywem pnączy wijących się nieregularnymi, skomplikowanymi splotami, rozkwitających czerwonym kwieciem.

Mogłabym zajmować się tym właśnie i siedzieć razem z Graziellą. Gdybym spędziła tu resztę życia, mogłabym przyozdabiać całe księgi. Klasztor stałby się sławny dzięki ilustrowanym manuskryptom.

— Jakie to piękne! Podoba mi się ten żółty ptak.

— To psalterz dla kardynała Bellarmina, tego pogromcy heretyków, który potrafi obrócić ich kłamstwa przeciwko nim samym. Teraz już mało kto ręcznie wykonuje książki, ale to będzie podarunek od klasztoru. Mamy nadzieję, że przez chwilę przestanie myśleć o Świętej Inkwizycji i zwróci uwagę na naszą pokorną prośbę o pomoc przy naprawie dachu. Już od lat w naszych celach na górnym piętrze stoją wiadra na deszczówkę.



Czekała, aż siostra Paola wyjdzie.

— Tak niewiele mogę zrobić w ciągu jednego dnia, tylko mały kawałek — zniżyła głos do szeptu. — Zawsze wydaje mi się, że dopiero zaczęłam, kiedy już trzeba iść na mszę. Czasami mam wrażenie, że nic nie zrobiłam w ciągu całego tygodnia.

— Muszę ci coś powiedzieć.

Odłożyła pędzel — najcieńszy, jaki kiedykolwiek widziałam, i położyła mi rękę na ramieniu.

— Wiemy o tym.

— O procesie?

— Chociaż żyjemy w zamknięciu, ściany klasztoru nie są aż tak grube, by wieści z zewnątrz nie docierały do nas. Wszystkie ubolewamy nad twym losem.

— Wiecie o wszystkim?

— Wiemy więcej, niżbyśniy chcieli. Dobrze się czujesz? Wysunęłam ręce spod płaszcza. Były wciąż opuchnięte, rany wciąż krwawiły, bandaże były poplamione. Westchnęła.

— Biedne jagniątko. Gdzie był twój ojciec, kiedy to się zdarzyło?

— On im na to pozwolił. Powiedział, że dowiodę swojej niewinności, podtrzymując zeznania, kiedy założą mi te sznury. Nie wiem, co było gorsze... to, co zrobili z moimi rękami, czy... dzisiaj. Dzisiaj kazali mnie zbadać dwóm akuszerkom, wiesz gdzie, a notariusz się przyglądał. Ludzie widzieli mnie przez zasłonę. Oni chcieli, żeby wszyscy mogli mnie tak zobaczyć.

— *Dio ii saJvi*. — Objęła mnie ramieniem. Oparłam głowę na jej kolanach. — To jeszcze jeden sposób, żeby złamać kobietę, która ośmiela się oskarżać mężczyznę. Nie mają sumienia.

— To potwory — łkałam w jej habit.

— Może i tak, ale nie mogą cie zniszczyć — kołysała mnie i gładziła po włosach. Wreszcie mogłam się wyplakać.

— A mój ojciec na to pozwolił...

— *Cara mia* — powiedziała półgłosem — ojcowie nie zawsze potrafią się opiekować córkami. Być może starają się, ale nie zawsze im się udaje. Są tylko ludźmi.

Odwróciłam głowę na bok i zobaczyłam, że moja suknia jest poplamiona tłuszczem akuszerki. Odsunęłam ją od czarnej wełny habitu Grazielli i spostrzegłam, że jej buty są tak samo znoszone jak buty Paoli.

— Dusza jest fortecą, do której zło nie ma dostępu — mówiła cicho.

— Nasz niebiański Ojciec pełni tam straż. On nas nie zdradzi. Pamiętaj o tym, Artemizjo. Mogą zrobić z ciebie ofiarę, ale nie zrobią z ciebie grzesznicy.

Byłam w stanie tylko szlochać.

— Namaluj to wszystko, *carissima*. Namaluj twoje cierpienie, maluj tak długo, aż nic z niego nie pozostanie. Nie pozwól, by ich drwiny wypełniły cię wstydem. Przecież o to właśnie im chodzi. Chcą, żebyś zwiędła i umarła... a wiesz dlaczego?

Potrząsnęłam głową wciąż wspartą na jej kolanach.

— Bo twój talent jest dla nich groźny. Obiecuj mi coś... nie módl się jak grzesznica, skoro nie popełniłaś grzechu. Niech twoje modlitwy nie będą błagalne. Zbliź się do Boga z godnością i wierz w Jego dobroć. Niezależnie od tego, co się stanie.

— On mnie opuścił.

— A więc kochaj Go tym bardziej. Wtedy będzie po twojej stronie.

— Ale wszyscy uważają...

— Mało mnie obchodzi, co oni uważają. Świat jest większy niż Rzym. Pamiętaj o tym. Pomyśl o twojej *Zuzannie*. Kiedy ten obraz stanie się sławny, wszyscy dowiedzą się o twojej niewinności.

— Ale jak?

— Bo na tym obrazie pokazałaś jej lęk wobec lubieżnych spojrzeń mężczyzn, jaka jest delikatna i przerażona. Ten obraz pokazuje, że rozumiałaś, jak walczyła przeciwko silniejszym od siebie.

— Pamiętasz to wszystko?

— Nigdy nie zapomnę. Wstręt na jej twarzy i ręce uniesione w obronie przed ich groźbami... Jej twarz powracała do mnie we śnie tamtej nocy po tym, jak przyniosłaś tu swój obraz. Kiedy zobaczyłam, w jaki sposób odwraca się od starca, który próbuje ją uciszyć, wiedziałam, że coś ci grozi.

— Ale namalowałam ten obraz, zanim to się zdarzyło.

— Tak, ale widać było, że coś ci zagraża, tak samo jak *Zuzannie*. Na tym polega twój talent, potrafisz odmalować swoje uczucia i to, co przeżywasz.

— Teraz nie mogę nawet trzymać pędzla w ręce.

— Ale będziesz mogła. Nic nie może powstrzymać twojego talentu przed wydaniem owoców. Jesteś jeszcze młoda. Nigdy nie zapominaj, że świat musi zobaczyć to, co masz do pokazania.

— Cóż mnie obchodzi świat i co ja go obchodzę? Świat jest pełen okrucieństwa. — Dotknęłam ostrej krawędzi jednej ze skorup. — Gdybym została tu z tobą, świat przestałby mieć znaczenie.

— Artemizjo — w jej słowach zabrzmiała nuta stanowczości — życia klasztornego nie wybiera się po to, by przed czymś uciec. Tutaj żyje się, aby służyć Bogu... dlatego, że

usłyszało się wezwanie. Żaden inny powód nie ma racji bytu.

— Być może usłyszę to wezwanie.

— Twoim powołaniem jest sztuka.

Rozległ się dzwon na nieszpory; oznaczało to, że muszę już iść.

Wyprowadziła mnie poza klauzurę, zatrzymała się przy studni i powiedziała:

— Tutaj przez całe życie oglądałabyś tylko te same dziewięć łuków każdej arkady, te same kilka fresków, tę samą gruszę i ten sam krucyfiks.

— Podeszła do drzewa i zerwała żółtozielony owoc. — Masz. Kiedy będziesz ją jadła, pamiętaj, co ci mówiłam. Już znasz swoje powołanie. Nie pokutuj za cudze grzechy. Ujfyj siebie taką, jaką cię stworzył Bóg.

— Czulaś kiedyś, że jesteś opuszczona przez Boga? Nieznacznie poruszyła głowę. Na jej twarzy pojawił

się wyraz zmieszania, którego nigdy wcześniej nie widziałam.

— Przez Boga i przez człowieka.

Kiedy wyszłam za bramę i stanęłam na szczycie schodów, poczułam wiatr na twarzy. Wydawało mi się, że stojąc tak wysoko nad miastem, jestem lżejsza i czystsza. Po chwili usłyszałam siostry śpiewające *Magnificat*, które tak bardzo lubię. *Magnificat amina mea Dominum*, „moja dusza wielbi Pana”. Siostra Paola nauczyła mnie znaczenia tych łacińskich słów tego samego dnia, kiedy miałam pierwsze kobiece krwawienie.

Mama mówiła mi wcześniej, że będę mieć regularne krwawienia. Myślałam, że to kara od Boga — dlatego, że

odepchnęłam ją, kiedy zobaczyłam ją w łóżku z ojcem. Toteż gdy zdarzyło mi się to po raz pierwszy, byłam przekonana, że Bóg gani mnie w ten sposób za mściwość. Modliłam się do Matki Boskiej, by wybaczyła mi moje postępowanie. Krew tryskała dalej, niczym Morze Czerwone. Pobiegłam do siostry Paoli. Myślałam, że umieram, i opowiedziałam jej o wszystkim. Ona zaś wyjaśniła mi, że krew jest tak nieodłącznym elementem kobiecości, jak umiejętność przebaczenia, oraz że nie muszę się bać. Opowiedziała mi, jak Anioł objawił się Marii i powiedział: „Nie bój się, Mario, znalazłaś bowiem łaskę u Boga”. Siostra Paola powiedziała, że i na mnie spłynęła łaska, ponieważ odczuwam skruchę, i wtedy nauczyła mnie *Magnificat*. Powtarzałam sobie słowa pieśni, żeby je zapamiętać, i czułam, jak przenikają mnie całą, aż po miejsce, gdzie ciekła krew. Moja dusza wielbi Pana, tak jak dusza Marii. Moja dusza, nawet moja mizerna dusza przyczynia się do chwały Pana czymś, co może ofiarować. Może właśnie to miała na myśli Graziella, mówiąc dziś o moim powołaniu?

*Powiew ponenthio* przynosił ulgę w ten upalny dzień i rozwiewał mi włosy. Myślałam o tym, że przebył całą drogę z Hiszpanii poprzez Morze Śródziemne i dolinę Tybru, by pobłogosławić mnie tutaj, ponad miastem, w którym panował nieznośny żar. Tutaj to grubiańskie miasto nie mogło mnie dotknąć. Od placu położonego u stóp wzgórza ulice rozchodziły się w trzech kierunkach. Via Condotti wiodła na wprost, po obu jej stronach wznosiły się czteropiętrowe budynki w kolorach wyblakłej brzoskwini i rzymskiej ochry. Dalej ulica stawała się coraz węższa, a budynki niższe, tak jak uczył mnie Agostino podczas lekcji perspektywy. Wreszcie ulica i domy gdzieś daleko przede mną zlewały się w jedno.

Dlaczego pomyślałam o nim? Zeszłam stromą ścieżką i wmieszałam się w tłum na dole.

Kiedy skręciłam w via delia Croce, pod naszym domem zobaczyłam jakąś kobietę, której nie znałam. Stała sztywno jak strażnik na Watykanie, ubrana była w ciemnozieloną suknię i przepasana czarną wstęgą. Kiedy mijałam ją, usłyszałam jej głośny szept: „Nie kochaj go”.

Spodziewałam się kolejnych obelg. Nie odwróciłam się do niej, szłam dalej do drzwi. Czułam, że ona idzie za mną.

— Jestem siostrą Agostina — usłyszałam jej głos za plecami. — Wysłuchaj mnie.

Zatrzymałam się. Stanęła obok mnie.

— Widziałam dziś, co ci zrobili podczas rozprawy. Przykro mi.

Rozejrzałam się, żeby zobaczyć, czy ktoś nie podsłuchuje.

— Nie kochaj go — powiedziała znów.

— Kochać go?!

— Jest łajdakiem od dnia swych narodzin. Zgwałcił pewną kobietę w Lukce, musiała więc wyjść za niego.

— Jest żonaty?

— A na dodatek siostrę żony uczynił swoją metresą. A teraz wynajął dwóch zbirów, żeby zabili jego żonę i żeby mógł się ożenić z tobą. Jak kobieta kobiecie powiadam ci: nie wierz ani jednemu jego słowu.

## AGOSTINO

Pewnego wieczoru, kiedy taty nie było w domu, wyszliśmy z domu razem z naszym sąsiadem, Giovannim Stiattem. Nie wzięliśmy pochodni i szliśmy bocznymi uliczkami, omijając piazza Navona oraz oświetlone drzwi tawern, z których dobiegały dźwięki muzyki. Ojciec mógł być w którejkolwiek z nich.

Giovanni i Porzia przekonali mnie, bym odwiedziła Agostina w więzieniu Corte Sævella. Pomyślałam sobie, że przekonam się w ten sposób, czy jego siostra mówiła prawdę. „Możesz powiedzieć mu to prosto w twarz — wycedził Giovanni, mrużąc oczy — to zwykły skurwysyn”. Tego właśnie potrzebowałam, chciałam się przekonać, czy mam dość siły, by zabić go słowami. Wówczas będę mogła poświęcić się malowaniu Judyty zabijającej go mieczem.

Przekroczyliśmy Tyber mostem Sykstusa pogrążonym w ciemnościach. Od rzeki niósł się wilgotny powiew. Giovanni trzymał mnie za nadgarstek, żeby nie ranić dłoni. Tego dnia nie założyłam bandażu, żeby Agostino mógł zobaczyć moje palce. Drugą ręką Giovanni trzymał się kamiennej balustrady.

— Dlaczego robisz to dla mnie? — zapytałam. Ojciec powiedział mi kiedyś, że Giovanni był swego czasu kochankiem Agostina i został przez niego porzucony. Teraz jego gniew posłuży naszej sprawie. Mówił jed-

nak o tym, że występować będzie w naszym imieniu wobec sądu, a nie o takich potajemnych wyprawach.

— W moim sercu nie ma miłości dla tego człowieka. Zostałaś skrzywdzona. To wystarczający powód.

Prowadził mnie wąskimi uliczkami wiodącymi do tylnej bramy więzienia. Wsunął monetę w dłoń strażnika. Czekałam w kamiennym korytarzu oświetlonym pochodnią. W powietrzu czuć było zapach płonącej smoły. Przez długi czas nikt się nie pojawił. Zaczęłam się przechadzać tam i z powrotem. Wreszcie z drzwi znajdujących się w dalekim końcu korytarza wyłonił się Agostino. Szedł ku mnie z rozpostartymi ramionami, jak gospodarz witający serdecznie starego przyjaciela.

— Artemizjo, wreszcie przyszłaś! Czekałem na ciebie, umierałem z tęsknoty.

Widziałam sztuczny uśmiech na jego twarzy, jego głos odbijał się echem w korytarzu.

— *Amore*, ożenię się z tobą, jeśli zmienisz zeznania. Ocalę cię.

— Chcesz powiedzieć, że ocalisz siebie samego! Myślisz, że chcę być żoną rozpustnika? Łajdaka? Zbrodniarza?

— Przecież wiesz, że cię kocham. Tak wiele cię nauczyłem. Jesteś mi coś winna.

— Nie łudź się. Nie nauczyłam się od ciebie niczego, czego nie mogłabym nauczyć się od własnych oczu.

— Jak możesz tak mówić?

— Nie umiesz malować ludzi. Pamięć o tobie zaginie, w dniu twojej śmierci wszyscy zapomną o tobie, a ja nie mogę doczekać się tego dnia.

To go dotknęło do żywego. Nie wiedział, co powiedzieć.

— Zrzuć chociaż winę na kogoś innego. Powiedz, że nie byłem pierwszy, wówczas oczyszczą mnie z zarzutów.



— Gdybym mogła poderżnąć ci gardło, Matka Boska przyklasnęłaby z radością mojemu uczynkowi.

— Powiedz, że to Quorli. On już nie żyje. Nic ci się nie stanie.

— Już się stało! — Podniosłam do jego twarzy dłonie i pokazałam mu krwawe strupy u podstawy palców, jęczące się rany między palcami. — To są ślubne obrączki, które dostałam od ciebie. A ty siedziałeś i patrzyłeś, nic nie mówiąc. Jak śmiesz teraz mówić, że mnie kochasz?

Skrzywi! się na ten widok.

— Uwierz mi, nie chciałem, żeby stało ci się coś złego.

— Twojej żonie też nie chciałem zrobić krzywdy, prawda? Po prostu chciałem ją delikatnie udusić. Ofiarować jej sznur i przeprosiny!

Agostino cofnął się zaskoczony. Patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami, otworzył usta, ale zapomniał języka w gębie.

— Jesteś zwyrodnialcem i mordercą.

— Artemizjo...

— Łajdak!

Obróciłam się na pięcie i wyszłam. Czułam, jak krew spływająca pomiędzy palcami dodaje mi siły.

Następnego ranka zaczęłam malować *Judytę odcinającą głowę Holofernesa*. Z trudem zginałam palce, by utrzymać w dłoni marmurowy tłuczek w kształcie jajka, którym rozcierałam pigmenty. Ból nie ma znaczenia. Nie wolno mi zwracać na niego uwagi. Liczy się tylko malarstwo. Graziella mówiła, żebym namalowała mój odcierpienie.

Nie byłam w stanie utrzymać palety kciukiem, postawiłam więc stołek na krześle, żeby znajdowała się wysoko

i była dobrze oświetlona. Patrząc na kolorowe plamy farby, czułam, że oddycham szybciej i głębiej. Krzywiąc się z bólu, wzięłam do ręki pędzel, nałożyłam lśniącą, czystą ultramarynę i dodałam nieco czerni. Zaczęłam niezdarnie szkicować rękawy sukni Judyty. Moje serce biło mocniej. Czułam, że żyję.

Każdego ranka wstawałam wcześniej, narzucałam fartuch na suknię nocną, wsuwałam stare chodaki na stopy i malowałam — od świtu, zanim jeszcze zaczynały rozlegać się okrzyki domokrażców i skrzywienie kół ich wózków, zanim zaczynały mnie rozpraszać klótnie starców przekrzykujących się na ulicy. Uwielbiałam ciszę wczesnego poranka, godziny, które wynagradzały mi wstrętne przedstawienie odbywające się w sali sądowej. W dni, kiedy musiałam uczestniczyć w rozprawach, z niepokojem myślałam o tym, że wkrótce przyjdzie ojciec i powie, że czas już iść.

Ubolewałam nad tym, że ręce nie chcą mnie słuchać. Trzymając pędzel w sztywnych palcach, próbowałam pracować, poruszając nadgarstkiem. Czasami pędzel wypadał mi z ręki. Codziennie przez długie tygodnie, po zakończeniu kolejnych posiedzeń sądu, ojciec szedł do Casino delie Muse kardynała Borghese, by pracować nad freskiem na suficie, a ja biegłam do domu i malowałam aż do zmroku. Dni były długie, a mi wciąż towarzyszyła myśl, że wraz z Judytą dokonuję aktu zadośćuczynienia.

Pewnego dnia namalowałam dwie pionowe zmarszczki na czole Judyty, tak jak uczynił to Caravaggio, żeby pokazać, z jakim trudem przychodzi Judycie zabójstwo. Następnego dnia jednak w sali sądowej Agostino spojrział na mnie groźnie. Teraz wiedziałam już, że jest mordercą. Kiedy wróciłam do domu tego samego dnia, zamalowałam pionowe zmarszczki.

Chciałam uchwycić Holofernesa w chwili, kiedy uświadamia sobie, że lada moment umrze. Tak wyglądała twarz Agostina, kiedy nazwałam go mordercą. Malowałam bruzdy na jego czole, szeroko rozwarte oczy — osłupiałe, ale wciąż jeszcze przytomne, choć zachodzące już bielmem. Musiałam zgiąć palce, żeby uchwycić pędzel mocniej i równo namalować brzeg źrenicy. Rany znów się otworzyły, ale ja pracowałam dalej. Widok, który pojawiał się przed moimi oczyma, sprawiał mi radość; błagalny wyraz ciemnych, przerażonych oczu.

Kiedy się cofnęłam, zobaczyłam kroplę krwi na białym pokryciu łoża Holofernesa. Na widok głębokiej, lśniącej czerwieni poczułam dreszcz rozkoszy. Wycisnęłam więcej krwi, teraz ból sprawiał mi przyjemność. Krew ściekała z rany na jego szyi. Żeby ją namalować, użyłam cynobru i madery. Strugi krwi. Szkarłatny wodospad wsiąkający w drogocenną pościel. Tak samo jak krew, którą nasączony był mój rękaw podczas przesłuchania. Albo jak krew, którą próbowałam zatamować po tym, jak mnie zgwałcił. A także plamy krwi na dłoniach Judyty. Skoro Rzym tak pragnął widowiska, to ja dostarczę mu widoku, na jaki zasłużył.

## WERDYKT

Tego ranka sąd miał ogłosić wyrok. Gdy otworzyłam drzwi — wychodziłam do piekarni po chleb — zobaczyłam oparty o ścianę domu obraz owinięty w brudną szmatę. Wniosłam go do środka i odwinęłam.

— Ojczy! Skradziony obraz!

— Jesteś pewna? — Ojciec wbiegł do pokoju i pochwycił płótno. — To może być kopia. — Przysunął obraz do światła, przyglądał się śladom pędzla, wreszcie zobaczył coś, co uznał za przekonujący dowód. — Ten sam. To zmienia postać rzeczy. Prędko. Musimy być tam wcześniej! — Zarzucił kaftan bez rękawów i ruszył ku drzwiom.

Przybyliśmy do Tor di Nona, zanim bramy zostały otwarte, i musieliśmy czekać na zewnątrz pod tą straszliwą pętlą, wdychając cuchnący powiew od Tybru. Przez całe lato nie spadła ani kropla deszczu. Nad brzegami rzeki unosiły się chmary komarów.

Kiedy wpuścili nas do środka, ojciec poprosił o spotkanie z sędzią. Wcisnął monetę do dłoni woźnego. „Bardzo proszę, zanim zbierze się sąd”. Woźny wyszedł, nie zmieniając wyrazu twarzy.

— Teraz zobaczysz, jak się załatwia takie sprawy — oznajmił ojciec.

Chodził tam i z powrotem. Działał mi na nerwy. Wkrótce powrócił woźny i wskazał mu korytarz. Chciałam iść za nimi, ale strażnik zastąpił mi drogę i kazał iść do sali sądowej, gdzie wpuszczano już ludzi. Usiadłam na tym samym miejscu co zwykle.

Pierwszy wszedł notariusz, taki sztywny i zimny, że aż mdliło na jego widok. Z kamiennym wyrazem twarzy zaczął ostrzyć pióra. Potem wprowadzono Agostina, zaraz jednak wyprowadzono go z powrotem. Później wezwano też notariusza. Gwar w sali posiedzeń wzrastał się, ludzie zaczęli głośno snuć przypuszczenia co do wyniku procesu. Próbowałam nie słuchać tego, co mówią.

Tylko Porzia i Giovanni Stiattesi siedzący w pierwszym rzędzie milczeli. Porzia kiwnęła głową w moją stronę, by dodać mi odwagi. Giovanni nerwowo skubał liszaj na wardze. Zeznawał parę tygodni wcześniej i wyjawiał wszystko, czego ja dowiedziałam się od siostry Agostina. Agostino wyparł się i powiedział, że jego żona znikła w tajemniczy sposób. Porzia potwierdziła zeznania Giovanniego. Proces trwał dalej, pojawiali się kolejni świadkowie: sąsiedzi, pomocnik ojca, który przygotowywał mu grunt pod freski, aptekarz, od którego kupowaliśmy pigmenty, a także kilku przyjaciół Agostina — wszyscy oni twierdzili, że mnie posiadli. Musiałam kolejno zaprzeczać ich zeznaniom, demaskować jedno kłamstwo za drugim. Chodziło o to, żeby przedmiotem rozprawy stała się moja rozwiązłość, a nie postępek Agostina. Publiczność radowała się przedstawieniem rozgrywającym się na jej oczach.

Koło mojego ucha brzęczał komar, nie mogłam go odpędzić. W sali było duszno od ludzkich wyziewów, a drewniane krzesło, na którym siedziałam, wydawało się twardsze niż kiedykolwiek. Ktoś z tyłu krzyknął, domagając się

rozpoczęcia posiedzenia. Inne głosy przyłączyły się do niego.

— Winny! Na szubienicę z nim! — krzyknął ktoś.

— Powiesić tę kurwę! — zagrzemiał inny głos.

— Powiesić oboje!

Cała sala ryknęła śmiechem. Poczułam falę gorąca i zrobiło mi się słabo.

Drzwi otwarły się, do sali wkroczył woźny, za nim *lo-cumtenete*, ojciec, Agostino i notariusz. W sądzie zapadła cisza. Poczułam, że moja koszula wilgotnieje od potu. Cała zeszywniała słuchałam słów sędziego.

— Sąd ogłasza wyrok w sprawie Agostina Tassiego, uwięzionego w Corte Sávella z oskarżenia Orazia Gentileschiego, malarza. Sąd uznaje stawiane oskarżonemu zarzuty wielokrotnego zgwałcenia Artemizji Gentileschi. Ponieważ jednak skradziony obraz został zwrócony skarżącemu, za jego zgodą, oraz biorąc pod uwagę, że oskarżony spędził już osiem miesięcy w areszcie podczas śledztwa, więźniowi udziela się wybaczenia. Sprawa zostaje zamknięta.

Ogłuszające krzyki widowni. Nie potrafiłam określić — uznania czy sprzeciwu.

— Niemniej — *locumtenente* podniósł głos — biorąc pod uwagę, że oskarżony nakłaniał świadków, by składali fałszywe zeznania, oskarżony Agostino Tassi skazany zostaje na wygnanie z Rzymu.

Udziela się wybaczenia? Czyżbym źle usłyszała słowa sędziego, zagłuszone przez wrzask publiczności? Byłam wstrząśnięta. Za zgodą skarżącego... Czyżby ojciec wycofał oskarżenie, ponieważ zwrócono mu obraz? Czyżby wyraził zgodę na uniewinnienie Agostina? Kiedy to pojęłam, krew uderzyła mi do głowy i ogarnęła mnie wściekłość.

Spojrzałam na tego człowieka, który był moim ojcem. Miałam nadzieję, że nigdy nie zapomni tego spojrzenia. Zrozumiałam, że nie ma sumienia, honoru, że nie obchodzi go nikt poza nim samym. Nigdy już nie nazwę go moim ojcem. Nigdy już nie usłyszy ode mnie tego słowa.

Na wpół przytomna wstałam i zaczęłam przedzierać się przez tłum do wyjścia. Ktoś nastąpił na rąbek mojej spódnicy, wyszarpnęłam ją. Kiedy wydostałam się na zewnątrz, światło słońca oślepiło mnie. Ruszyłam przed siebie, w kierunku przeciwnym do domu. Przemierzałam nieznanymi ulicami. Wciąż słyszałam słowa sędziego: „Więźniowi udziela się wybaczenia”. Powietrze drżało od gorąca. Minęłam Forum i Palatyn. „Uniewinniony”. Wolny.

Kara wygnania to istna kpina. Wystarczy przecież, żeby kardynał Borghese oświadczył, że jego plafon nie został ukończony. Agostino będzie mógł się schronić w siedzibie kardynała. Jakież znaczenie miała kara wygnania w mieście, w którym rządzi papież? Wszystkie te upokorzenia na nic. Sąd uznał, że zostałam zgwałcona. Co z tego, skoro gwałciciel został uniewinniony. Nie padło stwierdzenie, że ja jestem niewinna, nie było żadnego zadośćuczynienia. Oficjalnie wciąż byłam kobietą zhańbioną. A ja wyobrażałam sobie, że wyjdę z sądu niepokalana jak Matka Boska!

Wciąż szłam bezmyślnie przed siebie, dotarłam aż do południowego krańca miasta. Wyszłam przez łuk Porta Appia na otwartą przestrzeń. Metaliczne brzęczenie cykad drażniło mnie. Patrzyłam na opuszczone domy. Stiukowe płyty odpadły, ukazując cegły i kamienie. Na wpół zawalone ściany, zapadnięte grobowce porośnięte zawilcami, chabrami i pomarańczowymi makami. Same ruiny; w każdym kamieniu kiedyś było życie, które teraz umarło.

Siadłam na murku w cieniu wysokiej sosny. Próbowa-

lam rozprostować obolałe plecy. Na horyzoncie zobaczyłam czarne, burzowe chmury. Chciałam, żeby przyniosły wielki deszcz, który splucze wszystko — mnie, ojca, Agostina, Tor di Nona i cały Rzym. Spostrzegłam gładki, biały kamień pokryty warstwą pyłu, spod którego połyskiwała żyłka miki. Podniosłam go i chciałam rzucić, ale nie wiedziałam w co. Co może jeden kamień przeciwko całemu światu?

Kopnęłam mrowisko i przyglądałam się oszalałej krzątaniu istot bez znaczenia. Setki, tysiące mrówek. Pomyślałam o tysiącach bezimiennych legionistów, którzy kiedyś maszerowali tą drogą na wojnę, padali pod ciosami nieprzyjaciół i leżeli, czekając na śmierć. Nikt o nich nie pamiętał, możni tego świata zajęci byli swoimi sprawami. Byli istotami bez znaczenia. Całe armie umierały jak mrówki, mrówki ginęły jak armie. Poczułam, jak żalosa jest moja rozpacz. Zdarzały się już większe nieszczęścia niż moje życie, zdarzały się też mniejsze.

Przypomniałam sobie legendę, którą opowiedziała mi siostra Graziella. Gdzieś na via Appia święty Piotr, uciekając z Rzymu, spotkał Chrystusa i spytał go: *Domine, quo vadis?* Chrystus odpowiedział: „Idę do Rzymu, aby ukrzyżowano mnie po raz wtóry”. Zawstydzony Piotr zawrócił, by ruszyć na spotkanie swemu męczeństwu. To mogło zdarzyć się nawet tutaj. Zrozumiałam, że ja też muszę wrócić. Zamknęłam oczy i oddychałam głęboko, czekając, aż nowo odkryta prawda zadomowi się w moim sercu, aż pojmę całą istotą, że nie wolno mi się poddać.

Graziella powiedziała kiedyś, że Rzym dowie się o mojej niewinności wtedy, gdy mój obraz *Zuzanna i starcy* stanie się sławny. Być może nigdy do tego nie dojdzie. Splunęłam na kamienie, by oczyścić usta z kurzu, i ruszyłam w drogę



powrotną, szukając śladów stóp świętego Piotra na pokrytych pyłem brukowcach.

Nie poszłam jednak do domu, tylko do Santa Trinita. Graziella pielila grządki w ziołowym ogrodzie na tyłach klasztoru. Pochyliłam się, żeby jej pomóc, chociaż nie bardzo wiedziałam, które rośliny są chwastami. Jej pogoda ducha pomogła mi się uspokoić. W końcu zadałam pytanie:

— Jaki los spotkał starców w historii o Zuzannie? Po tym, jak Zuzanna oparła się im, a oni rozpowszechnili fałszywą wieść o jej cudzołóstwie?

— Została przywiedziona przed sąd i skazana, ponieważ starcy twierdzili, że widzieli, jak cudzołoży z pewnym młodzieńcem w ogrodzie. — Graziella usiadła na niskiej drewnianej skrzyni i otrzepała ziemię z rąk. — Została skazana na śmierć, ale w ostatniej chwili Daniel przesłuchał obu starców, pytając każdego z nich osobno, pod jakim to drzewem w ogrodzie popełniła cudzołóstwo. Jeden ze starców powiedział, że pod dębem, drugi zaś, że pod lentyszkciem. W ten sposób Daniel dowiedział, że co najmniej jeden z nich kłamał. Obaj zostali skazani na śmierć za fałszywe zeznania.

— A więc Zuzanna została ocalona?

— Tak. — Graziella rzuciła wyrwane chwasty na stertę i opłukałyśmy ręce w kamiennym zbiorniku na wodę. — A co tobie się przydarzyło?

— Nie było żadnego Daniela. Muszę czekać, aż moja Zuzanna stanie się sławna.

Westchnęła cichutko, a jej ciemne brwi zbliżyły się nieco do siebie. Zacisnęła usta, a jej podbródek wysunął się spod welonu bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Szłyśmy w milczeniu, ze spuszczonej głowami zamyślane.

W tamtej chwili wiedziałam, że czuję powołanie. Mogłabym już nie wracać. Graziella powiedziałaaby siostrze Paoli i obie wzniosłyby pieśń dziękczynną. Uśmiechnęłam się w duchu na myśl o ich radości. Tylko że malowanie roślinnych splotów na marginesach książek do modlitwy — gdzie nie ma miejsca na własną interpretację, na napięcie i dramat — to nie zajęcie dla mnie.

Kiedy wielki dzwon ogłosił nieszpory, Graziella przystanąła i wyprostowała się. Zaciskała dłoń na krucyfiksie zwisającym u jej rózkańca.

— Z bólem myślę o tym, że nie będziesz mnie odwiedzać, ale być może będziesz musiała opuścić Rzym. Jeśli tak się stanie, nie mów sobie, że zostałam wygnana z tego miasta. Opuść Rzym, gdyż miasto stało się zbyt ciasne dla twojego geniuszu.

— Proszę. — Wcisnęłam do jej dłoni ściskającej krucyfiks kamień. — Znalazłam go na via Appia. Być może leżał tam od czasów, kiedy Piotr zobaczył Chrystusa. Jest wystarczająco gładki, by wygładzać nim złocenia na kartach psalterza dla kardynała.

Stałyśmy w zacienionej sieni i obejmowałyśmy się przez długą chwilę.

Poszłam prosto do domu.

— Nie mogę mieszkać w twoim domu — powiedziałam już w drzwiach.

— Artemizjo, gdzieś ty była? Niepokoilem się o ciebie. Nie możesz tak sama chodzić po mieście.

— Jakie to ma znaczenie, skoro moje imię jest i tak zszargane? Obraz wisiał już na ścianie. Ojciec siedział naprzeciw

niego i pił wino. Stopy obute w aksamitne kapcie wsparł o miękki podnózek mojej mamy.

— Nie mogę mieszkać w twoim domu, jak gdyby nic się nie wydarzyło... tylko dlatego, że obrazek powrócił na ścianę szczęśliwego domostwa. Zdradziłeś mnie! Ty, mój ojciec. Pozbawiłeś mnie jakiegokolwiek szansy na odzyskanie dobrego imienia.

Zmarszczył gniewnie brwi.

— Nie. Ja...

— Obraz okazał się dla ciebie ważniejszy niż mój honor. Dla ciebie jestem osobą bez znaczenia!

— To nieprawda. — Jego ręka drżała. Trochę wina rozlało się na stół.

— Teraz Agostino jest wolny. Jak mogę mieszkać w tym domu, skoro każdego dnia będziesz wychodził stąd i malował razem z nim freski dla jakiegoś kardynała, który stawia się ponad wyrokami sądów?

— Przecież chciałaś, żeby to się skończyło.

— To się nigdy nie skończy. Agostino został uniewinniony. Moja hańba nie została zmaszana. Nie mogę tu pozostać, nie mogę nawet zostać w Rzymie.

— W swoim czasie, Artemizjo...

— Myślisz, że mam ochotę codziennie spotykać sąsiadów i sklepikarzy? Przecież oni wierzą tym wszystkim kłamstwom wypowiedzianym w sądzie! Czy przez całe życie mam być celem dla zawartości nocnych naczyń opróżnianych przez okno?

Chciał dotknąć mego ramienia, ale wyrwałam mu się.

— Masz czas do namysłu, dopóki nie skończy nam się żywność. Nie myśl sobie, że będę wystawiać się na kpinki

i obelgi za każdym razem, kiedy będę szła do sklepu po jedzenie dla kochanego tatusia.

— Artemizjo, nie bądź dzieckiem. To wkrótce minie.

— To się nigdy nie skończy, jeśli nie zrobisz czegoś w tej sprawie — oświadczyłam, nie spuszczać z niego oczu. — Musisz to jakoś naprawić.

Wyglądał na zdenerwowanego; patrząc na wyciągnięte przed siebie ręce położone na stole, powiedział:

— Dobrze... spróbuję coś załatwić.

## SIOSTRA GRAZIELLA

Pietro Antonio di Yincenzo Stiattesi, brat Giovanniego Stiattesiego, który przybył z Florencji, przeliczył skrzętnie składające się na mój posag monety rozłożone na stole w pewnej tawernie. Znajdowaliśmy się w Borgo, po drugiej stronie Tybru; ojciec spodziewał się, że w tej dzielnicy nikt nas nie zna. Czułam się jak koza, o którą targują się dwaj przekupnie. Ten obcy człowiek, który wkrótce miał zostać moim mężem, nawet na mnie nie spojrział. Za to ja, stojąc w kącie pomieszczenia, mogłam mu się przyglądać do woli. Miał zniszczone getry, a sznurówki sącza u jego pludrów były ze skóry, nie z jedwabiu. Nigdy nie widziałam takiego sącza na własne oczy, widywałam je tylko na obrazach. Były już całkowicie niemodne. Dlaczego nosił coś takiego? Jeżeli ten ślubny strój był jego najlepszym ubraniem, to nietrudno było zgadnąć, czemu ojcu tak łatwo udało się doprowadzić do zawarcia kontraktu ślubnego. Chodziło o posag.

Ojciec zaciągnął pożyczkę ze specjalnego funduszu — tak przynajmniej powiedział — pożyczył też pieniądze od kogoś jeszcze. Nie chciał powiedzieć od kogo. Przecież powiedziałby mi, gdyby chodziło o kogokolwiek innego. Czując, jakby lód płynął w moich żyłach, zdałam sobie sprawę, że pieniądze na posag uzyskał podczas negocjacji za zamkniętymi drzwiami — kiedy ja i rzymski

motłoch czekaliśmy na wyrok sądu. Robiło mi się niedobrze na myśl, że wyjdę za mąż dzięki pieniądzom Agostina.

— Mój brat będzie dla ciebie dobry. Jest malarzem — szepnął Giovanni, który stał obok mnie.

— Nie dostrzegam szczególnych oznak dobroci — odparłam również szeptem, a potem zrobiło mi się wstyd. Przecież powinnam być wdzięczna.

Brat Giovanniego zgarnął monety ze stołu do kiesy i wtedy wreszcie spojrzął na mnie. Miał niebrzydłą twarz, trochę ospowatą, bardziej pociągłą niż oblicze Giovanniego, i głęboko osadzone czarne oczy. Spodobały mi się jego ciemne loki. Niewielkie, ruchliwe usta. Być może w ciągu czekających nas wspólnie przeżytych lat nauczę się czerpać z nich rozkosz. Poczułam jakby ulgę: niektóre z niechcianych córek wydawano za ludzi okaleczonych lub starych i zniedołężniałych wdowców. Uśmiechnął się do mnie, a ja od razu uśmiechnęłam się do niego. Przez chwilę poczułam się pewniej. Czy możliwa jest miłość w takim małżeństwie?

Pomyślałam o mojej *cassone*, skrzyni z wyprawą; była już zapakowana i czekała na podróż. Ojciec podarował mi swój młotek do nabijania płócien na blejtramy i powiedział mi, żebym wybrała sobie coś z rzeczy po mamie. Zdecydowałam się na żółto-niebieski fajansowy dzbanek i miseczkę do toalety, i zapinkę do włosów z heliotropów oprawnych w złoto z perełkami, onyksową buteleczkę na perfumy, szkatułkę na drobiazgi z rzeźbionego drewna — ojciec miał drugą taką samą — oraz mosiężną lampkę oliwną w kształcie figurki Diany, którą Grecy nazywali Artemidą i czcili jako boginię czystości. Potem wzięłam jeszcze sztylet matki. Zawsze trzymała go pod łóżkiem dla

obrony, kiedy ojciec wracał późno w nocy. Nie wiedziałam przecież, jakim człowiekiem jest ten Piętro Antonio.

Rok wcześniej, kiedy myślałam, że poślubię Agostina, namalowałam na skrzyni scenę wesela — ale żadnego wesela nie będzie. *Impahnamento*, czyli msza ślubna, oraz *nozze* odbyć się miały tego samego dnia. Nie będzie przyjęcia z koszami jabłek, kapłonami w białym sosie... Nie będzie tortów ani marcepanu, nie będzie wina i toastów na naszą cześć, żadnej muzyki i tańców, nie będzie uradowanych przyjaciół przynoszących przysmaki i składających nam życzenia, nie będzie śmiechów, docinków i komplementów. Nikt nie będzie zaganiał nas do łożnicy, a potem wypytywał rano — by usłyszeć rzecz jasna, że było jak w raju. Nic z tych rzeczy. W południe mój los będzie przypieczętowany — i tyle. Wiedziałam, że zdążę, jeśli pojedę powozem. Chwyciłam płaszcz i pobiegłam do drzwi.

— Spotkamy się w Santo Spirito.

— Artemizjo, dokąd idziesz? Nie możesz teraz odejść — powiedział ojciec, ale ja byłam już za drzwiami.

— Do klasztoru Santa Trinita — rzuciłam woźnicy.

Z szarych chmur kapiała zimna mżawka. Czekałam przed bramą klasztoru. Parka turkawek skakała po schodach, gruchając miękko. To było śliczne: dziobały tu i tam, fruwały w różne strony, ale zawsze trzymały się razem.

Paola otworzyła bramę.

— Czy mogę spotkać się z siostrą Graziellą? — zapytałam. — To pilne.

— jest w kościele.

— Modli się?

— Nie. Sprząta. Chodź ze mną.

Weszliśmy do kościoła przez boczne drzwi w pobliżu

ołtarza. Wewnątrz było chłodno, cicho, panowała atmosfera oczekiwania. Graziella szorowała kamienną podłogę za ołtarzem.

— Można powiedzieć, że całe życie spędzasz na kolanach — powiedziałam.

— Artemizjo, przestraszyłaś mnie. Myślałam, że nikogo tu nie ma.

— Musisz wyszorować całą podłogę?

— Tylko do balustrady. Praca i pokora idą ze sobą w parze, jak ci wiadomo. — Odsunęła wiadro na bok.

— Przyszłam, żeby ci powiedzieć: mój ojciec zorganizował mi małżeństwo.

— Tak właśnie powinien zrobić. Co wiesz o przyszłym mężu?

— Tyle tylko, że jest malarzem. Pochodzi z Florencji.

— Wyjedziesz z nim?

— Tak, już dzisiaj. Czekają już na mnie w Santo Spirito.

— Im prędzej, tym lepiej.

— Myślałam, że tego chcę, ale teraz się boję. Opuściły mnie wszystkie pragnienia, nie odczuwam już pożądania.

— To minie. Pożądanie nie odchodzi na zawsze.

— Ale jak mogę... nie pragnę nawet, by ktoś mnie dotykał.

— Dopóki trwać będziesz w cierpieniu, twoje życie będzie nędzne i pełne goryczy. Pozostaw je w Rzymie.

Czułam się niezręcznie, stojąc, podczas gdy ona klęczała, więc przykucnęłam przy stopniach do zakrystii.

— Mogę cię o coś zapytać?

— Wiesz przecież, że możesz mnie pytać o wszystko. Tylko mów ciszej, ktoś może tu wejść.

— Co miałaś na myśli, mówiąc, że czułaś się opuszczona przez Boga i człowieka?



Wytarła mokry skrawek podłogi ścierką i cofnęła się, żeby zacząć szorować kolejny jej fragment.

— Byłam kiedyś mężatką, ale mój mąż umarł.

— Nie wiedziałam. Przykro mi.

— Zgodnie z prawem dom, w którym mieszkaliśmy, został przejęty przez brata mojego męża czterdzieści dni po jego śmierci, a więc musiałam go opuścić. Kiedy powróciłam do domu rodzinnego, mój ojciec powiedział, że nie ma pieniędzy na moje utrzymanie. — Szorowała podłogę coraz bardziej zapamiętałe. — Próbował znaleźć dla mnie jakiegoś wdowca, ale nie udało mu się — ściszyła głos — ponieważ nie byłam dziewicą.

— I co zrobiłaś?

— Nie domyślasz się? Nie nadawałam się dla żadnego mężczyzny, a więc *zostałam* oddana Bogu. — Wciąż na kolanach, szorowała zawzięcie i przemawiała do podłogi oraz szczotki. — Sprzedałam po kolei wszystkie rzeczy, aby zbierać na wiano dla klasztoru. Wszystkie ubrania, trochę cennych naczyń i szkła, srebrne łyżki i noże, garnki, pościel, cynowe kubki, biżuterię i pewien obraz, który bardzo lubiłam. — Uniosła głowę i usiadła na piętach. — Przedstawiał Wenus i Adonisa w ogrodzie. Nie namalował go żaden znany malarz, ale brakuje mi go. Prosiłam mojego ojca, żeby użył tych pieniędzy na moje utrzymanie. On stwierdził jednak, że nie wystarczy to do końca mojego życia. A więc, kiedy nie było już nic do sprzedania, wstąpiłam do klasztoru jako postulanka.

— Ale mówiłaś kiedyś, że nie powinno się wstępować do klasztoru, jeśli się nie czuje powołania.

— Tak, bo to prawda. Ale nie powiedziałam ci, w jaki sposób się o tym przekonałam.

— Ach, tak. — To wiele zmieniało. ~ Mielicie dzieci?

— Nie. Byliśmy małżeństwem tylko przez pięćset dwadzieścia sześć dni.

— Jak to się stało, że umarł tak młodo?

— Chcesz, żebym ci wszystko opowiedziała? Więc dobrze, niech to będzie dla ciebie lekcją.

Wzięła wiadro, szczotkę i szmaty i podeszła do stopni zakrystii. Siadła na nich i dała mi znak, żebym usiadła obok niej. Zdziwiłam się, ponieważ było to niedozwolone. Poczułam przez spódnicę chłód kamienia.

Widziałam, jak jej oliwkowoszare oczy z bursztynowymi plamkami stają się głębsze, jak gdyby widziała na nowo to, co wydarzyło się dawno temu.

— Kochałam męża i w jego obecności czułam się jak w niebie. On zaś miał kochankę. Nawet teraz wolę myśleć, że poznał ją kiedyś wcześniej, zanim pojął mnie za żonę, ale nie wiem, czy tak było. Ja istniałam tylko wtedy, kiedy on był przy mnie, cała reszta mojego życia była czekaniem na kolejne dobre słowo od niego.

— Czy przestałaś go kochać, kiedy się dowiedziałas?

— Nie. Jeżeli kogoś się kocha naprawdę, nie przestaje się kochać, nawet kiedy się wie. Wszystko... jedzenie, spanie, wstawanie rano, spoglądanie na deszcz... wszystko okrywa się cieniem, ponieważ już wiesz. Dalej chodziliśmy na spacer, nadal kochaliśmy się w nocy, ale wszystko stało się mroczne poprzez to, czego nie można było wypowiedzieć na głos.

— I co się stało?

Graziella wykręciła moką ścierkę, krople brudnej wody kapały do wiadra. Ścisnęła szmatę z siłą, jakiej nie spodziewałam się po niej.

— Mąż jego kochanki również się dowiedział i zabił go. Ciało wrzucił do Tybru, gdzie powinni skończyć wszyscy

tacy jak on. — Wpatrywała się w szarą pianę na wodzie. — Strata tak wielka jak Egipt — wyszeptała.

— Nie miałam pojęcia. Wydajesz się taka... spokojna.

— Można do tego dojść po jakimś czasie. — Graziella wstała i podniosła wiadro. — Zaraz wrócę. Czekaj na mnie w trzeciej kaplicy po prawej stronie. — Wskazała ręką. — Przyjrzyj się freskowi Voltery przedstawiającemu wniebowzięcie Matki Boskiej. Dowiedziałam się niedawno, że postać w długim czerwonym *Jucco* stojąca po prawej stronie to Michał Anioł.

A więc była mężatka, myślałam, idąc wzdłuż nawy. Poznałam ją w wieku dwunastu lat, ale nigdy się tego nawet nie domyślałam. Nic dziwnego, że różniła się od innych mniszek.

Zajrzałam przez drewnianą kratę do trzeciej kaplicy i odnalazłam postać w długiej czerwonej szacie zwisającej " aż do ziemi. Miał siwe włosy, siwą brodę i bystre brązowe oczy. „Michał Anioł” — szepnęłam. W przeciwieństwie do innych postaci, jego twarz nie wyrażała zdziwienia na widok Matki Boskiej odzianej w błękity i unoszonej do Nieba. Patrzył na mnie z wyrazem czulej troski, patrzył w głąb mojej duszy, tak jakby błogosławił mnie w jakiś sposób. Teraz miałam wybrać się do jego miasta, miałam tam mieszkać i uczyć się, oglądać jego dzieła. Widziałam jego rękę pokaleczoną dłutem. Poczułam, jak w moim sercu wzbiera miłość do tych rąk. Nawet dłoni pokryta bliznami może dokonywać wielkich rzeczy; ośmieliłam się pomyśleć, że mamy ze sobą coś wspólnego, że coś nas łączy. Nikt nigdy się o tym nie dowie, ale jeśli Bóg tego zechce, może pobłogosławić związek dwóch dusz.

Po chwili przysła Graziella.

— Siostra Paola chce się z tobą pożegnać. Mamy tylko

chwile. — Siegnęła głęboko do rękawa i wyciągnęła z niego muślinowy woreczek. Rozwiązała sznurek, a na jej otwartą dłoń wysypały się dwa złote kolczyki. W każdy z nich wprawiona była duża, kremowa *perła barocca*, o lśniącej nieregularnej powierzchni przypominającej wnętrze orzecha włoskiego. — Niedoskonale. Tak jak ludzie — wyszeptała. — Wiem, że to marność. Powinnam była je sprzedać wraz z resztą moich rzeczy, aby powiększyć moje wiano klasztorne. Dostałam je od Marcella w dniu ślubu.

— Jak ci się udało je przechować przez te wszystkie lata? Zaśmiała się *cicho*.

— Dziewięć lat. To nie było łatwe. Zaszyłam je w bieleńcu. Kiedyś jednak musiałam je schować do buta. — Uniosła jeden z kolczyków. — Wyrzekłam się piękna świata oprócz tego...

— Świat zaklęty w perle — powiedziałam. Myślałam o tym, jak perła rośnie wewnątrz ostrygi, by

chronić ją od drażniącego ziarnka piasku — tak samo jak nieskończenie powoli w Grazielli narastał spokój, rok po roku łagodząc cierpienie, które nigdy jednak nie mogło odejść w niepamięć.

Położyła jeden z kolczyków na mojej ręce. Był ciepły od ciepła jej dłoni.

— Wystarczy mi jeden — powiedziała. — Ten drugi możesz przypiąć sobie do sukni.

— Nie, Graziello. Nie mogę tego przyjąć.

— Ależ możesz. Na pamiątkę — wyszeptała. — Nie oddawaj się nigdy bez reszty ludziom ani Bogu. Nie daj się zwieść. Nie możesz sobie pozwolić na to, by żyć złudzeniami. To ważne dla twego szczęścia i dla twojej sztuki. Jeśli chodzi o twą duszę, zdaj się na mnie. Mam wiele godzin na modlitwę, nie chcę się modlić tylko o własne

zbawienie. — Zamknęła moją dłoń wokół kolczyka. — Masz przed sobą wiele pracy.

— Tak, to prawda.

— Schowaj to teraz pod gorsetem i pamiętaj, że cała prawda o życiu nie została zapisana w Piśmie. Znajdziesz ją w więzach krwi, opowieściach, powiedzeniach, niedopowiedzeniach, ukradkowych spojrzeniach, potajemnych ugodach i gorących, zaciśniętych dłoniach. Kiedy nauczysz się ją rozpoznawać, życie stanie się łatwiejsze, zaczniesz obfitować w nowe możliwości. Bądź mądra, Artemizjo. Bądź uważna. Patrz ludziom prosto w twarz i nie okazuj lęku.

Patrzyłam w jej twarz, powtarzałam sobie jej słowa w myśli. Wiedziałam, że są ważne; rozbrzmiewały w moim umyśle jak dzwony i wiedziałam też, że ich echo słyszeć będę jeszcze przez wiele lat.

Siostra Paola wbiegła do kościoła, szybko przebierając krótkimi nóżkami; palce przyciskała do policzków. Na jej twarzy malowała się radość.

— Artemizjo! Bałam się o ciebie, tęskniłam za tobą. Siostra Graziella powiedziała mi! Jestem taka szczęśliwa, jakbym dotknęła Nieba palcem.

— Przykro mi, że cię rozczarowałam, siostrze Paolo — zażartowałam.

— Mówiłam ci, że my wierzymy w cuda.

— To cud, że wychodzę za mąż?

— To cud, że masz okazję pojechać do światowej stolicy sztuki. Cóż może być lepszego dla ciebie?

— To miło, że tak mówisz.

Odprowadziły mnie do bramy i siostra Paola uczyniła ciepłym palcem znak krzyża na moim czole. Jej twarz cherubinka zdawała się jeszcze okrąglejsza, gdy malował

się na niej wyraz szczęścia... Graziella ujęła mnie za ramiona i dotknęła czołem mojego czoła. Stałyśmy tak przez chwilę, nasze głowy stykały się, nasze serca były obok siebie.

— I w ten sposób — powiedziała siostra Paola — twoja głowa choć przez chwilę dotknie welonu. — Zaśmiała się smutno. — Pamiętaj o nas, *tesoro* — dodała.

— Na zawsze przy moim sercu. — Dotknęłam piersi tam, gdzie ukryłam perłę.

Graziella nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

Otworzyłam ciężką bramę. Zaczęło padać, naciągnęłam kaptur na głowę. Kiedy brama zamykała się, usłyszałam jeszcze cichy głos Grazielli:

— Pisz do nas i opowiedz, jak tam wszystko wygląda. Ruszyłam w dół.

Siostra Graziella wciąż tęskniła za światem. Po dziewięciu latach. Kiedy się dowiedziała, że jej mąż miał kochankę? Jakie to ukradkowe spojrzenie sprawiło, że zrozumiała? Jak wyglądała ta straszna chwila, kiedy nagle poskładała części układanki: dziwne zachowania, wymijające odpowiedzi, przelotne spojrzenie, zapomniany liścik? Czy patrzyła mu prosto w twarz? Czy pierwszy posiłek potem, jak zrozumiała, co się dzieje, przygotowała równie troskliwie, jak wszystkie poprzednie? Czy on uwielbiał połysk jej włosów i czy płakała, kiedy siostry je obcinały? Czy mnie również czekają tak bolesne rozstania? Czy jeśli pamiętać będę jej słowa i będę dość uważna, zostaną mi oszczędzone — czy oszczędzone mi będzie życie w kontemplacji i poświęceniu pośród nieustających aktów pokory?

Przez całą drogę do kościoła trzymałam podarunek Grazielli zaciśnięty w dłoni — jak bezcenną relikwię.

## PIĘTRO

Powóz przejechał z turkotem, przez most Świętego Anioła, gdzie szpaler osiemnastu szubienic wiódł do fortecy i więzienia. Kiedy zaczął się proces, miałam osiemnaście lat. Teraz właśnie skończyłam dziewiętnaście. Zawinęłam kolczyk w chusteczkę i schowałam pod obiciem mojej skrzyni z wyprawą. Ojciec przechadzał się nerwowo przed kościołem.

— Gdzieżeś ty była? — spytał.

— Poszłam pożegnać się z siostrami. Wszystko w porządku. Przecież się nie spóźniłam.

Zdjęłam płaszcz i dałam go Porzii do trzymania. Ojciec ujął mnie mocno pod ramię i ruszyliśmy przez mroczną nawę do małej bocznej kapliczki oświetlonej czterema świecami.

Podczas mszy czułam się tak, jakbym była tylko widzem przyglądającym się z zewnątrz jakiejś jarmarcznej ceremonii. Nagle poczułam, że tęsknię za matką, za jej delikatną dłonią gładzącą mnie po włosach, za jej smutnymi piosenkami. Na pewno uspokoiłaby ją myśl o tym, że wyszłam za męża. Porzia uśmiechała się do mnie, żeby dodać mi odwagi, a ja starałam się utrzymać na twarzy stosowny wyraz radości, szczęścia i wdzięczności. Jednak w kamiennym kościele było tak zimno, że nie mogłam powstrzymać drżenia.

Łacińskie słowa wypowiedane przez księdza przelatywały obok *mnie* w mgławicy niskich dźwięków i miałam odczucie, że to wszystko dzieje się ukradkiem. Powtarzałam ślubowania i próbowałam myśleć o wypowiedanych słowach, ale kiedy ksiądz powiedział „aż po kres moich dni”, uświadomiłam sobie, że przecież Graziella wymówiła kiedyś te same słowa. Trudno mi było je powtórzyć. Patrzyłam wtedy prosto w twarz Pierantonio, tak jak mówiła Graziella. Był poważny, ale nie miał w sobie delikatności Michała Anioła odzianego w czerwone *lucco* i zagląającego w głębię mojej duszy.

Kiedy było już po wszystkim, Porzia zarzuciła mi płaszcz na ramiona.

— Będzie mi ciebie brakować — powiedziała cicho.

— Czuję się tak, jakby moje dotychczasowe życie skończyło się raz na zawsze — wyszeptałam.

— Teraz zaczyna się dla ciebie nowe życie. Nie martw się. Pierantonio to dobry człowiek — odparła również szeptem.

— W Bogu nadzieja.

Krople deszczu kapały mi za kołnierz, ale wciąż nie mogłam się zdecydować, by wsiąść do powozu, na którym znajdowała się już skrzynia z wyprawą. Ojciec zniecierpliwionym ruchem uniósł rękę. A ja po prostu czekałam na jakiś czuły gest z jego strony.

— Wsiadaj, wsiadaj — powiedział i wsunął do mojej dłoni mały niebieski woreczek. Było w nim coś ciężkiego.

Schowałam go w fałdach spódnicy i wsiadłam do powozu. Zobaczyłam zmarszczki wokół jego oczu i zrozumiałam, że to dla niego trudna chwila.



— Napiszę do Michelangela Buonarrotiego Młodszeo o tobie. Pamiętaj, żeby złożyć mu wizytę. — Zatrzasnął drzwiczki powozu i oto ruszyliśmy wraz z Pierantonioem do Florencji. Myślałam z ulgą o tym, że tam przynajmniej wolna będę od hańby.

Mąż i żona. Powtarzałam sobie te słowa, kiedy powóz wyjeżdżał przez Porta del Popolo na via Flaminia. Mogliśmy podziwiać wiejski krajobraz, wozy zaprzęgnięte w woły i kałuże. Miałam męża, poślubionego wobec Boga. *Madonna benedetta*, niech będzie dobry dla mnie. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie w milczeniu. Czy powinnam coś powiedzieć, czy lepiej poczekać, żeby on pierwszy się odezwał? Jego niespokojne spojrzenie wędrowało za okno, więc i ja spoglądałam na krajobraz. Czemu się tak przyglądał? Winnicom mieniającym się wszystkimi odcieniami złota i czerwieni? Gajom migdałowym? Topornym wiejskim chałupom rozmytym w strugach deszczu? Pasącym się owcom? Zachowywał się tak, jakby widoki ważniejsze były od tego, co miał przed sobą. Ode mnie.

— Czemu się przyglądasz?

— Wszystkiemu. Niczemu. Topole straciły już Uście. Będziemy mieli wczesną zimę. Może nawet padać śnieg.

Co za dziwny początek małżeństwa. Zaczynamy od rozmowy o pogodzie.

— Mówią na ciebie Piętro czy Antonio? Wreszcie spojrział na mnie.

— Pierantonio.

— Dosyć długie.

Uśmiechnął się powoli w dziwny sposób, tylko jedną stroną twarzy.

— Artemizja to też nie jest krótkie imię.

— Czy masz coś przeciwko temu, żebym nazywała cię Piętro? Tak mi się bardziej podoba.

— Nazywaj mnie, jak chcesz.

Wiedziałałam, że jak najprędzej trzeba powiedzieć o rzeczach ważniejszych, ciążyło mi to jak kawał żelaza zawieszony na piersi.

— Co wiesz o mnie? — spytałam.

— Wiem, co się zdarzyło.

— Wiesz, co opowiadają na ulicach, czy wiesz, jak było naprawdę? — Czulałam palącą wręcz potrzebę, by opowiedzieć mu całą prawdę. — Jestem niewinna. Owszem, nie jestem dziewicą, ale jestem n i e w i n n a .

Skinął głową, byłam mu za to wdzięczna.

— Ten człowiek, ten Agostino...

— Nie zasługuje, by krew krążyła w jego żyłach. To cham i łajdak.

— Ale miałaś wyjść za niego?

— Wydawało mi się, że tak musi być. Tylko dlatego. Nie dbam o niego ani trochę, za to zależy mi, żeby jedyny człowiek na świecie, który się liczy, wiedział o mojej niewinności.

Wyglądało na to, że jest nieco zmieszany. Znów odwrócił się do okna. Wyprostowałam się. Godność. Pomyślałam, że chcę, by szanował moją godność. Jego usta drgnęły, może zrozumiał. A może to z litości, może nie chciał, żebym dalej mu tłumaczyła. Chyba że to go po prostu wcale nie obchodziło.

— Czy będziemy mieszkać z twoimi rodzicami?

— Nie. Nie żyją.

— Och, przepraszam. — Poczulałam się jak ostatni głupiec. Przecież trzeba było zapytać o to Porzie.

— Podczas zarazy wuj zabrał mnie i Giovanniego za

miasto. To było dwanaście lat temu. Oni musieli zostać. Teraz ja mieszkam w ich domu.

Pomyślałam, że lepiej nie zadawać więcej pytań.

Poczułam głód, ale lękałam się wspomnieć o tym. Nie chciałam zaczynać naszego pożycia małżeńskiego od prośb i żądań. Z przerażeniem zdałam sobie sprawę z tego, jak bardzo kobieta zameżna oddaje się we władzę drugiego człowieka; dotyczy to nawet zjedzenia kawałka chleba. Czy Graziella czuła to samo? A moja matka? Teraz żałowałam, że nie rozmawiałam z nią częściej.

— Giovanni powiedział mi, że jesteś malarzem — powiedziałam po chwili.

— Owszem.

— Ja też. -Ty?

— Byłam pewna, że Giovanni ci powiedział. — Wskazałam na rulony płócien.

— Kiedyś w Bolonii były dwie malarki — przypomniał sobie — malowały kwiaty.

— Ja maluję ludzi. — Na jego nieco ospowatej twarzy zobaczyłam zaniepokojenie. — Chcesz zobaczyć?

Piętro skinął głową. Podniosłam rulon i pozwoliłam mu się rozwinąć. Na wierzchu była *Grająca na lutni*. Przyjrzał się uważnie całemu obrazowi.

— Widać zręczność ręki — stwierdził.

Płótno upadło na podłogę, ukazując moją *Zuzannę*; obraz był zbyt duży, bym mogła rozwinąć go w całości. Nie widać było dolnej części i stopy Zuzanny zanurzonej w wodzie.

— Och... — Otworzył szeroko oczy. Czułam, jak moje serce bije mocniej, szybciej niż podczas mszy ślubnej. — To bardzo dobre. — Chyba był nieco zaskoczony. Przyjrzał się

twarży Zuzanny i zmarszczył brwi. — jest w tym dużo uczucia. To znaczy: jej uczucia. Kiedy to namalowałaś?

— Parą lat temu.

— Przed...

— Tak.

— Byłaś taka młoda. — Zamyślił się na chwile, a potem powiedział: — Są w tym delikatne, bardzo subtelne przejścia kolorów, zwłaszcza w karnacjach. Świetliste jak szkło.

— Chcesz poznać tajemnicę? To werniks zrobiony z żywicy bursztynowej, używanej przez lutników w Wenecji. Kolory wprost lśnią. Jedna część werniksu bursztynowego i trzy części oleju orzechowego albo lnianego. Trzeba mieszać je, lekko podgrzewając, i pokryć werniksem cały obraz po wyschnięciu każdej warstwy. Kolory są stabilniejsze, jeżeli mieszać je z werniksem, schną szybciej. Jeżeli robi się laserunki tylko olejem, farby czasem spływają po płótnie.

Miał pochyloną głowę — na wysokości brzucha Zuzanny -- ale spoglądał w górę, na mnie. Jego twarz była częściowo zaciemniona, co nadawało mu tajemniczy wygląd.

— Gdzie się tego nauczyłaś?

— Od ojca. Dodaje kroplę tego werniksu do każdej farby olejnej, jaka znajduje się na jego palcu. Sama wpadłam na pomysł, żeby wykonywać w ten sposób wszystkie laserunki.

Wydał z siebie dźwięczny, gardłowy dźwięk, który nie był żadnym słowem.

— Zobaczysz. Pędzel przesuwają się gładziej po płótnie i kolory są bardziej świetliste. Teraz i ty znasz tajemnicę. — Uśmiechnęłam się, miałam nadzieję, że kokieteryjnie. — To mój ślubny prezent dla ciebie.

Nie uśmiechnął się. Dał mi znak, żebym pokazała mu trzecie płótno: *Judytę*.

— Jeszcze nie jest skończona — powiedziałam i upuściłam *Zuzannę* na podłogę.

Gwizdnął przeciągle. A potem wykrzywił twarz w uśmiechu.

— Nie jest to obraz, który chciałbym powiesić w naszej sypialni, ale jest znakomity. Trudna kompozycja. — Podobał mi się jego uśmiech pełen zdumienia.

— Nie martw się. Mam nadzieję, że uda mi się go sprzedać.

Przechylił głowę na bok, jakby chciał powiedzieć, że nie przyszło mu do głowy, bym miała zarabiać pieniądze — ale wydawało mi się, że tylko udaje zdziwienie.

— *A może* podaruję go *Kosmie* Medyceuszowi.

— Nie! Tego nie rób.

— Czemu nie?

— Takiego obrazu nie daje się w prezencie.

— *A może?* Oznajmiając mu w ten sposób o przybyciu nowego malarza do jego miasta? Niech powiesi go w swej galerii i niech obraz przypomina mu o mnie...

Chyba nie podobał mu się ten pomysł. Bądź mądra — tak mówiła *Graziella*.

— Nie musimy od razu podejmować decyzji — powiedziałam — nie jest jeszcze skończony. — Zwinęłam płótna. — Chciałabym, żebyś wiedział, że kiedy tylko będę mogła, pragnęłabym sprzedawać obrazy i zarabiać pieniądze.

— Nie mam nic przeciwko temu.

Jechaliśmy aż do zmierzchu i wreszcie zatrzymaliśmy się na noc w oberży. Bolały mnie plecy i ramiona, bo przez wiele godzin siedziałam skurczona od chłodu i wilgoci.

Pomógł mi wsiąść z powozu. Byłam cała zeszywniała od długotrwałego bezruchu. Poczułam ciepło jego dłoni i siłę ręki. Jego dotyk sprawił mi przyjemność — przynajmniej dopóki dotykał tylko mojej ręki.

W oberży było mnóstwo ludzi. Byli to głównie wyrobnicy trudniący się zbiorom oliwek lub pracą w winnicach, furmani, rolnicy i ich rodziny. Woń potu mieszała się z dymem z kominka, zapachem schnącej wełny i gnoju na ich butach. Stałam przy ogniu i rozkoszowałam się ciepłem rozgrzewającym dłonie i wznoszącym się do szyi. Drobiną popiołu wpadła mi do oka. Odwróciłam się. W zamglonym pomieszczeniu zobaczyłam dwójkę piszczących i chichoczących dzieciaków biegnących z psem wokół stołu. Nikt nie zwracał na nie uwagi.

Jakaś młoda kobieta z włosami zawiniętymi w chustkę karmiła dziecko. Obok niej na stercie koców siedziała starucha o ogorzałej twarzy, miała na sobie grube skarpety, ale nie miała butów. Jej zakrzywione palce poruszały się miarowo, jakby wciąż jeszcze wykonując jakąś pracę, choć cała reszta jej jestestwa była całkiem otepiała i obojętna na gwar rozmów i śmiechy dookoła. Migocące płomienie oświetlały tylko prawą stronę twarzy obu kobiet. Ta scena rodzajowa wzruszyła mnie. Poczułam, że jestem już daleko od Rzymu.

Kiedy dziewczka służebna zaczęła nalewać coś chochlą z żelaznego kotła, wcisnęłam się pomiędzy Pietra i jakiegoś innego mężczyznę siedzących na ławce przy stole. Służąca podawała miski, cynowe kubki i gliniane dzbanki z jasnym umbryjskim winem, ludzie podawali je sobie kolejno. Posiłek składał się z króliczego mięsa duszonego z cebulą, białej fasoli i brukwi. Proste, wieśniackie jedzenie, pachnące pietruszką, bazylią i czosnkiem. Piętro jadł szybko,

z pochyloną głową, połykał, prawie nie przeżuając, i popijał obficie winem. *Buono* — powiedział.

Nie potrafiłam tak gotować. Zresztą to by zajęło pół dnia — patroszenie, obdzieranie ze skóry... kiedy miałabym malować? Pomyślałam sobie, że poświęcanie tak wielkiej ilości czasu na przygotowanie jedzenia, które wkrótce ma zniknąć, jest niedorzecznością.

Przypatrywałam się grubo ciosanym, zmęczonym i hałaśliwym wieśniakom. Ich wino rozgrzewało mnie, ich jedzenie dawało poczucie błogiego wypełnienia. Piętro oderwał kawał chleba z bochna.

— Dobry chleb, prawda? — odezwałam się. — Pewnie żona oberżysty wypiekła go z ziarna zebranego przez jej szwagra i zmielonego przez ojca jej męża; pewnie upiekła go dziś rano w kamiennym piecu, w którym paliło się drewno pochodzące z lasu należącego do jej ojca i przywiezionego tu wozem przez jej kuzyna.

Zaśmiał się cicho.

— Skąd wiesz?

— Nie wiem. Wymyśliłam to wszystko.

Krępy mężczyzna bez przednich zębów, który siedział naprzeciwko nas, powiedział:

— Nie myli się tak bardzo. Lepiej słuchaj tego, co ona mówi, młody człowieku.

— Naprawdę powinienem? — Piętro obrócił się w moją stronę z uśmiechem.

— Moja żona powtarza mi to od lat: „Gdyby tylko mężczyźni mieli uszy takie jak osły, którymi są...” A ja jej na to, że tak się stanie dopiero wtedy, kiedy niewiasty milczeć będą jak ryby. Powtarzamy to sobie już od trzydziestu lat. — Zaczerpnął łyżką sosu i wypił go, siorbiąc głośno.

— Trzydzieści lat!

— Minęło jak z bicia strzelił. A jak długo wy jesteście małżeństwem, co?

Piętro i ja popatrzyliśmy na siebie bezmyślnie.

— Cztery czy pięć... — zachichotał — godzin.

— *Ehlf Madonna san ta. Auguri* — Mężczyzna wstał i głośno oznajmił wieść wszystkim zebranym.

— *Auguril* — wykrzyknęli.

Potem jacyś młodzi ludzie krzyczeli coś jeszcze, a następnie wszyscy odśpiewali pieśń o zręcznych paluszkach mleczarki. Pod koniec pieśni jedna z kobiet, tłusta robotnica, zaśmiała się piskliwie, brzmiało to jakby ktoś zarzynał kurczaka. Piętro także się śmiał, ale potem zauważył, że jestem wystraszona, i przestał. Wstał, przełożył nogę przez ławkę i wyciągnął do mnie rękę.

— Chodźmy na górę.

Mężczyźni znów śmiali się i krzyczeli, a ta kobieta, która się śmiała, uścisnęła moją rękę, kiedy wstałam, i pociągnęła mnie ku sobie.

— *Senti, beliezza*, spodoba ci się, jak on już dostanie się do środka. — Znów zachichotała, chyba jeszcze głośniej.

Wyrwałam się jej i ruszyłam prędko w stronę schodów, a wszyscy znów zaczęli się śmiać. Myśleli, że nie mogę się doczekać. Poczułam, że cała czerwienię się na szyi i na policzkach.

Piętro zapalił latarnię od polana. Trzymał ją przed nami, gdy wchodziliśmy po schodach.

— Nie zwracaj na nią uwagi — powiedział. *Santa Maria*, byle tylko nie okazał się brutalem.

W pokoju na górze było zimno, więc rozebrałam się pospiesznie, stojąc przodem do ściany, daleko od latarni. To nie było małżeństwo takie jak inne, ale i tak musiałam spełnić swój obowiązek. Nie mogłam jednak znieść



myśli, że Piętro dotykać mnie będzie tam, gdzie Agosti-no wdarł się przemocą, gdzie zaglądał ciekawski notariusz. Mdlilo mnie na samą myśl. Szybko wsunęłam się pod pierzynę. Zostaw to w Rzymie, przywołałam się do porządku.

Jego pierwsze dotknięcie zaskoczyło mnie, wzdrygnęłam się.

— Wkrótce będzie ci ciepłej.

*Grazie a Dio.* Myślał, że to z zimna.

Jego głos był łagodny. To nie będzie gwałt. Nie użyje siły — chyba że będę się opierać. Daj Boże, żebym się nie opierała. Żebym nie krzyczała.

Objął mnie ręką w talii i przyciągnął do siebie. Wszystkie mięśnie w moim ciele napięte były jak płótno na blejtrami. Poczułam dotyk jego skóry, była zimna. Tak jak moja. Pod tym względem byliśmy do siebie podobni. Czuł ten sam dojmujący wilgotny chłód. To sprawiło, że zapalałam do niego sympatią. Jego ręce musnęły moje udo. Nie potrafiłam się zmusić, by je rozchylić. Spróbuj, powtarzałam sobie. On czekał. Jego dłonie między moimi kolanami nalegały: „otwórz”. Otworzyć. Pomału, powoli. To nie przez niego było tak trudno. To przeze mnie. Poczułam, że się stopniowo rozluźniam. Jego ręka powędrowała wolno ku górze, poczułam dreszcz w środku. Cichy pomruk, żadnych słów. To on czy ja? Nie oparł się na mnie całym ciężarem ciała. Był delikatny. W zaskakującej dla mnie nadziei, że stanę się dla niego kimś cennym, ważnym — położyłam dłonie na jego plecach. Chciałam, żeby nie były zbyt zimne. Ofiarowałam mu swój lęk, a on wziął go, z początku dość łagodnie, potem coraz gwałtowniej, zatracając się w chwilowym szaleństwie, musiałam się opierać jego gwałtownym pchnięciom.

Potem bolało mnie tak bardzo, że aż trudno było wytrzymać, a potem poznałam nowe odczucie: Piętro zapadł w głęboki, ciężki sen. Nie oddalił się ukradkiem. Nie było żadnego pośpiechu, żadnego krzyku. Po prostu bezruch.

*Grazie, Maria.* Nie czułam się ani zawstydzona, ani upokorzona.

## FLORENCJA

Drogę tarasowały wozy wypełnione oliwkami, zaprężone w mlecznobiałe woły przyozdobione kwietnymi wieńcami. Zdawało się, że Piętrowi to nie przeszkadza.

— Lubię ten dźwięk, takie stuk-stuk-stuk... wydawane przez zbieraczy oliwek, odbijające się echem w dolinie — powiedział.

Przez okno powozu widać było siatki rozłożone pod drzewami oliwnymi; w oparach porannej mgły drzewa przypominały duchy.

— Wygląda na to, że wszyscy już wstali i mają coś do roboty — powiedziałam, zadowolona z tego, że rozmawiamy o rzeczach zwykłych, codziennych.

— To ciężka praca, przez całe tygodnie, każdego dnia od świtu do nocy trzeba zadzierać głowę i patrzeć w górę. Giovanni i ja zbieraliśmy kiedyś oliwki w gaju mojego wuja, kiedy byliśmy dziećmi. Strasznie po tym boli kark.

— Pewnie tak samo kark bolał Michała Anioła, kiedy malował sufit w Kaplicy Sykstyńskiej. Albo mojego ojca... maluje teraz plafon dla kardynała Borghese.

— To równie ciężka praca, tylko że oliwki każdego roku trzeba zbierać na nowo.

Cieszyłam się za każdym razem, kiedy udawało mi się wywołać uśmiech na jego twarzy, chociaż wciąż szlachetny

gest, jaki uczynił, biorąc mnie za żonę, zdawał mi się nieco podejrzany. Nie mogłam go przecież o to zapytać tak po prostu. Czy wdzięczność może być zalążkiem miłości?

W drodze jedliśmy salami, chleb, zielone jabłka i świeży *pecorino*, owczy ser zawinięty przez oberżystę w czystą szmatkę. Prosty posiłek, taki na pewno potrafiłabym przygotować.

Ponad rzędem cyprysów dostrzegłam wysmukłą wieżę zwieńczoną zębatą koroną.

— Co jest najpiękniejsze we Florencji? — spytałam, spodziewając się malarskiego opisu kościelnej dzwonnicy, marmurowej rzeźby lub fresku.

Zastanawiał się przez chwilę, odciął kawałek jabłka, nadział go na ostrze noża i podał mi.

— Kobiety.

— Mógłbyś równie dobrze wbić to ostrze w moją pierś — zaśmiałam się cicho, żeby dać mu do zrozumienia, że nie poczułam się urażona, choć tak naprawdę poczułam się nieco dotknięta. W wozie trzęsło, więc bardzo ostrożnie sięgnęłam po owoc, uważając na ostrze.

Zmarszczył brwi, spoglądając na zaczerwienienia u podstaw palców moich dłoni.

— Przykro mi — powiedział, patrząc na blizny. — Giovanni opowiedział mi wszystko.

— Myślisz, że te ślady kiedyś znikną?

— Trudno powiedzieć. — Uśmiechnął się z przekąsem i wskazał nożem na zwinięte płótna. — Jeśli będziesz malować takie obrazy i zarobisz dużo pieniędzy, będziesz mogła zakryć je pierścieniami. Mogłoby też tak się stać, gdybyś poślubiła bogacza.

— Bardziej zależy mi na tym, by mój mąż był dobrym człowiekiem niż bogaczem.

Znów zobaczyłam na jego ustach uśmiech. Wyglądał na nieco speszzonego. Odciał kolejny plasterek jabłka, uniósł go palcami do moich ust.

Dwa dni później po południu chmury rozwiały się i słońce oświetlało kolorem jasnej sieny kamienne łuki i krenelaże Porta Romana, południowej bramy Florencji. Wzdłuż obu stron ulicy stały ugrowe budynki z dachami pokrytymi czerwoną dachówką i okiennicami w kolorze cynamonu lub bazylii. Na myśl o tym, że znalazłam się we Florencji, byłam niemal tak podekscytowana jak Paola!

— To jest Palazzo Pitti — powiedział Piętro z dumą, kiedy mijaliśmy wielki kamienny pałac. Różnił się od budynków, jakie zdarzyło mi się dotąd widzieć: wszystkie trzy piętra miały jednakową wysokość i wyłożone były ciosanym kamieniem w tym samym kolorze. Nadawało to budynkowi wspaniały wygląd, ale nie dodawało mu wdzięku. — Tu mieszka wielki książę Kosma Medyceusz. Wspaniały, prawda?

Skinęłam głową.

— To piękny kolor, taki kremowy. Imponująca siedziba. — Budynek nie imponował dekoracją ani płaskorzeźbami, tylko po prostu powtarzającymi się łukami okien. Wydawał mi się zbyt surowy, ale nie odważyłam się tego powiedzieć. Miło mi było, że Piętro chciał wyrzeć na mnie wrażenie. — Byłeś kiedyś wewnątrz?

— Nie. — Wzruszył ramionami. — Medyceusze już nie są tacy jak kiedyś. Teraz rządzi Kosma Drugi, bardzo się różni od swego wielkiego imiennika.

Przejechaliśmy przez most i znaleźliśmy się w głównej części miasta. Budynki tu były wyższe niż w Rzymie, ulice

szałymi kamieniami. Kołowrót i lina powiedziały mi, co będę robić każdego dnia.

— Mieszkam na trzecim piętrze — powiedział. Mój. Ja. Może kiedyś powie „nasz, my”.

Pewnie tak samo jak w Rzymie, bogatsze rodziny mieszkały na parterze i pierwszym oraz drugim piętrze.

— Na czwartym piętrze mieszka stara kobieta, imieniem Fina. Dotąd to ona zajmowała się moim domem — dodał.

Chciał chyba przez to powiedzieć, że teraz domem zajmować będę się ja.

Piętro i woźnica wnosili bagaże, ja tymczasem rozejrzałam się po trzech pokojach, które miały być odtąd moim nowym domem. W największym z nich znajdowały się trzy sztalugi różnych rozmiarów i szeroka ława, której prawdopodobnie używał do pozowania, ponieważ wyłożona była poduszkami, wałkami i draperią. Wokół podłużnego stołu na kozłach ustawiono kilka wyplatanych krzeseł; na stole rozłożone były przyrządy do rysunku i malowania. Nie chciałam ruszać jego rzeczy, przysunęłam więc żelazną latarnię osłoniętą naoliwionym pergaminem, żeby rozpakować moją torbę — i od razu wbiłam sobie drzazgę ze stołu w palec.

Gdzie mam ułożyć moje przybory? Może na parapecie okna. Nie chciałam kłaść ich na stole obok jego rzeczy. Czy kiedyś dojdziemy do tego, że nie będziemy już wiedzieć, które pędzle do kogo należą?

W kuchni znajdował się kamienny zlew i wiadro z kranem. Przypuszczałam, że w nim właśnie będę przynosić wodę ze studni, wspinając się na trzecie piętro. A może on to będzie robić?

Sufit w trzecim pokoju był niski i ukośny, w niższej

części pomieszczenia trzeba było się schylać. Było tam łoże z siennikiem, dwie niskie skrzynie i stolik do toalety. Podłogi pokryte były terakotową cegłą ułożoną w jodełkę. Po tej stronie łóżka, gdzie Piętro rzucił swój płaszcz, leżała na podłodze niewielka koźła skóra, po drugiej stronie nic nie leżało. Żałowałam teraz, że nie przywiozłam ze sobą więcej rzeczy mojej matki, a zwłaszcza jej puszystego chodnika i składanego krzeselka w rzymskim stylu. To krzeselko miało poduszkę, w przeciwieństwie do wszystkich siedzisk, jakie tu zobaczyłam.

Otynkowane ściany domu pokryte były nie oprawionymi w ramy obrazami: *Święta Rodzina*, *Zwiastowanie*, *Święta Teresa w ekstazie*— na wszystkich widniały kobiety o obfitych kształtach, odziane w pyszne draperie o bogatych, *mocnych* kolorach. Na jednym z obrazów przedstawiających *Zwiastowanie* oczy Madonny, której Anioł oznajmia!, że narodzi się Zbawiciel, nie miały szczególnego wyrazu. Ja nadałabym tym oczom więcej zdumienia, namalowałabym je bardziej okrągłe, a tęczęwki byłyby jaśniejsze, żeby przyciągać wzrok widza. Kolorom przydałby się bursztynowy werniks, ale przecież już mu o nim opowiedziałam.

Jego obrazy pokrywały wszystkie ściany, gdzieniegdzie jeden wisiał nad drugim. Gdzie będzie miejsce dla moich płócien? Jeśli szczęście będzie mi sprzyjać, jeśli sprostim wymaganiom tego miasta artystów, moje obrazy nie będą długo wisieć na ścianach naszego domu.

— Florenckie modelki? — zapytałam go, kiedy przyniósł ostatnią torbę.

— Oczywiście.

— No dobrze. Zgadzam się. Są piękne. Uśmiechną! się tylko, ale wiedziałam, że sprawiłam mu

przyjemność. Miałam co prawda na myśli raczej kobiety niż obrazy. Kim były? Czy miałam przed oczami historie, jego — powiedzmy — znajomości? Wątpiłam, czy kiedykolwiek poznam tajemnicę kobiet spoglądających na mnie z jego malowideł. Jednak nimb tajemniczości wokół Pietra dodawał mu uroku w moich oczach.

Otworzył okiennice we wszystkich trzech pokojach oraz podwójne drzwi prowadzące na wąski balkonik wychodzący na Arno. Wyszliśmy nań, by popatrzeć na miasto. Po drugiej stronie widać było gęsto stłoczone domki robotników i wzgórze pokryte zielenią. Plusk wody o kamienne nabrzeże miał w sobie coś kojącego.

— Pomyśl tylko. Pewnego dnia ta woda dopłynie do morza, potem zaś, kto wie, gdzieś na kraniec świata... a my teraz na nią patrzymy. To piękny widok.

— Zmienisz zdanie, kiedy poczujesz, jak czasem cuchnie od rzeki. Wtedy dobrze jest rzucić na ogień nieco cukru albo cynamonu.

Spodobało mi się jego praktyczne podejście do zagadnienia.

Jak na przykładne małżeństwo przystało, udaliśmy się ręką w rękę na wieczorną *passeggiata* nadbrzeżną ulicą. Znów przypomniałam sobie, jak doszło do tego, że zostaliśmy małżeństwem; powróciło uczucie skrępowania. Żałowałam, że Piętro i ja nie pobraliśmy się z miłości jak inni mężczyźni i kobiety. Musiał się czegoś domyślić, ponieważ wciągnął mnie z powrotem do domu, zaprowadził przez duży pokój do sypialni, prosto do łóżka. Z tym swoim zabawnym, niesymetrycznym uśmiechem rozwiązał sznurówki mojego gorsetu i prędko rozwiązał zagadkę spinek od spódnicy. Kochaliśmy się bez słowa, szybko, krótko.



Zasnęliśmy razem, zapomnieliśmy nawet się przykryć. Obudziłam się nagle, kiedy przewracał się na drugi bok, i przypomniałam sobie, gdzie jestem. Moje spojrzenie wędrowało po jego sylwetce rysującej się w świetle księżyca padającym przez okno. Przyglądałam się prostej grani jego kręgosłupa, krajobrazowi jego pleców, dolinie nad pośladkami: wszystko to, ku mojemu zaskoczeniu, było boleśnie i niezaprzeczalnie godne pożądania. Odważyłam się dotknąć jego boku. Jego skóra była chłodna. To jeszcze nie mogła być miłość, na to było za wcześnie. Był to jednak podziw dla piękna jego ciała i z tego powodu drżałam i nie mogłam usnąć. Gdyby do tego wszystkiego darowane mi jeszcze zostało błogosławieństwo miłości, chyba moje serce pękłoby ze szczęścia.

W ciągu następnych tygodni przekonałam się, że czasem był pełen pożądania, innymi zaś razy niemal oziębły. Był ze mną tu i teraz, by potem nagle znaleźć się gdzieś daleko, gdzie nie mogłam go dosięgnąć. Drżałam wtedy z przelęknienia, żeby się nie ośmieszyć, kiedy mnie nie pragnął, choć czyniłam wobec niego gesty oddania. Był zmienny i to sprawiało, że bałam się w pełni radować, kiedy cały był mój.

Graziella ostrzegała, że nie wolno mi ulegać złudzeniom. W pierwszym liście do niej napisałam:

Ufam mu tylko z dnia na dzień i staram się opierać ułudom niesprawdzonej miłości. To prawda, że dostrzegam oznaki uczucia, możliwe jednak, że potrzebna mu jestem tylko do tego, żeby ucierać pigmenty, czyścić paletę i robić pranie. Nie chcę więcej blizn, nawet niewidocznych, z po-

wodu mężczyzny- Powiedz Paoli, że się nie myliła. To miasto jest stolicą sztuk i otwiera niezliczone możliwości, jak dotąd jestem bardzo szczęśliwa.

*Con amore* Artemizja

Do ojca napisałam po prostu:

Dziękuję. Mam wielkie nadzieje. Florencja jest bardzo piękna.

Najbardziej lubiłam spędzane z Pięciem niedzielne popołudnia, kiedy szliśmy do miasta podziwiać dzieła sztuki. Każdego tygodnia wymyślał, co chce mi pokazać, ale nigdy nie mówił mi o tym. To miała być niespodzianka. Fascynowała mnie jego tajemniczość, a jego najwyraźniej to bawiło. Każdej niedzieli budziłam się w oczekiwaniu na nowe wrażenia — nowy temat, kompozycję, gest lub interpretację. Wszystkiemu przyglądałam się uważnie, bez pośpiechu i za każdym razem poznawałam coś cudownego. W ten sposób nauczyłam się florenckiego poczucia smaku.

Odziany w nowy kubrak i pludry, nowe buty i nowy kapelusz z fioletowego aksamitu, Piętro podawał mi ramię niczym dworzanin, który za zaszczyt sobie poczytuje możność pokazania mi skarbów swojego miasta. Opowiadał mi historię i anegdotki o florenckich artystach. Na przykład o tym, jak Ghiberti, nie Brunelleschi, wygrał konkurs na drzwi Baptysterium; o tym, jak Brunelleschi obraził się na miasto i wyjechał do Rzymu, aby badać i mierzyć klasyczne ruiny. O tym, że Donatello, który był jego kochankiem i razem z nim wyjechał do Rzymu, nazywał go

Pippo; jak Brunelleschi rzucił wyzwanie innym florenckim architektom, by spróbowali postawić jajko na gładkim stole — i jak dowiódł bystrości swego umysłu, stawiając jajko w taki sposób, że rozbił jego cieńszy koniec. Wieść głosi, że w ten właśnie sposób zyskał zlecenie na budowę samo-nośnej kopuły zakrywającej otwór ziejący u zwieńczenia katedry przez pięćdziesiąt lat. Opowiedział mi też o tym, że Michał Anioł żałował, iż ucałował tylko rękę, a nie twarz umierającej Vittorii Colonna, która była światłem i pociechą późnych lat jego życia. Poprzez te opowieści Pietra poznawałam żywą historię miasta.

— Masaccio był potężnym mężczyzną o posturze niedźwiedzia, ale zmarł w wieku zaledwie dwudziestu siedmiu lat — powiedział, gdy pewnej niedzieli wchodziliśmy do kościoła przy klasztorze Santa Maria del Carmine. Zaprowadził mnie do małej bocznej kapliczki pokrytej freskami. — To jest kaplica Brancacciego, jego mecenasa.

Stałam jak skamieniała przed *Wygnanie z raju* Masaccia. Adam zakrywał pochyloną twarz rękami; wyblakłe, brązowe otoczenie w niczym nie przypominało ogrodu. Oczy Ewy były bolesnymi wgłębieniami, niemal zaciśnięte; jej otwarte usta wydawały krzyk przerażenia, który odbijał się echem poprzez wieki i rozbrzmiewał w moim sercu. Tragizm ich pohańbienia wzruszył mnie do tego stopnia, że nogi ugięły się pode mną. Oparłam się o kamienną balustradę. Nie czułam stuleci dzielących mnie i Ewę.

— Chciałabym utulić ją w ramionach — powiedziałam cicho.

— Michał Anioł, Rafael i Botticelli siedzieli tu i rysowali ten fresk — powiedział Pietro takim tonem, jakby widział ich na własne oczy, choć minęło już więcej niż sto lat.

Wszystko, co widziałam później tego dnia, zatarto się w mojej pamięci. Długo nie mogłam usnąć, wpatrywałam się w mrok i widziałam umączoną twarz Ewy. Tak właśnie musiał wyglądać ktoś, kto został całkowicie i bez reszty opuszczony, wzgardzony, pozbawiony Boga. Choć przeszłam już niejedno, nigdy nie czułam tak *porażającej rozpacz*.

Rytmiczny oddech Pietra zlewał się w moim umyśle z pulsującym cierpieniem Ewy. Przewracałam się z boku na bok, w końcu się obudziłam.

— Co się dzieje? — wymamrotałam.

— Nie mogę usnąć. Ciagle myślę o Ewie.

Odwrócił się i przyciągnął mnie do siebie, jakby chcąc osłonić mnie swym ramieniem.

— Spróbuj o tym nie myśleć, *amore*. — Oddychaliśmy w ciemnościach tym samym rytmem, aż poczułam muśnięcie jego przebudzonego członka. Nie, pomyślałam. Nie teraz. Jak mogłabym to zrobić, mając wciąż przed oczami przełknięcie Ewy, która pofolgowała swemu łakomstwu?

Wstrząsnął mną jednak jakiś dziwny dreszcz, poczułam wewnątrz mimowolny skurcz. Odwrócił mnie tak, jak sobie życzył, i kołysał mną, aż dał mi ukojenie; cierpienie Ewy odeszło gdzieś na dalszy plan w moich myślach, a słodkie katusze ogarnęły całe jestestwo. Potem spaliśmy tak, jakbyśmy byli jednym ciałem i jedną myślą.

Minęło kilka miesięcy. Pewnego ranka, kiedy myłam pędzle w terpentynie, ogarnęły mnie mdłości. Ten zapach był nie do zniesienia, otworzyłam okno, ale nie mogłam odetchnąć świeżym powietrzem, ponieważ wcale nie było świeże. Od rzeki bił smród — opadłam na fotel i wpiłam

dłonie w oparcia. Czułam wstrętny smak w ustach. Zrobiło mi się ciemno przed oczami. Pobiegłam po miednicę i wymiotowałam.

Już od miesiąca, a może dwóch, nie miałam krwawienia. Co prawda spodziewałam się tego, ale jednak byłam zaskoczona wobec nieubłaganej rzeczywistości. Dziecko. Przestraszyłam się. Co będzie, jeśli Piętro...? Nie odważyłam się nawet ująć mych obaw w słowa.

Czy moja matka też czuła takie dziwne zawroty głowy, czy też puchła jej szyja i powieki — nie tylko brzuch? Ale moja matka umarła podczas porodu, w jej łóżku było pełno krwi, słyszałam jej krzyk. Miałam dwanaście lat i byłam przerażona. Widziałam wszystko na własne oczy. Ogarnęła mnie wściekłość na ojca, byłam przekonana, że to on ją zabił — przez długie miesiące nie odzywałam się ani słowem, aż wreszcie troskliwa opieka Paoli i Grazielli wydobyla mnie z otępienia i znów zaczęłam żyć.

Nie wolno mi było teraz o tym myśleć. Chciałam tego dziecka, pragnęłam, żeby Piętro również go chciał. Nie powiedziałam mu od razu — najpierw musiałam mieć pewność.

To samo powtarzało się każdego ranka - wymiotowałam od zapachu terpentyny, a nawet oleju lnianego. Nie byłam już w stanie mieszać farb. Jednak wieczorem czułam się dobrze. Po paru tygodniach wydało mi się, że moje piersi nabrzmiwiają, poczułam, że są bardziej wrażliwe na dotyk. To musiało być to.

To oznaczało, że mam kilka spraw do załatwienia. Umyłam twarz, ubrałam się, spięłam włosy w kok. To był ważny dzień, a więc spięłam je spinką mojej matki. Zwinęłam moją *Zuzanną* i *Judytę* oraz *Grającą na lutni* w rulon i przewiązałam go wstążką. Nie wiedziałam, kiedy

mój rosnący brzuch stanie się widoczny, a nie chciałam przedstawiać się jako malarz, który wkrótce zostanie matką. Obawiałam się braku zrozumienia i tego, że zostanę po prostu wyśmiana. Początkowo zamierzałam pokazać członkom akademii cztery gotowe płótna; co prawda *Judyta* była już ukończona, ale nie miałam innych dużych obrazów, tylko kilka studiów, które nie były malowane z modelu i nie miały charakteru.

— Nie wiem, czy jestem gotowa, ale muszę zrobić to teraz — powiedziałam do Pietra.

Wiedział, dlaczego zwijam płótna. Chodziło o akademię. Rozmawialiśmy już o tym wcześniej, ale moja nadzieja była czymś tak osobistym, że trudno mi było o tym mówić.

— Dlaczego właśnie teraz?

— Mam swoje powody. Powiem ci o nich jutro. Obiecuję.

Popatrzył na mnie dziwnie, nie zrozumiałam jego spojrzenia. Otworzyłam drzwi, zastanawiając się, czy nie popełniam błędu.

— Powiedz mi teraz.

Wiedziałam, że jeśli to zrobię, może nie pozwolić mi iść. Pragnęłam, żeby te dwie rzeczy — akademia i dziecko — pozostały oddzielone w jego myślach. Żeby go udobruchać, odstawiłam zwój płócien na bok, koło drzwi, i pochyliłam się nad nim. Siedział w fotelu, przesunęłam palcami pośród jego kręconych włosów, tak jak lubił. Pocałowałam go w ucho i szepnęłam:

— To niespodzianka. Specjalnie dla ciebie. Wyciągnął ramię, ale wymknęłam mu się, pochwyciłam płótna i wyslizgnęłam się przez drzwi.

Na dole zaczęłam rozglądać się za pomyślnymi znakami. Właśnie rozkwitły szkarłatne pelargonie. Dwie zięby

na naszym drzewie figowym ćwierkały ponagłajaco. Słyszałam dźwięk dzwonów z Santa Croce. Niebo, gładkie jak rozwinięty jedwab, miało blado-lazurowy odcień. Powietrze przesycone było słońcem i złotem. Zdawało mi się, że zewsząd napływają błogosławieństwa.

Niosąc zwinięte płótna pod pachą oraz dziecko w brzuchu, wyszłam na ulice. Wmieszałam się w tłum; widziałam piekarczyków dźwigających na głowach deski z chlebem, przekupniów pchających wózki pełne fig, winogron i melonów, handlarzy głośno zachwalających sprzedawane garnki i noże. Słyszałam trzaskanie biczów i stukot kół na nierównym bruku i czułam, że żyję życiem miasta. Teraz już mojego miasta. Miasta Masaccia, Fra Angelica, Michała Anioła i mojego. Miasta Artemizji Gentileschi. Może powinnam nazwać się Artemizją Lomi, używając rodzowego nazwiska?

Im bardziej zbliżałam się do klasztoru cystersów na Borgo Pinti, gdzie mieściła się Accademia delPArte del Disegno, tym trudniej mi było przestać myśleć o dziwnym spojrzeniu Pietra. Kazano mi czekać w sieni zawieszanej niewielkimi obrazami przedstawiającymi świętego Łukasza, patrona artystów. Próbowałam je oglądać, ale nie potrafiłam się skupić. Teraz, gdy wreszcie tu się znalazłam, było mi na przemian zimno i gorąco ze strachu. Po raz pierwszy moje prace oglądać miały ważne osobistości, przed którymi musiałam stanąć sama, bez wsparcia ojca. Sama musiałam przemawiać. Szybko przepowiadałam sobie w myślach przygotowane zawczasu słowa. Wreszcie pojawił się jakiś urzędnik — tłusty, o nalanej twarzy. Miał na sobie zieloną kamizelkę, był bez kaftana, jakby był u siebie w domu.

- Słucham, signorina?

— Jestem Artemizja Gentileschi, przybywam z Rzymu. Moim ojcem jest Orazio Gentileschi. Jeśli można, chciałabym pokazać parę obrazów.

— Ach tak, signor Gentileschi. O ile wiem, był on dobrym przyjacielem Michelangela da Caravaggio.

— Owszem. Ja też go poznałam, zanim zmarł.

— Zmarł w tajemniczych okolicznościach, należałoby dodać. Najprawdopodobniej usiłował uciekać, by ratować swe życie po zasztyletowaniu człowieka podczas bójkki o prostytutkę. Butny, gwałtownego usposobienia, nosił szpadę i sztylet, jak jakiś bandyta. Wielokrotnie więziony za bijatyki ze strażnikami oraz za obrazę papieskiego strażnika. I ty mówisz, że znałaś go dobrze?

— Nie, dobrze nie. Byłam jeszcze dzieckiem. Mój ojciec... Przełożyłam zwój płócien z jednej ręki do drugiej, by z powrotem skierować rozmowę na temat sztuki.

— Ojciec wysłał swą córkę, żeby pokazała nam jego obrazy? Dlaczego nie przybył we własnej osobie?

— Nie, signore. To nie jego płótna, tylko moje. Ja też jestem malarzem.

Zmarszczył gniewnie czoło. Niecierpliwie skinął głową, a ja rozwinęłam płótna na długim drewnianym stole o ruchomym blacie i przymocowałam je. Postawił blat w pozycji pionowej i cofnął się, żeby popatrzeć, ale nie powiedział ani słowa. Cierpiał na tik nerwowy: mięśnie jego szyi podrygiwały gwałtownie. Staralam się przez grzeczność nie zwracać na to uwagi. Spojrzał na moje ręce.

— Jedną chwilę.

Usiadłam i czekałam; powrócił z chudym mężczyzną o płowej brodzie przystrzyżonej na kształt łopaty. Szeptali między sobą, nie zwracając na mnie uwagi. Ten chudy też spojrział z ukosa na moje palce oczami w kolorze brą-



zowych muszelek ślimaka. Zmusiłam się, żeby nie poruszać palcami. A więc to tak. Wiedzieli. Świątek sztuki i artystów jest doprawdy bardzo mały. To utwierdziło mnie w przekonaniu, że muszę zdobyć pierwsze zamówienie, zanim mój brzuch stanie się widoczny. W przeciwnym razie ciąża będzie tylko potwierdzeniem ich osądów, a rzymska opinia ladcownicy przylgnie do mnie i tutaj. Splotłam ręce na brzuchu.

Chudy mężczyzna powiedział:

— Jestem signor Bandinelli, *luogoteneme* akademii. Mój intendent powiada, że przyniosłaś tu te obrazy. W jakim celu nam je pokazujesz?

Wstałam.

— Oczywiście po to, żeby ubiegać się o przyjęcie do akademii.

— To twoje obrazy? Namalowane wyłącznie przez ciebie?

— Tak, signore.

Odwrócił się i przyglądał im się przez chwilę. Odchrząknął.

— Większość kobiet oddających się malarstwu, które pragną osiągnąć uznanie w tym zawodzie, wychodzi z założenia, że wierne naśladowanie mistrzów zaspokoi ich ambicje. Natomiast tak niezwykła wyrazistość — machnął ręką w kierunku mojej *Judyty* — tego typu *invenzionem* może postawić pod znakiem zapytania twoją karierę, a także losy twojej prośby o przyjęcie do akademii... prośby niespotykanej, dotąd żadna kobieta o to się nie ubiegała.

— Po cóż powtarzać cudze dokonania? — spytałam.

— Rzecz w tym, signorina, że tak niecodzienne podejście do biblijnych tematów niekorzystnie wpływa na duchowy wymiar kompozycji.

„Patrz im w oczy i nie okazuj lęku”, powiedziała Graziella.

— Być może istnieją inne chwile godne uwiecznienia w sztuce niż tylko chwile duchowych uniesień. — Co mnie opętało, żeby się z nim spierać? Aby mu to wynagrodzić, uśmiechnęłam się słodko.

Bandinelli długo przyglądał się Judycie i jej służącej Abrze. Nie mógł nie dostrzec, że nie były to bynajmniej słabe kobiety zawdzięczające swą siłę *tylko* Bogu. Musiał zauważyć ich silne ramiona, ich determinację — Abre przytrzymującą rękę Holofernesa, Judytę trzymającą jego głowę za włosy. Sądząc po pierwszej reakcji Pietra, wiedziałam, że mężczyznom nie podoba się ten widok — A więc to jest styl Caravaggia? Ten cień na twarzy? — spytał intendent.

— Tak. Służy osiągnięciu dramatycznego efektu, przyciągnięciu uwagi do strony twarzy rozjaśnionej światłem. Ponadto daje do zrozumienia, że rzecz dzieje się potajemnie.

Przez chwilę byłam wściekła na siebie, że tłumaczę coś, co powinno być oczywiste.

Nie powiedzieli ani słowa o *Grającej na lutni*, a nagości Zuzanny przyglądali się równie natarczywie jak starcy z obrazu, jak gdyby podniecało ich to, że została namalowana przez kobietę o zszarganej reputacji. Signor Bandinelli marszczył brwi, tak jakby próbował pochwycić jakąś *wymykającą* mu się myśl. Pewnie ten obraz za bardzo różnił się od innych. Nie umieściłam w centrum kompozycji starych zboreźników napastujących ją w kąpieli, już radujących się na myśl o zdobyczy — podczas gdy ona oczekiwała na to, co musiało nastąpić. Pewnie nie chciał przyjąć do wiadomości, że prawdziwym tematem obrazu było jej przełknięcie.

— Dążenie do oryginalności interpretacji jest niepotrzebne, a być może nawet ryzykowne dla kobiety uprawiającej malarstwo — powiedział signor Bandinelli i spojrzał na mężczyznę o krągłej twarzy, szukając jego aprobaty.

— Ryzyko nie jest mi obce, signore — odparłam, zanim intendent zdążył się z nim zgodzić.

Skłoniłam się obu, a kiedy się odkłonili, zwinęłam płótna i odczekałam jeszcze chwilę, żeby dać im ostatnią szansę, żeby usłyszeć choć słowo zachęty.

Ich spojrzenia były bez wyrazu.

— Z pewnością jeszcze się zobaczymy — powiedziałam. Wychodząc, czułam, że moje serce bije mocno i szybko.

## PALMIRA

Kiedy weszłam, Piętro podniósł głowę znad rysunku. Powoli i spokojnie odłożył na bok kawałek węgla. Upuściłam zwinięte płótna na ziemię i kopnęłam je nogą pod ścianę. Poszłam do kuchni, stanęłam przy stole i zaczęłam się bezmyślnie gapić na kawałek chleba pozostały ze śniadania. Stał za mną i położył mi dłonie na ramionach, poklepał kilka razy, jakby chciał pocieszyć nadąsane dziecko. Ukroiłam jedną czy dwie kromki.

— Czego się spodziewałaś? Żaden florencki mecenas nie kupił jeszcze twojego obrazu, a w akademii nigdy nie zasiadała kobieta.

Odwróciłam się do niego.

— Ale mogli mnie przyjąć. Nie ma prawa, które by tego zakazywało.

Jego krzywy uśmiech sprawił, że poczułam się mała i głupia. Ciekawostka, mieć żonę, która maluje. Jakie to dziwne. Jakie zabawne. W dodatku wyobrażała sobie, że przyjmą ją do akademii. Głupia kobieta. Będzie śmiał się z tego razem z kolegami w tawernie i będą powtarzać znane powiedzonko: „Kobietę trzeba prać, żeby się nie rozeschła, im więcej, tym lepiej”.

Przygotowałam skromną kolację i poszłam wcześniej do łóżka, nie mówiąc ani słowa. Kiedy obudziłam się wcześniej

rano, pokrzepiona snem, leżąc jeszcze w łóżku, zastanawiałam się nad tym, co się wydarzyło w akademii, czy popełniłam jakiś błąd, czy wyraziłam się niewłaściwie. Mówili o mnie „kobieta zajmująca się malarstwem”. Pytali, czy sama namalowałam te obrazy. Tak jakby to ojciec prowadził moją rękę, kiedy trzymałam pędzel. Byłam tak przygnębiona, że aż zrobiło mi się niedobrze, i wtedy przypomniałam sobie: dziecko. Poczułam, że ogarnia mnie ciepło, które odpędza mdłości; zaskakujący i nieznanany nastrój oczekiwania. Czy tak właśnie przejawia się instynkt macierzyński? Nigdy przedtem tego nie czułam, nigdy nie pragnęłam dziecka tak, jak pragnę go niektóre kobiety, ale teraz odczułam to bardzo wyraźnie. Obawiałam się reakcji Pietra i zarazem miałam nadzieję, że on także będzie *szczęśliwy*, kiedy się dowie.

Pietro poruszył się. Wzięłam go za rękę i przyłożyłam jego dłoń do mojego brzucha. Cicho powiedziałam:

— Pomyśl, jak by to było pięknie, gdyby syn uczył się malarstwa od ojca i od matki jednocześnie.

Usiadł gwałtownie na łóżku.

— To ta niespodzianka?

— Być może. Będziemy pierwszą taką rodziną we Florencji.

— To znaczy, że będziesz mieć dziecko? Kiedy? Niedługo? Syn. Będę miał wspaniałego syna!

— Wydaje mi się, że za jakieś pół roku.

— Musimy się przygotować. Roześmiałam się.

— jeszcze nie ma pośpiechu.

— Nazwiemy go Pietro Giovanni Andrea Filippo Leonardo Michelangelo Stiattesi. Wspaniałe imię dla wspaniałego syna.

Był uradowany, a uczucie ulgi pozwoliło mi zapomnieć o rozczarowaniu, jakiego doznałam w akademii.

Byłam jak w transie, starałam się namalować najwięcej, jak tylko mogłam w ciągu pół roku, ale wciąż mdliło mnie od zapachu terpentyny i zdarzały się dni, kiedy w ogóle nie byłam w stanie pracować. Próbowałam nie zwracać na to uwagi, chociaż wydawało mi się, że to zły znak, jeśli macierzyństwa nie można pogodzić z malarstwem. Piętro zabrał obraz, nad którym pracował, oraz farby i pędzle do pracowni jednego ze swych przyjaciół, żeby nie przeszkadzał mi smród olejów i farb.

Pewnego dnia, kiedy Piętro już wyszedł, odkryłam, że jestem w stanie malować, jeśli osłonię nos i usta chustką. Kiedy wrócił do domu, zobaczył mnie z zasłoniętą twarzą.

— Zdejmij to — powiedział ostrym głosem.

— Dlaczego? Dzięki temu zapach oleju i terpentyny nie przeszkadza mi tak bardzo.

— Zdejmij to — powiedział, nie patrząc na mnie.

Nie mogłam zrozumieć, co go tak bardzo rozzłościło. Miał tak ponury wyraz twarzy, że nie ośmieliłam się zapytać. Czy nie chciał, żebym malowała? Wyniosłam paletę, pędzle i butelki z olejem lnianym i terpentyną na balkon, zamknęłam drzwi i zdjęłam chustę.

— Nigdy więcej nie chcę cię widzieć w czymś takim.

Poszłam do kuchni, przyrządziłam makaron z bakłażanem i fasolą na kolację, ale wcale nie czułam się głodna. Rozłożyłam poduszki i ułożyłam się na plecach na ławeczce do pozowania, trzymając rękę na brzuchu i próbując poczuć jakiś ruch. Piętro zaczął jeść, milczeliśmy oboje.

— Zrozum, ja tak bardzo chcę malować — powiedziałam cicho.

Usłyszałam stuknięcie łyżki odkładanej na stół.

— Kiedy byłem małym chłopcem, moja matka nosiła taką chustę, odkąd w mieście pojawiła się zaraza. Podobnie jak wszystkie kobiety, które nie opuściły miasta. Miała ją na sobie, kiedy widziałem ją po raz ostatni. Pocałowała mnie przez tę chustę na pożegnanie, kiedy ja i Giovanni wyjeżdżaliśmy do wuja na wieś.

Poczułam, że coś ściska mnie za gardło.

— Nie wiedziałam. — Po skroni spływała mi strużka potu. — Przykro mi. Nie zrobię tego więcej.

Podszedł do ławki i patrząc mi w oczy, wziął mnie za rękę.

— Po prostu byłem zaskoczony. Nie chciałem myśleć...

— Nic się nie stało. I tak od tego stania przy sztalugach bolą mnie plecy.

Następnego dnia rysowałam w łóżku, opierając szkicownik o brzuch; za temat posłużył mi obraz Pietra wiszący na ścianie. Piętro wrócił do domu z drewnianą kołyską i kołderką. Postawił kołyskę obok łóżka, usiadł i zaczął nią kołysać. Widać było, że i kołdra, i kołyska są używane, ale dla mnie były zapowiedzią przyszłego szczęścia.

— Co to jest?

W kołderkę zawinięty był gliniany słoik z korkową pokrywką. Wziął go do ręki.

— Co to jest? — spytałam. Uśmiechnął się i podał mi go.

— Zgadnij.

Potrząsnęłam nim lekko.

— Nie! Nie rób tego. Pokrywka mogłaby spaść.

— Czy to coś do jedzenia?

-Nie.

— To coś do jedzenia dla dziecka?

— Nie. Otwórz.

W środku był drobny żółty proszek.

— Pachnie kwiatami. Czy to coś dla dziecka?

Wstał i pochylił się, wypinając pośladki. Pokazał palcem swój tyłek; wyglądał tak zabawnie, że śmiałam się, chociaż bolały mnie od tego plecy.

— Kiedy będzie miał podrażnioną skórę, trzeba posmarować go olejem z oliwek i na to rozsypać proszek — powiedział, wykonując w powietrzu ruchy naśladujące rozsypywanie proszku i wcieranie go w pośladki.

— Skąd to masz?

— Od aptekarza. Franco mówi na to „diapasma”.

— Skąd wiesz to wszystko? Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

— Chyba po prostu jestem mądry.

To było dziwne uczucie: znał się na rzeczach, o których ja nie miałam pojęcia.

— Chciałabym zrobić coś więcej, niż tylko leżeć — powiedziałam, próbując ułożyć się wygodnie na boku, ale w tej pozycji wcale nie czułam się lepiej.

Pietro przez ostatnie tygodnie starał się dostarczyć mi zajęcia, zawieszał coraz to nowe obrazy na ścianach sypialni, ale nawet rysowanie zaczęło mnie męczyć. Przez ostatnie kilka dni tylko starałam się odkryć jak najmniej niewygodną pozycję.

— Kiedy dziecko przyjdzie na świat, będziesz miała tyle roboty, że będziesz mogła tylko marzyć o całym dniu spędzonym w łóżku.



Mój czas się zbliżał. To była kwestia godzin. Strach idący od palców u nóg każdego dnia wznosił się coraz wyżej, ścisnął mój brzuch i musiałam użyć wszystkich swych sił, by go odpędzić. Spojrzałam na Pietra. Przechadzał się przygarbiony tam i z powrotem po pokoju.

— Zatrzymaj się na chwilę!

Wyciągnęłam rękę, a on pospiesznie ujął ją obiema dłońmi. Musiał się pochylić, sufit był zbyt nisko. Chciałam mu się dobrze przyjrzeć na wypadek, gdyby to miał być ostatni raz.

— Mam po nią posłać? — spytał już piąty raz tego dnia. Mówił o akuszerce. Chłopak od sąsiadów czekał na

dziecińcu, gotowy pobiec po nią w każdej chwili.

— Nie. Może poczuję się lepiej, jak wstanę.

Pomógł mi się podnieść. Powoli weszliśmy do dużego pokoju. Nagle poczułam, że wypływa ze mnie bardzo dużo ciepłego płynu. Zawstydziałam się i wróciłam do łóżka. Chwilę po tym poczułam coś na kształt ogromnej ręki ścisnącej i rozdzierającej mnie od środka. Jęczałam, póki skurcz nie ustąpił.

Piętro uklęknął obok mnie, chusteczką ocierał mi pot z czoła.

— Jesteś dzielna, *amore*.

— Nie jestem. — Działał mi na nerwy. Nie tak łatwo być dzielną. — Wcale nie jestem dzielna. Po prostu nie mam wyboru.

— W takim razie jesteś dzielna, choć nie masz wyboru. — Uśmiechnął się blado; wiedziałam, że chce być czuły.

— Chcę tego dziecka, Piętro.

Dłoń znów zacisnęła się i odpuściła, a potem znowu — i tak przez całą godzinę. Potem poczułam ból, przy którym wszystkie inne dolegliwości stały się nieistotne, jak drobne

swędzenie. Cała skurczyłam się w sobie. Kiedy nadszedł ból jeszcze potężniejszy, krzyknęłam:

— Teraz! Teraz po nią poślij!

Zerwał się na równe nogi i uderzył czołem w belkę sufitu. Wybiegł przez drzwi, zawołał na chłopca czekającego na dole. Wrócił, zanim ból ustąpił. Poczułam, że lęk jest silniejszy ode mnie.

— jeżeli krwawienie nie ustąpi... tak jak mama... jeżeli to chłopiec... Jeżeli dziewczynka, również. Ojciec nauczył mnie nazw kolorów. Lazur aKzarynowy... Róż wenecki. Szkarłat. Madera. Tata mówił, że to się robi z rośliny. Cynober z Hiszpanii. Czerwień pucola. Z wulkanu w pobliżu Neapolu. Czerwień Tycjana. Jeżeli... jeżeli mnie nie będzie, ty go naucz. Albo ją. Ucz ją tak samo jak chłopca, Piętro.

Wziął mnie za rękę.

— Ty ją nauczysz. Jestem tego pewien.

— Jeżeli umrę, Piętro, daj moje obrazy ojcu. Nie. Jemu nie. On może zobaczyć. Chcę, żeby zobaczył. Matce. Nie, nie tak. Daj je Grazielli...

— Nie mów tyle.

— Jeden dla niej. Drugi dla Paoli. Reszta jest dla ciebie. Akuszerka i jej pomocnica przyniosły drewnianą balię

i krzesło połoźnicze z uchwytami i pasami oraz dziurą w siedzisku. Wyglądało jak narzędzie tortur wymyślone przez Inkwizycję. Zamknęłam oczy.

— Teraz proszę wyjść, signore - powiedziała akuszerka. — Proszę rozpalić ogień.

Krzyczałam, wrzeszczałam i parłam.

— Nie. Jeszcze nie przyj — poleciła stanowczym tonem akuszerka. — Masz jeszcze dużo czasu.

Mijały godziny, próbowałam robić, co mi kazały, próbowałam nic przeciw, błagałam, żeby mi pozwoliły, odpoczy-

walam. I tak w kółko i w kółko. Nie wiedziałam, gdzie jest Piętro. Co mnie to obchodziło. Słyszałam własne krzyki. Czy to nigdy nie miało się skończyć?

— Zróbcie coś\*! — wrzeszczałam. — Dajcie mi coś. Wiem, że możecie coś zrobić.

— Nie, dziecko. Narodziłaś się po to, by znosić ten ból. Taki jest los kobiety w tym życiu, od czasu pramatki Ewy.

— Nie! Urodziłam się, żeby malować! Najstraszniejszy, najdłuższy skurcz ze wszystkich. Akuszerka zaciągnęła mnie na krzesło.

— Nadchodzi. Teraz przyj! — powiedziała.

Cała moja istota skupiła się w sobie i zaczęła przec, naciskać. Tak jakbym napierała na podłogę. Wydawałam dźwięki podobne do wycia dzikich zwierząt. I w końcu ulga. Spać. Chciałam tylko spać.

Obudziłam się w łóżku. Jak ja się tu znalazłam? Czułam fale bólu — od brzucha aż po czubek głowy. W rękach trzymałam dziecko. Dziewczynkę. Jaki niezwykły kolor. Jasna madera. Twarz jak mała, zaciśnięta piastka. Śliczne przejrzyste uszko, doskonale wyrzeźbione w wosku. I Piętro. Piętro był przy mnie. Piętro klęczał przy łóżku, blisko mnie. Nucił: *Che amore di bambina*. Piętro, z wielkim fioletowym guzem na czole.

Nazwaliśmy ją Palmira Prudenzia. Palmira po jego matce, Prudenzia po mojej. Chyba nie był bardzo rozczarowany, mimo że to nie był chłopiec. Co do mnie, byłam cała szczęśliwa. Córka. Cud. Objawienie. Pewnego dnia będzie piękną kobietą. Już czułam, że wszystko się zmieniło. Była zwiastunem miłości. Czułam usta Pietra całujące moje ucho.

— Jest przeznaczona do pałacowych komnat — powiedział. — Spójrz na jej skórę. Błękitne i czerwone żyłki, tak jak w marmurze na fasadzie Palazzo Pitti.

Później napisałam do ojca.

Jesteś już dziadkiem. Na imię ma Palmira Prudenzia. Ma usteczka w kształcie łuku Kupidyna, śliczny, spiczasty podbródek i skórę gładką jak jedwab. Być może Mama powiedziała by, że wygląda tak jak ja, kiedy byłam dzieckiem. Jak dotąd przejawia tylko jeden talent, a mianowicie do robienia baniek, ale kto wie? Być może będzie pierwszą malarką urodzoną we Florencji. Postaram się przekazać jej Twoją spuściznę. Pokażemy jej dzieła sztuki tego miasta, tak samo jak Ty pokazywałeś mi Rzym. Jednego możesz być pewien: nie spotka jej publiczne pohańbienie. Już ja o to zadbam.

Nie przyjęli mnie do akademii. Jeszcze nie.

Czuję się dobrze.

Twoja córka Artemizja

Oto, co odpisał: Droga Artemizjo,

kiedy się urodziłaś, nie mogłem oderwać od Ciebie oczu, byłaś taka malutka i miałaś takie piękne rączki. Pamiętam, jak kiedyś przez niemal godzinę przyglądałem się, a Ty próbowałaś różowymi paluszkami pochwycić fasolę. Gdybym teraz był we Florencji, czułbym to samo. Chciałbym zaśpiewać jej kołysankę.

Akademia jest tak samo przywiązana do tradycji jak Kościół. Porusza się malutkimi kroczkami do przodu, ale nie może bez końca ignorować takiego talentu jak Twój. Czy zapomniałaś odwiedzić Michała Anioła Buonarrotiego

Młodsze? Przypuszczam, że dałby mi znać, gdybyś go odwiedziła. Mieszka na via Ghibellina. Naucz, proszę, Palmirę. Prudencję tego nazwiska:

### ***Orazio Genúleschi***

Ochrzciliśmy Palmirę 25 marca, w pierwszym dniu nowego roku według starego florentyńskiego kalendarza. Tego dnia wszystkie dzieci urodzone we Florencji w ciągu roku przynosi się do Baptysterium znajdującego się w pobliżu Duomo. Wokół budynku o ośmiokątnej podstawie stała długa kolejka rodzin z noworodkami. Piętro podniósł Palmirę, żeby po raz pierwszy w życiu zobaczyła wspaniałe, pozłacane drzwi Ghibertiego.

— Ponoć nad tymi drzwiami Ghiberti napisał: „Spójrz na to piękne dzieło, którego dokonałem”.

— Moglibyśmy powiedzieć to samo o Palmirze — powiedziałam.

Piętro uśmiechnął się do mnie, w jego ciemnych oczach lśniła duma.

Na stopniach katedry siedziała bosa obdarta kobieta z szaleństwem w oczach i potarganymi włosami; łkała i modliła się na przemian. Widziałam niejednego pokutnika we Florencji, ale żaden z nich nie był tak oszalały i zrozpaczony.

— Często tu przychodzi, czasami można ją zobaczyć w Santa Croce albo San Lorenzo; pokutuje za jakiś straszliwy grzech — powiedział Piętro.

Czy do takiego stanu chcieli mnie doprowadzić podczas procesu? Wzdrygnęłam się.

- Czasami przychodzi nawet na Ponte Vecchio — ciągnął. — Wszędzie, gdzie jest dużo ludzi. To nie jest prawdzi-

wa pobożność. To tylko na pokaz. Nie zwracaj na nią uwagi, bo bądzie zawodzić jeszcze głośniej.

Nigdy przedtem nie byłam w Baptysterium. Ludzie przeciskali się przez południowe wejście, drzwi Pisana. Piętro i ja staliśmy obok siebie, nasze ciała stykały się. ofiarowaliśmy nasze dziecko Bogu pośród tłumu rodziców z dziećmi tłoczących się wokół chrzcielnicy. W chwili, gdy Palmira została namaszczona, byliśmy jednym: matka, ojciec, córka.

Pociągnęłam Pietra za ramię i wyszeptałam:

— Teraz jest pośród wszystkich wielkich artystów, rzeźbiarzy i poetów Florencji, którzy zostali ochrzczeni w tym samym miejscu. Bóg pobłogosławił ich pracę. — Łzy płynęły mi po policzkach.

Spojrzałam ku niebu i na mozaice nad ołtarzem zobaczyłam zamgloną, lecz potężną postać Chrystusa; skurczyłam się pod jego groźnym spojrzeniem. Po jednej jego stronie znajdowali się zbawieni, których przyjmował do Nieba; po drugiej zaś potępieńcy pożerani przez demony. Piekielne męki ukazane zostały z nie mniejszym zamiłowaniem niż niebiańskie błogosławieństwa. Za pomocą malutkich kawałków szkła przedstawiono wszelkiego rodzaju przypalanie, bicie, gotowanie, patroszenie — wszystko w czerwieniach, błękitach i złocie. Może byłam przesądna, ale zakryłam dłonią oczy Palmiry, żeby osłonić ją przed tym widokiem.

— Kto stworzył ten plafon? — spytałam.

— Tego nikt nie wie — powiedział Piętro.

Mozaika pochodziła z czasów, gdy bezimienni artyści pracowali dla bożej chwały. Nie znaczyli nic jako ludzie, z ich uczuciami i strachem, pewnie też byli rodzicami. Pomyśleć, że takiej klasy artyści zostali całkowicie zapom-

niani. Ogarnęło mnie uczucie pustki, które o mało nie popsuło mi radości tego dnia. Nikt nigdy nie pozna ich imion.

Palmira przegaworzyła swe niemowlęctwo w kołysce, którą na przemian kołysaliśmy nogą, malując jednocześnie. Odczuwałam nową i pełną radość, choć czas spędzony przy sztalugach pomiędzy jednym a drugim karmieniem upływał zdumiewająco szybko. Czasami, tak jak pisał mój ojciec, nie potrafiłam oderwać oczu od usteczek Palmiry lub jej malutkich paluszków, przypominających płatki wosku — i nie mogłam skupić się na pracy. Kiedy indziej znów, jeśli w oderwaniu od świata malowałam jakiś trudny fragment, taki jak oko czy ręka albo skrót stopy, jej płacz wrywał mnie ze skupienia; trwało dłuższą chwilę, nim przypominałam sobie, gdzie jestem. Kiedy zaczęła raczkować, próbowała dobrać się do żółci neapolitańskiej znajdującej się w miseczce, którą postawiłam na zbyt niskim stołku. „Patrz, jaki głód malarstwa w takim młodym wieku” — powiedziałam do Pietra. Dzięki Palmirze staliśmy się jakby normalnym małżeństwem.

Piętro namalował nas obie jako Madonnę z Dzieciątkiem. Udrapował mnie w pożyczony płaszcz z błękitnego aksamitu obramowany różową maderą; Palmira spała w moich ramionach. Kazał mi patrzeć na nią, a to mogłam robić bez ustanku. „*Che hellina*, moje święte dzieciątko” — nuciłam. Od czasu do czasu leciutko kopnęła mnie nóżkami w brzuch. Piętro przyglądał nam się uważnie, mijały godziny, a ja nigdy przedtem nie czułam się tak blisko miłości.

Mimo to trudno mi było wytrzymać tak długo bez ruchu. Ja też chciałam ją malować, chociaż jednocześnie

chciałam trzymać ją w ramionach. Jak wiele kobiet w ciągu ostatnich dwóch stuleci, które pozowały jako Madonny, Ewy, Marie Magdaleny, Wenus, Dalile, Salome, Judyty... jak wiele z nich pragnęło znaleźć się po drugiej stronie sztalug?

— Czy miałeś kiedyś modelkę, która chciała malować?

— Nigdy ich o to nie pytałem.

— Ale w tym mieście muszą być jakieś kobiety, które malują. Ciekawe, w jaki sposób mogę je znaleźć.

— Cśśś...

Pod koniec sesji ułożyłam Palmirę w kołysce i podeszłam do obrazu. To był prawdziwy wstrząs. Moja twarz na płótnie była zbyt owalna, moja szyja zbyt szczupła, moje palce zbyt długie i cienkie.

— Przecież to wcale nie jestem ja — powiedziałam. — To nie jest kwestia umiejętności. Jesteś dobrym malarzem. Zrobiłeś to naumyślnie.

Widziałam, że się zaczerwienił.

— Czym ja dla ciebie jestem? Tylko wieszakiem do układania na nim draperii i studiowania światła? Widziałeś tylko fałdy na aksamicie. Piętro, dlaczego?

Wydawał się bardzo zajęty czyszczeniem palety, nie patrzył mi w oczy.

— Mam swój powód.

— Jaki?

Zastanawiał się przez chwilę, potem odłożył paletę i ruszył ku drzwiom. Zagroziłam mu drogę.

— Powiedz mi!

— Czy aby na pewno chcesz wiedzieć? -Tak.

Był wyraźnie zakłopotany.



— Don Carlo zna ciebie. Pamiętasz? Poznałaś go kiedyś. On wie, jak wyglądasz. Wie także, co zdarzyło się w Rzymie.

— I co z tego?

— Chodzi o twoją reputację. Nie mogę namalować kobiety pohańbionej jako Madonny.

— Pohańbionej! Piętro, naprawdę tak uważasz?

— Oczywiście, że nie, ale moje zdanie nie ma najmniejszego znaczenia — powiedział cicho. — Don Carlo... obraz zostałby wyszydzony.

Zrobiło mi się słabo, musiałam oprzeć się o stół. Stałam plecami do niego, on podszedł i położył mi ręce na ramionach.

— Nie chciałem ci mówić. Skinęłam głową.

— Czy to wiecznie będzie się za mną ciągnąć? — Odwróciłam się do niego; czułam się zraniona, ale to nie on był winny.

Przytulił mnie do siebie.

— Pewnego dnia namaluję cię w złotej szacie i wszyscy będą wiedzieć, że to ty. To będzie tak wspaniały obraz, że nie sprzedam go nikomu. Nawet księciu Kosmie. Ani nawet — uniósł rękę — papieżowi!

Patos, z jakim to powiedział, rozbawił mnie i rozczulił. Nie mieliśmy czasu, żeby malować dla siebie, oboje mieliśmy zbyt wiele do roboty.

— Cóż, w takim razie jutro malujemy dalej. — Nie chciałam, żeby znalazł sobie inną modelkę i patrzył na nią, chciałam, żeby patrzył na mnie. Kto wie, do czego mogłoby to doprowadzić? Sam mówił, że kobiety we Florencji są bardzo piękne.

Będę dla niego pozować, dopóki będzie mu potrzebny

wieszak na błękitny płaszcz, będę siedzieć cicho i pocieszać się nadzieją na miłość.

Sprzedał obraz za godziwą cenę, oboje byliśmy zadowoleni. Teraz, kiedy zwiedzaliśmy kościoły, to on trzymał Palmirę na rękę, a ja trzymałam jego pod ramię. W Galerii Uffizi, którą ostatnio udostępniano malarzom przez jeden dzień w tygodniu, Botticelli wzruszył nas słodyczą i radością życia. Wenus stojąca na muszli uświadomiła mi, że wkrótce nasze dziecko będzie piękną młodą kobietą nie zważającą na swą urodę... kiedy stanęliśmy przez *Wiosną*, Palmira wyciągnęła pulchną rączkę w kierunku postaci Flory, wyraźnie przypadła jej do gustu kwiecista suknia boginki.

— Jak to się dzieje, że potrafi wskazać postać, która jej się najbardziej podoba? Przecież to tylko niemowlę.

— Już niedługo. Wkrótce będzie chciała dostawać piękne sukienki — odpowiedział Piętro.

Zastanawiałam się, czy skłonności artystyczne mogą się pojawiać tak wcześnie. Czy Michał Anioł jako niemowlę dostrzegał piękno posagu młodego Dawida wyrzeźbionego przez Donatella? Czy jego małe rączki, które później dzierżyć miały rzeźbiarskie dłuto i młotek, wyciągały się za każdym razem, gdy przenoszono go obok niszy, w której znajdowała się jakaś rzeźba? Próbowałam sobie przypomnieć, ile miałam lat, kiedy ojciec po raz pierwszy pokazywał mi obrazy w Rzymie. Czy moje oczy również łakomie pochłaniały kształty i kolory?

Piętro i ja malowaliśmy, stojąc obok siebie, Palmira zaś raczkowała na podłodze. Kiedy zaczęła chodzić, potknęła się pewnego razu i upadła na sztalugę Pietra, która przewróciła się na nią. Podniosła straszny krzyk, a my rzuciliśmy się ją pocieszać. „Palmiro, wszystko będzie dobrze.

Mama jest z tobą. I tato też". Jej drobne ciało drżało od szlochania, przyciskałam ją do piersi, czułam się trochę bezradna. Piętro trzymał jej bosc stopy.

Następnego dnia skonstruował urządzenie składające się z pionowego drąga sięgającego od podłogi do sufitu i poprzeczki, znajdującej się mniej więcej na wysokości pasa Palmiry. Urządzenie działało na zasadzie kieratu: kiedy przymocowaliśmy ją do poprzeczki, mogła chodzić w kółko, nie plątała się nam pod nogami, a jednocześnie cały czas mogła być z nami. Byłam tak wzruszona jego troskliwością, że napisałam o tym list do Grazielli i Paoli. Dla mnie oznaczało to, że w jego opinii mogę być jednocześnie malarką i matką. Niewiele kobiet mogło powiedzieć to o swoich mężach.

## INCLINAZIONE

Wreszcie poczułam, że mam wystarczająco dużo obrazów — i dość pewności siebie — by pokazać się Michałowi Aniołowi Buonarrotiemu Młodszeemu. Ponieważ nie potrafiłam pisać kwiecistym stylem, jaki przyjęty był w tego rodzaju listach, poprosiłam Pietra, żeby napisał w moim imieniu list przypominający Buonarrotiemu o liście ojca i zawierający prośbę o spotkanie.

— Twój ojciec go zna?

— Tak. Poznali się wiele lat temu. -Nie.

— Piętro, proszę cię. Nie potrafię pisać takim udziwnionym stylem. W takim razie powiedz mi, co mam napisać. Podpiszę się jako Artemizja Gentileschi, żona malarza Pierantonio Stiattese. W ten sposób usłyszy też o tobie.

W końcu się zgodził. Naostrzyłam pióro i napisałam list pod jego dyktando.

— Tylko nie za szybko — powiedziałam i wykaligrafowałam starannie każdą literę.

Odpowiedź nadeszła bardzo szybko; Buonarroti zapraszał mnie do swojej siedziby na via Ghibellina. Piętro przeczytał ją, uniósł brwi, ale nic nie powiedział. Poszłam sama, po drodze potknęłam się o wystający brukowiec i zostałam ochlapana wodą z kałuży przez przejeżdżający

powóz. W końcu, zdyszana i wystraszona, dotarłam przed dom znajdujący się w wąskiej uliczce i zastukałam do drzwi, na których nie znajdował się żaden napis. Otworzył mi służący, który poprowadził mnie schodami na górę, przez niewielki przedpokój i do dużej sali z kartuszami na suficie. Mężczyzna ubrany w zielony *lucco* bez rękawów, przynosił właśnie stos papierów z wysokiego sekretarzyka na długi stół stojący pośrodku pomieszczenia. Lokaj oznajmił moje imię.

— Ach, signora, czekałem na panią — powitał mnie; jego miękki głos dobywał się spod zwisających wąsów.

— Proszę o wybaczenie, wasza wielmożność. Nie znałam drogi.

— Mam na myśli to, że czekałem na panią od dnia, kiedy otrzymałem list jej ojca. Trzeba było przyjść do mnie od razu, kiedy tylko przybyliście do Florencji.

— Nie wiedziałam.

— To nieważne. Proszę pokazać, co pani przyniosła. Odsunął książki i teczki, żeby zrobić miejsce na stole

z intarsjowanego drewna. Rozłożyłam na nim nowe studia i rysunki. Przyglądał się im uważnie, pociągał za spiczastą bródkę i mruczał coś pod nosem. Wydawało mi się, że z aprobatą. *Judytę i Zuzannę* przymocowaliśmy do stołów służących do rysowania. Buonarroti umieścił blaty w pozycji pionowej i pozwolił rozwinąć się płótnom. Uniósł brwi, na jego ustach pojawił się uśmiech.

— Zupełnie tak, jak pisał pani ojciec.

— Podobają się wam, signore? — ośmieliłam się zapytać. Zachichotał i popatrzył na mnie niemal z czułością.

— Pani Zuzanna jest z prawdziwego ciała. Te linie na jej szyi, połączenie ręki z korpusem, fałdka pod brzuchem... mężczyźni nie zwróciliby uwagi na te szczegóły. A *Judyta*

to niezwykle skomplikowana kompozycja, a zarazem tak rzeczywista i prawdziwa, jakby pani tam była i wszystko widziała. Ta interpretacja zmieni sposób myślenia o niej. Moje serce biło tak głośno, że chyba musiał to słyszeć.

— Dziękuję, wasza wielmożność.

— Zamierzam właśnie przekształcić komnaty na tym piętrze w galerię upamiętniającą postać mojego boskiego przodka. W tym pomieszczeniu znajdować się będą alegorie jego cnót i dokonań. Wielu artystów weźmie udział w tych pracach. W każdym z kartuszy na suficie znajdzie się malowidło.

Uniosłam głowę, by się przyjrzeć biało-żółtym ramom na suficie.

— Czy mógłbym zamówić u pani obraz do panelu w *quadro riportató*? — zapytał.

Skłoniłam głowę i wykonałam dworski rewerans, najbardziej elegancko, jak potrafiłam.

— To zaszczyt dla mnie.

— Jedna postać. Akt kobiecy. Przedstawiać będzie *Inc/inaz/one*, czyli jego wrodzone skłonności artystyczne. Talent, który pani dzieli z boskim.

Wiele wysiłku mnie kosztowało, by na mej twarzy nie odmalowało się nic prócz skromności.

Uśmiechnął się po ojcowsku i znów spojrzał na *Zuzannę*.

— To będzie jedyny akt kobiecy. Najwyraźniej ma pani dar w tym kierunku. Przy tym będzie pani łatwiej tego dokonać. Rysowanie aktów z natury zabronione jest przez akademię. Malarze wyobrażać sobie muszą kobiety, używając jako modeli młodych mężczyzn. Nie można za bardzo ufać ich wyobraźni. Od obrazu do obrazu tworzą coraz bardziej wyidealizowaną wizję i nie zdołają dorównać rea-

lizmowi pani przedstawienia. — W kącikach jego oczu pojawiły się drobne zmarszczki, uśmiech satysfakcji na myśl, że będzie miał coś, czego nie ma nikt inny.

Otworzył tom *Ikonologii* Cesare Ripy, taki sam egzemplarz, jaki miał mój ojciec. Znaleźliśmy *Inclinazionez* cyrklem w dłoni i gwiazdą jaśniejącą nad jej głową niczym gwiazda przewodnia.

— Niech ją pani namaluje na tle ciemnobłękitnego nieba. Niech wygląda dumnie. Proszę, sobie dobrać modelkę, otrzyma pani też szczodłą zaliczkę na materiały. Wiem, że będę zadowolony.

— Zacznę już jutro. Z całego serca.

Moje pierwsze zamówienie! Miałam ochotę przebiec w podskokach całą drogę do Rzymu i wykrzyknąć radosną nowinę. Zastanawiałam się co prawda, czy dostałabym je, gdyby ojciec nie napisał wcześniej listu, ale nie mogłam długo o tym myśleć. W przyływie nadziei i podekscytowania natychmiast po powrocie do domu zabrałam się do wstępnych szkiców. Piętro przyglądał mi się w milczeniu z rękami splecionymi na piersi. Nie powtórzyła mu słów Buonarrotiego o moim talencie.

— Gdzie mogę znaleźć kobietę, która będzie mi pozowała? — spytałam.

— W akademii.

Uznałam, że będzie to wyśmienita okazja, by dać akademikom do zrozumienia, że nawet bez ich udziału uzyskałam zamówienie od wpływowego mecenasa.

— Pójdę tam jutro.

— A kto się zajmie Palmirą? ja mam pracę — powiedział to bezbarwnym, zdecydowanym tonem.

— To nie potrwa długo.

— Będę rysował pewną rzeźbę w Uffizi.

— Pozwolą ci?

— Mój przyjaciel jest tam odźwiernym. On nas wpuści. -Nas?

— Mnie i przyjaciół.

— Nie mogę wziąć Palmiry ze sobą do akademii.

— Możesz zostawić ją na górze, u Finy. Widywałam Finę niemal codziennie na schodach albo

przy studni na dziedzińcu, zawsze zamieniałyśmy kilka słów, nigdy jednak nie byłam w jej mieszkaniu. Zawsze kiedy widywała Palmirę, nazywała ją słodkimi, zabawnymi imionami, takimi jak *Stella del Mattino*, jeśli spotykałyśmy się o poranku, albo *Diva del Lungarno*, jeśli Palmira płakała. Czasami głaskała małą albo lekko ją łaskotała. Kiedy po raz pierwszy pozwoliłam jej potrzymać Palmirę, twarz Finy rozjaśniła się jakby wewnętrznym światłem; wyszeptała: *Fiore dolce*.

Pobiegłam od razu na górę, żeby ją zapytać. Drzwi Finy były otwarte, śpiewała, robiąc pranie. Zdziwiłam się, słysząc jej mocny, dźwięczny głos. Wyraźnie była w dobrym humorze.

— Czyż to nie przepiękny dzień — powiedziała; nie było to pytanie, ale raczej stwierdzenie.

— Skąd wiesz? Nie wychodziłaś na dwór.

— Piękny dzień przychodzi do ciebie, jeśli go wpuścisz. Okna są otwarte. Słyszałaś śpiew drozda?

— Nie, chyba nie.

Fina miała tak pogodny wyraz twarzy, że nawet jej pospolite, pucołowate rysy były miłe dla oka.

— Twój śpiew przypomina mi moją matkę. Zawsze śpiewała, krzątając się po domu. Mój ojciec też śpiewał... jurne



piosenki o awanturkach i *condottień*, i piosenki pijackie. Ale moja matka śpiewała pieśni trubadurów.

— Ze śpiewem łatwiej żyć.

Najwyraźniej na strychu był tylko jeden obszerny pokój, a w nim łóżko, stolik, skrzynia, lampka oliwna, kominek, miska i balia do prania. Był jeszcze jeden przedmiot, który wyglądał jak przeniesiony z innego świata: obity wytartym aksamitem w kolorze burgunda fotel z mościeżnymi ówiekami, siedzisko i oparcie obramowane było jedwabnymi frędzlami. Widać było, że pamięta lepsze czasy. Wszędzie rozrzucone były ubrania.

— To wszystko twoje ubrania? — spytałam.

— Mój Boże, nie! Myślisz, że jestem taka bogata? Należą do rodziny, która mieszka pod wami.

Mieszałam pranie drewnianą kijanką, podczas gdy ona wlewała gorącą wodę do balii.

— Robisz pranie też dla innych?

— Jasne, dla Pierantonia też prałam... zanim ożenił się z tobą.

— Od dawna go znasz?

— Odkąd był w brzuchu swojej mamy...

Ciekawa byłam, jakim był dzieckiem i co jeszcze o nim wie, ale postanowiłam poczekać, aż poznam ją lepiej.

Wychyliła się przez okno, żeby wyżąć wyprane szmatki i zawiesić je na sznurku rozciągniętym pomiędzy dwoma poziomymi prętami wbitymi w ścianę budynku.

— Signora Bruni z parteru nie życzy sobie, żeby ubrania suszyły się na naszym dziedzińcu, bo wtedy widzą je ludzie, którzy przychodzą do niej z wizytą, więc muszę je wieszać nad ulicą. Głupia kobieta. Teraz przecież widzą je wszyscy przechodnie.

— Mam dla ciebie pracę, ale nie chodzi o pranie.

— Niewiele więcej potrafię. Czego ci potrzeba?

— Widzisz, ja też jestem malarzem i właśnie dostałam fantastyczne zlecenie...

— Malarzem? Tak jak ten twój mąż? -Tak.

— Za pieniądze?

— Tak.

— *Mamma mia*, to może dlatego on się na to zgadza. Za pieniądze. Coś takiego, żeby kobieta malowała za pieniądze. Na pewno nie masz na myśli pozowania do obrazów? Wiesz, jesteś piękną kobietą.

— Nie, Fino. Chodzi o malowanie. Czy to takie nedorzeczne?

Przechyliła głowę na bok, jej dolna warga wysunęła się do przodu, poza cień wąsów na górnej wardze.

— Muszę jutro iść do Accademia del Disegno, a on nie może zaopiekować się Palmirą, kiedy mnie nie będzie. Czy mogłabym przynieść ją do ciebie?

— Ach, o to ci chodzi? Oczywiście. Przynieś ją. Wiesz, że uwielbiam twoją małą księżniczkę.

— Być może będę potrzebowała częściej twojej pomocy, Fino — jeśli nie masz nic przeciwko temu. Oczywiście zapłacę ci.

Następnego dnia ospowaty intendent w akademii zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów, skrzywił się i spytał:

— Czego tutaj szukasz?

Uważałam, by tym razem nie dać się wyprowadzić z równowagi.

— Wasza wielmożność, chciałabym spytać o modelki pozujące do obrazów.

— Mamy tutaj taką listę, z której korzystają artyści w razie potrzeby.  
— Ściągnął z półki plik papierów związanych rzemieniem i położył je na stole. — Możesz się dopisać — przysunął kałamarz w moją stronę — jeśli potrafisz pisać.

Rusz tym zapleśniałym mózgiem, pomyślałam.

— Wasza wielmożność może przypomina sobie, że jestem malarką. Potrzebuję modelki do obrazu zamówionego u mnie przez pana Buonarrotiego do jego galerii. Zapewne słyszeliście o tym projekcie.

Zasznurował usta.

— Ta lista jest tylko do użytku członków akademii. — Wyciągnął rękę po papiery.

-~ Czy signor Buonarroti należy do niej?

— Oczywiście.

— A ja chcę wybrać model dla pana Buonarrotiego. Pociągnął hałaśliwie nosem.

— Możesz skorzystać z listy — powiedział szorstko.

Powtarzałam sobie, że nie wolno mi okazywać satysfakcji. Nie wolno mi wypowiedzieć tego słowa, którego moja matka tak nie znosiła. Po prostu załatwić sprawę i podziękować.

Spisałam pracowicie dwadzieścia imion i adresów i opłaciłam *messaggero* akademii, by zaniósł każdej z nich wiadomość, że mają stawić się u mnie w domu w następny piątek.

Pietro poszedł najpierw do ulicznego golibrody, a potem znów rysować do Galerii Uffizi. Do mnie tymczasem przychodziły kolejne modelki, kazałam im wszystkim się rozbierać, ale najczęściej spotykało mnie rozczarowanie. Jedna miała ładną twarz, inna piersi i ramiona, inna jeszcze tułów i brzuch. Może w taki sam sposób mężczyźni oceniają kobiety, przyglądając im się na ulicy. W końcu

zdecydowałam się na modelkę imieniem Vanna — urodziwą kobietę o jasnych włosach i skórze w kolorze miodu, wysmukłych i kształtnych kończynach — właściwe połączenie siły i wdzięku. Przeszkadzało mi tylko to, że wciąż pociągała nosem.

Byłam w dobrym nastroju i pełna życzliwości dla całego świata, wpadłam więc na pomysł, dzięki któremu mogłam zatrzymać Pietra w domu — żeby nie chodził do Uffizi, a jednocześnie dać mu przewagę nad jego kolegami z cechu malarskiego.

— Mój mąż, Pierantonio Stiattesi, jest wybitnym malarzem. Czy będzie ci przeszkadzać, jeśli on też będzie cię szkicować, kiedy ja będę wykonywać wstępne rysunki? Mówię o pozowaniu nago.

Zastanowiła się przez chwilę.

— Podwójne wynagrodzenie? — spytała.

— O połowę większe.

— Zgoda. Jeżeli ty mnie upozujesz i będziesz cały czas w pokoju.

— Oczywiście.

— Żadne z was nie może o tym opowiedzieć w akademii.

— To jasne.

Rano Piętro i ja zasiedliśmy przy deskach ustawionych na sztalugach. Czekaliśmy, aż Vanna odprawi swój rytuał powolnego rozbierania; każdą część odzieży starannie składała, nim zdjęła następną. Najwyraźniej starała się unikać spoglądania w stronę Pietra, ale po jej ospałych ruchach widać było, że jego spojrzenie w jakiś sposób sprawia jej przyjemność i że doskonale zdaje sobie z niego sprawę. Powiedziałam jej, jaką pozycję ma przyjąć, i zaczęłam rysować.

Piętro siedział bez ruchu. Patrzyłam tylko na Vanne i mój rysunek, ale czułam, że on tylko siedzi i się przygląda. Próbowałam odgadnąć z wyrazu twarzy modelki, w jaki sposób Piętro jej się przygląda. Po sposobie, w jaki trzymała głowę — z uniesionym podbródkiem, lecz spuszczonej oczami — domyśliłam się, że jest pewna siebie, dumna ze swej urody, nawet nieco wyniosła. Wkrótce przestałam o tym myśleć, pograżyłam się w pracy. W pokoju panowała cisza. Słychać było tylko skrzypienie węgla na papierze, pociąganie nosem i pokasływanie Pietra. Po jakimś czasie Piętro przestawił sztalugę dalej ode mnie, żeby patrzeć na modelkę pod innym kątem. To był dobry pomysł — w ten sposób nie kusilo nas, by podglądać się wzajemnie.

Kiedy skończyliśmy rysować ostatnią pozę, Vanna spojrzała przeciągle na Pietra i odwróciła się do niego plecami, żeby się ubrać. Przyjęła ode mnie monety z wielką godnością.

— Czy chcesz — pociągnęła nosem — żebyśmy przyszła jutro?

— Tak, przychodź codziennie.

Wieczorem Piętro i ja porównaliśmy nasze szkice. Miał cięższą kreskę, pewniejszą rękę i oddał wybujałą zmysłowość postaci, nie spostrzegł jednak tego, co ja zauważyłam: mięśnia pod jej piersią, który zaczynał się na wysokości pachy, oraz zmarszczek na jej ręce.

— Masz lepszą kreskę — powiedziałam. — *X* lepiej narysowałeś skrót stopy. Zobacz, tutaj też, na każdym rysunku. Dlaczego mi to tak ciężko idzie?

Wzruszył powoli ramionami, ale nie powiedział ani słowa.

Następnego ranka Piętro ustawił deskę na sztaludze i przymocował do niej arkusz papieru. Kiedy pojawiła się Vanna, wymienili spojrzenia, które wzbudziły mój niepokój. Piętro powiedział, że ma coś do załatwienia, i szybko wyszedł z domu. Pomyślałam, że postępuje bardzo lekkomyślnie, tracąc tak wyjątkową okazję. Vanna zaczęła się rozbierać.

— Dzisiaj nie trzeba. Zdejmij tylko buty i unieś spódnicę. Siądź na stole, żeby stopy zwisały swobodnie.

— On nie chce, żebyś malowała — powiedziała Vanna.

— Skąd wiesz? Wzruszyła ramionami.

— Po prostu wiem.

— Nie płacę ci za to, żebyś wiedziała, tylko żebyś pozowała.

Przez cały dzień rysowałam tylko stopy i kostki, wszystko inne przestało być ważne. Rysowałam stopy z boku, z prawej strony, z lewej, w trzech czwartych z każdej strony i z przodu. Potem zaczęłam na nowo, aż w końcu byłam zadowolona i namalowałam kilka małych studiów. Powiedziałam Vannie, że może już iść i żeby przyszła następnego dnia.

Tuż po jej wyjściu Piętro wpadł do domu uradowany, rzucił kaftan na krzesło, chwycił mnie wpół i okręcił dookoła.

— Dostałem zamówienie. Jutro zaczynam!

— Świetnie. Dla kogo?

— Dla kościoła na Monte Uliveto. — Nalał sobie kieliszek wina.

— A więc nie będziesz mógł rysować modelki. Co to za praca?

— Fresk.

— Nigdy nie malowałeś fresków.

— Malowałem, jako czeladnik.

— Plafon czy ściana?

Usiadł, stanęłam za nim i zaczęłam masować jego ramiona.

— Ściana.

— To dobrze. Czy możesz wybrać temat?

— Nie. To... — wypił łyk wina i spojrzał z ukosa na moje rysunki stóp  
— chodzi o naprawę fresku.

jaką mógł mieć z tego korzyść? Po sposobie, w jaki oderwał kawałek chleba i zaczął przyglądać się moim rysunkom, zrozumiałam, że nie powinnam go o to pytać, ale poczułam się nieswojo.

Przez kilka tygodni wychodził z domu, ale zawsze dopiero po przyjściu Vanny. Wymieniali kilka słów, a potem on szedł do pracy. To zamówienie być może było kwestią zbiegu okoliczności, a może chciał mi po prostu ułatwić pracę, żebym czuła się swobodniej sam na sam z modelką. Nie pytałam, zajęłam się moją *Inclinazione*. Ojciec mówił, że im prostsze jest tło, tym dokładniejszy musi być rysunek postaci — a więc skoro za nią znajdować się miało tylko niebo i chmury, to zdecydowałam się wykonać trzy razy więcej szkiców niż zwykle.

— Zbyt wiele do wyboru — powiedział Buonarroti i zachichotał. — Przez ciebie staremu człowiekowi kręci się w głowie. — Rozłożył wszystkie rysunki na podłodze i przechadzał się tam i z powrotem, przyglądając się im.

Czekałam i wsłuchiwałam się w skrzypienie drewnianej podłogi. Wybrał w końcu jeden rysunek przedstawiający modelkę widzianą od przodu, siedzącą lekko na szarej

chmurze z nogami wyciągniętymi w dół i opartymi na białym obłoczku. Stopa znajdująca się z przodu narysowana była w skrócie. Poczułam ciepły przyływ zadowolenia.

— Umieszczę ją tam — wskazał na narożny kartusz znajdujący się bezpośrednio nad wejściem, zapisał jego rozmiary i podał mi kartkę. — A teraz chodź ze mną. Chcę ci coś pokazać. — Uśmiechnął się, jakby z góry ciesząc się na coś.

Zeszłam za nim po wąskich schodkach na niewielki dziedziniec, na którym nie było żadnych roślin, tylko studnia pośrodku. Podeszliśmy do drewnianej skrzyni stojącej na kamieniach, którymi wybrukowany był podwórzec.

— To jego pierwsza praca. — Podniósł pokrywę i odgarnął słomę. Zobaczyłam płaskorzeźbę przedstawiającą Madonnę z Dzieciątkiem przy schodach. — Wyrzeźbił to, kiedy miał zaledwie szesnaście lat. Dostałem ją wczoraj.

— To naprawdę Michał Anioł? — Wstrzymałam oddech, to było nie do wiary.

Marmurowa płyta leżała po prostu w drewnianej skrzyni na słomie. Pochyliłam się, ośmieliłam się oprzeć o brzeg skrzyni, tak jakby była jakimś świętym relikwiarzem. Madonna miała w sobie bezpretensjonalny wdzięk, a Dzieciątko Jezus w tak naturalny sposób skrywało głowę pod jej płaszczem... Jego rączka z tyłu za plecami przywodziła mi na myśl rączkę Palmiry.

— Wydobył tyle wyrazu z tak niewielkiej płaskorzeźby. — Oczy mi się zamglily. — Sprawia, że czuję świętość macierzyństwa.

Spostrzegłam stopę Marii i zauważyłam, że noga przy kostce jest za gruba. Nawet on miał kłopoty ze stopami, kiedy był młody.



— Płaskorzeźba należała do Medyceuszy, ale Kosma podarował ją galerii, tak więc powróciła do domu — powiedział cicho.

Spojrzałam na Michała Anioła Młodszeo. Na jego twarzy malował się wyraz czułości, który przywiódł mi na myśl fresk w Santa Trinita przedstawiający wielkiego rzeźbiarza.

— Czy był do was podobny? — spytałam.

— Możesz się sama przekonać.

Zaprowadził mnie do niewielkiego gabinetu na parterze. Cały pokój wypełniony był koszami pełnymi listów ustawionymi na ławkach wzdłuż ścian; na jednej z nich wisiał portret. Zobaczyłam cień takich samych zmarszczek idących od nozdrzy do wąsów, te same krzywizny bruzd na czole, takie same kurze stopki w kącikach oczu i to samo miękkie, a zarazem przenikliwie spojrzenie co u mężczyzny stojącego obok mnie.

— Cóż za odpowiedzialność, być do niego tak podobnym z wyglądu. Czy znaliście go?

— On był starcem, a ja małym chłopcem. Powiedział mi kiedyś: „Pracuj, Michelangelo, pracuj i nie trać czasu”.

— To dobra rada także dla mnie — powiedziałam, wpatrując się w portret.

Kiedy wracałam do domu, aż mi się kręciło w głowie. Zobaczyłam pierwsze dzieło Michała Anioła, właściwie widziałam jego twarz, a jego spadkobierca chciał, bym uczciła pamięć boskiego moją pracą. Otrzymałszy tak ważne zamówienie — oraz pieniądze, które dostałam na materiały — naprawdę żyłam życiem artysty w światowej stolicy sztuki. Wstąpiłam do sklepu naszego aptekarza. Na półkach

stary w rzędach butelki i słoiki zapieczętowane woskiem, z sufitu zwieszały się suszone zioła. Na mnie zaś czekały kostki pigmentów owinięte w papier i ułożone w równiutkich rzędkach. Na każdym papierku widniał kolorowy odcisk kciuka właściciela apteki, aby umożliwić rozpoznanie pigmentu bez odpakowywania. Teraz mogłam kupić każdy z nich.

— *Buongiorno, signora*. Jak się miewa malutka *bambl-na*? — spytał Franco.

— Szybko rośnie. Jest radością naszego życia.

— Potrzeba wam więcej diapasmy?

— Nie, potrzebuję pigmentów.

Wybrałam alabaster do malowania karnacji i hiszpański cynober do świateł oraz kilka pasemek szafranu do utarcia i ugrową masę, którą trzeba było ususzyć i zemleć. Dołożyłam do tego mnóstwo szarego i białego ołowiowego pigmentu i powiedziałam:

— Muszę namalować głęboki błękit nieba.

— Mam nieco doskonałego *azzurro deli' Allcmagna* — powiedział Franco. Przez cały czas wydłubywał językiem resztki jedzenia spomiędzy zębów i dolnej wargi.

— Nie, Franco. Tym razem potrzebuję czystej ultramaryny.

Przyjrzał mi się uważnie, marszcząc brwi.

— Kamień lapis-lazuli drogo kosztuje, tyle co złoto. To dla Pierantonio?

— Cóż to ma za znaczenie?

Zawahał się, jego język znów znalazł się pomiędzy wargą a zębami.

— Jeżeli nie masz go, to powiedz, pójdę gdzie indziej. — Postawiłam ciężką sakiewkę na stole, monety zadźwięczały głośno.

Zamarł na chwilę, a potem odwrócił się i otworzył szafkę zamkniętą na klucz. Wyjął z niej jakieś zawiniątko, które rozwiązał i rozłożył przede mną kamienie.

— Pochodzą z Dalekiego Wschodu — powiedział tajemniczym, przyciszonym głosem. - Pomyśl tylko, przez jak wiele rąk musiały przejść, by przebyć tę odległość.

— O tak, i każda z nich zwiększała cenę. Ile kosztują?

— Który kamień? — Dotknął największego, jakby chciał coś zasugerować.

— Wszystkie.

Otworzy! szeroko oczy. Uzgodniliśmy cenę, a wtedy on zapytał:

— Czy wolno mi wiedzieć, dla kogo przeznaczony będzie taki obraz? Pozbierałam moje zakupy i rysunki, uśmiechnęłam się przekornie i powiedziałam:

— Dla Florencji.

Zamówiłam u stolarza wąski i wysoki blejtram o wymiarach podanych mi przez Buonarrotiego; był tak duży, że aby namalować postać kobiecą naturalnej wielkości, musiałam zamówić też większe sztalugi. Ponadto kazałam stolarzowi zrobić osobne biurko na moje rysunki, pędzle i pigmenty. Od tej chwili byliśmy naprawdę rodziną złożoną z dwojga artystów. A pewnego dnia — kto wie — może nawet trojga.

Zagruntowałam płótno i utarłam pigmenty na zapas. Oleju lnianego dodawałam dopiero w dniu, kiedy potrzebowałam ich do malowania. Vanna pozowała mi, a ja zaczęłam szkicować ogólny zarys postaci. Kolejne tygodnie upływały mi w radości tworzenia kształtu cieniem i kolo-

rem. Pracowałam jak w transie, zapominając o wszystkim prócz przyjemności, jaką daje kładzenie farby.

Malowałam właśnie jej kostkę, kiedy usłyszałam głos Palmiry docierający jakby z odległej krainy:

— Mamo, jestem głodna, mamo! Wzdrygnęłam się. Było już późno po południu.

— Och, kochanie, tak mi przykro. Zaraz będziemy jadły. — Pobiełam do kuchni, żeby przynieść miskę makaronu, który został z poprzedniego dnia. Pokropiłam fasolę oliwą, wyjęłam też ser *pecorino* i paprykę. Poprosiłam Vannę, żeby zjadła razem z nami. Nałożyłam trochę miodu na plasterek sera i dałam Palmirze.

— Dobrze, że to dziecko tu się kręci — powiedziała Vanna. — Dzięki niej przerwałaś pracę i możemy coś zjeść.

— Tak, działa nie gorzej niż zegar wybijający godziny. — Popchnęłam w jej stronę tacę z figami. — Czy chciałaś kiedyś malować? — spytałam.

— Nigdy. Po co się tak męczyć? Mężczyźni malują. Kobiety pozują. Czyż to nie jest normalny porządek rzeczy?

— Jeżeli tak uważasz, dlaczego zdecydowałaś się przyjść, przecież w ogłoszeniu wyraźnie było powiedziane, że malarzem jest kobieta?

— Potrzebuję pieniędzy. Jestem sama i mam dwóch chłopaków. Domyślasz się, że nie mam zbyt wielkiego wyboru.

Oczywiście ciekawa byłam, co stało się z jej mężem — jeżeli w ogóle kiedyś miała męża — ale nie chciałam być wścibska i nie zapytałam.

— Myślisz, że możesz zostać sławna dzięki pozowaniu?

— Myślę, że tak. Mogą nie znać mojego imienia, ale będą oglądać mnie na ścianie albo na suficie jakiegoś pałacu, do którego ja sama nigdy nie wejdę.

— I ta myśl daje ci zadowolenie?

— Pewnie. Czemu nie? — Miałam wrażenie, że jest zarazem rozdrażniona i rozmarzona, co stanowiło dziwną kombinację. — Ktoś, kto zobaczy mnie na obrazie, być może rozpozna mnie kiedyś na ulicy i spojrzy na mnie innymi oczami. Może nawet przemówi do mnie. To może się zdarzyć.

— Tak, chyba może. Masz jeszcze przed sobą wiele lat, ale na obrazie możesz przetrwać całe wieki...

— Znaczy wtedy, kiedy obie nie będziemy już żyły? — Wyprostowała się, wysuwając piersi do przodu. — Taka, jaka jestem, przetrwam znacznie dłużej niż jakikolwiek artysta, który mnie maluje.

Na to nie miałam odpowiedzi. Ona widziała tylko to, co znajduje się na powierzchni. To, czym ja się zajmowałam, było dla niej czymś niecielesnym, a więc mało istotnym.

— Czy twoi chłopcy lubią figi? Weź dla nich trochę. Zrobiła obrażoną minę.

— Proszę — nalegałam. — Mamy ich więcej, niż możemy zjeść, to z tego drzewa na dziedzińcu.

— Będą wstrząśnięci realnością tej postaci, zdajesz sobie sprawę? — powiedział Buonarroti, spoglądając na ukończony obraz ustawiony na sztalugach w jego domu.

— Naga kobieta siedząca na chmurze ma w sobie coś realnego? Zachichotał.

— Kobieta. Prawdziwa, różowa, kobieta z krwi i kości. Jest wyśmienita.

— Jestem pewna, że byłaby szczęśliwa, słysząc wasze słowa.

— Akademia, Bandinelli, Kosma... wszyscy ją zobaczą

i zachwyca się — mówił, odliczając trzydzieści cztery złote floreny na stole. Wsadził je do brązowej sakiewki z aksamitu i podał mi. Uśmiechnął się. — Czy chcesz wiedzieć, która jej część najbardziej mi się podoba?

Piersi? Biodra? Naprawdę nie miałam pojęcia.

— Może twarz?

— Nie. To pulchne lewe przedramię z uroczym wybrzuszeniem łokcia. Jesteś drugim Rubensem. A ja jestem pierwszą osobą we Florencji, która się na tobie poznała.

— Będę wam wdzięczna do końca życia.

Odwrócił się tyłem do mnie i zaczął szukać czegoś pośród papierów i piór w szufladzie biurka, w końcu wyciągnął pędzel grubości mniej więcej mojego palca. Był to pędzel z sobola, o długim trzonku z orzecha włoskiego i w mosiężnej skuwce. Podał go mi.

— Trzymaj. Nie zgub go. Należał do mojego stryjecznego dziadka.

— Do samego Michała Anioła?!

Pochylił się ku mnie z tym swoim rozbawionym, ojcowskim uśmiechem i pokiwał poważnie głową.

— To jedyny z moich stryjecznych dziadków, który malował. Musisz się nim zadowolić.

— Przecież to skarb! Nigdy nie odważę się go użyć.

— Ależ przeciwnie, musisz nim malować. Niech ci przypomina o tym, że Bóg błogosławi geniuszowi tylko wtedy, gdy on sam zachowuje zdrowy rozsądek. — Pogroził mi palcem. — Talentu nie wolno skrywać pod korcem. — Popatrzył znów na mój obraz. — Każde piękno, jakie oglądane jest na tej ziemi przez osoby obdarzone zdolnością spostrzegania, przypomina bardziej niż cokolwiek innego owo niebiańskie źródło, z którego wszyscy pochodzimy... oto, co powiada w jednym z wierszy, które napisał.

— Bóg? — żartowałam. — Bóg napisał wiersz?

— Nie. Michał Anioł.

— To na jedno wychodzi.

Po powrocie do domu wyłożyłam wszystkie trzydzieści cztery monety na stół, żeby pokazać Piętrovi. Ułożyłam je liliami do góry. Nie pokazałam mu jednak pędzla. Przypomniałam sobie bowiem rade Grazielli: „Bądź mądra”.

Czekałam na niego, a zarazem zdałam sobie sprawę z tego, co mi przeszkadzało. Nie czułam tego po ukończeniu *Zuzanny* ani *Judyty*. *Inclinazione* jest być może piękna. Być może wygląda jak prawdziwa, ale czegoś w niej brakuje. Malując ją, odczuwałam przyjemność czysto wzrokową, tworzyłam kształt i nadawałam mu kolor; przyjemność z dotyku pędzla i farb na palecie, nie była to jednak przyjemność intelektu. W tym obrazie nie było *invenzione*. Obraz nie opowiadał żadnej historii. Zapłacono mi za znajomość rzemiosła, ale nie za sztukę.

Postanowiłam, że nie napiszę o tym do ojca.

— To nie do wiary — powiedział Piętro, kiedy wrócił do domu i zobaczył monety. Przeliczył je jeszcze raz z ustami szeroko otwartymi ze zdziwienia. — Inni artyści pracujący na zamówienie Buonarroto za obrazy przedstawiające jedną postać dostawali zaledwie po dziesięć florenów.

— Skąd o tym wiesz?

— Takie rzeczy się wie. To część naszego zawodu.

Tej nocy leżał w łóżku nieruchomo jak kamień.

## AKADEMIA

Umyłam włosy i wydłubałam za pomocą gałązki resztki farby spod paznokci. Wysmarowałam moje stare buciki świńskim tłuszczem i wyprałam moją suknię w kolorze wina. Ociekający wodą gorset nie wyglądał najgorzej, ale spódnica przypominała raczej ścierkę do podłogi. Zlana zimnym potem pobiegłam z obiema częściami na górę do Finy.

— Moje dziecko. Tak delikatnej sukni nie wrzuca się do wody. Szoruje się tylko te miejsca, które trzeba wyczyścić. Teraz nieźle się nameczymy, zanim znów będzie jako tako wyglądać.

— Zniszczyłam ją?

— Dołóż no drewna do ognia.

Pokazała mi, w jaki sposób prasować tkaninę, używając dwóch kawałków żelaza w kształcie zaokrąglonych łuków — ogrzała je przedtem na palenisku. Nie mogłam sobie z tym poradzić i robiłam jeszcze więcej zagnieceń, zamiast je wyprostować. Patrzyła przez chwilę i odsunęła mnie łokciem.

— Przytrzymaj tę suknię, żeby nie pobrudziła się o podłogę. Tu u mnie nie jest za czysto.

Zajęło nam to większą część popołudnia.

— Od tej chwili będę ci płacić, żebyś robiła całe nasze pranie.



— A powiedz mi, cóż to za okazja, że wkładasz taką suknię?

— Zostałam wezwana do Accademia del Disegno. Na zaproszeniu napisane jest „Ceremonia przyznania członkostwa i wystawa, dla upamiętnienia dnia świętego Łukasza”.

— He? — Spojrzała na mnie ciekawie.

— Buonarroti, ten człowiek, dla którego malowałam obraz, pokazał go członkom akademii. Myślę, że mnie przyjmą.

— A Pierantonio? — Przyglądała się z nachmurzoną miną sukni rozłożonej na stole. — On też jest zaproszony?

-Nie.

— Co on o tym myśli? — Nic nie powiedział.

— Hm. Bądź ostrożna...

— Ostrożna? Jak mogę być jeszcze bardziej ostrożna? Przecież musiałam mu pokazać to zaproszenie.

Obejrzał je, mrużąc oczy, na jego ustach podczas czytania pojawił się dobrze mi *znany* asymetryczny grymas. Powiedziałam tylko-. „Mam nadzieję, że ten nadęty intendent, którego twarz przypomina rosnące ciasto, nie umieścił mojego nazwiska na liście modelek. Myślisz, że to o to może chodzić?”

Piętro popatrzył na mnie tak, jak spogląda się na uciążliwego głupka na ulicy, i odpowiedział pytaniem: „Skąd mogę wiedzieć?”

Pomogłam Finie obrócić spódnice na drugą stronę.

— Będę ostrożna.

Sala wystawowa akademii pełna była mężczyzn rozprawiających w grupach przed obrazami. Signor Buonarroti

dostrzegł mnie w drzwiach i wyszedł z wyciągniętymi rękami na moje spotkanie.

— Kiedyś będziesz tu ulubienicą, zapamiętaj moje słowa — wyszeptał mi do ucha, następnie przedstawił mnie intendentowi, temu samemu, który chciał wpisać mnie na listę modelek.

— Chyba już się poznaliśmy — powiedziałam. Nie mogłam powstrzymać złośliwego uśmiechu, gdy podawałam mu rękę.

— W samej rzeczy.

Ku mojemu zaskoczeniu signor Bandinelli powitał mnie bardzo serdecznie, zachęcił do oglądania obrazów i odszedł, by złożyć uszanowanie innym gościom.

Signor Buonarroti wskazał mi wielkiego księcia Kosmę ubranego w fioletową kamizelkę z rozcięciami ukazującymi szmaragdowozieloną jedwabną podszewkę oraz dopasowane kolorem zielone pludry i pończochy. Na jego piersi lśnił plastron ze złotej koronki. Na szyi miał niewielką białą kryzę.

Ach, gdybym mogła namalować ten strój z najdrobniejszymi szczegółami i oddać tę lśniącą zieleń, przedstawić ten połysk za pomocą warstw laserunku dużo cieńszych niż jedwab, używając drobniutkich pędzelków, które pozostawiają ślad nie grubszy niż jedwabna nitka. Ale to było niemożliwe. Tak jasną zieleń uzyskać można tylko z macedońskiego malachitu, który zachowuje połysk jedynie wówczas, gdy jest grubo zmielony. Nie można więc użyć go do malowania jedwabiu, ponieważ na płótnie widoczne byłyby drobinki kamienia. Jaka szkoda. Powstał więc wspaniały portret, ale tylko w mojej wyobraźni. Niestety, sam Kosma, choć by! jeszcze młody — miał zaledwie dwadzieścia parę lat — nie wyglądał pięknie. Miał

perkaty nos, który zacieniał jego usta, i dość głupio wyglądającą trójkątną bródkę pod nadąsaną i u różowaną dolną wargą.

— Złóż mu ukłon, najbardziej dworny jak potrafisz — mruknął Buonarroti. — Teraz. — Wziął mnie pod ramie.

Nie mogłam uwierzyć w to, co się działo- Postąpiłam krok do przodu i wielki księżę dostrzegł mnie, nim jednak Buonarroti zdążył mnie przedstawić, intendent dał sygnał swoim ludziom.

Członkowie akademii ustawili się w dwóch rzędach naprzeciwko siebie, signor Bandinelli stał na końcu jednego z nich. Ja stałam obok Buonarrotiego. Naprzeciwko nas spostrzegłam brodatego, postawnego mężczyznę w brunatnej todze profesorskiej. Signor Bandinelli odkaszlnął głośno.

— Wasza księżęca wysokość, członkowie szacownej Accademia del Arte del Disegno oraz szanowni goście! Mamy zaszczyt oznajmić w tym dniu świętego Łukasza, patrona artystów i rzemieślników, imiona nowo przyjętych członków akademii.

Poczułam, że coś ściska mnie w żołądku, przyłożyłam dłoń do gorsetu.

— Członkowie szacownej akademii darzeni są najwyższym szacunkiem pośród artystów miasta Florencji, cieszą się też następującymi przywilejami: uczestniczyć mogą w posiedzeniach akademii, biorąc udział w uczonych dysputach o rysunku, malarstwie, rzeźbie, architekturze, retoryce i matematyce. Mogą ponadto brać udział w spotkaniach z gośćmi zaproszonymi przez akademię, mają wstęp do Galerii Uffizi, a także, po złożeniu odpowiedniej prośby, do innych prywatnych zbiorów sztuki; korzystać mogą z pracowni akademii, jej biblioteki, kostiumów, rekwizy-

tów i zarejestrowanych modeli. Proszę osoby, których imiona wymienię, o wystąpienie i odebranie dokumentów matrykulacyjnych i podpisanie naszego rejestru.

— Antonello Ignazio Barducci.

— Jacopo d'Arcibaldo Daviolo.

Intendent podawał dokumenty kolejno każdemu z nich. Przy każdym nazwisku członkowie akademii stukali laskami w podłogę i krzyczeli *Bravo*\ Zdrętwiały mi stopy, prawie nie mogłam oddychać.

— Antonio Guido da Fiorentino.

— Gianlorenzo Frapelli. Wstrzymałam oddech.

— Francesco Alfonso Grepini. Serce podeszło mi do gardła.

— Giacomo Luigi Romano.

Miałam ochotę zapaść się pod ziemię.

— Artemizja d'Orazio Gentileschi Lomi.

Przez chwilę słyszałam echo mojego imienia w ciszy. Potem rozległ się łoskot lasek o kamienną podłogę i chórem wykrzyczane słowo *Brava*\ Oszalałam z radości, w tamtej chwili kochałam ich wszystkich. Wystąpiłam z szeregu i podpisałam rejestr wielkimi literami A, G i L. Odwróciłam się i zobaczyłam uśmiechy na twarzach mężczyzn, także na twarzy wielkiego księcia, a zwłaszcza na przyjaznej, dumnej twarzy Buonarrotiego, który wygląda! jak sam *Divino*. Miałam ochotę uściskać ich wszystkich.

Nikt nie wspomniał ani słowem, że byłam pierwszą kobietą przyjętą do akademii. Tylko to jedno słowo: *Brava*.

Czy ten sztywny, wyprostowany mężczyzna stojący z boku był oburzony? Czy zmarszczona brew mężczyzny obok niego wyrażała dezaprobatę? Czy byli tacy, którzy nie

zastukali laską w podłogę? Kogo będę musiała przekonać słowami, skoro nie wystarczy mój pędzel? Później. Później się nad tym zastanowię. Teraz przyjmowałam gratulacje.

— Czas już był najwyższy, żebyś stała się jedną z nas — mówił signor Bandinelli. — Sama twoja *Inclinazione* sprawia, że jesteś godna przyjęcia.

— Sama? — Najwyraźniej w dalszym ciągu *Zuzanna* i *Judyta* nie podobały mu się. — Najpokorniej dziękuję, signore.

Podano wino i przekąski; Buonarroti oprowadził mnie po całej sali, rozprowadając wszem i wobec, że to ja namalowałam *Inclinazione*. Czyżbym miała się w końcu przekonać, że szacowna akademia bardziej ceni zręczne rzemiosło niż ciężko zapracowaną, przemyślaną *invenzione*?

Kiedy już mieliśmy podejść do wielkiego księcia, zastąpił nam drogę intendent.

— Proszę ze mną, signora, zobaczycie akademię — padł zawołowany rozkaz.

Wskazał mi drogę ręką, zebrał jeszcze kilku nowych członków i zaprowadził nas na górę do biblioteki i pracowni, pokazał nam gabinety rysunku, szkielet, rzeźbiarskie odlewy — i rozpoczął długi i szczegółowy opis czynności, jakimi zajmowała się akademia. To nie było nic pilnego, nie musiał tego wszystkiego mówić w tej chwili. Wywinęłam się najszybciej jak mogłam, uiściłam opłatę immatrykulacyjną — a kiedy zesłam na dół, wszyscy goście już się rozeszli. Wielki książę zniknął. Było już po uroczystości, wszystko znikło — jak sen.

Przyciskając dokument do piersi, wybiegłam z budynku, po drodze do domu miałam ochotę tańczyć. Napiszę do ojca. I do Grazielli, i Paoli. Jednak myśl o tym, jak

opowiem Piętrowi o przyjęciu do akademii, przejmowała mnie zimnym lękiem.

Zagłębiłam się w wąskie uliczki. Na piazza Salvemini przemknęłam pomiędzy dwoma żebrakami. Zaszłam do *macelleña* należącej do przyjaciela Pietra; nie oskubane kury i gęsi zwisały z żelaznych haków, krew skapywała do rynny i wypływała na ulicę. Musiałam przejść nad tą rynną, żeby wejść do środka i kupić kielbasę z dzika, na którą rzadko sobie pozwalaliśmy — był to ulubiony przysmak Pietra. Potem poszłam do *vinah*.

— Butelkę najlepszej grappy. Na specjalną okazję. — Dźwięk mojego głosu obudził psa śpiącego na schodach prowadzących do piwnicy z winem.

Przecisnęłam się przez tłum dzieci bawiących się na ulicy, minęłam ubranych na czarno braci miłosierdzia niosących trumnę do Santa Croce. Przeszłam wielki plac po przekątnej. Pokutnica o zmierzwionych włosach biczowała się i zawodziła przy drzwiach kościoła, nie wstąpiłam więc, tak jak zwykle to robiłam, żeby odwiedzić grób Michała Anioła. On zrozumiałby moje podekscytowanie. *Brava* — tak powiedzieli.

Co mogę powiedzieć Piętrowi, by złagodzić ten cios?

Wydawało się, że pasy kolorowego jedwabiu na corso dei Tintori powiewają na moją cześć. Przebiegłam przez Lungarno, potem po schodach, jeszcze trzy piętra, dwa — dyszałam ciężko, jeszcze jedno piętro — i usłyszałam płacz Palmiry. Otworzyłam drzwi. Zobaczyłam ją skuloną w kącie pokoju, kurczowo owiniętą moim szlafrokiem. Podbiegłam do niej.

— Palmira, *tesoro*. Gdzie twój tata?

Nie było go w domu. Bóg raczy wiedzieć, jak długo była tu sama. Przecież mógł zabrać ją do Finy.

Przytuliłam ją mocno, całowałam po zaczerwienionych policzkach, po czole, uszach i rączkach. Czułam na ustach jej słone łzy.

— Biedna malutka, całkiem sama, *poverina*. Nie płacz. — Czułam spazmy wstrząsające jej drobnym ciałkiem. Przytuliłam ją jeszcze mocniej i zaczęłam kołysać. — Mama jest przy tobie.

Uspokoiła się w końcu i mokrą rączką dotknęła koronki na moim gorsecie. Przesunęła paluszkami po galonie przy szyi, ale nie chciała tak łatwo zapomnieć o gniewie. Wiedziała doskonale, że teraz wysłucham bardzo uważnie wszystkiego, co powie. Zaczerpnęła powietrza i wydeła usteczka.

— Ja chcę taką sukienkę.

— Będiesz miała dużo takich sukienek. Obiecuję ci. Mama teraz jest członkiem akademii. Może pewnego dnia ciebie też tam przyjmą.

Dałam jej do zjedzenia pół jajka i bulionu z cukinią w jej ulubionej miseczce z błękitnego fajansu. Kiedy skończyła, zeszła z moich kolan, zarzuciła sobie mój szlafrok na ramiona i zaczęła paradować po pokoju, wlokąc jego poły za sobą. Wiedziała doskonale, że w innej sytuacji nigdy bym jej na to nie pozwoliła.

Pokroiłam dla Pietra kiełbasę z dzika na cienkie plasterki, jak pociemniałe stare monety — i ułożyłam je wzdłuż brzegu cynowego talerza. Pośrodku ułożyłam kawałki pokrojonej gruszki, a w samym środku — drugą połówkę jajka.

— Zobacz, jak ładnie. Jak gwiazda.

Oliwa w miseczce. Chleb. Jak ja mu to powiem? Nie może usłyszeć radości w moim głosie. Zaczęłam ćwiczyć — „przyjęli mnie” — bez wyrazu, tak jakbym mówiła „będzie

deszcz", ale jakoś nie potrafiłam zaufać mojemu głosowi. Wsypałam do miseczki z oliwą trochę pokruszonych liści oregano — tak, żeby układały się w kształt liter A i D, co znaczyć miało Accademia i Disegno. Położyłam dokument z akademii, na którym też widniały wielkie duże A i duże D, obok talerza, nalałam dwa kieliszki grappy i czekałam.

— Nie ruszaj się — powiedziałam do Palmiry i wykonałam zabawny, przerysowany szkic przedstawiający ją w moim szlafroku wlokącym się za nią aż poza brzeg kartki.

— To ja, mamó? — Jej oczy świeciły z zadowolenia, ale zaraz potem przypomniała sobie, że jest na mnie obrażona.

— Tak, to moje kochanie. A jak się nazywa?

— *Tesoro*.

— A jak jeszcze?

— Palmira — powiedziała głosem słodkim jak miód. Wiedziałam, że mi wybaczyła.

Wysunęłam plasterek kiełbasy i ułożyłam pozostałe tak, żeby nie było widać, jadłam drobnymi kęskami. Była pyszna. Próbowałam zająć się czymś, zrobiłam porządek w biurku, ale co jakiś czas wracałam do stołu po kolejny plasterek kiełbasy, na nowo układałam pozostałe — i z każdym brakującym plasterkiem coraz lepiej rozumiałam, dlaczego Pietra wciąż nie ma w domu. Musiał się skądś dowiedzieć. Zamieszałam oliwę kawałkiem chleba, by nie widział liter, odsunęłam talerze na bok i położyłam na stole czystą kartkę papieru.



Ojczy,

mam wieść, która powinna napełnić cię radością. Zostałam przyjęta do Accademia dell'Arte del Disegno, jako pierwsza kobieta w jej historii.

Z początku, kiedy zaniósłam im *fudyteji Zuzanne*, zrugali mnie, mówiąc, że kobiety nie powinny malować *invenzione*. Potem zaniósłam te same obrazy panu Buonarrotiemu. Dziękuję Ci za to, że napisałeś do niego. To wspinały człowiek, pełen dobroci. Zamówił u mnie duży akt, który stanowić będzie część kompozycji na plafonie w galerii ku czci wielkiego Michała Anioła. Wygląda na to, że członkowie akademii ujrzeni obraz i zmienili zdanie. Nie mogę jednak dać się ponieść radości. Przyszłość jest wciąż niepewna.

Palmira Prudcnzia ma już prawie trzy lata i nie może usiedzieć w miejscu. Ma ciemne oczy Pietra i brązowe loki. Wciąż zadaje mnóstwo pytań. „Co zrobić, żebym szybciej urosła” — spytała mnie wczoraj. Tak więc jestem artystką, członkinią akademii i matką. Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Martwię się tylko, jak Piętro zniesie, że przyjęli mnie do akademii.

Kochająca córka Artemizja

Zapadł zmierzch, świat za oknami stracił barwy. Zapaliłam świeczkę i lampkę oliwną mojej mamy, żeby nadać pokojowi przytulny wygląd mieszkania, do którego miło jest wracać. Wiele razy zdarzało się, że mama czekała na ojca z kolacją, a on wracał do domu, kiedy była już zimna. Czekać, śpiewała cicho piosenkę o tańczącym płomieniu lampki, żeby poczuć się raźniej, ale dla mnie zawsze brzmiało to melancholijnie. Kawalki gruszki zaczęły robić się brązowe na krawędziach. Wyglądały żałośnie, nie mogłam na nie patrzeć. Zjadłam więc wszystkie, zosta-

wiłam tylko dwie ćwiartki. W końcu to było moje święto. Pierwsza kobieta w historii akademii zasługiwała chyba na coś szczególnego.

Palmira zjadała właśnie ostatni kawałek gruszki, kiedy Piętro wpadł do środka, ciskając kaftan na podłogę. Na jego drobnych, subtelnych rysach malował się gniew.

— Mogłaś poczekać — powiedział.

— Dlaczego ją zostawiłeś? Kiedy wróciłam, płakała. Co to znaczy, że mogłam poczekać? Na co poczekać?

— Poczekać, aż przyjmą mnie. — Przeszedł obok stołu, nie patrząc na dokument. Światło świecy drgnęło gwałtownie.

Usłyszałam, że zamyka za sobą drzwi do sypialni na zasuwę.

— Piętro, co ty wyprawiasz? — Zastukałam do drzwi. *-Per amor di Dio*, co to znaczy? Nie rób mi tego. — Palmira podbiegła i objęła mnie za nogi — Powinieneś się cieszyć. Teraz oboje będziemy mieli więcej zamówień. — Przez wąską szparę pod drzwiami dobiegł jakiś stłumiony dźwięk. — Czego ty chcesz? — powiedziałam do drzwi. — Żeby przestała malować? Żeby przestała robić to, do czego jestem przeznaczona? Żeby przestała oddychać? — Wzięłam Palmirę na ręce i chodziłam z nią po kuchni i dużym pokoju.

Mała przytuliła główkę do mojej szyi, tak jakby wiedziała. Posadziłam ją na blacie obok zlewu i głaskałam ją po twarzy jedną ręką, drugą ręką płukałam naczynia. Pościeliłam jej łóżeczko w dużym pokoju i ułożyłam do snu. Zaciśnęła rączki pod podbródkiem jak wiewiórka. Owinęłam ją kocem i wyszeptalam:

— Przysięgam ci, mój skarbie, nigdy nie pozwolę, byś wyszła za mąż bez miłości. Nie będziesz musiała wycho-

dzić za mąż z powodu konwenansów, nie będziesz musiała zadowalać się tym, co ci los przyniesie.

Oparłam się o ścianę- Ale przecież czy nie na tym polega życie — żeby zadowalać się tym, co los przyniesie? Gdyby nie Agostino, gdyby nie mój ojciec... być może wyszłabym za kogoś, kto by mnie kochał i był ze mnie dumny. Jednak gdybym wyszła za mąż z miłości, pewnie wciąż byłabym w Rzymie, zapewne nigdy nie dostałabym się do akademii. Pomyślałam o Grazielli. Małżeństwo z miłości też nie daje gwarancji bezpieczeństwa. Najbardziej zależało mi w życiu na malarstwie i miłości — i te dwie sprawy wydawały się nie do pogodzenia. Dlaczego życie jest tak okrutne, że zawsze, dając mi nieco dobra, dostarcza zaraz tyle samo zła?

Energicznym ruchem wylałam pomyje za okno.

## JUDYTA

Nie mogłam pozwolić, żeby ten intendent o ospowatej twarzy przeszkodził mi w dotarciu do księcia Kośmy. Ani on, ani Piętro. Zaczęłam malować kolejny obraz przedstawiający Judytę odcinającą głowę Holofernesa, oparty na tej samej kompozycji, zmieniałam tylko nieco twarze i dałam postaciom bogatsze stroje.

Tym razem suknia Judyty będzie lśniła złotem, do swego czynu zakasywać będzie pełniejsze rękawy. Mieszkańcy Florencji lubowali się w biżuterii i ozdobach, umieściłam więc na ramieniu Judyty złotą bransoletę z postaciami Artemidy wyrzeźbionymi w zielonym kamieniu oprawionym w złote filigrany. Skoro piękne tkaniny były jedną z najważniejszych specjalności miasta, zadbałam, by jak najstaranniej odmalować materie posłania Holofernesa; dodałam też złoty haft na czerwonym pledzie. Aby obraz był bardziej zmysłowy, dodałam malutką kropelkę krwi na dekolcie Judyty i więcej krwi na jej złotej florenckiej sukni. Wszystko to zaś — by się przypodobać wielkiemu księciu Kosmie.

Najtrudniej było mi napisać list, w którym zwracałam się do księcia, darując mu ten obraz i oddając się do jego usług w nadziei na przyszłe zamówienia. Zmagałam się z tym listem przez trzy dni, usiłując napisać go w tonie

odpowiednio wyszukany i dwornym. Siedziałam przy stole i marnowałam kolejne arkusze papieru, Palmira tymczasem bawiła się lalką, którą wycięłam dla niej z kartki papieru.

W końcu napisałam — co poszło mi znacznie łatwiej — zupełnie inny list.

Droga Graziello,

Palmira *ma już trzy lata i* ciągle zadaje pytania. „Dlaczego mrówki mają włosy?” — o to mnie zapytała wczoraj. Fina, mój anioł opiekuńczy i pomocnica, która mieszka piętro wyżej, nauczyła ją piosenki o dziecku, które złoty ptak zaniósł do dalekich krajów; teraz słyszę ją bez przerwy. Przywodzi mi ona na myśl ptaki namalowane na marginesie Twojego manuskryptu. Czy nadal przyozdabiasz psalterze? Czy dach w klasztorze zosta! naprawiony?

Piętro chyba nie ma nic przeciwko temu, żebym malowała, ma mi natomiast za złe to, że zostałam przyjęta do Accademia del Disegno przed nim. Namalowałam kolejną *fudytejako* podarek dla wielkiego księcia Kośmy. Wybacz mi, Graziello, ale jej miecz przypomina kształtem krzyż. Niech przez długie stulecia zastanawiają się, dlaczego tak uczyniłam! Jeśli książę przyjmie ten podarek do swego pałacu lub zamówi u mnie inny obraz, w domu czekają mnie burzliwe przejścia. Módl się za mnie.

Zawsze podziwiająca Cie Twoja uczennica Artemizja

Kiedy skończyłam, znacznie łatwiej było mi napisać list do księcia.

Tydzień po tym, jak posłaniec zaniósł obraz i towarzyszący mu list do pałacu, ksiązę Kosma zaprosił mnie do Palazzo Pitti w dogodnym dla mnie czasie", co było dowodem wielkiej łaskawości z jego strony.

— Oczywiście. Nic dziwnego, skoro oddajesz mu obrazy za darmo — stwierdził naburmuszony Piętro.

— Też mógłbyś tak zrobić, przecież wiesz o tym.

— Wpychać mu na siłę moje dzieła? W lepszym tonie jest malować dla mniej znacznych mecenasów i czekać, aż on sam dostrzeże moją pracę— Czekać? jak długo? Z każdym naszym oddechem przesypują się ziarenka piasku w klepsydrze...

— Nie bądź taka posepna.

— Nie jestem. Taka jest rzeczywistość.

Była wczesna jesień — krótka, mglista i bardzo malownicza pora oddzielająca długie, parne dni lata od listopadowych deszczy. Postanowiłam przejść się przez Ponte Vecchio i nie *wydawać* pieniędzy na powóz. Arno skurczyła się do rozmiarów błotnistego strumyka, ochrowe odbicia nadbrzeżnych budynków lśniące zazwyczaj w jej zielonkawych wodach znikły. Zamiast tego pojawiły się wodorosty i uschła trawa oraz gnijące błoto po obu jej stronach, w stojących kałużach wylegały się miliony komarów. To jednak nie popsuło mi humoru.

Gdyby był ze mną Piętro, z pewnością smród i komary wprawiłyby go w fatalny nastrój. Być może zawróciłby, być może powiedziałby sobie, że spróbuje któregoś innego dnia, a potem w ogóle by zrezygnował. Miałam wrażenie, że wciąż postępuje tak, jakby chciał sam siebie ukarać — na przykład przyjmując zamówienie na naprawę fresku, zamiast ubiegać się o zlecenie na własną, autorską pracę-Nigdy nie używał weneckiego werniksu bursztynowego,

choć oboje doskonale wiedzieliśmy, że bardzo przydałby się jego obrazom. Nie mogłam tego zrozumieć. Uważałam, że jeśli umiłowano się coś ponad wszystko, jeśli się ceni prace swego serca i rąk, wówczas naturalnie i bez wahania wkładać się powinno w to całą duszę, niepodzielnie i bez reszty. Prawdziwa sztuka nie zadowoli się niczym innym.

Szłam dalej, opędzając się od komarów.

Palazzo Pitti wznosi się po lewej stronie via Guicciardini. Wygląda strasznie sztywno i uroczyście; chociaż wiedziałam, że tak nie jest, przywodził mi na myśl raczej siedzibę tyrańca niż rodu rozmiłowanego w sztukach. Podałam moje imię portierowi, który pilnował wysokich, ciężkich drzwi. Sprawdzał, czy jestem na liście, i zaprowadził mnie *na gore*, na *piano nobite*, piętro, gdzie znajdowały się sale audiencyjne. Wyglądając przez okno, zauważyłam, że pałac jest jeszcze większy, niż sądziłam, patrząc na niego z ulicy. Wraz z dwoma skrzydłami ciągnącymi się ku jasnemu zboczowi tworzył kształt litery U. Pomiedzy skrzydłami budynku znajdował się rozległy dziedziniec.

Przeszłam przez komnatę zastawioną starożytnymi rzeźbami, a następnie marmurowym korytarzem do sali ozdobionej kunsztownymi białozłotymi gzymsami; ściany jej pokryte były ciemnoróżowym brokatem, na którym zawieszane były niezliczone obrazy. Nie mogłam im się przyjrzeć, ponieważ grzeczność wymagała, bym spoglądała na księcia. Siedział wraz z gośćmi przy stole, twarzą do dziedzińca. Jedli coś, co wyglądało jak nadziewane pieczone bażanty przyozdobione oliwkami i karczochami. Pióra bażantów sterczały ułożone w kunsztowną kompozycję przypominającą fontanny tryskające nad pagór-

kami usypanymi z pigw, daktyli, fig i migdałów. W Rzymie nie widywałam posiłków przyrządzonych jak dzieła sztuki.

Lokaj oznajmił moje przybycie. Podeszłam i skłoniłam się nisko.

— Oto więc niewiasta, której dłoń tak dziarsko dzierży pędzel — powiedział książę i uczynił ręką gest powitania. — Miałem nadzieję poznać cię w akademii.

— Wasza książęca wysokość, czuję się zaszczycona — odparłam wciąż zgięta w ukłonie, wpatrując się w inkrustowany wzór na kamiennej posadzce pomiędzy nami. — Błagam o wybaczenie, widzę, że wasza wysokość przyjmuje gości.

— To ja jestem zaszczycony takim podarunkiem, signorina.

To było naprawdę uprzejme z jego strony, że zwracał się do mnie w ten sposób. Najwyraźniej mieszkańcy Florencji w żartobliwy sposób określali tytułem „signora” matrony starsze ode mnie. Ciekawa byłam, co książę o mnie wie.

— Twoja Judyta ma bardzo zdecydowany wyraz twarzy...

— Jest skupiona. Jak wszystkie bohaterki, całym sercem oddaje się swemu zadaniu.

— Tak jak i ty z całą pewnością oddajesz się twemu... — zauważył i zaśmiał się. — Czy wolno mi spytać, jaki to mężczyzna zasłużył na taką zemstę z twojej strony, żeby posłużyć ci za model Holofernesa?

— Tu nie chodzi o osobiste porachunki, wasza wysokość. — Santa Maria, żeby tylko go nie urazić. — Jeśli w ogóle może być mowa o zemście, to o zemście na okrutnym tyranie.



Pokiwał głową w zamyśleniu.

— Wynajdę odpowiednie miejsce dla twojej *Judyty odcinającej głowę Holofernesa* w Sala dell'Iliade. — Zaśmiał się znów. — Będzie to miejsce, gdzie moi goście będą mogli przebudzić się ze swych gnuśnych przyjemności. Możesz być pewna, że będzie w dobrym towarzystwie, a ponadto nie mogę zgodzić się na to, żeby to był podarek. Zostaniesz sownie opłacona.

— Tym większy dla mnie zaszczyt, wasza książęca wysokość.

— Nie może jednak być tak, żeby pozostał jedynym dziełem tak uzdolnionej reki i tak utalentowanego umysłu w mej kolekcji.

Poczułam przyływ radosnej nadziei.

— Niech towarzyszy jej druga Judyta, równie kunsztownie wykonana, za którą otrzymasz nie mniej sowną zapłatę— Druga Judyta?

— Tak! Z pewnością znajdzie się inna chwila z jej dziejów nie mniej godna twojego pędzla!

— Uczynię to z największą radością i od razu zabiorę się do pracy.

— Dlaczego gołębie latają? — spytała Palmira, skacząc wokół mnie. Chodziłam z nią razem po placach i ulicach, zaglądałam do kościołów, szukając pomysłu.

— Pewnie po to, żeby móc uciec od chłopców i dziewczynek, którzy chcą im zrobić krzywdę.

Jaki moment w historii Judyty może być równie dramatyczny jak sama chwila zabójstwa? Myślałam o obrazie ojca przedstawiającym obie kobiety stojące nad ucie-

tą głową. Namalowałam jego kopię, kiedy dopiero uczyłam się rzemiosła. Kompozycja była interesująca, ale kobiety tuliły się do siebie i to mi nie odpowiadało.

Na końcu Loggia della Signoria stała brązowa rzeźba Donatella przedstawiająca Judytę i Holofernesa. Nigdy mi się nie podobała. Holofernes siedział, zamiast leżeć, Judyta zamierzała się na niego bułatem. Ta poza była niezręczna, pozbawiona wdzięku.

Zatrzymałam się przed *Dawidem* Michała Anioła. Jego wyzywające spojrzenie skierowane na piazza della Signoria zdawało się krzyczeć do wielkiego Goliata: „Jak śmiesz choćby myśleć o tym, że możesz mnie unicestwić mieczem!” W tym przedstawieniu była śmiałość. Pewność siebie. Florentyńczycy uwielbiali *Dawida* jako alegorię sprytu zwyciężającego w walce z silniejszym. Utożsamiali się z nim i w ten sposób postrzegali siebie jako nację wobec reszty świata; o tym również opowiadała historia Judyty.

Palmira biegła za gołębiami, klaszcząc w ręce i zmuszając je do wzbijania się w powietrze, ja tymczasem stałam w mym ulubionym miejscu, z którego widać było profil Dawida spoglądającego w lewo, ku Goliatowi. Zastanawiałam się, jak wykorzystać wspaniałą krzywiznę jego szyi. Patrzył w bok, świadom niebezpieczeństwa, ale nie spięty, po prostu gotowy, z procą zarzuconą na ramię. Moja nowa *Judyta* mogłaby ukazywać chwilę po zabiciu Holofernesa, którego głowa znajduje się już w koszyku Abry. Może obie kobiety będą patrzeć na siebie, zaniepokojone jakimś nowym grożącym im niebezpieczeństwem, jakimś hałasem w obozowisku. To było wyzwanie — namalować dźwięk. Judyta spoglądałaby w lewo, tak samo jak Dawid, i mogłaby mieć tę samą linię szyi co posąg Michała Anioła.

Zamiast procy opierałaby o ramię ostrze miecza, dotykałoby ono koronki jej białej koszuli. Spodobał mi się ten pomysł. Miecz mógłby uszkodzić koronkę, dwa przedmioty pochodzące z tak różnych światów jak broń i koronki... niebezpiecznie stykające się ze sobą. Tak. To byłoby coś nowego. Coś mojego i tylko mojego. Coś na miarę innej epoki, kiedy kobiety nie będą musiały ukrywać swych uzdolnień ze względu na mężczyzn, choćby byli ich mężami.

Znacznie później, kiedy obraz był już bliski ukończenia, poszłam z Palmirą na via Maggio, znajdującą się po drugiej stronie Arno ulicę antykwariuszy. Wiedziałam, że jej się spodoba. W jednym ze sklepów ze starociami kupiłam stare, kwadratowe lustro stołowe w drewnianej ramie, którą można było obracać. Ustawiłam je w domu na stole i przyglądałam się mojej szyi oraz szyi mojej Judyty — a właściwie Vanny, ponieważ znów zatrudniłam ją jako modelkę. Szyja Vanny była zbyt delikatna. Judyta nie powinna być zbyt kobieca i zbyt urodziwa. Dobrze zrobiłam, że dałam jej wolne na jeden dzień, chociaż i za ten dzień domagała się zapłaty. Tak więc zamalowałam szyję Vanny, uwieczniając zamiast tego moją własną, wraz z zarysowującym się drugim podbródkiem.

Kiedy Vanna przyszła następnego dnia, Pietro był jeszcze w domu. Rzuciła okiem na obraz i krzyknęła:

— Coś ty zrobiła? Wszystko zepsułaś. To nie ja!

— Nie, to Judyta. Będzie miała twoje oczy, twoje usta i włosy.

Pociągnęła wzgardliwie nosem.

— Ta szyja jest brzydka. — Zwróciła swe wielkie szkliste

oczy ku Piętrovi, żalonym głosem szukając jego wsparcia. — Czy nie uważasz, że jest brzydka?

— To szyja *Dawida* — powiedziałam, nim Piętro zdążył cokolwiek powiedzieć. — *Dawida* z piazza delia Signoria.

— I co, może mam być z tego dumna? Nikt nie będzie wiedział, że to ja z szyją mężczyzny. Piętro, nie pozwól jej, żeby tak mnie namalowała.

Wzruszył ramionami i uniósł bezradnie ręce.

— Vanno, proszę cie, wytrzymaj nos i przyjmij pozę- Potrzebuje cie jeszcze tylko na parę dni.

Zastanowiła się przez chwile— Podwójna stawka. Zostanę tylko wtedy, jeśli zapłacisz mi podwójnie.

Staliśmy, patrząc po sobie, i czekaliśmy, aż ktoś inny podejmie decyzję.

— Daj jej, czego chce — mruknął w końcu Piętro.

— Dobrze, już dobrze. — Podałam jej kolczyk Grazielli — Włóż go, chce zobaczyć, jaki rzuca cień.

Pozbyłam się jej najprędzej jak mogłam i nadałam Judycie moje własne rysy.

Namalowanie brązowej aksamitnej sukni Judyty, złotych i czarnych onyksowych paciorków wszytych w dwa rzędy złotych florenckich galonów, diademu mojej mamy z heliotropami oprawnymi w złoto, głowicy miecza Judyty w kształcie krzyczącej głowy Gorgony — byłam zadowolona ze wszystkich szczegółów.

Najwięcej kłopotów miałam z głową Holofernesa leżącą w koszyku Abry. Chciałam namalować coś przypominającego *Goliata* Caravaggia, ale cały czas zielonkawoszara

twarz wychodziła podobna do Agostina. Drażniło mnie to. Nie chciałam zawrzeć nienawiści w moim obrazie. To byłoby uwłaczające, małostkowe, oznaczałoby ograniczenie mojej sztuki i mojej ekspresji na zawsze. Pracowałam i zamartwiałam **się** tym, próbowałam wciąż na nowo, ale cały czas mi nie wychodziło. Nie chciałam, żeby wiązano mnie na zawsze z postacią Agostina, zwłaszcza że obraz będzie wisieć pośród tylu dzieł, których tworzeniu sprzyjała miłość.

Napisałam do siostry Grazielli o tym, że utknęłam w miejscu. Zapytałam ją, w jaki sposób pozbyć się nienawiści. Nie mogłam znaleźć spokoju, dopóki nie dostałam jej odpowiedzi.

***Cara mia,***

Jeśli człowiek ten nie oddzielił cię od miłości Boga, a tego nie uczynił, jedyną rzeczą podtrzymującą w Tobie nienawiść do niego są Twoje myśli o nim. Jedynie Twoja duma zachowuje go w pamięci, a Twój pędzel jest jej posłuszny. Pozbądź się dumy, a pozbędziesz się nienawiści. To nierozsądne, by dać się powodować nienawiści zrodzonej z cierpienia. Uważaj, Artemizjo, ta nienawiść może Cie. osłabić i pozbawić energii koniecznej do osiągnięcia celu. Jeśli nie daje Ci ona spokoju, to znaczy, że odkryłaś już, iż niegodna jest Twych wzniosłych zamiarów. Innymi słowy, jest to pierwszy krok do pokory.

*Grazie a Maria,* zaczęli wreszcie naprawiać nasz dach. Siostra Paola pyta, czy odwiedziłaś Santa Trinita" dei Monti we Florencji. Prosi, żeby Ci przekazać, że Chrystus na krzyżu w jednej z kaplic skinął głową świętemu Janowi Gwalbertowi, który klęczał przed nim w adoracji. Napisz o wszystkim, co widziałaś we Florencji — o każdym obrazie i rzeźbie, każdym kościele, każdym placu i wieży; o wszystkim, na co pada światło słońca, cień, a nawet deszcz. Jeśli znajdziesz czas

i sprawi Ci to przyjemność, użyj swych oczu malarki dla znalezienia właściwych słów.

Siostra Paola przesyła Ci wyrazy miłości, ja także.

Twoja w Chrystusie Grazieila

Poczułam, że piekłą mnie oczy, słowa napisane na kartce zamglily się. Uświadomiłam sobie, jak bardzo tęskniłam za nimi obiema.

Odpisałam od razu, opisując płaskorzeźbę Michała Anioła przedstawiającą Madonnę i Dzieciątka oraz jego *Dawida*; młodego i ujmującego *Dawida* Donatella, katedrę, *Adama i Ewę* Masaccia, *Wenus* Botticellego. Nie potrafiłam jednak ująć w słowa podziwu, jaki wzbudzały we mnie te dzieła sztuki. Dałam w końcu spokój i poszłam z Palmirą na spacer, przy okazji wykonałam kilka małych szkiców zamiast szczegółowego opisu, rysunek Palmiry goniącej za gołębiami i dołączyłam je wszystkie do listu.

Poza godzinami spędzonymi przy sztalugach był jeszcze czas poświęcony na zakupy, gotowanie — jeden posiłek następował tak szybko po drugim — a potem trzeba było pozmywać naczynia. Nigdy nie wiedziałam, kiedy Piętro będzie w domu, a kiedy nie. Kiedy skończył naprawę fresku, wyniósł z domu sztalugi i część swoich przyborów do malowania, nie wiedziałam dokąd. „Będziesz miała więcej miejsca” — powiedział. Coś we mnie zwiędło, jak winorośl przed nadejściem zimy. Zaczął żyć tak, jak mój ojciec. Ubierał się lepiej, malował, jadł i bawił się ze swymi przyjaciółmi gdzieś poza domem, tymczasem Palmira

rozwijała się, a jego przy tym nie było. Przypominałam sobie, jak ojciec śpiewał z Agostinem albo Caravaggiem na ulicy, szli chwiejnym krokiem podochoceni, rozprawiając

o tym, jakich wspaniałych rzeczy dokonują i jak wielkimi są malarzami, a potem ojciec rozbijał się po domu, potykał się o krzesła i przewracał, i cuchnął, w końcu walił się na łóżko. Czy czekało mnie to samo?

Zima była wyjątkowo surowa, nawet padał śnieg. Nasza studnia zamarzała, musieliśmy rozbijać lodową pokrywę żelaznym drągiem. Palmira miała gorączkę, dreszcze i kaszel, byłam przerażona. Chorowała przez miesiąc, przez ten czas w ogóle nie malowałam. Najpierw płakała, zanosila się łkaniem, potem już była na to za słaba. Dzień

1 noc prześladował mnie strach, że ją utracę- Piętro więcej przebywał w domu, często rozbijał i przynosił lód na zimne okłady. Wciąż chodził zatroskany do aptekarza, podtrzymywał ogień w kominku, kiedy dławiący kaszel Palmiry zatrzymywał mnie przy jej łóżku.

Pewnej nocy Piętro chodził po pokoju, brał do ręki jej różne przedmioty i odstawiał je; nie wiedział, co ze sobą zrobić.

— Posiedź tu z nami — poprosiłam. Zawahał się. — To może pomóc.

Przyniósł sobie drugie krzesło z prostym oparciem i wyplatany siedziskiem, usiadł i położył rękę na kocu zakrywającym nogę Palmiry.

— Pamiętam, jak kiedyś, kiedy byłam małą dziewczynką i byłam chora, zapadałam w sen i budziłam się, słysząc cichy pomruk głosów moich rodziców, w oddali, jak we mgle. Nie wiedziałam, o czym rozmawiają, ale to nie miało znaczenia. Połączenie ich głosów brzmiało naturalnie, dawało mi poczucie miłości i bezpieczeństwa.

Loczek włosów Palmiry przykleił się do jej skroni koło oka. Piętro odsunął go i pogłaskał małą po nóżce, z początku niezdarne, a potem położył głowę na jej łóżku. To był najczulszy gest, jaki kiedykolwiek u niego widziałam.

— Powiedz coś, żeby słyszała też twój głos. Odwrócił głowę, czuł się bezradny, miał łzy w oczach.

— Palmiro, to ja, twój tata — odezwał się — Wszystko będzie dobrze. — Kiwnęłam głową zachęcająco. — Kocham cie, moja gołąbeczko.

Moje serce zadrżało tak, jakby powiedział te słowa do mnie; odwzajemniłam to uczucie, ofiarowując mu w duchu kielich miłości pełny po brzegi. Chciałam, żeby ta chwila trwała jak najdłużej. Przesunęłam palcami pomiędzy jego włosami, to zawsze go uspokajało. Zamknął oczy. Kiedy zaczął oddychać głęboko i rytmicznie, położyłam się obok niego i ułożyłam głowę na jego ramieniu; przykryłam nas oboje moim szalem.

Spaliśmy tak przez jakiś czas, jedna rodzina, tak bliscy sobie jak w dniu chrztu Palmiry. Kiedy się poruszyła, obudziliśmy się oboje. Mieliśmy zeszywniałe karki i plecy, ale to było niczym wobec braku porozumienia, jaki znów zapanował pomiędzy nami. Piętro spoglądał na mnie swymi ciemnymi, tajemniczymi oczami, zdumiony własnym przejawem uczucia. Pocałowałam go tuż pod skronią, jedna strona jego ust ułożyła się w łagodny, niedowierzający uśmiech.

Choroba Palmiry ustąpiła wreszcie wraz z nadejściem wiosny, a Piętro zaczął znów wychodzić z domu. Nie wiedziałam, dokąd się udaje. Nie miałam odwagi zapytać. Miałam nowe zmartwienie. Nie malowałam przez cały miesiąc i wciąż czekała mnie praca nad twarzą Holofernesa. Maluj wytrwale, powtarzałam sobie.



Ale nie robiłam tego. Palmira była dla mnie tym cenniejsza z powodu groźby jej utraty, którą przeżyłam. Spędzałam z nią teraz jeszcze więcej czasu. Dotyk jej małej, gładkiej rączki w mojej dłoni, gdy szliśmy wzdłuż brzegu rzeki, odczuwałam jak ulgę i radość.

— Spójrz, Palmiro. Popatrz na światło odbijające się na falach. Widzisz, jak tańczy? Wcale nie jest tylko zielona. Jest niebieska, brązowa i szara. Zobacz, jak ruszają się kolory.

— Nie widzą.

— Zobaczysz, jeśli staniesz bez ruchu. Wystarczy patrzeć w jedno miejsce.

Ale ona wcale nie chciała stanąć bez ruchu, tak bardzo się cieszyła, że wreszcie wyszła na dwór.

Po drugiej stronie rzeki stała wieża obronna z oknem z trzema arkadami. Wyobrażałam sobie niestworzone historie o uwiezionej księżniczce, której smutny kochanek został zamieniony w białego ptaka o smukłej szyi i długo mieszkał na trawiastym brzegu pod jej wieżą, wciąż wierny swej miłości. Latem, kiedy woda była płytka, trzymając się za ręce, brodziłyśmy w zakolu rzeki. Palmira lubiła taplać się stopami w chłodnej wodzie i bawić się w łowienie ryb na wędkę.

Opowiedziałam jej o Grazielli i Paoli żyjących w klasztorze na rzymskim wzgórzu. Kupiłam na targu dwie drewniane miseczki, zrobiłam maszty z gałązek i papierowe żagle. Wycięłyśmy też z papieru dwie lalki, które Palmira zasmarowała na czarno kawałkiem węgla, pozostawiając tylko białe dłonie i twarze. Nazwała je siostra Graziella i siostra Paola. Nauczyłam ją, jak się pisze ich imiona, żeby mogła podpisać lalki na plecach. Zawsze wymawiając ich imiona, poprzedzała je słowem „siostra”, jakby były utytułowanymi damami.

Przywiązałam sznurek do każdej z miseczek i puściłyśmy je na wodę. Potem szłyśmy wzdłuż brzegu, patrząc, jak zakonnice podskakują, spływając w dół rzeki, i bawiłyśmy się świetnie. Kiedy patrzyłam na Palmirę ściskającą w rączce sznurek od łódki Grazielli, zdałam sobie sprawę, że zakonnica miała racje- Palmira wyzdrowiała, a to oznaczało, że nie zostałam pozbawiona miłości Boga.

Dopiero parę tygodni przed terminem oddania obrazu, któregoś dnia, po prostu niewiele myśląc, poszerzyłam twarz Holofernesa i przedłużyłam jego nos. Po tych przeróbkach był Asyryjczykiem i niczym więcej. Złagodziłam zielonkawy odcień na jego twarzy; teraz wyglądała jak wykuta z szarego kamienia lub odlana z metalu, miała niemal ten sam kolor co głowa Gorgony na mieczu. Dawałam w ten sposób do zrozumienia, czym zajmował się za życia, choć teraz ogarnął go wieczysty spokój. Niech wiec spoczywa w tym spokoju.

Obraz miał być przedstawiony wielkiemu księciu podczas pewnej uroczystości dworskiej w Palazzo Pitti. Piętro postanowił, że nie pójdzie. To był błąd, w Galleria Palatina miała być wystawiona cała kolekcja Medyceuszy, zaproszono wszystkich, artystów pracujących dla Kośmy, którzy rozprawiać mieli o kompozycji, interpretacji i technikach. Mógłby poznać tam jakiegoś nowego zleceniodawcę. Mogłabym przedstawić go księciu — ale Piętro nawet nie chciał o tym słyszeć.

Wysłano po mnie powóz. Kiedy wchodziłam do niego, poczułam, że coś pruje się w mojej sukni. Fina uszyła dla mnie nowy obcisły gorset w ciemnozielonym kolorze — z rękawami, które można było odpiąć. W ten sposób tej

samej sukni można było użyć przy innej okazji, zmieniając tylko rękawy — wyglądało to, jakbym miała nowy strój. Nie miałam pojęcia, co i gdzie się spruło. Mogłam tylko mieć nadzieję, że tego nie widać.

W pałacu tańczyły wokół mnie kolorowe stroje, obrazy i ozdobione freskami sufity; przechodziłam przez kolejne komnaty, by dotrzeć do obszernej Sala del'Illiade. Ściany pokryte były obrazami zawieszonymi w trzech rzędach jedno nad drugim, pozornie bez żadnego porządku, oprawione w misternie rzeźbione ramy: prawdziwa uczta dla oczu. Moja *Judyta odcinająca głowę Holofernesa* też tam była, przyozdobiona elegancką, głęboko rzeźbioną złotą ramą. Kiedy zobaczyłam ją obok tyłu arcydzieł, aż zaparło mi dech w piersiach. Rozglądałam się dookoła. Czy to były obrazy Rafaela? Tycjana? Tintoretta? Rubensa? Andrei del Sarto? Gdyby tylko ktoś zechciał opowiedzieć mi o nich wszystkich.

Dygnełam dwornie przed wielkim księciem. Tym razem był w tych samych kolorach, ale jakby odwrotnie nałożonych — miał szmaragdowe pludry i kamizelę, a wycięcia w rękawach ukazywały fioletowy jedwab. Kiedy wniesiono do sali moją nową *Judytę* zakrytą draperią i ustawiono ją na orzechowych rzeźbionych sztalugach w pobliżu również mojej *Judyty odcinającej głowę Holofernesa*, wpiłam się rękami w aksamitne oparcie krzesła. Kiedy zdjęto zasłonę, patrzyłam tylko na Kosmę. Pociągał za trójkątną kępkę włosów wyrastających spod jego dolnej wargi i z zadowoleniem spoglądał na przemian na oba obrazy.

— *Brava, signorina. Magnifico* — rzeki z uznaniem, a całe zgromadzenie rzecz jasna przyklasnęło jego słowom. — Dokonałem odkrycia. Oto tu, w osobie Artemizji

Gentileschi Lomi, mamy racjonalny umysł mężczyzny i zmysłową dłoń kobiety.

Nie mogłam się powstrzymać i popatrzyłam na mój obraz. Blask świec ze ściennych lichtarzy podkreślał światła na twarzy i szyi Judyty, rękaw i opaskę Abry, nawet biały pasek koszuli między gorsetem a suknią Abry. Teraz bardziej niż kiedykolwiek podobał mi się kształt cienia w miejscu, gdzie kończyła się jej szyja i zaczynał tors. Byłam dumna i zadowolona.

— *Non c'e male* — usłyszałam słowa wypowiedziane gdzieś w głębi komnaty. Nie znosiłam tego wyrażenia używanego przez wszystkich florentyńczyków: „Nieźle”.

— Powiem więcej... — ciągnął książkę — gdy porównamy te dwa obrazy, dostrzeżemy dwa aspekty kobiecości, jak dwie strony życia duchowego: *vita activa* i *vita contemplativa*. Po dwakroć więc *bra val*

Pozostali doszli widać tymczasem do wniosku, że „nieźle” to nie dosyć, wypowiadali komplementy typu „subtelne” albo „wspaniałe”, którym towarzyszyły dworskie ukłony.

Podszedł do mnie z uśmiechem stojący dotąd na uboczu mężczyzna koło pięćdziesiątki o siwej brodzie, ubrany w brązowe pludry. Miał długi, prosty nos, a ta jego broda zakrzywiała się na podbródku, jakby przyłożono do niego cynową łyżkę. Wydawało mi się, że skądś go znam, tym bardziej że dostrzegłam charakterystyczne znamię na policzku pod lewym okiem. Tak, byłam pewna, że gdzieś go już widziałam.

— Przed wami wielka przyszłość, signorina — odezwał się. — Bez wątpienia równie wspaniała jak wasza wielka uroda. — Po jego brązowych oczach widać było, że mówi szczerze.

Cóż mogłam powiedzieć, kiedy już wyraziłam wielką wdzięczność za komplement?

— Może zechcielibyście opowiedzieć mi o tej wspaniałej kolekcji?

Zanim zdążył odpowiedzieć, otoczyło mnie trzepoczące stadko dam odzianych w krzykliwe błękity, ultramaryny i ciemnozielone brokaty; przemieszczając się nad marmurową taflą, przypominały mi kolorowe motyle fruujące nad gładką powierzchnią stawu. Ich wysokie kołnierze odgradziły mnie od mężczyzny w brązowej szacie.

— Pochodzisz z Rzymu — spytała jedna z dam, kołysząc malowanym papierowym wachlarzem na patyku — czy też jeszcze bardziej z południa?

Poczułam się złapana w pułapkę— Właśnie chciałam spytać tego pana o obrazy. Zdawało mi się, że wie...

— Kto? Signor Galilei? Nie, cóż on może wiedzieć o malarstwie, jest nadwornym matematykiem. Jemu w głowie tylko gwiazdy i liczby.

— Powiedz nam, proszę — zagadnęła kąśliwym szeptem inna z kobiet — czy tam, na południu, poznałaś, to znaczy czy poznałaś naprawdę (chichot) tak śniadego mężczyznę jak ten, który leży na materacu?

Pozostałe zawtórowały jej.

Wyprostowałam się godnie i odpowiedziałam jednym słowem: „Nie” — tak obojętnym tonem, jakbym w ogóle nie dosłyszała w jej głosie obelgi.

Odwieziono mnie do domu powozem. Jechaliśmy przez Ponte Vecchio, bez eskorty. Kiedy przejeżdżaliśmy przez Arno, uniosłam ku nozdrzom gałązką lawendy, taką sa-

ma, jaką dostała każda z dam jako środek przeciwko omdleniu.

Żaden mężczyzna nie nazwał mnie piękną, odkąd — musiałam to z niechęcią przyznać — odkąd zrobił to Agostino.

Aksamitna czerń nocy otuliła miasto. Nie widać było księżycy ani gwiazd. Tylko przy wejściach do większych domów świeciły latarnie, gdzieś było widać światełka świec we wnękach, w których stały figurki świętych opiekunów. Poszłam do Finy, wzięłam na pół obudzoną Palmirę i zaniiosłam ją na dół. Teraz miała już prawie cztery lata, właściwie była już za duża, żeby ją nosić. Jej stopa uderzała na każdym schodku w to samo miejsce na moim udzie.

— Miałam sen, mamó. Śniło mi się, że byłam z tobą w pałacu. Miałam piękną czerwoną sukienkę — powiedziała sennym głosem.

— To cudownie.

— Wyszywaną perłami.

Kiedy kładłam ją do łóżeczka, już spała.

Pietra nie było w domu. Zapaliłam świecę i otworzyłam jedno skrzydło drzwi na balkon, miałam nadzieję na świeży powiew pomimo zgniętego zapachu rzeki. Usłyszałam skrzeczenie ropuchy gdzieś na brzegu; a więc jej także nie chciało się spać. Pomyślałam, że księżę Kosma podobny jest do wielce czcigodnej szmaragdowej żaby otoczonej trzepoczącymi, kolorowymi owadami. Kiedy stałam przy wielkim księciu, znajdowałam się w samym sercu Florencji, wokół mnie wisiały arcydzieła malarstwa, przechadzali się malarze, było tam pełno przyszłych klientów, a sam Kosma złożył kolejne zamówienie — na *Marię Magdalene*.

Owszem, to było wspaniałe zwycięstwo, równie słodkie

jak marcepanowa lilia, ale... tymczasowe, jak koraliki na sznurze naszyjnika czekały mnie przez następne lata kolejne dworskie uroczystości przy dźwiękach harf, deklamacji poetów i aktorów, pośród migdałowych ciasteczek i perfumowanych słodyczy — ale zapraszana bede tylko wtedy, gdy Kosma bedzie mógł odsłonić kolejny mój obraz. Dobrze. Na to mogę sie zgodzić. Przecież robiłam to, co lubie, uczyłam sie każdego dnia i zostało to docenione.

Powiesiłam pęczek lawendy na haku obok żelaznych garnków. Kiedy wyschnie, utre ją w moździerzu, wsypie do wody i będę gotować przez chwile. W ten sposób uzyskam pięknie pachnącą perfumę, którą bede mogła pokropić dekolt i policzki, kiedy następnym razem bede zaproszona. Być może bedzie tam też nadworny matematyk.

Zatłukłam komara, ale nie mogłam sie zdobyć na to, by zamknąć drzwi. Rozebrałam sie i włożyłam koszule nocną. Cienkie piski nietoperzy wirujących nad rzeką były najsamotniejszym dźwiękiem na świecie.

Co teraz? Napisać do ojca? Tak, mogłam to zrobić. Wiedziałam, że byłby dumny z mojego sukcesu — w przeciwieństwie do Pietra. Tylko że ojciec zawsze uważał mnie za swe wyłączone dzieło. Agostina oskarżył przecież słowami: „...zmuszał ją do stosunków cielesnych wielokrotnie, przez co uczynił wielką i poważną szkodę mnie, Oraziowi Gentileschiemu, malarzowi i obywatelowi Rzymu, nieszczęsnemu skarżącemu, który przez to nie będzie mógł sprzedać jej malarskiego talentu za odpowiednio wysoką cenę”. Traktował mnie jako coś w rodzaju ciekawostki, którą należało korzystnie sprzedać. Drażniło mnie to, a w takim rozgoryczeniu kryło sie niebezpieczeństwo. Mogłoby z czasem stać sie trwale widoczne na mojej twarzy, mogłoby objawiać sie jako arogancja urażonej

kobiety i któryś z mecenasów mógłby poczuć się dotknięty, tak jak z początku florenetyńscy akademicy. Poza tym to nie on sprzedawał mój talent, ale ja sama. To wielka różnica, a mogłoby do tego nie dojść, gdybym nie opuściła Rzymu — to znaczy, gdyby nie było tamtego procesu. Nigdy przedtem nie przyszło mi to na myśl.

Piętro nie wrócił do domu. Miło byłoby omówić z kimś wydarzenia wieczoru — jeśli nie z nim, to z kimś innym. Może z tym mężczyzną, który prawił mi komplementy. Można by pożartować sobie trochę z księcia, z dworskiego ceremoniału, porozmawiać o innych potencjalnych klientach, o muzyce, jedzeniu, wykwinnych strojach. Gdyby to był Piętro, rozbierałabym się powoli przy świetle świecy, żując owoc figi, rozsypując chwile minionego dnia niczym winogrona z przepelnionego pucharu. Byłoby miło, ale nie to było najważniejsze. Najważniejsze było malarstwo.

Złowrogi, zawodzący wrzask kota w rui przestraszy! mnie; przez chwilę poczułam zimny dreszcz. Uświadomiłam sobie ukrytą tęsknotę, potrzebę głaskania, dotykania, drapania — tak jak się pieści kota. Oraz bycia dotykaną, rozkoszowania się ciepłem dłoni, przeciągania się od muśnięć opuszkami palców.

Wciąż nie mogłam usnąć. Wyciągnęłam pędzel Michała Anioła ukryty na dnie mojej skrzyni, owinięty troskliwie w miękką tkaninę. Nigdy go nie używałam. Podniosłam go do góry, jakbym malowała coś albo kogoś. Kogo? Człowieka z głową w gwiazdach. Szeroki biały kołnierz tworzący krzywiznę na jego ramionach, jego prosty, arystokratyczny nos, jego bystre oczy o przyjaznym spojrzeniu. Przypomniałam sobie wreszcie, gdzie widziałam go wcześniej — stał naprzeciw mnie podczas przyjęcia do akademii. Uśmiechał się.



Ułożyłam się na poduszkach ławki do pozowania i dotknęłam miękkim włosiem szyi — szyi, którą Vanna uznała za brzydką. I co z tego, że tak uważała? Nie wszyscy byli tego zdania. Poza tym ja miałam coś, czego nie miał nikt inny. Włosie pędzla miękkie jak kocie futerko; dotykające ucha, drażniący, podniecający dotyk — ręka boskiego na tym pędzlu — wzdłuż szyi w dół — zamknęłam oczy, by nie docierało do nich światło świecy, by odgrodzić się od wszystkiego, co mogłoby wyrwać mnie z tego odczucia... Pędzel między piersiami, zsunęłam koszulę z ramion, leciutko muskając okrężnym ruchem jedną, potem drugą pierś, coraz bliżej i bliżej — zawahałam się — bliżej i bliżej, wokół sutka, czułam mrowienie głęboko w moim wnętrzu, napięcie, rozluźnienie, napięcie, rytm unoszący mnie jak fala, która ma rozbić się o brzeg, coraz bliżej, aż w końcu uderzająca o skały. Drgnęłam, a potem rozluźniłam się. Leżałam rozmarzona w ciemnościach przez długi, długi czas.

## GALILEUSZ

Dzień świętego Jana zaczynał się we wspaniałościach czystego błękitu. Ciepłe, jedwabiste powietrze czerwca zachęcało mnie, by wyjść na balkon i odetchnąć głęboko. Ulubione drozdy Finy ogłaszały swym śpiewem dzień świętego patrona miasta.

— To będzie niezwykle widowisko. Jesteś pewien, że nie chcesz iść ze mną do Palazzo Pitti? — powiedziałam przez ramię.

Pietro wkładał nowe pończochy w kolorze cynamonu.

— Kosma zaprosił nas oboje. Będzie wspaniała ucztą, będzie muzyka i *commedia delTarte*, a potem moglibyśmy obejrzyć ogrody księcia.

— Zostawiam ci muzykę i ogrody — powiedział beztrosko. — Ja idę na *calcio* — uśmiechnął się, kpiąc z samego siebie — żeby na cały rok napaść oczy widokiem miażdżonych czaszek barbarzyńców.

Kpił z brutalności tej rozrywki, ale co roku w dzień świętego Jana szedł oglądać rozgrywki i krzyczał razem ze wszystkimi gapiami. W poprzednich latach chodziłam z nim na piazza di Santa Croce, żeby oglądać zmagania czterech drużyn, a właściwie czterech hord tłukących się ze wszystkich sił o piłkę. Każda drużyna nazwana była od kościoła w jednej z czterech dzielnic miasta, co prowadziło niekiedy do krwawych zamieszek, na przykład w imię Jana

Chrzciciela. Zeszłego roku bracia miłosierdzia wynieśli dwóch zawodników na noszach.

Skoro miałam zaproszenie na dwie osoby, mogłam przecież wziąć ze sobą Palmirę- Będzie zachwycona. Poza tym nie chciałam, żeby Fina została uwięziona w domu w taki dzień; śpiew i muzyka rozlegały się na każdym placu.

Wyszliśmy na ulicę razem; Piętro śpiewał pompatycznym barytonem, przykładając dłoń do piersi. Wydawało się, że wszyscy wyszli na ulicę. W miejscu, gdzie Corso dei Tintori łączyło się z Lungarno i gdzie rozchodziły się nasze drogi, Piętro pociągnął leciutko Palmirę za ucho.

— Bądź grzeczna u księcia — i do mnie: — *Ciao, amore* — całując mnie lekko w skroń.

— *Ciao, amore*,..

Rzadko zdarzało *mu się* mówić *amore*, więc cieszyłam się tym przez chwilę. Nawet miałam ochotę iść razem z nim, skoro był w tak dobrym nastroju, ale zaproszenia do pałacu Medyceuszy nie odrzuca się tak łatwo. Poza tym, kiedy znów spotkamy się w domu, oboje opowiemy sobie wzajemnie, co widzieliśmy. W ten sposób przeżyjemy ten dzień niejako dwukrotnie.

Cieszyłam się, że sklepy złotników na Pontc Vecchio były zamknięte z powodu święta. W przeciwnym razie z każdego straganu rozlegałyby się gromkie „aaach” oraz *che bella*.

Palmira była pierwszy raz w Palazzo Pitti. Kiedy weszliśmy po schodach, otworzyła szeroko oczy. Była tak zachwycona pięknymi strojami, że zachowywała się cicho jak trusia, czasem tylko szeptała do mnie, żebym popatrzyła na te czy tamtą suknię. Ludzie nie mieli dla niej znaczenia, interesowały ją tkaniny. Wiedziałam, że kiedy wrócimy do domu, będzie rozprawiać o tym bez końca.

W wielkiej Sala Bianca jej wzrok przykuły wspaniale kryształowe kandelabry.

— Czy zapalą w nich świece, mamó?

— Pewnie nie. Goście wyjdą przed zapadnięciem zmroku, żeby zobaczyć ostatnią grę w *calcio*.

Na kredensach stały tace z przekąskami — kawałki melona z wędzoną szynką i *crostinj* posmarowane pasztetem z bażancich wątróbek — udekorowane wachlarzem z bażancich piór.

Palmira z podziwem przyglądała się tej kompozycji, ale nie śmiała jej tknąć. Zamiast tego zajadała się ciasteczkami wypełnionymi konfiturą. Stoły ustawione były w kształcie szerokiej, płytkiej litery U, goście siedzieli przodem do okien wychodzących na dziedziniec. W otwartych drzwiach wychodzących na taras zawieszono pęki lawendy i bazylii, których zapach miał chronić przed gzami i fetorem ze stajni.

Spoglądałam na wielką księżnę Marie Magdaleną siedzącą przy środkowym stole. Jej proste nakrycie głowy przywodziło na myśl czarny welon zakonnicy wycięty w szpic na środku jej czoła niczym strzałka wskazująca punkt między oczami. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego włożyła coś takiego, ten styl zupełnie nie pasował do jej wąskiej, owalnej twarzy. Na szyi miała ciężki, ciemny rubin zawieszony na złotym łańcuchu, który zdawał się ją dusić. Kiedy podeszły do niej jej dzieci, żeby powiedzieć jej coś szeptem, odprawiła je zniecierpliwionym gestem. Kosma zamówił u mnie *Marie Magdalenę* na jej cześć. Nic o niej nie wiedziałam. Czy obraz przedstawiający prostytutką — choćby i prostytutką, która została świętą — może być wyrazem czci?

Jako danie główne podano pieczone perliczki, flaki wo-

lowe oraz szpinak; na deser były smażone brzoskwinie nadziane pastą migdałową. To Rarmirze smakowało najbardziej.

Po jedzeniu zabrałam małą na balkon, który łączył się z dużym tarasem, gdzie signor Galilei stał z grupą mężczyzn. Byłam pewna, że to on, choć tego dnia nie miał na sobie brązowego stroju. Był ubrany elegancko, jak dworzanin — miał na sobie długi, błękitny *uccobez* rękawów. Bufiaste rękawy białej koszuli wyglądały jak obłoki. Siwe pasma pośród jego ciemnych włosów lśniły w świetle słońca. Czy jeszcze mnie pamięta?

Pozostali mężczyźni odnosili się do niego z szacunkiem, słuchali go uważnie, a kiedy mówił ktoś inny, wszyscy spoglądali właśnie na niego, by wyczytać z jego twarzy poklask lub dezaprobatę. Przysłuchiwałam się przez chwile- Pograżeni byli w ożywionej debacie dotyczącej kwestii przewagi rzeźby nad malarstwem — zgoła inna forma rozrywki od tej, której lud oddawał się po drugiej stronie Arno. Na ten temat mogłam się wypowiadać. Zostawiłam Palmirę z jej słomianą lalką na balkonie i poszłam, żeby się do nich przyłączyć.

— Posągi, mające trzy wymiary w przeciwieństwie do dwuwymiarowych obrazów, są też bardziej rzeczywiste niż tamte — powiedział jeden z panów. — A więc dzięki rzeźbie stworzyć można pełniejsze złudzenie rzeczywistości, *ergo* rzeźba jest najwyższą ze sztuk.

— Nie zgadzam się — zaproponowałam.

Stałam o pare kroków od nich, za Galileuszem. Kiedy rozpoznał mnie, uśmiechnął się szeroko, odsunął na bok, żebym mogła dołączyć do ich kręgu.

— A co signorina o tym myśli? — dopytywał się inny z panów, tak jakby dama wyrażająca jakąkolwiek opinie była dla niego zjawiskiem całkiem nowym.

Nie znałam tych mężczyzn, ale rzuciłam się na głęboką wodę, starając się przemawiać w wyszukany sposób, tak jak oni.

— Wypukłość, która stwarza złudzenie przestrzeni, dostępna jest malarstwu w takim samym stopniu jak rzeźbie, malarstwo zaś dysponuje ponadto wszystkimi kolorami natury, by kształt podkreślić; rzeźba tymczasem dysponuje li tylko światłem i cieniem. Rzeźba stanowi obiekt przestrzenny, który postrzegać można za pomocą dotyku, malarstwo zaś osiąga wrażenie przestrzeni w sposób widoczny tylko dla oka. Tak więc malarstwo jest trudniejszą z tych dwóch sztuk i stąd też jego wyższość.

— Signorina ma racje — wtrącił Galilei. — Cóż szczególnego w tym, że naśladuje się rzeźbiarkę, Naturę, używając jej tworu, kamienia, do stworzenia wrażenia przestrzenności? — Zwrócił się ku mnie, jakby spodziewając się potwierdzenia z mojej strony. — Z tych dwojga malarstwo jest wyższą sztuką z innego również powodu. Jako dysponujące dwoma wymiarami malarstwo jest bardziej oddalone od rzeczywistości, a im większe oddalenie naśladownictwa od rzeczy naśladowanej, tym większy budzi ono podziw.

— Czy to ogólna zasada, która odnosi się do wszystkich sztuk? — spytał jeden z mężczyzn.

— Istotnie. Winniśmy podziwiać muzyka, który budzi w nas sympatie dla odrzuconego kochanka, przedstawiając jego smutki i uczucia w pieśni, bardziej niż gdyby usiłował to zrobić za pomocą płaczu i łez. — Uśmiechnął się z rozbawieniem w moją stronę. — Pieśń jest przeciwieństwem naturalnego wyrażania bólu, podczas gdy płacz jest bardzo doń zbliżony.

— Ale w takim razie, signor Galilei — zmierzyłam go

spojrzeniem, które dawało do zrozumienia, że trzymam asa w rękawie — muzyka grana na lutni przewyższa zarówno pieśń, jak i obraz, poprzez to, że najbardziej jest oddalona od ludzkiego postrzegania.

Rozległ się śmiech i panowie stwierdzili, że tym razem trafił na godnego siebie przeciwnika. Machnął ręką i spytał mnie:

— Chociaż zostałem sromotnie pokonany, czy zostanie mi przyznany przywilej odbycia spaceru w towarzystwie mego zwycięzcy?

Wyciągnęłam rękę do Palmiry. Przybiegła w podskokach.

— Moja córka, Palmira.

— Śliczne dziecko. Prawdziwa miniaturka swojej matki. Zeszliśmy po schodach ku alei wiodącej do ogrodów

i porośniętego trawą amfiteatru, gdzie kilku chłopców grało w *calcio*. Cyprysy i przycięte żywopłoty były zielniejsze, trawa bardziej aksamitna, powiew wiatru świeższy, śpiew ptaków bardziej melodyjny niż gdziekolwiek, gdzie dotąd zdarzyło mi się być.

— Wygląda, jakby wszystko zostało pokryte werniksem, który zwiększa nasycenie kolorów.

— Oto słowa malarki.

A wiec pamiętał, kim jestem.

— Dokąd prowadzi ta ścieżka? — spytałam.

— Do wielu rozkoszy. W szczególności do kilku labiryntów ogrodowych.

— Och, Palmiro, to ci się spodoba. — Po ogrodzie przechadzało się mnóstwo ludzi, mogła wiec do woli przyglądać się ich strojom.

— Kiedy widzieliśmy się ostatnio, chciałaś mnie o coś spytać — przypomniał.

— Tak, chciałam się czegoś więcej dowiedzieć o obrazach wiszących w pałacu, teraz muszę jednak zadać inne pytanie.

— W czym mogę być pomocny?

Palmira zobaczyła motyla w kolorach czerni i naturalnej sieni, zatrzymaliśmy się, żeby mogła mu się przyjrzeć, dopóki nie odfrunął.

— Chciałabym się czegoś dowiedzieć o arcyksiężnej — powiedziałam.

— Pochodzi z Austrii. Jest niezwykle pobożna. Lubi żałobne msze i nie kończące się nieszpory. Ta kobieta żyje dramatycznymi wydarzeniami z historii chrześcijaństwa, lubuje się w przesadnej i skrajnej pobożności. Gdyby żyła w czasach świętego Franciszka, poszłaby za nim.

— A czy poszłaby za Marią Magdaleną? Oczywiście w innych okolicznościach...

— Nawet i w tych okolicznościach. Są kobiety, które biorą na siebie grzechy świata i odprawiają nieustanną pokutę.

— Wyrzekają się świata i modlą się do Boga, nie zdejmując jednak kosztownych klejnotów?

— Właśnie tak.

— Dziękuję. To może mi pomóc.

Otwartą dłonią Galileusz wskazał węższą ścieżkę prowadzącą pomiędzy dwoma kwitnącymi żywopłotami. W skwarze popołudnia słodki zapach jaśminów uderzał do głowy.

— Może być pomocne w namalowaniu obrazu? — spytał.

— Tak, mówię o *Marii Magdalenie*, którą wielki książę u mnie zamówił. Chce odkryć i ukazać inną stronę tej postaci. Nie to, co się zwykle widzi: grzesznicę, na którą



nawrócenie spadło jak grom, albo nieoczekiwaną skruchę—Myślałam, że musiała być to głęboka, długa i bolesna medytacja, która doprowadziła do tak wielkiej przemiany osobowości. Zna pan zapewne *Adama i Ewę* Masaccia w kaplicy Brancaccich?

— Oczywiście.

— Całe ciało Ewy myśli i czuje. Chce, żeby ciało mojej Magdaleny również myślało, tak samo jak Ewa w rękach Masaccia. Jeszcze nie wiem, co będzie myśleć, ale wiem, że musi to być coś bardziej złożonego niż tylko boleść na widok własnego oblicza.

— Może warto byłoby obejrzeć drewnianą rzeźbę Donatella przedstawiającą Magdaleny, znajduje się w Baptysterium. To jest właśnie rodzaj przesady, który przypadnie do gustu wielkiej księżnej.

— Jak to możliwe o tej porze roku? Musiałabym czekać do marca na doroczne chrzciny.

Zatrzymał się w zamyśleniu.

— Jestem pewien, że kilka słów nakreślonych ręką jego książęcej wysokości otworzy niejedne drzwi, także do Baptysterium. Mogę łatwo uzyskać takie zezwolenie i będę czuł się zaszczycony, mogąc towarzyszyć ci tam dzisiaj. To znaczy tobie i twojej ślicznej córeczce.

— Dzisiaj? Czy to nie będzie nietaktem?

— Nie. Goście i tak wkrótce będą wychodzić na wieczorne *calcio*.

Przerwaliśmy więc spacer, Galileusz udał się do księcia, żeby porozmawiać z nim na osobności. Gdy zauważyliśmy, że pierwsi goście zaczynają wychodzić, pożegnaliśmy się, okazując właściwy szacunek, i przejechaliśmy na drugą stronę Arno w otwartym powozie, co było kolejnym źródłem radości dla Palmiry. Nigdy nie jechała otwartą karocą.

Galileusz sięgnął do swej sakiewki i wyciągnął coś, co trzymał w zaciśniętej dłoni.

— Palmiro, zechciej nadstawić dłoń — powiedział.

Spojrzała na mnie; skinęłam przyzwalająco głową. Położył na jej ręce twardy, zielonożółty smakołyk o nieregularnym kształcie, ja dostałam drugi, podobny.

— To cukierek z owoców cytrona. *Citrus medica*. W moim domu rośnie kilka drzewek cytronowych.

Palmira zaczęła ssać, wciągając policzki.

— Dlaczego my nie mamy takich cukierków?

— Gdybyśmy miały, te nie byłyby aż tak wyjątkowe. Im rzecz rzadsza, tym cenniejsza.

Galileusz spoglądał na mnie przez długą chwilę, nim i on włożył cukierek do ust.

Na rzece, której wody wydawały się mniej mętne i bardziej błękitne niż zazwyczaj, stała zakotwiczona barka z muzykami grającymi pod złotymi chorągwiami; wokół kołysało się nieprzeliczone mrowie łódek wszelkiej wielkości i rodzaju. *Remaioli*, którzy codziennie czerpali piasek i umacniali brzegi rzeki, nie pracowali tego dnia. W święto patrona miasta ich wąskie łodzie służyły zabawie współmieszkańców<sup>7</sup>. Z drugiego brzegu dobiegały dźwięki trąb towarzyszących paradzie *calcio*. Palmira nie posiadała się wprost z podniecenia.

Zatrzymaliśmy się przed Baptysterium, signor Galilei wysiadł z powozu.

— Za chwilę wrócę. Znam tutejszego zakrystiana. — Wszedł do jednego z budynków przy placu.

Palmira coraz bardziej kręciła się w powozie, więc pozwoliłam jej wyjść.

— Tylko trzymaj się w pobliżu — powiedziałam, ale ona natychmiast pobiegła za gołębiami.

Mogła skręcić gdzieś i zniknąć w tłumie w jednej chwili. Poszłam za nią, żeby mieć ją cały czas na oku. Przemykała się pomiędzy muzykami, sprzedawcami owoców i mężczyznami grającymi w kości na małych stolikach. Zatrzymała się przed leżącą na wozie *porchetta*: głowa prosiaka ucięta niczym głowa Holofernesa spoglądała na własne upieczone ciało. Nie powiedziałam jej, że świnia wypchana jest swymi własnymi uszami i wnętrznościami.

Obdarta pokutnica siedziała, jęcząc, na stopniach katedry. Piętro uważał, że jej rozpacz jest udawana, ale ja nie miałam takiego wrażenia. Żadna kobieta by się nie zdecydowała, żeby spędzać całe życie w ten sposób i wyglądać tak niechlujnie — jeśli nie zmusiłoby jej do tego coś silniejszego niż jej wola. Ciekawość Palmiry wzięła górę nad jej nieśmiałością i *dziewczynka* podeszła do kobiety. Nieszczęsna zawyla głośniej i Palmira uciekła do mnie z płaczem. Im głośniej Palmira krzyczała, tym głośniej zawodziła kobieta. Musiałam potrząsnąć małą, żeby umilkła.

— Nieładnie tak. To stara, smutna kobieta, a ty nie powinnaś zwracać na nią uwagi.

— Zobacz, jaka jest brudna. Ma czarne stopy, mamó.

— Ty też miałabyś brudne stopy, gdyby nie stać nas było na buciki dla ciebie. A teraz bądź grzeczna. Zobacz, idzie signor Galilei. Wyświadcza nam wielką grzeczność, więc nie przeszkadzaj. — Wyjęłam chusteczkę i otarłam jej buzię. - Zobaczymy miejsce, gdzie byłaś ochrzczone, kiedy byłaś jeszcze malutka.

Poszliśmy więc z nadwornym matematykiem i zakrystianem do Baptysterium; obaj mężczyźni naparli na jedno skrzydło potężnych brązowych wrót, uchylając je na tyle, byśmy mogli wśliznąć się do środka. Kiedy moje oczy

przyzwyczały się do słabego światła padającego z wysoko umieszczonych okien, zaczęłam dostrzegać szczegóły, których nie widziałam w czasie chrztu Palmiry — geometryczne zielono-białe wzory na ścianach i płaskie, wysmukłe filary. Palmira wpatrywała się w wielki, ozdobny srebrny krzyż na ołtarzu.

Zostawiłam ją tam i poszłam za Galileuszem. Pomiedzy dwiema kolumnami z różowego marmuru stała drewniana *Magdalena* Donatella ukazana jako stara kobieta. To był prawdziwy wstrząs. Wyniszczona postać o dzikich, zapadłych oczach i zwiędłych policzkach, zniszczona przez lata spędzone na pustkowiu, z rękami złożonymi do modlitwy. Miała bose stopy, stała na szeroko rozstawionych nogach, naga, okryta tylko zmierzwionymi włosami sięgającymi jej do kolan. W rozchylnych ustach pozostały tylko dwa zęby niczym dwa kamienie nagrobne. Palce u jej stóp zaciśnięte były kurczowo; była zakorzeniona w ziemi, a tak bardzo tęskniła za Niebem. Wzdrygnęłam się — To ta kobieta spod katedry! — usłyszałam krzyk Palmiry za sobą. Wtuliła twarzyczkę w moją suknię, jej pełen przerażenia płacz rozbrzmiewał echem w pustym, kamiennym pomieszczeniu. Nie zdołałam jej uspokoić, trzeba było zabrać ją stamtąd jak najszybciej.

Popatrzyłam bezradnie na Galileusza, zawstydzona.

— Przykro mi, *signore*. Myślę, że musimy iść. Wzięłam Palmirę za rękę i szybko wyprowadziłam ją na

zewnątrz. Spojrzałam jeszcze raz przez ramię na *Magdalene*. Żałosna postać, wciąż oszalała od swego grzechu sprzed siedemnastu stuleci.

— Nie, proszę nie odwozić nas do domu, *signor Galilei*. Mieszkamy niedaleko. Przykro mi, że sprawiłam kłopot.

## WENUS

Następnego dnia posłaniec przyniósł list. Na woskowej pieczęci widniało jakieś zwierzę w wieńcu z liści laurowych z koroną. Napis głosił: *Accademia dei Lincei*.

Wielmożna Pani,

Szczerze żałuję zamieszania, jakie mimowolnie wywołałem, sprawiając przykrość Pani i Jej córeczce. To bezmyślność z mojej strony, żeby nie przewidzieć reakcji dziecka na widok tak upiornej rzeźby, choć przekonany też jestem, że nie bez wpływu była obecność tamtej nieszczęsnej kobiety przed Baptysterium. Pragnąłbym odkupić moją winę, zapraszając Panią na kolację do Palazzo Pitti z okazji urodzin syna Jego Księżęce] Wysokości, Giovanniego, która odbędzie się w następną sobotę. Księżę upoważnił mnie, bym wysłał po Panią powóz, i prosił, bym powiedział, że on również liczy na Pani towarzystwo. Proszę, by Pani nadal zaszczycała mnie swym miłym obejściem i możliwością obcowania z jej błyskotliwym umysłem oraz obecnością podczas obserwacji planety Wenus tego wieczoru, jeśli pogoda dopisze.

Sługa pokorny Galileo Galilei

Obserwacja planety Wenus? Dlaczego właśnie Wenus? Co sobie Piętro pomyśli? Co ja miałam myśleć? Tego też nie byłam pewna. Z pewnością interesował się mną tylko po ojcowsku. Postawiłam go w kłopotliwej sytuacji i nie chciałam wyjść na osobę niewdzięczną. Bez wątplenia obecność na dworze Kośmy Medyceusza otwierała wiele korzystnych możliwości. Każdy z obecnych tam szlacheckich panów mógł być potencjalnym mecenasem, nie wyłączając synów księcia, Ferdynanda i Giovanniego, kiedy dojdą do pełnoletności. Przyjęłam więc zaproszenie.

Wieczorem zastanawiałam się nad tym wszystkim jeszcze raz. Nie wiedziałam, jakie są zamiary Galileusza. Gdyby Piętro poszedł ze mną, nie wzbudziłoby to żadnych podejrzeń. Kiedy powrócił do domu, opowiedziałam mu niedbałym tonem o zaproszeniu, krojąc cebulę.

— Czy chciałbyś pójść ze mną?

— Pokaż mi zaproszenie.

Nóż obsunął się po krągłej cebuli, zamiast ukroić plasterek.

— Nie było zaproszenia. Przyszedł posłaniec w liberii Medyceuszy i wyrecytował zaproszenie napisane wierszem. Całkiem zręcznie zresztą.

Patrzyłam tylko na cebulę i kroić ją uważnie.

— Kiedy to będzie?

— W następną sobotę, późnym popołudniem i wieczorem. W programie jest obserwacja nieba przez teleskop.

— Nie. Wybieram się na wyścigi konne.

Wyścigi konne. To znaczyło, że albo powróci rozradowany i z pieniędzmi — albo ponury i z zaciśniętymi pięściami.

W dniu urodzin Giovanniego całe miasto było rozgrzane jak piekarnik. Niebo zasnuły chmury, było parno, żar bił od kamiennego bruku i ścian budynków. Powietrze było tak wilgotne, że ciężko się oddychało.

Lokaj wskazał mi miejsce obok Galileusza przy końcu stołu. Uczony na mój widok wstał, skłonił się i wysunął przeznaczone dla mnie krzesło.

— Czy już wybaczyliście mi, panie, że pozostawiłam was na łaskę zakrystiana? — spytałam. — Obawiam się, że i moja córka, i ja zachowałyśmy się niegrzecznie.

— Ja zaś obawiam się, że znów muszę panią zawieść, sig-norina.

— Jak to możliwe? — spytałam.

— Chmury. — Rzucił okiem na otwarte okno. — Wenus nie pokaże się nam dzisiaj.

— Może jeszcze się rozwieją — powiedziałam. Wskazał palcem na chorągiew zwisającą bez ruchu na ścianie przeciwległego skrzydła pałacu.

Nie zdołałam nic wywnioskować o jego zamiarach. Co jakiś czas spostrzegałam, że przestaje brać udział w rozmowie toczącej się przy stole i w roztargnieniu opuszkami palców gładzi paznokiec na kciuku. W takich chwilach wydawało się, że naprawdę przebywa wśród gwiazd, tak jak mówiły tamte kobiety.

Kelnerzy wnieśli przekąski, na które składały się sardele w oliwie z cytryną i smażona cukinia. Goście jedli powoli, rozmawiali ospale, starali się jak najmniej poruszać. Nawet śmiech brzmiał leniwie i apatycznie. Powietrze w sali pomimo otwartych okien było zatechłe. Po szyjach kelnerów spływały strużki potu. Goście ocierali czoła serwetami. Signor Galilei umoczył chusteczkę w zimnej wodzie i położył ją na moim nadgarstku, żeby mnie ochlo-

dzień. Potem nadeszła *prima portata*, czyli smakowity paszтет wieprzowy z cebulami, daktylami, migdałami i szafranem; śpiewacy wykonali tymczasem poruszającą pieśń skomponowaną przez Wawrzyńca Wspaniałego. *Chi vuol esser lieto, sia; di doman non è certezza* — śpiewali. Ciesz się dniem dzisiejszym, bo jutro jest niepewne. Cóż za pieśń na urodziny. Goście klaskali i stukali wachlarzami z malowanego papieru, ale dla mnie słowa pieśni brzmiały jak zły omen. Pomyślałam o moim mężu, który w tej chwili grał na wyścigach. Również signor Galilei zdawał się być pogrążony w ponurych myślach, chociaż nie mogłam odgadnąć, czego dotyczą. Znów nerwowo pocierał palcami o kciuk.

Książę Kosma wprowadził swego syna wzdłuż stołów, przedstawiając mu gości, jakby był już mężczyzną, chociaż mógł mieć dopiero siedem albo osiem lat. Kiedy podeszli do mnie, książę powiedział:

— To jest donna Artemizja Gentileschi, wielka malarka. Pracuje w tej chwili nad obrazem dla twojej matki.

Poczułam się niezręcznie, ponieważ jeszcze nie zaczęłam tego obrazu i lękałam się, że może zapytać mnie o postępy w pracy.

— Kiedyś zapragniesz mieć jej obrazy w swojej kolekcji.

— Kiedyś będę szczęśliwa, mogąc malować dla waszej wysokości — powiedziałam, a oni poszli dalej.

Przyglądałam się kwaśnemu wyrazowi twarzy księżnej Marii Magdaleny. Była dumna i wyniosła, sztywna wobec swych synów — choć przecież matka Kośmy, wielka księżna Krystyna, najwyraźniej nie wstydziała się czułych gestów wobec nich. U Marii Magdaleny nie sposób było dostrzec oznak macierzyńskiej miłości ani też żywości umysłu takiej jak u babki — która uczciła swego wnuka, recytując wiersz ułożony na jego cześć.



Pochyliłam się ku Galileuszowi i wyszeptałam:

— Ta księżna o jajowatej twarzy, która króluje przy stole z tak wielką powagą, nie byłaby zachwycona wyniszczeniem i dzikością, jaką przedstawia Donatello.

— Ale czy obraz powstaje po to, by zachwycić zleceniodawcę, czy też, aby wyrazić myśl?

— Owszem, by wyrazić moją własną myśl, a mi nie odpowiada wizerunek kobiety wyniszczonej przesadną pokutą. Chciałam namalować ją jako bohaterkę, ale pokutnica nie jest kobietą dokonującą śmiałego czynu, z którego potem będzie dumna.

— Jakież więc obraz powstanie? Westchnęłam ciężko.

— Tego nie wiem.

Siedząca obok mnie dama uporczywie wymachiwała wachlarzem, aż wreszcie zmęczyło ją to i tylko bezmyślnie gapiła się w okno.

— Najlepsze obrazy ukazują najbardziej charakterystyczny moment jakiegoś wydarzenia — myślałam głośno. — Zastanawiałam się nad pokazaniem lęku, jaki przeżywała przed domem Szymona, kiedy trzymała w ręce alabastrową puszkę kosztownego oleju, czekając na okazję, by wejść do środka, umyć i namaścić stopy Mistrza, ale teraz już nie jestem pewna.

— Czytałaś Pismo Święte? — Jego kciuk przestał się poruszać.

— Nie. Po prostu wyobrażałam sobie tę chwilę przed domem.

— Ale znasz Biblię?

— Kiedy moja matka umarła, byłam wychowywana przez siostry w klasztorze Santa Trinita dei Monti w Rzymie.

— Czy to oznacza, że uważasz każde słowo Biblii za prawdę?

— Nie jestem teologiem, lecz malarzem. Biblia jest bogatym źródłem historii, które w dramatyczny sposób można oddać w malarstwie i rzeźbie — uśmiechnęłam się — i w pieśni, która jest przecież najwyższą ze sztuk. Co do kwestii prawdy absolutnej zawartej w tych opowieściach, to już nie moja sprawa. Dla mnie istotna jest wyobraźnia.

— *Bene.* — Rozparł się wygodnie na krześle.

— **A** moja wyobraźnia podpowiada mi, że Maria Magdalena bliżej powiązana była z Jezusem niż jej siostra Marta krzająca **się** przy wieczerzy. Powiedział on do Marty, że Maria wybrała lepszą część — Spojrzałam na dłonie wielkiej księżnej obciążone wielkimi pierścieniami. — I to właśnie chciałabym ukazać w jakiś sposób: że czynne życie Marty wraz z jej skupieniem na własności i rzeczach światowych miało mniejsze znaczenie w chwili, gdy nauczał Mistrz, niż wybrane przez Marie życie w medytacji. Magdalena z natury poruszała się w obszarze myśli, zazwyczaj zastrzeżonym dla mężczyzn.

Uniósł puchar z winem, ale nie wypił.

— Czy tylko dla mężczyzn?

— Prawie wyłącznie. Przyjrzyjmy się jego uczniom. Wszyscy, którzy wyrazili jakąś racjonalną myśl, którzy choćby zadali przemyślane pytanie, byli mężczyznami. Kobiety w Biblii okazują wiarą, ale która z nich wdała się w rozmowę lub spytała o coś Mistrza jak Maria Magdalena?

— **A** Matka Boska?

— Czy powiedziała kiedykolwiek coś, co dowodzi duchowej świadomości? Czy mamy jakieś dowody na to, że obdarzona była dociekliwym umysłem? Czyż istnieje

Modlitwa Dziewicy, tak jak istnieje Modlitwa Pańska? Najbardziej zbliżoną modlitwą jest *Magnificat*.

— Takie stwierdzenia nie przypadłyby do gustu Ojcu Świętemu.

— Nie twierdze przecież, że pozbawiona była świętości, ale przyznać trzeba, że poprzez stulecia przetrwała o niej pamięć jako o osobie milczącej. Maria Magdalena tymczasem przemawiała ze świadomością innej perspektywy i wykazała się zdolnością rozumowania.

— W takim razie pozwolę sobie porównać cie do tej Magdaleny i to z tego właśnie powodu, co w świetle twoich własnych argumentów czyni cie kobietą niezwykłą.

— W jakim sensie?

— Obdarzoną umysłem kontemplacyjnym. Spoglądającą na rzeczy z innego punktu widzenia.

Skłoniłam się w podzięcie za komplement.

— Niełatwo jednak pokazać to wszystko na obrazie. A ludzie, którzy spoglądają na obrazy, nie zastanawiając się nad nimi, nie dostrzegają takich subtelności.

Po krótkim interludium wypełnionym pokazami szrudła rzy kelnerzy wnieśli *seconda portata*: pieczone gołąbki owinięte plasterkami bekonu, a następnie figi nadziewane wonnymi czarnymi winogronami. Nikt jednak nie miał upetytu. Wciąż jeszcze panował upał.

— Byłem pod wielkim wrażeniem twojego udziału w naszej dyskusji o malarstwie i rzeźbie, Artemizjo.

- To była interesująca debata, choć rzadko zdarza mi się brać udział w takich rozmowach. — Kiedy ostatnio dyskutowałam na ten temat z Pięciem? Nie mogłam sobie przypomnieć.

- Czy wiesz, jak wielki sukces odniosłaś? Jesteś pierwszą kobietą w akademii. Kobieta zwycięsko zmagającą się

z konwenansami i tradycją. Wiesz, czego chcesz. Godne podziwu.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć na te słowa. Gdyby było choć odrobinę chłodniej, zapewne zdobyłabym się na równie grzeczną odpowiedź.

Goście zaczęli wychodzić na taras i do ogrodu w poszukiwaniu cienia i świeżego powietrza. Galileusz nie chciał się ruszyć od stołu. Znów wyciągnął ze swej sakiewki kandyzowane cytryny.

— Słabość starego człowieka. — Rozłożył chusteczkę na dłoni i podał mi je.

— Jakie piękne. Każdy ma inny kształt. Jak topione szkło. — Wzięłam jeden. — Albo nieoszlifowane klejnoty.

— Cytryny obrodziły w tym roku. Rosną w terakotowych donicach. Również pomarańcze i cytryny.

— Cukierki rosną na drzewach? Zaśmiał się cicho.

— Cukierki przyrządza z nich siostra Maria Celeste z klasztoru San Matteo w Arcetri. — Położył chusteczkę na stole i przyglądał się, jak stosik cukierków rozsypuje się po niej. — To moja córka.

— Nie wiedziałam, że jesteś żonaty.

— Nie jestem. — Milczał przez chwilę. — I nigdy nie byłem. Nie powinnam być tym zaskoczona. Być może nie był

szczególnie przystojny, był jednak inteligentnym mężczyzną o ujmującym sposobie bycia, którego galanteria była szczerą, a inteligentne kobiety łatwo zakochują się w takich mężczyznach.

— To dziwne, prawda? Jak na mężczyznę w moim wieku.

— Może nie takie dziwne, skoro chodzi o mężczyznę zakochanego w gwiazdach.

— Mam też drugą córkę i syna. Żyje w serdecznych sto-

sunkach z ich matką, ale nigdy nie mieszkaliśmy razem. Teraz wyszła za mąż i mieszka w Padwie.

Popatrzyłam na niego dyskretnie, próbując odgadnąć, jakie uczucia budzi wspomnienie o nich, ale wyraz jego twarzy był nieprzenikniony.

— Zbyt dużo mówiliśmy o mojej pracy. Teraz chętnie usłyszałabym coś o pracy nadwornego astronoma — powiedziałam.

Przyglądał mi się uważnie.

— Przypuszczam, że twój umysł jest otwarty na postrze-galne zjawiska, nie jest ograniczony słowami oficjalnych dogmatów.

— Zadaniem artysty, tak samo jak uczonego, jest badanie widzialnego świata.

— W takim razie opowiem ci, chociaż moi przeciwnicy zmuszają mnie do ostrożności i muszę mówić o wynikach moich badań jak o zwykłej teorii. — Pochylił się, zaczął mówić szybciej. — Dzięki powiększeniu uzyskanemu za pomocą moich teleskopów udało mi się zaobserwować, że na Księżycu są wzgórza i kratery tak samo jak na naszej Ziemi, a na Słońcu są plamy.

— Plamy?

— Zapewne obłoki dymu lub pary, które są ciemniejsze niż reszta Słońca... Nie to jednak jest istotne... — Oparł się łokciami o stół i poruszał rękami, by mi to wyjaśnić; zapomniał o skwarze. — Otóż przemieszczają się one na powierzchni Słońca, z czego wynikać może, że obraca się ono wokół własnej osi, choć poza tym jest zawieszona nieruchomo w przestrzeni. — Wprawił w ruch wirowy największy z cukierków na stole.

— Jak to nieruchomo? Przecież co dzień wschodzi i zachodzi?

— To jest jedynie złudzenie widziane z Ziemi. — Uniósł palec wskazujący i tłumaczył dalej, nie zważając na moje zdumienie: — Dodać jeszcze należy, że planeta Jowisz ma cztery księżycy. — Ustawił cztery małe świece wokół jednej dużej. — Pomimo twierdzeń tych teologów, którzy utrzymują, że Bóg nie dozwoliłby na istnienie większej liczby elementów systemu planetarnego niż święta liczba siedem. Musimy uznać to, co możemy dostrzec za pośrednictwem własnych oczu.

— Nie traktując tedy Biblii w sposób dosłowny?

~- Z pewnością nie pod każdym względem. Tak mniej więcej napisałem w liście do wielkiej księżnej Krystyny, która ma wątpliwości co do mojej teorii, chociaż jej syn mnie popiera. Byłem jego nauczycielem i wychowawcą, ma do mnie zaufanie.

— Czy te księżycy widać przez szkła? Może one także są złudzeniem?

— Nie, one istnieją! Przez mój teleskop widać, jak **się** przesuwiają po powierzchni Jowisza, co dowodzi... a raczej sugeruje, że ciała niebieskie mogą obracać się wokół innych ciał niebieskich, niekoniecznie Ziemi.

— To zdumiewające! Całkowite zaprzeczenie wszystkiego, czego się nauczyłam. Zawsze mi powtarzano, że wszystko krąży wokół... wokół nas. Czy to oznacza, że wszystko, czego naucza nasza Święta Matka Kościół, wcale nie musi być prawdą?

Wzruszył ramionami.

— To bardzo niebezpieczne stwierdzenia. Skąd ta pewność?

— Wynika to z długotrwałych obserwacji i... logiki. Gdyby ktoś teraz zdołał wskrzesić Arystotelesa i gdybym mógł mu pokazać mój teleskop, sam osobiście podarłby swoje

pisma jako dowód prymitywnych rozważań ograniczonego egocentryka.

— Chciałabym zobaczyć te księżyce. — Wskazałam na świece.

— Pokazałbym ci je dzisiaj, gdyby niebo było czyste. Przez takie chmury nic nie widać. Któregoś dnia, kiedy będą lepsze warunki, pokaże ci je. A także kratery na Księżycu i fazy Wenus.

— Fazy?

— Od sierpa do pełnego kręgu.

— Tak więc Wenus jest księżycem! Uśmiechnął się nagle i pokiwał głową.

— Można tak powiedzieć. Jest księżycem Słońca, wokół którego krąży.

— Oznacza to, że bogini miłości blednie i zanika? Wyraz jego twarzy zmieni! się na chwilę, jego myśli

biegły innym torem, przez moment zastanawiał się jakby, czy ciągnąć swój wywód, czy nawiązać do moich słów, ale zdecydował się wrócić do swojej ulubionej dziedziny.

— To całkiem proste. Fazy oznaczają, że Wenus obraca się wokół Słońca, tak samo jak nasz Księżyc obraca się wokół Ziemi. — Wybrał cukierek, który przedstawiać miał Wenus, i zniżył głos. — A ponieważ jedna z planet krąży wokół Słońca i plamy na Słońcu ukazują wirowanie tegoż wokół własnej osi, możliwe jest, że wszystkie planety, że my wszyscy poruszamy się wokół Słońca. — Wziął kilka cukierków i zaczął poruszać nimi wokół największego.

— Poruszamy się? — Wyrzałam przez okno, trudno mi było pojąć to, co mówi. — Nie czuję żadnego ruchu.

— Niemniej, Artemizjo, poruszamy się, i to z ogromną prędkością. Bezruch jest tylko złudzeniem — powiedział to

niemal z czułością, jakby tłumaczył dziecku podstawowe zasady sztuki chodzenia. Wskazałam na okno.

— W takim razie dlaczego ta chorągiew zwisa bezwładnie, a nie kołysze się na boki? Dlaczego włosy tej kobiety stojącej na tarasie nie powiewają od pedu?

— Są inne siły, które temu przeciwdziałają. — Pochylił się do tyłu na krześle. — Obdarzona jesteś bystrym, oryginalnym umysłem.

Uśmiechnęłam się— Sztuki i nauka spotykają się w królestwie wyobraźni, tam bowiem rodzą się oryginalne idee, tam jest nasze prawdziwe życie. — Choć trudno mi było uwierzyć w głoszone przez niego koncepcje, poczułam, że nawiązała się pomiędzy naszymi umysłami jakaś nić porozumienia. Musiałam spojrzeć w inną stronę, by nie okazywać zbyt wiele podziwu.

— Byłoby z korzyścią zarówno dla artystów, jak i dla uczonych, gdyby stale zachowywali zdrowy sceptycyzm wobec tradycyjnych sposobów myślenia — zauważył.

— Zdajesz sobie sprawę z ryzyka, signore? — zapytałam szeptem.

— Proszę do mnie mówić po imieniu.

Wyszliśmy na zewnątrz i stanęliśmy przy balustradzie, patrząc w kierunku rzędu cyprysów wyglądających jak spiczaste wieże kościelne wskazujące na niebo.

— Oboje ryzykujemy — powiedział, pochmurniejąc. — Wkrótce muszę się udać do papieża i przedstawić mu moje odkrycia. Chce uwolnić go od więzów narzuconych przez Arystotelesa i Ptolemeusza oraz prosić go o opiekę, w razie gdybym jej potrzebował.

— Do Rzymu?! To znaczy prosto w paszcze lwa!



— Obawiam się, że i tak już w niej jestem.

— Czy mam się martwić o ciebie, kiedy tam pojedziesz? Chciał odpowiedzieć, ale nie dopuściłam go do głosu.

— Niezależnie od twojej odpowiedzi i tak wiem, że będę się niepokoić. Jesteś taki ufny. Każdy, kto głosi nowe idee, ma wrogów. Królestwo papieża jest krainą, w której twoje słowa łatwiej obrócić się mogą przeciwko tobie niż gdzie indziej, tak łatwo, jak zdmuchuje się świece- To niebezpieczne miasto. Rzym może popierać twe poglądy jednego dnia, a nazajutrz je potępić. Rzym podziwia silne jednostki i lubuje się, oglądając ich upadek.

— Skąd wiesz o tym wszystkim?

— Nie zapominaj, że jestem rzymianką. Milczeliśmy przez dłuższą chwilę, każde z nas myślało

o swoim Rzymie w zapadających ciemnościach. Kilkoro gości podeszło do nas.

— Nie będzie dziś obserwacji gwiazd, signore?

— Niebiosa nie zawsze zapewniają nam to, czego byśmy sobie życzyli — odpowiedział Galileusz. Wszedł do budynku i powrócił z lutnią w reku.

— Gra na lutni — przypomniałam mu — jest najwyższą ze sztuk. Wznioślejszą niż malarstwo. Wznioślejszą niż szlochanie. Zagraj coś melancholijnego z okazji twojego wyjazdu.

Dźwięki strun zawisły w gęstniejącym mroku, tak jak wspomnienie tego wieczoru — wiedziałam to — zawiśnie niczym gwiazda pośród chmur na firmamencie mojej pamięci.

Kiedy goście zaczęli wychodzić, Galileusz odprowadził mnie na dół i pomógł mi wsiąść do jednego z oczekujących powozów. Położył rękę na mojej dłoni spoczywającej na drzwiczkach.

— Wyślę do ciebie list, jak tylko powrócę. — Jego łagodne, zmęczone  
oczy lśniły w kręgu światła rzucanego przez lampę powozu.

— W tym czasie — odparłam — spróbuj poczuć, jak Ziemia się  
porusza.

## MARIA MAGDALENA

Pewnego dnia Piętro odbywał sjęstę obok na wpół uspiionej Palmiry. Pewna kwestia nie dawała mi spokoju.

— Jak sądzisz, jaka jest najważniejsza cecha malarza?

— Powinien być uważnym obserwatorem, po pierwsze, po ostatnie i zawsze.

— A jeśli to, co malarz widzi, nie jest przyjemne dla oka?

— Tak czy inaczej musi patrzeć.

— Chcesz przez to powiedzieć, że pomimo odrazy nie powinna odwracać oczu?

— O czym ty mówisz?

— O mojej pokutującej Magdalenie. — Zgarnęłam ołowiane pręciki do rysowania i mały szkicownik. — Zostaniesz tu przez jakiś czas z Palmirą? Idę poszukać tej pokutującej kobiety.

— W jakim celu?

— Nie jestem pewna. Przekonam się, kiedy ją zobaczę. Wróca, nim skończysz drzemkę.

Nie było jej pod Santa Croce. Obeszłam dookoła katedrę i Baptysterium. Dlaczego nie było jej akurat wtedy, kiedy jej potrzebowałam? Znalazłam ją dopiero pod San horcnzo. Ustawiłam się tak, że widziałam ją pomiędzy koniem a powozem stojącym pod kościołem.

Opierając się nagimi kolanami o stopień kościoła, kołysała się w przód i w tył, jęczała nękana wyrzutami sumienia, czuła skruchę tak wielką, że aż wyzbyła się wszelkiej własności. Co ona mogła zrobić tak złego, żeby zadać sobie pokutę w postaci życia złożonego wyłącznie z umartwień? W moim mniemaniu nikt, być może oprócz okrutnego tyrana, nie zasługiwał na tak bezlitosne cierpienie. Płakałam więc nad nią, nad nią i nad Ewą, nad minionymi troskami i nad tymi, które miały jeszcze nadejść. Odłożyłam ołówek. Nie powinno się rysować cierpienia. Gdyby wtedy w Betanii znajdował się jakiś artysta, nie miałby prawa zbeczczyć kredą czy węglem płaczu Marii Magdaleny obmywającej stopy Jezusa. Istnieją tematy, których sztuka nie powinna podejmować, dopóki czas nie złagodzi ich drastyczności.

Przestałam się jej przyglądać i ruszyłam z powrotem do domu.

Jeśli chwila nawrócenia prowadzi do takiego wyrzeczenia i nędzy — nie chciałam jej malować. Natomiast chwila poprzedzająca nawrócenie — to wyglądało interesująco. Chwila przed wyrzeczeniem się, kiedy Eros wciąż jeszcze ma ją w swym władaniu, kiedy w jej umyśle pojawiają się obrazy mrocznej przyszłości, która może ją czekać, jeśli nie zmieni swego życia... a zarazem lęka się porzucić to wszystko, czego nadal pragnie. Mogłaby mieć jeszcze na sobie wspaniałą suknie, która spodoba się florentyńczykom. Rozpuszczone włosy mogą jeszcze pozostać jako oznaka ledwo skrywanej zmysłowości. Mogłabym nawiązać do skrajnego wyrzeczenia widocznego u Magdaleny Donatella przez to, że jedną stopę miałyby obnażoną — i nie byłaby to drobna stopka, lecz stopa kobiety pracującej, która wyłaniałaby się spod rąbka spódnicy.

Zaczełam iść szybciej, podniecona nowym pomysłem.

Muszą nią targać sprzeczności, wątpliwości. Będzie miała zatroskane czoło, łzy w oczach, powieki zaczerwienione i opuchnięte, będzie się wstydzić swej przeszłości — nadal jednak będzie odziana we wspaniałe jedwabie, będzie miała na sobie biżuterię, właśnie ukończywszy przygotowania przed spotkaniem z kolejnym gachem. Jej łzy byłyby dwuznaczne: nad czym właściwie je wylewa?

W pobliżu domu, na corso dei Tmtori, zobaczyłam zwisający z górnego okna kupon lśniącego złotego jedwabiu. Płaty tego samego koloru rozciągnięte były na drewnianych stojakach. Idealny kolor dla Magdaleny! Jakaś młoda kobieta wydobywała właśnie kolejną porcję materiału z kadzi, słońce odbijało się od powierzchni cieczy i oświetlało jej nagie, silne przedramiona. Przyglądałam się jej przez chwilę: dorodna, rosła dziewczyna o jasnej cerze, szerokich ramionach, wijących się włosach, na jej twarzy malował się wyraz cierpienia. Jeśli tylko zdołam ją skłonić, by zachowała ten wygląd i spoglądała przed siebie, zamiast wpatrywać się w parującą kadź...

Podeszłam do niej.

— To wspaniały kolor. Czy nie sprawia, że dzięki niemu kochasz to, co robisz?

— Nie, signora. Czy chciałaby pani wdychać opary amoniaku i mieć wiecznie poparzone ręce?

Jej oczy były zaczerwienione i szkliste. Doskonale. Wyglądały, jakby płakała.

— A co wolałabyś robić?

— Wolałabym tkać albo szyć.

— Coś, co można robić na siedząco?

— O tak.

— Jakiej zażądałabyś zapłaty, żeby po prostu siedzieć bez ruchu?  
Spojrzała na mnie podejrzliwie.

— Jestem uczciwą dziewczyną, signora. Nie jestem jakąś...

— Jestem malarką. Chciałabym cie namalować. Jesteś piękna.

Z początku myślała, że kpie sobie z niej.

— Mój ojciec mi nie uwierzy.

— Chce z nim pomówić.

Wprowadziła mnie na zaplecze małego sklepiku. Odmówił, zdecydowanie i stanowczo.

— A kto się zajmie twoją kadzią? — spytał ją, najwyraźniej nie zwracając na mnie uwagi. Zresztą nie byłam tego pewna. Każde z jego oczu patrzyło w inną stronę—Zastanawiałam się, w jaki sposób widzi otaczający go świat, i współczułam mu, jeśli taki zez powodował zniekształcenie widzenia.

— Jestem pewna, że znajdziecie kogoś za jedną trzecią tego, co ona zarobi u mnie.

— Nie rozbierze się, choćby nie wiem ile jej pani zapłaciła — warknął.

— Wprost przeciwnie, chcę, żeby miała na sobie suknie uszytą z tego wspaniałego złotego jedwabiu. Tego samego, który tam się suszy. Ma taki kolor, jakby wplecione były w niego nitki z czystego złota. Jestem pewna, że to najlepszy jedwab w mieście, prawda?

— Oczywiście, że tak. Moja rodzina uprawia farbiarstwo od dwustu lat.

— A nie życzylibyście sobie, żeby Maria Magdalena, księżna we własnej osobie, dowiedziała się o istnieniu farbiarza, który zdołał uzyskać tak wspaniały kolor? Dla niej mam namalować ten obraz. Jak brzmi wasze imie, signore?

— Marco Rossi.

— A jak ma na imię wasza córka?

— Umiliana.

— *Bene*. Tak więc sprawa załatwiona. Wyciągnęłam doń rękę. Wciąż jeszcze podejrzliwie

marszcząc brwi, uściśnął ją, tak jak by uczynił, dobijając targu z mężczyzną. Uśmiechnęłam się do niego i zwróciłam się do Umiliany.

— Umyj się. Włosy też. Przyjdź do mnie w poniedziałek rano. Mieszkam na Lungarno, blisko piazza Piave. Dom z drewnianą bramą, na której wyrzeźbiona jest lwia głowa. Na dziedzińcu jest studnia i figowiec. Pociągnij za sznur od dzwonka z trzema węzłami.

W poniedziałek Umiliana przyszła i przyniosła brzoskwinię. Podzieliłam ją na trzy części: dla Palmiry, Umiliany i dla mnie.

— Przepraszam, signora. Nie wiedziałam, że ma pani dziecko. Powinnam była przynieść jedną dla niej i drugą dla pani.

— Nie ma za co przeproszać. Popatrz, jaki piękny kolor mięszu. Prawie jak złoty jedwab. Dzisiaj przychodzi szwaczka, żeby zdjąć z ciebie miarę, potem pošlemy ją do sklepu twojego ojca, żeby kupiła jedwab.

— Będzie zachwycony.

— Masz dzisiaj takie gładkie włosy — powiedziałam.

— Bo dzisiaj nie pracowałam. Kręcą się tak od pary.

— Ale ja chcę, żeby się kręciły. Włosy musisz mieć trochę w nieładzie. Pamiętaj, każdego dnia przed przyjściem do mnie trzymaj przez chwilę głowę nad gorącą kadzią.

Pamiętała, chociaż nie uważała, żeby to ładnie wyglą-

dało. Przez pierwszy tydzień szkicowałam ją w różnych pozach, okazała się chętna do współpracy, ciekawa i starała się mnie zadowolić. Każdego dnia pytała, czy suknia jest już gotowa.

Palmira była tak samo podniecona na tę myśl jak Umiliana.

— Mamo, czy będzie gotowa już jutro?

— Nie martwcie się — powiedziałam do nich obu — niedługo będzie gotowa.

Kiedy w końcu dostarczono suknię i rozłożyłam ją na stole, Palmira zaczęła podskakiwać, a Umiliana gwizdnęła przez zęby i cofnęła się o krok. Przyglądała się sukni z wysoko uniesionymi brwiami.

Roześmiałam się.

— *Dio mio*, nie bój się jej, Umiliano. Chodź, pomogę ci ją włożyć.

Bez słowa zrzuciła ubranie i podniosła obie ręce do góry. Palmira przyglądała się szeroko rozwartymi, pełnymi zazdrości oczami, jak wkładam Umilianie suknię przez głowę. Kiedy zapięłam wszystkie zapinki, Palmira wprost wychodziła z siebie. Aż piszczała z zachwytu i podniecenia.

— Wygląda jak królowa! — krzyknęła i złożyła jej dworski ukłon. Potem wytwornym gestem wskazała na stary fotel Finy, który pożyczyłam do pozowania, i powiedziała: — A oto jej tron.

— Przynieś moje lustro, kochanie.

Palmira pobiegła i po chwili wróciła, uroczyście dzierżąc zwierciadło w obu dłoniach.

Na speszzonej twarzy Umiliany pojawił się uśmiech zdumienia.

— Jedno jest pewne, nigdy nie będę miała takiej sukni.



Zsunęłam jej suknię z lewego ramienia.

— Ja też nie.

— Co z nią zrobisz, kiedy skończymy? — spytała Umiliana.

— Pewnie będę musiała ją sprzedać.

— Wiele zachodu z powodu jednego obrazu. — Przesunęła palcem wzdłuż obszycia gorsetu, wciąż wpatrując się w lustro.

— Nie, ponieważ ma to duże znaczenie dla treści obrazu.

— Chciałabym, żeby Giorgio mógł mnie teraz zobaczyć.

— Giorgio?

Suknia ośmieliła ją, ale teraz nagle się zawstydziła.

— To mój...

— Oczywiście — uśmiechnęłam się. — Kiedy skończymy, będzie mógł przyjść i obejrzeć obraz, zanim dostarczę go do pałacu.

— Dziękuję...

Usadziłam Umilianę przy stole, półprofilęm. Wspaniała bufiasta spódnica stanowiła niemal dwie trzecie całej kompozycji. Lustro w drewnianej ramie nasunęło mi pewien pomysł. Odbicie w nim mogłoby przywodzić na myśl nie tę kobietę, którą jest teraz, lecz jaką stanie się w przyszłości. Poszarzała i wynędzniała, taką jak u Donatella. Niech widz się zastanawia, czy to wizja jej postaci, jeśli będzie czynić pokutę, czy też przeciwnie — jeśli nadal będzie żyć w grzechu. To była moja *invenzione*. Upozowałam jej lewą rękę tak, jakby odpychała lustro w cień, osłaniając się przed wyniszczającym działaniem czasu.

— Połóż prawą rękę na sercu. Trochę wyżej. Nie, nie przyciskaj, po prostu oprzyj ją. Dobrze. Wyprostuj kciuk.

— Głupio się czuję.

— W ten sposób wyglądasz, jakbyś była zrozpaczona. Właśnie o to mi chodzi. Teraz wyobraź sobie, że jest bardzo gorący dzień, a ty musisz włożyć ręce do tej parującej kadzi. Jak wyglądałaby twoja twarz?

Wykrzywiła się.

— Za bardzo. Tak, tak dobrze. Tak jakbyś usłyszała smutną historię. Najsmutniejszą, jaką możesz wymyślić. Na przykład, że Giorgio cie porzucił.

Przez chwile na jej twarzy malował się wyraz cierpienia, ale natychmiast wybuchła śmiechem.

— Przepraszam, signora. — Opanowała się i znów przybrała cierpiętniczy wyraz twarzy.

— Tak jest dobrze. Teraz patrz przed siebie, a nie w dół. Na tamto pęknięcie na ścianie, tam pod sufitem. Doskonale. Zostań tak.

W ciągu następnych paru tygodni okazało się, ku zdziwieniu mojemu i Umiliany, że potrafi ona wytrzymać w tej pozycji bez przerwy całe godziny, zachowując odpowiedni wyraz twarzy. Tego właśnie mi było trzeba, żeby namalować Marie Magdaleny, która lęka się porzucić swe dotychczasowe życie.

Pewnego ranka zobaczyła, jak Piętro wychodzi z domu w poplamionym farbami roboczym ubraniu, i powiedziała:

— Dwoje malarzy w jednej rodzinie. To dziwne.

— A czy w twojej rodzinie jest tylko jeden farbiarz? Mój ojciec też jest malarzem. Nie ma w tym nic dziwnego.

— W takim razie, jak to się dzieje, że ktoś zaczyna robić coś innego?

— Robi coś innego, jeśli sam jest inny. Nie pasuje do otoczenia. Ma silną wolę i własne, odrębne upodobania.

Martwiłam się czasami, czy nie będzie jej zbyt trudno powrócić do ciężkiej pracy w farbiarni. Mogła nagle zdać sobie sprawę, że to, czego oczekuje od życia, jest nieskończenie odległe od tego, co ją naprawdę czeka, i to by była moja wina, gdyby tak się stało. Mimo wszystko jednak ciągła nadzieja, która poklepuje nas po ramieniu, jest czymś dobrym, ponieważ pozwala uzyskać szersze spojrzenie i pomaga przetrwać najcięższe chwile.

— Skąd Kidzie wiedzą, któremu z was zlecić namalowanie czegoś?  
— spytała Umiliatia.

— Pewnie na podstawie innych naszych prac.

— A gdzie są jego obrazy? Wskazałam ręką na ścianę.

— Tutaj. Wszystkie są namalowane przez niego. Przyjrzała im się, jakby widziała je pierwszy raz.

— Które z was jest lepsze? Palmira nadstawiła uszu.

— Żadne z nas — powiedziałam.

— Nie kłóćcie się o to, które z was jest lepsze?

Łyżka z owsianką zamarła w pół drogi między miską i ustami Palmiry.

— Nie, nie kłóćmy się. Zabierzmy się już do roboty.

— W jaki sposób można odróżnić, który z dwóch malarzy jest lepszy?  
Zastanowiłam się przez chwilę.

— Czasami nie sposób powiedzieć. Różni malarze dobrze malują różne rzeczy. - Zerknęłam w stronę *Świętej Rodziny* namalowanej przez Pietra, która wisiała na ścianie od mojego przybycia do Florencji. Maria była bardzo piękna, miała wdzięcznie spuszczone, zmysłowe oczy i kształtną szyję, jak przystało na dziewicę. Była piękna, ale nie wzruszała mnie. Nie miała osobowości. — Linia prze-

biegająca pomiędzy klęską a nieśmiertelnością jest czasem cienka jak nitka. Nigdy nie wiadomo, jak blisko jest się tej granicy. Kiedy patrzy się na obrazy jakiegoś malarza, można stwierdzić, że jest bardzo uzdolniony, kiedy jednak porówna się go z prawdziwym mistrzem, jego prace wydają się po prostu mierne. Wszystko to bardzo skomplikowane.

Pewnie trochę zbyt skomplikowane dla Umiliany, ale uważałam, że powinnam zaspokoić jej ciekawość.

W lecie Umiliana przynosiła świeży rozmaryn i majeranek z ogródka swej matki. Na jesieni przyniosła świeży *pecorino*, który pasterze z gór dostarczyli do sklepu z serami prowadzonego przez Giorgia; był jeszcze całkiem miękki. W zimie przynosiła gruszki, jabłka i kasztany do pieczenia.

— Niewiele dzisiaj zrobiłaś — powtarzała często, gdy patrzyła na obraz po zakończeniu pozowania.

Ostatniego dnia napisałam złotymi, ozdobnymi literami na ramie lustra: *Optimam partem elegit*, co znaczy po łacinie „Wybrała najlepszą część”.

— Oto jesteś, piękna jak Wenus Botticellego — powiedziałam, kiedy skończyłyśmy.

— Czy zostało ci jeszcze coś do zrobienia?

— Muszę tylko podpisać obraz moim imieniem.

— Mogę to zobaczyć?

Nagle uświadomiłam sobie, że przez wszystkie te miesiące znajdowała się po drugiej stronie sztalugi i tak naprawdę nigdy nie widziała, jak nakładam farbę na płótno.

— Oczywiście. — Rozrobiłam nieco więcej złotej farby, ustawiłam obraz na boku i napisałam „Artemizja Lom” na bocznym oparciu fotela. — Artemizja Lom — powiedziałam, na wypadek gdyby nie umiała czytać.

— Nazywasz się Lom?

— Lomi. To nazwisko moich przodków. Brakuje jednej litery. Stań tutaj, przede mną. Daj mi rękę. — Włożyłam pędzel w jej dłoń i poprowadziłam ją: literę „i” namalowałyśmy razem. — Teraz sama zrób małą kropkę tuż nad ostatnią literą.

Przygryzając wargę w poczuciu wielkiej odpowiedzialności i podtrzymując drżącą dłoń drugą ręką, zbliżyła się powoli do płótna. Potem odwróciła się do mnie, biorąc głęboki wdech, przy którym zwężyły się jej nozdrza. Miała łzy w oczach.

— Dziękuję ci...

Dziwna rzecz, że taki drobiazg może tak wiele znaczyć. Najwyraźniej to było dla niej wielkie przeżycie. Uścisnęłam ją; ponad jej ramieniem zobaczyłam przyglądającą się nam zdziwioną Palmirę.

— Kim jest ten człowiek, o którym mówiłaś? — spytała Umiliana.

— Botticelli? Malarz. Jego *Wenus* znajduje się w Galerii Uffizi. Pewnie nigdy tam nie byłaś.

-Nie.

— Dam ci list, w którym napiszę, że jestem członkiem akademii, a ty jesteś moją modelką, wtedy wpuszczą cię do środka i będziesz mogła wszystko zobaczyć. To grzech, żeby mieszkać przez całe życie w tym mieście i nigdy nie zobaczyć tych obrazów i rzeźb.

— Przecież posągi są wszędzie. Nie podobają mi się. Zawsze ktoś komuś robi krzywdę. A ten mężczyzna w Loggia della Signoria trzyma w ręce głowę kobiety z wężami we włosach, a z jej szyi zwisa coś obrzydliwego. Fuj! Zawsze odwracam się w drugą stronę, kiedy tamtędy przechodzę. Dlaczego jest w nich wszystkich tyle gwałtowności?

— Właśnie, mamó, dlaczego? — spytała Palmira. Zdziwiło mnie to pytanie. Nie przypuszczałam, że tak uważnie przysłuchuje się naszym rozmowom.

— Nie potrafię odpowiedzieć. Chyba po prostu rzeźbiarze wybierają takie tematy. — Całe szczęście, że Umi-liana nie widziała żadnej z moich *Judyt*. — No dobrze, mniejsza o rzeźby. Idź obejrzyć obrazy i przyjrzyj się uważnie postaciom kobiecym. Zwróć uwagę na to, jak stoją czy siedzą. To ci się może jeszcze kiedyś przydać. Potem możesz tam pójść z Giorgiera, ale najpierw idź sama. Idź koniecznie, potem zapytam cie, co widziałaś.

Następnego dnia udałam się do akademii, żeby spotkać się z intendentem.

— Macie jeszcze te listy modeli? — spytałam. — Chciałabym dodać jedno imię.

Zwrócił ku mnie nalaną, krągłą twarz i pozwolił sobie na triumfalny uśmiech, jak gdyby odniósł jakieś zwycięstwo.

— Oczywiście, signora. — Słowa skapnęły z jego języka jak oślizłe, mściwe obelgi.

Sięgnął po plik papierów i podał mi pióro. Napisałam dużymi, wyraźnymi literami: „Umiliana Rossi, corso dei Tintori i podałam mu, żeby przeczytał.

— Jest znakomita. Postarajcie się, żeby dostała jakąś pracę!  
Uśmiech zniknął z jego twarzy.

## PIETRO

Tego lutowego dnia było zimno. Zapadała już ciemność. Skończyła mi się rzymska umbra i żółcień neapolitański. Wysupłałam wszystkie monety, jakie były jeszcze w niebieskiej sakiewce ojca. Zapewniała się ona po każdym z trzech zamówień, jakie dostałam od księcia po *Magdalenie*, za którą zapłacił mi sownie, ponieważ wielkiej księżnej przypadła do gustu. Teraz jednak nie było już tego wiele.

Zwabiona brzękiem monet Palmira, która bawiła się przy kominku, przyszła i pomogła mi ułożyć je osobno według rodzaju: sześć weneckich *cekinów*, *piąt* piastrow, jeden giulio, jeden skud wart siedem lirów i cztery liry. Za cztery liry jedna osoba mogła przeżyć tydzień.

Palmira wskazującym palcem *przysunęła do* siebie srebrnego, lśniącego giulio.

— Mogę go wziąć, mamó?

— Nie. Potrzebuje go.

Jej piastka zacisnęła się wokół monety i zniknęła pod stołem.

— Daj mi to — rozkazałam.

Schowała rękę za plecami i potrząsnęła głową.

— Palmiro, daj mi to.

Uciekła ode mnie i wybiegła na balkon. Poszłam za nią.

— Jesteś niegrzeczna. Oddaj mi to.

Chwyciłam ją za ramię i dałam klapsa. Krzyknęła, wyrwała mi się i wyrzuciła monetę daleko za balkon.

— Jesteś niedobra! — powiedziała nienawistnym tonem, wbiegła do środka i kopnęła z całej siły moje sztalugi. Nie dokończona *Święta Katarzyna* spadła na podłogę. Palmira stała nad nią, trochę wystraszona, ale wciąż uśmiechała się bezczelnie.

— Postąpiłaś bardzo nieładnie! Powinnaś się wstydzić. Marsz do łóżka!

— Wcale że nie muszę. Mam już osiem lat.

— Nic podobnego. Masz siedem i pół! Nie chcę cię widzieć na oczy. Marsz do łóżka!

Uniosła nogę, jakby chciała nadepnąć na obraz.

— Nie! — krzyknęłam i rzuciłam się w jej stronę. Uciekła do sypialni i wskoczyła do łóżka. Zatrzęsłam za nią drzwi i oparłam się o ścianę.

Czy to już koniec? Czy do tego zmierzało moje życie? Do głupich kłótni z dzieckiem? Postawiłam *Katarzynę* z powrotem na sztalugach — święta, która sama malowała i kupowała do swego klasztoru w Bolonii obrazy namalowane przez kobiety. Szkoda, że już dawno nie żyła.

Może rzeczywiście nie jestem w stanie utrzymać się z malarstwa. Być może ojciec wpoił mi zbyt wielkie mniemanie o sobie. Może żyłam złudzeniami.

Wiożyłam monety z powrotem do woreczka i próbowałam się uspokoić. Nie powinnam wydawać tych pieniędzy na nic poza jedzeniem — dopóki nie otrzymam nowego zamówienia. Książe jednak nie chciał żadnych innych obrazów, zajęty był rozbudową pałacu Pitti. Nie miałam żadnego zlecenia już od pół roku. Musiałam jednak malować, żeby mieć nowe prace do pokazania. Postanowiłam kupić tylko ćwierć kostki żółtego pigmentu.



Nie mogłam szukać nowego mecenasa w tym samym mieście, ponieważ mogłoby to zostać uznane za brak lojalności lub szacunku, mogłam jednak pracować dla jakiegoś kościoła. Następnego dnia zostawiłam Palmirę z Finą, ciesząc się, że spędzę jakiś czas bez niej, zawinęłam nie ukończoną *Świętą Katarzynę* w płótno i zaniiosłam ją do Santa Maria del Carmine, gdzie — jak przypuszczałam — mogłoby znaleźć się dla niej miejsce na ścianach klasztoru.

Spytałam młodego księdza, czy mogłabym mówić z monsignore, i czekałam w kaplicy Brancaccich, którą tak bardzo lubiłam z powodu *Adama i Ewy* Masaccia. Teraz na nowo dostrzegłam jego fresk przedstawiający Jezusa posyłającego Piotra, by ten wyłowił rybę, w której pysku znajdzie pieniądze na zapłacenie świątynnego podatku. Byłam poruszona, twarz Chrystusa wyrażała taką pewnością, choć jego uczniowie spoglądali nań przerażeni i zdziwieni. Jezus spokojnie wskazywał na wody jeziora, Piotr zaś powtarzał ten gest, ale na jego twarzy malowało się niedowierzenie: „Tam?”

Jaką głęboką wiarę musiał mieć Chrystus, żeby szukać monety w tak niezwykłym miejscu jak pysk ryby. Ani odrobiny zwątpienia. Nie użalał się nad sobą z powodu nędzy, z powodu braku pieniędzy na zapłacenie podatku, a przecież nie wiedział nawet, w jaki sposób jego uczniowie zdobędą następny posiłek. Naprawdę ufał swojemu Niebiańskiemu Ojcu. Zacisnęłam oczy i także próbowałam poczuć Jego opiekę. Kiedy uniosłam powieki i znów spojrzałam na to przedstawienie ufności namalowane na ścianie, zdałam sobie sprawę, że przynajmniej tym razem użyłam Kościoła i jego sztuki do tego, czemu miały służyć. Pomimo całej logiki Galileusza, uświadomiłam sobie, że najwyższą ze sztuk jest podniesienie człowieka na duchu,

niezależnie od środków formalnych, jakie się do tego wykorzysta.

Podchodzący do mnie monsignore wyglądał na zakłopotanego. Nawet to wydało mi się dobrym znakiem. Przedstawiłam się i pokazałam mu obraz, tłumacząc, że jest to święta Katarzyna.

— Chyba nie jest jeszcze skończony?

— Nie, nie jest. Myślałam tylko... Bardzo podziwiam freski Masaccia. Miło by mi było pomyśleć, że jeden z moich obrazów znajduje się gdzieś w pobliżu... oczywiście, kiedy będzie skończony.

— Czy ty nie jesteś przypadkiem żoną Pierantonio Stiattesi, tego malarza, który pracował przy freskach na Monte Uliveto? — spytał monsignore.

-Tak.

Popatrzył na mnie surowo.

— Żona, która jest malarzem.

O co mu chodziło? Chciałby, żebym siedziała w domu, skubała gęsi i polerowała srebrne łyżki?

— Stiattesi jest teraz członkiem akademii.

— Tak. Oboje jesteśmy.

— Słyszałem, że został skrzywdzony.

— Przez kogo?

— Przez ciebie, oczywiście, jeśli to ty jesteś jego żoną w oczach Kościoła.

— Jestem. Nie zrobiłam nic, co by mu uwłaczało.

— Tak czy inaczej, nie ma tu miejsca dla twojego obrazu. Przykro mi.

— Monsignore, malowałam dla Medyceuszy.

— Medyceusze to nie to samo co Kościół. — Schował dłonie w rękawach, dając mi do zrozumienia, że to koniec rozmowy.

Byłam oszołomiona. Zawahałam się i znów spojrzałam na fresk. Cokolwiek bym powiedziała, wyglądałoby to na zebranie o litość. Skinęłam głową, zabrałam obraz i wyszłam.

Do kogo miałam się zwrócić? Mogłam poradzić się Pietra, ale odkąd i jego przyjęto do akademii, jeszcze mniej czasu spędzał w domu. Nie wiedziałam, co to oznacza, ale nie chciałam pytać. Chyba obawiałam się tego, co mogłabym usłyszeć. Ojciec by mi pomógł, ale w ostatnim liście pisał, że opuszcza Rzym i wyjeżdża do Genui. Nie miałam więc jak się z nim skontaktować. Wstyd mi było prosić Buonarrotiego o kolejną pożyczkę. Nawet -nie wiedziałam, czy Piętro zwrócił swoją część pieniędzy, jakie pożyczylimy od niego ostatnio. Galileusz był moją ostatnią nadzieją.

Szłam do domu wzdłuż brzegu rzeki; nie spieszyłam się mimo lodowatej mżawki. Galileusz miał własne kłopoty, przykro mi było zawracać mu głowę. Kilka lat wcześniej, kiedy wróci! z Rzymu i wybraliśmy się na spacer po ogrodach pałacu Pitti, opowiedział mi, jak uległ nakazowi kardynała Bellarmino. Kazano mu przysiąc, że nie będzie bronił teorii Kopernika. Stracił zwykłą pogodę ducha i mówił ciszej niż przedtem.

— *Ubolewam* nad tym, że Kościół cię prześladowuje — powiedziałam.

— Powiedziano mi, że ty sama miałaś niemiłe doświadczenia z papieskim wymiarem sprawiedliwości — powiedział.

— Mam nadzieję, że w Rzymie dowiedziałaś się również czegoś bardziej wartościowego.

— Tak. Dowiedziałem się, że Rzym szanuje tylko takich uczonych, których odkrycia w najmniejszym stopniu nie podają w wątpliwość ustalonych przekonań.

Co mogłam powiedzieć, żeby podnieść go na duchu? Z własnego doświadczenia wiedziałam, jak boli niesprawiedliwy osąd.

— Papież Paweł zapewnił mnie o swej opiece.

— Ale przecież to jeszcze nie koniec.

— Nie. To nie koniec.

Po powrocie do domu odstawiłam moją *Święcą Katarzynę* na sztalugi i wyjęłam ostatni list Galileusza ze szkatułki.

Droga Artemizjo,

Lodowata *tramontana* wieje tak gwałtownie, że obawiam się wyjść w nocy nawet na godzinę, żeby popatrzeć przez mój teleskop. Nic mogłem też obserwować komet z powodu ataku choroby. Zaproszenie, które obiecywałem Ci już tak dawno, musi jeszcze poczekać. Możesz być pewna, że w moim umyśle jest już gotowe i ładnie poskładane i że pewnego dnia z radością przywitam Cię w mojej willi w Bellosguardo, skąd roztacza się niczym nie zakłócony widok na niebo. Tymczasem obserwuję pływy morskie i jestem w miarę szczęśliwy.

Twój przyjaciel Galileo Galilei

W moich listach próbowałam dodawać mu odwagi, pisałam, żeby nie starał się wyjaśnić nam wszystkiego. Nigdy nie zaszkodzi nieco tajemniczości, która podnieca wyobraźnię.

Teraz napisałam:

Mój sławny i uczony przyjacielu,

Myślę o Tobie często i ufam, że oddając się swym licznym zainteresowaniom, znajdujesz w nich wiele radości.

Pomyślisz sobie zapewne, że pisze do Ciebie tylko wtedy, kiedy czegoś potrzebuje, muszę jednak Cie. prosić o pewną grzeczność. Wierze, że jest to w Twojej mocy, i mam nadzieje, że nasza przyjaźń upoważnia mnie, by prosić Cię. o pomoc w tej sprawie — mam nadzieje, że nie będzie to oznaczać dla Ciebie zbyt wielkiego kłopotu.

Być może pamiętasz mój pierwszy obraz przedstawiający Judytę, który namalowałam dla księcia. Kosma powiedział, że zapłaci mi za niego, ale po dziś dzień tego nie uczynił. Jest młody i teraz zajął się czym innym — toteż po prostu zapomniał. Wiem, że masz wpływ na niego. Gdybyś mógł jako były jego nauczyciel rzucić słówko na osobności i przypomnieć mu o tej obietnicy... Nie zawracałabym Ci głowy, ale naprawdę jestem w potrzebie.

Przez długie miesiące usiłowałam sobie przypomnieć, co słyszałam o kardynale Bellarmino. Teraz już wiem: nazywają go „młotem na heretyków”. Powiedziała mi to kiedyś pewna zakonnica w Rzymie. Bądź bardzo ostrożny, mój przyjacielu.

Kłaniam się nisko —

dozgonnie ci wdzięczna Artemizja

Nie czekałam długo, wkrótce dostarczono mi całkiem pokaźną sumę; kiedy jednak spłaciłam wszystkie długi u stolarza, krawca i aptekarza oraz zrobiłam zapasy pożywienia na jakiś czas, znów pozostało mi niewiele. Przyszłość była wielką niewiadomą.

Przez cały tydzień padał deszcz. Spędziłam ten czas, ucząc Palmirę czytania i pisania, dotąd umiała tylko nabazgrać imiona zakonnic. Pisałam do niej króciutkie, bzdurne liściki: „Spójrz w lustro. Masz kure we włosach” — i chowałam je po domu, a jej zadaniem było je odnaleźć. Potem

ona odpisywała na nie. „Masz kożę pod spódnicą” — wtedy musiałam przerywać to, co robiłam, i szukać jej liściku. Bawiło ją to z początku, ale szybko zrobiła się znów nieznośna, nie mogła już wytrzymać w zamknięciu.

Okropnie nie chciało mi się wychodzić na te ulewę, ale opatuliłam ją szczelnie, pozwoliłam jej zabrać ze sobą słomianą lalkę i małą gumową piłeczkę. Przeszliśmy pospiesznym krokiem przez zalane wodą ulice do Loggia della Signoria, gdzie przynajmniej nie padało nam na głowy i Palmira mogła sobie biegać wokół posągów czy odbijać piłeczkę o ścianę, ja zaś mogłam rysować rzeźby. Dotarliśmy tam przemoczone, ale rozbawione.

Rysowałam już wcześniej trzy postacie ze stojącej na placu grupy Giambologni *Porwanie Sabinek*. Teraz obeszłam rzeźbę dookoła, w końcu była to pierwsza kompozycja rzeźbiarska przeznaczona, by oglądać ją ze wszystkich stron; nie wiedziałam, czego szukam — ale chodziło mi o coś, czego wcześniej nie zauważyłam.

Mężczyzna porywający kobietę był wyraźnie w ruchu, deptał wszystkie przeszkody, nawet starego człowieka, któremu prawdopodobnie ją odebrał. Jednym muskularnym ramieniem próbował przytrzymać ją za ramię, drugim za udo i biodro. Nigdy wcześniej nie dostrzegłam, jak mocno jego palce wpijają się w ciało na jej udzie. Ten wielki, potężnie zbudowany mężczyzna musiał użyć całej siły, żeby pokonać opór porwanej. Nie tylko jej rozwarte usta, przerażone oczy i dramatyczna poza wskazywały na zawziętą obronę, ale właśnie ten tak silny uchwyt jego ręki; widać było, że wszystko to dzieje się zdecydowanie wbrew jej woli. Zamierzałam skupić się właśnie na tym punkcie w moim rysunku, to miała być moja *Pieta*.

— Co oni robią, mamó?

— Ten mężczyzna schwyta! ją. Chce, żeby zrobiła coś, czego ona nie chce zrobić.

— Wygląda na przestraszoną.

— Bo jest przerażona.

Usiadłam na zimnej kamiennej podłodze i zaczęłam rysować. Przyszło mi do głowy, że wybrałam rzeźbą przedstawiającą porwanie i gwałt. Zastanawiałam się, kiedy to, że ja sama zostałam zgwałcona, przestało mnie prześladować na tyle, że byłam zdolna tak po prostu rysować te rzeźbę. Wydaje mi się, że nastąpiło to wtedy, kiedy Piętro i Palmira nauczyli mnie miłości. Mogłam rysować studium sabińskiej kobiety, która żyła dziewiętnaście stuleci przede mną, i czułam do niej sympatie, ale jej zmagania nie wstrząsały mną, nie krzywiłam się z bólu, tak jak pierwszy raz, gdy ją zobaczyłam. Przechodziłam obok tej rzeźby tysiące razy, idąc na targ warzyw — nie czując już gniewu. Świat nie zmienił się wiele, kobiety nadal traktowane są w okrutny sposób, ale życie trwa i trzeba dalej kupować cebule i fasolę.

Palmira przyglądała mi się rozszerzonymi lękami oczami.

— Dlaczego już nie malujesz?

— Wolę rysować.

— To nie jest żaden powód. — Zabrzmiało to jak oskarżenie.

— Nie? A skąd wiesz, troskliwa osóbkko? — Dotknęłam palcem jej nosa, cofnęła się. — Chodź, nauczę cię czegoś.

Potrząsnęła głową i uciekła, wybiegając spod zakrytego pasażu na deszcz.

— Palmiro, wracaj.

Wróciła, ale zdążyła przemoknąć.

Jakaś kobieta w długim płaszczu z kapturem weszła do pasażu, zsunęła fioletowo-czerwony kaptur z głowy.

— Vanna! — Nie widziałam jej już od lat.

Była zdumiona bardziej niż ja, kiedy zobaczyła mnie siedzącą na podłodze. W jednej chwili jej piękną twarz wykrzywił grymas.

— Dlaczego użyłaś zwykłej praczki o wielkich rekach zamiast mnie?

— O czym ty mówisz?

— O twojej Marii Magdalenie. Jakaś gruboskórna dziwka z farbiarni. Tak samo do Diany i Persefony, i Aurory pozowały ci inne kobiety. Cztery zamówienia od Medyceuszy, cztery szanse, żebym pojawiła się w tym pałacu, a ty nie zatrudniłaś mnie ani razu.

— Skąd wiesz, kogo zatrudniłam i co malowałam?

— Piętro mi powiedział. On mówi mi wszystko — oznajmiła, zadzierając nos do góry. Zawahała się chwile i dokończyła chełpliwym tonem: — On wie wszystko o twoim złym prowadzeniu. O tobie i tym tłustym wozaku. Z takim prostakiem! Żadna z ciebie malarka i na żone też się nie nadajesz.

W tym momencie zrozumiałam. Była kochanką Pietra.

Zaniemówiłam. Ona nagle zdała sobie sprawę z tego, co mi objawiła, prędko zarzuciła kaptur na głowę, wybiegła na deszcz i znikła w bocznym wejściu do Uffizi. Miała na sobie wspaniały rubinowy płaszcz, na który nie mogłaby sobie pozwolić żadna modelka mająca dwoje dzieci na utrzymaniu. Jej postać przemknęła niczym widmo przed marmurowymi lędźwiami *Dawida*. Jak duch. Ukradkowe spojrzenia. Zaciśnięte dłonie. Potajemne schadzki. Piętro miał kochankę, która właśnie weszła do Uffizi. Piętro wraz z przyjaciółmi rysował w Uffizi — ostatnio coraz częściej.



Teraz właśnie pobiegła do niego, rozgniewana i podniecona, ponieważ po drodze spotkała mnie, znowu tę małą dziewczynkę. Teraz była już starsza, urosła. Czy powinna powiedzieć mu, że żona wie o nich? Nie. Mógłby ją porzucić. Nie teraz, kiedy ta kobieta i jej dziecko są w pobliżu. Może później, w jego pracowni. Najpierw będzie palcami przesuwając po jego plecach, po jego umięśnionej klatce piersiowej, po jego brzuchu, kierując dłoń ku kępie ciemnych włosów, będzie go tam całować, muskać językiem, sprawi, że będzie naprężał się coraz bardziej, oszalały z pożądania.

Przestań! Spokojnie, trzeba myśleć logicznie.

Nie mogłam tu być, kiedy będą wychodzić z Uffizi.

— Chodź, Palmiro. Wracamy do domu.

— Przecież dopiero przyszliśmy.

— Weź swoją piłeczkę-

Schowałam ołówki, szkicownik i jej lalkę pod płaszczem, wzięłam ją za rękę. Zaczęliśmy biec.

— Licz kałuże! — krzyknęłam, żeby ją czymś zająć. Przebiegaliśmy obok kadzi, w których tego dnia była

tylko woda, w taki dzień farbiarze nie pracowali. Dobiegliśmy wreszcie do naszej bramy. Zdyszane zatrzymaliśmy się przed drzwiami na naszym piętrze.

Zdjęłam z niej mokre ubranie, wytarłam ją ręcznikiem, owinęłam w mój szlafrok, dałam parę łyżeczek bulionu i ukroiłam kilka kawałków jabłka.

— Nie jesteś trochę śpiąca? Czasami chce ci się spać po bulionie. — Posłałam jej łóżeczko i ułożyłam do snu. — Teraz ci będzie ciepło — powiedziałam, pocierając jej ciało przez koc.

— Dlaczego biegaliśmy, mamo?

— Bo pada deszcz, kochanie.

- Ale przecież i tak byłyśmy przemoczone.
- Cicho już. Prześpij *się*, trochę- Ja pójdę na górę, do Finy. Możesz przyjść do nas, jak się obudzisz. — Zanuciłam jej kołysankę, a kiedy wreszcie usnęła, poszłam na górę.
- Fina zmywała naczynia, nie było ich zbyt wiele.
- Paskudny dzień — zagałam.
- A gdzie Palmira?
- Śpi w ciepłym łóżeczku. Przemokłyśmy dzisiaj. Niepotrzebnie wychodziłyśmy z domu. — Czułam, że podbródek mi drży.
- O co chodzi? Co się stało?
- Fino, pewnie wiesz doskonale, że nie wyszłam za mąż z miłości? Wytarła dłonie w podarty ręcznik.
- Tak przypuszczałam.
- Że on ma kochankę?
- Tak — powiedziała po chwili milczenia.
- Więcej niż jedną?
- Na pewno chcesz wiedzieć? -Tak.
- Miał mnóstwo kobiet. Nie pamiętam ile. To prawdziwe błogosławieństwo, że jego matka tego nie dożyła.
- Myślisz, że ma drugie mieszkanie? Zamknęła oczy i wzruszyła ramionami.
- To możliwe. Wszystko jest możliwe.
- Ale w takim razie po co się ze mną ożenił? Wiesz może?
- Westchnęła ciężko.
- Miał długi. Chodziło o posag.
- Tak, ale dlaczego nie ożenił się z kimś innym? Z jakąś kobietą z Florencji?
- Z powodu jego reputacji. Kobiety, które twierdzą, że

jest ojcem ich dzieci, podniosłyby straszny krzyk, gdyby ogłosił zaręczyny we Florencji. Mógł zdobyć żone tylko poza miastem.

— Jakaż ja byłam głupia! — Opadłam na jej aksamitny fotel i starałam się powstrzymać łzy.

Przysunęła stołek i usiadła obok mnie. Położyłam głowę na jej kolanach.

— Myślisz, że byłoby inaczej, gdybym przestała malować? Nigdy nie dawał mi do zrozumienia, że chce ode mnie czegoś więcej, niż mu dawałam. Zawsze zachowywał dystans, nigdy nie pozwalał zbliżyć mi się do siebie bardziej.

Pogłaskała mnie po głowie.

— On nie pozwala żadnej kobiecie naprawdę zbliżyć się do siebie. Dlatego właśnie porzuca je i idzie do następnej, gdy tylko poczuje się zagrożony. To nie twoja wina.

— Może jego kochanka też się wkrótce zorientuje.

Przez dłuższą chwilę siedziałyśmy w milczeniu, słyszałam bicie jej serca i przynosiło mi to ulgę. Kiedy wstała, żeby zapalić lampkę oliwną, podziękowałam jej i wróciłam na dół. Palmira spała mocno.

Graziella powiedziała, że jeśli poczuje się kiedyś opuszczona przez Boga, muszę tym bardziej Go kochać. Miałam wychwalać Jego dobroć. Później. Jutro będę wychwalać Jego dobroć. Teraz potrzebuje jednej nocy goryczy, przez jedną noc będę litować się nad sobą, muszę wyrzucić to wszystko z siebie.

Czy rzeczywiście jestem taką kiepską żoną? Czy Vanna miała rację? Kiedy naprawdę czułam, że ja i Piętro jesteśmy blisko siebie w łóżku, jego pożądanie udzielało mi się i budziło w<sup>r</sup>e mnie podobne uczucie, tak jak odbicie w lustrze w ciemnym pokoju, żadne jednak z nas nigdy nie mó-

wiło o tajemnym miejscu, w którym rodziło się to pożądanie. Gdybym jednak powiedziała, czy to by coś zmieniło?

Wiedziałaś, że w takim stanie nie powinnam pisać do Grazielli, ale nie mogłam się powstrzymać.

Z początku starałam się być uważna i ostrożna, w końcu jednak stało się to, przed czym mnie ostrzegałaś — oddałam się mężczyźnie. Oddałam moje uczucia czemuś, co było złudzeniem, właśnie tak, jak mówiłaś. Ten sam mężczyzna oddał swoje uczucia innej kobiecie. Nigdy nie udało mi się zdobyć jego miłości. Miałam tylko nadzieję i brałam ją za rzeczywistość. Teraz zaś mam poczucie smutnej i dotkliwej straty, dlaczego? Czy będę kiedyś potrafiła to namalować?

Nie oddam się jednak Bogu ani klasztorowi, choć pozostała mi tylko jedna moneta. Nie mam ani możnego mecenasa, ani pieniędzy, ani prawdziwego męża — ale mam gdzie mieszkać. To gwarantuje mi mój posag. Mam też talent, którego nie będę ukrywać pod kocem. Będę pisać listy. Znajdę nowego mecenasa. Zarobię na życie. Będę żyć tak, jak gdyby nic się nie stało. Znajdę nowe życie.

Kiedy zapieczętowywałam list woskiem ze świecy, Piętro wszedł do domu. Był przemoczony do suchej nitki.

— Co za pogoda — powiedział i powiesił ociekający deszczem płaszcz na haku. — Pisziesz list? — Usiadł przy stole.

— Tak, do siostry Grazielli. — Położyłam list na brzegu stołu, a na nim jabłko, które wyjęłam z koszyka. — Prosiła mnie, żebym napisała jej jeszcze o tutejszych dziełach sztuki. — Wytarłam jego włosy w ręcznik. Jego czarne loki, które tak bardzo lubiłam, pachniały nie znanym mi olejkiem do włosów. — Myślisz, że jutro przestanie padać? — Głupie pytanie.

-Nie.

Podgrzałam rosół, dodałam do niego cebuli i wrzuciłam parę kawałków czerstwego chleba. Jedząc, zerkał od czasu do czasu na list.

— Co robiłaś dzisiaj? — spytał, sięgając po jabłko leżące na liście.

— Próbowałam nauczyć Palmirę, żeby trochę lepiej pisała. — Pokazałam mu jej liściki. — Była strasznie niesforna, ale teraz śpi.

Uśmiechnął się, czytając je, a potem dotknął brzegu mojego listu do Grazielli — albo w roztargnieniu, albo może chciał mnie wypróbować, może wiedział, dlaczego go napisałam. Zamarłam, patrząc na jego palce.

Nagle smagniecie deszczu i wichury o zamknięte okiennice odwróciło naszą uwagę na dłuższą chwilę- Trzeba było uszczelnić przeciekające miejsca szmatami.

— Przynajmniej umyje ulice i domy — stwierdził Piętro. — Kiedy wreszcie przestanie padać, miasto będzie wyglądało czyściej-

Uchwyciłam się tej myśli.

— Czy można wejść na szczyt kopuły katedry? — spytałam.

— Chyba nie.

— A na dzwonnice?

— Ale po co?

— Żeby popatrzeć na miasto z góry. Kiedy będzie czyste.

— To strasznie wysoko.

— Tym lepiej.

— W środku dzwonnicy chyba muszą być schody — powiedział. — Damy portierowi kilka lirów, może nas wpuści.

— Chcę sprawdzić, czy tak wysoko można odczuć, że Ziemia się porusza.

Piętro spojrział na mnie, jakbym postradała zmysły.

— Galilei, ten filozof i nadworny matematyk księcia, mówił, że Ziemia porusza się wokół Słońca, inne planety także.

— Kiedyś napyta sobie biedy. Pewnego razu ksiądz w Santa Maria Novella wygłosił kazanie, w którym potępiał wszystkich matematyków jako wysługujących się diabłu. Wszyscy wiedzieli, że miał na myśli Galileusza.

— Kiedy to było? Ostatnio?

— Nie.

— Jeżeli Ziemia rzeczywiście się porusza, może tam wysoko da się to wyczuć. Chodźmy tam. Jutro, jutro jest niedziela.

— Pewnie będzie padał deszcz.

— Nie szkodzi. Jeżeli teraz tego nie zrobimy, być może nie zrobimy tego nigdy.

Popatrzył na mnie bardzo dziwnie, tak jakby zdawał sobie sprawę, że coś wiem albo że nasz układ może się zmienić, skończyć. Przez chwilę wydawało mi się, że widzę jakby ból w jego oczach.

Czy potrafiłabym należeć wyłącznie do niego? Każdego dnia, o każdej godzinie? Czy mógłby zostać jedyną treścią mojego życia? Albo malarka, albo żona. Albo żona, albo malarka. Którą z nich chciałam być? Być może tam na górze to zrozumiem.

— Chcę wejść na górę ponad to wszystko... — nie dokończyłam, niech sam zdecyduje, co chciałam przez to powiedzieć.

— Zabierzemy Palmirę?

— Nie. Zostawmy ją u Finy. Powiemy jej, że mamy coś do załatwienia na mieście.

Jedna strona jego ust uniosła się w łagodnym, trochę smutnym uśmiechu.

— Tak jak podczas naszych wycieczek, kiedy... kiedy tu przybyłaś.

— Tak, właśnie tak.

— Nadal chcesz iść na wieże? — spytał, otwierając rano okiennice.

Wyrzesałam za okno. Powierzchnia rzeki była zmętniała od padających na nią kropel deszczu. -Tak.

Nie powiedzieliśmy Finie, dokąd idziemy. Popatrzyła na mnie z takim zdziwieniem, że poczułam dreszcz, tak jakbyśmy to my dwie razem uczestniczyły w czymś zakazanym. Włożyłam płaszcz z kapturem i ruszyliśmy na miasto; szybko, z opuszczonymi głowami. Kiedy doszliśmy na plac katedralny, czekaliśmy pod loggią braci miłosierdzia, aż dzwon wydzwoni południe. Kropie deszczu uderzały coraz mocniej o kamienie, którymi wyłożony był plac. Marmurowa fasada wieży lśniła jak wygładzone klejnoty.

— Szkoda, że Giotto nie dożył jej ukończenia — odezwałam się — żeby wejść na samą górę i zobaczyć ją choć raz przed śmiercią.

— Jakie to dziwne, mieszkam w tym mieście całe życie, a nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby to zrobić — powiedział Piętro. Był wyraźnie zadowolony z tej eskapady. To było miłe z jego strony, ja zaś pomyślałam, że niesłusznie przelewam na niego nienawiść, jaką wzbudziła we mnie Vanna.

Kiedy dzwonnik otworzył drzwi do wieży, podeszliśmy do niego, prosząc, żeby jeszcze nie odchodził.

— Jesteśmy malarzami — powiedział Piętro. — Chcielibyśmy spojrzeć na katedrę ze szczytu wieży.

— Chodzi o rysunek dla akademii. Spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Jak to? Oboje jesteście malarzami?

— Możemy wejść do środka? — zapytałam.

Cofnął się, żebyśmy mogli się schronić przed deszczem. Rozchyliłam płaszcz i pokazałam mu moje insygnia akademickie. Piętro wcisnął dwa liry do jego dłoni.

— Wybraliście sobie paskudny dzień na te wasze głupoty.

— Cóż cię to może obchodzić? — powiedział Piętro z nutką gniewu w głosie.

Dzwonnik wzruszył ramionami.

— Róbcie, co chcecie. — Wskazał nam ręką drogę na górę.

Wspinaliśmy się po stromych kamiennych stopniach znajdujących się wewnątrz podwójnej ściany oddzielającej nas od świata po obu stronach. Schody prowadziły wokół wieży aż do pierwszego poziomu, skąd przez arkadowe okna pomiędzy delikatnymi, skrętnymi kolumnami można już było wyjrzeć na zewnątrz. Wieża Palazzo Vecchio wyglądała tym wspanialej, ponieważ struktura wspierająca wieniec krenelaży okazała się znacznie wyższa, niż się wydawała, gdy spoglądałam na nią z ziemi. Domy, ulice i ludzie wyglądali dziwnie, jak pudełka i lalki.

— Może tak właśnie wyglądamy w oczach Boga — powiedziałam.

Piętro uśmiechnął się na te myśli.

Od pierwszego *piano* schody prowadzące na górę były wąskie i kręcone, żeby nie zakłócać harmonii otwartych arkad. Piętro uniósł kraj mojego płaszcza, by się nie ciągnął



po trzystuletnich kamiennych stopniach. Po drodze musiałam się zatrzymać i odpocząć. Pozwolił mi oprzeć się o siebie, jego pierś falowała pod moim policzkiem.

Kiedy weszliśmy na drugi poziom, uderzył nas ostry podmuch wiatru, o mało nie zwałając nas z nóg. Wypłoszyliśmy stadko gołabi, które z głośnym trzepotem przeleciały pod nami.

— Dziwnie jest spoglądać na ptaki w dół, prawda? — zauważyłam.

Znajdowaliśmy się niemal na poziomie beczkowego sklepienia, na którym spoczywała ceglana kopuła katedry.

— Wyobraź sobie, z jakim podnieceniem ludzie obserwowali, jak kopuła rośnie — powiedział Piętro. — Wyobraź sobie chłopca, który urodził się i kopuły jeszcze nie było; kiedy był już na tyle duży, żeby zwrócić na to uwagę, kopuła zaczęła piąć się w górę; a kiedy on sam miał już syna, kamienne żebra spotkały się i kopuła została zamknięta. Chciałbym żyć w tamtych czasach. — Położył dłoń na moim ramieniu.

Nie poruszyłam się., więc jego reka została na nim trochę dłużej, dopóki nie ruszyliśmy znowu w górę.

— Wiesz, ta wieża została ukończona na sto lat przed wybudowaniem kopuły — ciągnął Piętro. — Wyobrażam sobie, ile razy Brunelleschi musiał wchodzić po tych stopniach, żeby się przyjrzeć swojemu dziełu.

— Chyba nie codziennie!

— Pewnie nie, ale założę się, że co najmniej raz w miesiącu. Ja na pewno bym tak robił na jego miejscu.

Na trzecim poziomie nawet się nie zatrzymaliśmy, tak bardzo spieszyło nam się na szczyt. Oboje dyszeliśmy ciężko. W pewnej chwili podniosłam stopę nie dość wysoko i potknęłam się o kolejny stopień. Piętro, który

szedł za mną, podtrzymał mnie, dotykając obiema rękami moich piersi. Przyciskał mnie do siebie, dopóki nie zaczęłam normalnie oddychać.

Jeszcze kilka razy dookoła kręconymi schodami — Piętro otworzył drzwi — i wyszliśmy na taras. Krople deszczu uderzyły mnie w twarz, kłując policzki jak igłami. Nasze płaszcze trzepotały na wietrze, musieliśmy je przytrzymywać, żeby nie odfrunęły. Byliśmy strasznie wysoko, a od przepaści oddzielała nas tylko balustrada sięgająca nam do pasa; ta myśl napawała mnie lękiem, a zarazem była podniecająca.

— Spójrz! — krzyknęłam. — Widać stąd, według jakiego wzoru ułożone są cegły kopuły!

Musieliśmy krzyczeć, żeby się usłyszeć. Wziął mnie za rękę i razem obeszlśmy cały taras, spoglądając we wszystkie strony: na kopułę San Lorenzo, na białą fasadę Santa Croce, na sklepienie Vasariego nad Ponte Vecchio, na Palazzo Pitti i jego ogrody i ciągnące się dalej szare, zamglone wzgórza — jednym spojrzeniem można było objąć całą Florencję.

— Pomyśl o tych tysiącach ludzi, którzy tu mieszkali i nigdy nie widzieli takiego widoku — powiedziałam.

Obeszliśmy taras powtórnie, tym razem wolniej. Piętro wychylił się za balustradę.

— *Attento!* — krzyknęłam. Wyprostował się i powiedział z uśmiechem:

— Nic się nie stanie. Bedę uważać.

Balustrada była mokra i śliska. Znów przechylił się nad nią. Trzymałam go obiema rękami za ramię.

— Och, Artemizjo! — krzyknął z zachwytem. — Ludzie na dole są tacy mali! Kamienie na placu są jak ziarenka soli. Musisz to zobaczyć. Chodź, przytrzymam cię.

Otoczył mnie ramieniem, żebym poczuła się bezpiecznie. Wychyliłam się odrobinę za balustradę- Wiatr zdarł mi kaptur z głowy, woda zalała mi oczy. Ciskane wichurą krople deszczu uderzały o ściany, o medaliony na szczytach domów, o rzeźby stojące we wnękach.

— Trzymaj mnie mocno! — krzyknęłam, czując zawrót głowy, i wychyliłam się dalej. Rozwiały mi się włosy, wiatr uderzał nimi Pietra po twarzy.

Miałam poczucie, że cała kamienna wieża kołysze się pod nami. Zamknęłam oczy.

— Ziemia naprawdę się porusza! — krzyknęłam. — To nie jest złudzenie. Czujesz to, Piętro? Galilei miał rację! Pomyśl, pędzimy przez wszechświat.

Pociągnął mnie ku sobie i odwrócił, płaszcz powiewał z tyłu za mną. Jego usta znalazły się na moich, mokre, gładkie i kuszące; przesuwaly się po mojej szyi, oczach; moje usta na jego wargach, soczyste i pożądlive w nieoczekiwanej, drżącej pieszczocie. Nie pytaj dlaczego, pomyślałam. Przesunęłam palcami po jego mokrych włosach. Ujął moje mokre piersi, przycisnął się do mnie łędźwiami, a ja przylgnęłam do niego.

Deszcz oczyszczał nasze serca z podejrzeń i cierpienia, obejmowaliśmy się w wirze wiatru i zmysłów, ugiwały się pod nami kolana, w oczach mieliśmy pełno deszczu, oboje uniesieni ulewą ponad przyziemne cierpienia, tęskniliśmy za tym, co kiedyś było możliwe, oboje z rozpaczą zdawaliśmy sobie sprawę, że to już przepadło.

Tej nocy kochaliśmy się niecierpliwie, ze słodko-gorzką rozpaczą kochanków, którym wkrótce przyjdzie się rozstać. Nie mówiliśmy nic. Nakazałam sobie nie myśleć

o niczym poza chwilą obecną, w ogóle nie myśleć, tylko czuć — jego rece, jak rece rzeźbiarza dotykającego czule swego dzieła, jego język na mojej szyi, jego dłonie na moich udach, a potem jego kolano nalegające, bym je rozchyliła, abyśmy razem popłynęli wzburzonym morzem, a potem jeszcze raz, jeszcze — nim fala wreszcie ucichła.

Usypiałam, myśląc o niepojętym, zdumiewającym porządku wszechświata, utrzymującym na wodzy planety krążące po swych torach, pozwalającym ptakom wznosić się w przestworzach i powstrzymującym wieże od rozsypania się w gruzy- Wiedziałam, że nie jesteśmy środkiem tego świata, że ja sama jestem w nim nic nie znaczącym

i nie zauważonym przez nikogo ziarenkiem soli widzianym ze szczytu wieży, ale wiedziałam też, że w tym właśnie wszechświecie Bóg wciąż jeszcze pozwala mi na zaczerpnięcie kolejnego oddechu.

## GRAZIELLA

Czerpałam właśnie wodę ze studni; Palmira skakała wokół dmuchawca rosnącego pomiędzy płytami dziedzińca i śpiewała piosenkę o księżycu, której nauczyła ją Fina. — Popatrz na mnie, mamó.

Spojrzałam na nią w roztargnieniu i wtedy zauważyłam, że cały podwórzec zarośnięty jest dmuchawcami: białe kule, które wyglądały jak blade księżycy na sztywnych łodygach — jak księżycy Jowisza, o których opowiadał Galileusz, a których nigdy nie udało mi się zobaczyć.

Zerwałam jeden z nich, podniosłam do ust, żeby zdmuchnąć nasiona; przez myśl przeszła mi cała litania życzeń. Chciałam pewnego dnia naprawdę zobaczyć te księżycy Galileusza, chciałam, żeby Palmira wyrosła na dobrą i uznaną malarzkę, żeby Umiliana pracowała jako modelka i nigdy nie musiała już wracać do swych kadzi. A potem musiałam przyznać, że były też inne życzenia — gdyby tak móc cofnąć czas i wybrać inną modelkę niż Vanna, żeby nigdy nie wydarzyło się to, co się stało: żebym nie uległa przyływowi życzliwości i nie pozwoliła Piętrowi patrzeć na jej nagość. Pragnęłam, żeby chwile spędzone na dzwonnicy znaczyły dla Pietra więcej niż tylko przemijający przyływ pożądania, żeby uznał, iż nie

ma racji, nie kochając mnie, żeby wrócił tego wieczoru do domu i powiedział, że się z nią rozstał.

Za dużo życzeń jak na jeden dmuchawiec. Zrozumiałam, że w obecnej sytuacji, gdybym miała wyrazić tylko jedno życzenie, brzmiałoby ono tylko tak: żebym dała radę zarobić na sobie.

Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, że to już się stało — choć musiałam odsunąć w myślach wspomnienie wieży i silnych dłoni Pietra na moich pośladkach, kiedy przyciskał mnie do siebie. Zdmuchnęłam nasionka i pomyślałam, że tak, Bóg nadal pozwala mi oddychać. Wiatr nie zwał nas z wieży. Powinnam czuć się otoczona jego opieką, ale jakoś nie miałam takiego wrażenia.

Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam małego, obdartego chłopca stojącego za bramą.

— Mam wiadomość dla signory Gentileschi — oznajmił z przejęciem piskliwym głosem.

— To ja. — Wyciągnęłam rękę pomiędzy drewnianymi prętami, spodziewając się listu.

— Jest tylko tutaj — powiedział chłopiec, wskazując na swe usta, otwarte na kształt litery O. — Mam pani powiedzieć, żeby pani poszła do kościoła Santa Trinita i spytała o siostrę Weronikę.

— Kiedy?

— Teraz.

— Po co? Czy wiesz coś więcej?

— Nic. Tylko siostra Weronika mówiła, żeby pani przyszła sama. Podziękowałam mu i podałam przez bramę kubek wody.

— Ja też chcę iść. — Palmira podbiegła do bramy.

— Nie, ty musisz iść do Finy.

Tupnęła nóżką.

— Ja zawsze muszę iść do Finy — powiedziała przedrzeźniając mnie, ale pozwoliła zaprowadzić się na górę.

Kościół Santa Trinita znajdował się dalej na Lungarno, po drodze trzeba było przejść przez dzielnicę garbarzy. Panował tam tak nieopisany smród, że aż ciężko było oddychać. Byłam dotąd tylko raz w Santa Trinita, żeby zobaczyć i móc opisać siostrze Paoli znajdujący się tam wielki krucyfiks. Teraz, kiedy otworzyłam ciężkie drzwi, z ulgą odetchnęłam zapachem wosku i kadzidła. Zakonnica stojąca przy tacy zastawionej świecami powitała mnie i przedstawiła się jako siostra Weronika.

— Nazywam się Artemizja Gentileschi.

— Czy mogę pokazać ci kościół? — spytała.

— Tak, proszę.

Zaprowadziła mnie w głąb nawy. Po prawej stronie głównego ołtarza znajdowała się boczna kaplica.

— Te freski ukazują żywot świętego Franciszka, są dziełem Ghirlandaia. — Wyciągnęła z szerokiego rękawa małą szmacianą sakiewkę. Zniżyła głos: — Siostra Graziella z Santa Trinita w Rzymie przysłała to dla ciebie, było ukryte w skrzyni z suszonymi ziołami. Napisała na kartce, żebym ci to dała i przeprosiła za zapach oregano.

Uśmiechnęłam się i podniosłam przesyłkę do nosa.

— Tak, oregano, ale również rozmaryn. — Wsunęłam ją do rękawa.

— Tutaj widzimy świętego Franciszka dokonującego cudu, przywrócił życie dziecku, które spadło z górnego piętra. Dokładnie tutaj, na piazza Santa Trinita.

— Rzeczywiście! Rozpoznaję fasadę kościoła.

Obeszliśmy cały kościół; przy drzwiach podziękowałam jej i wsunęłam do ręki jednego lira.

— To dla zakonu.

Schyliła głowę w podziękowaniu.

Kiedy wróciłam do domu, rozwiązałam sznurek i wyciągnęłam z sakiewki kolczyk — drugi kolczyk Grazielli. Na skrawku papieru zobaczyłam słowa skreślone jej ręką: „Sprzedaj oba. Kup farby”.

Poczułam, jak robi mi się ciepło w sercu. Dotknęłam perły kolczyka ustami i zamknęłam oczy. Dotąd nie wiedziałam, czym naprawdę jest miłość.

Minęło kilka tygodni i właśnie kiedy myślałam już, że będę musiała poprosić Pietra o pieniądze — nie mogłam się zdobyć na to, żeby sprzedać kolczyki Grazielli — dostałam list od kupca z Genewy, niejakiego Cesare Gentilego. Rozerwałam go niecierpliwie. Widział moje obrazy w pałacu Pitti — pisał — i chciał zamówić u mnie dużych rozmiarów obraz przedstawiający akt kobiety, jedną postać, tożsamość tejże ustalona miała być po moim przybyciu do Genui. Oferował dość rozsądną cenę, pokój i pracownię w swoim pałacu oraz możliwość uzyskania kolejnych zamówień, jeśli przypadnie mu do gustu moje pierwsze dzieło. Krzyknęłam i westchnęłam z ulgą.

Ce-sa-re, czyli wielki jak cesarz. Gen-ti-le, a więc miły i łagodny. To brzmiało jak dobry omen.

— *Grazie a Dio!* Palmiro, jesteście uratowane. — Chwyciłam ją za rękę, odchyliłam się do tyłu i obróciłyśmy się w koło, aż jej nóżki uniosły się nad ziemią i zapiszczała.

— A co z tatą? - spytała.

— Piętro może pojechać z nami, jeśli tylko zechce.



Jej pytanie jednak przypomniało mi o kimś innym — o moim ojcu. Znajdował się właśnie w Genui. Owszem, pisywałam do niego od czasu do czasu, co innego jednak mieszkać w tym samym mieście. Czy będę potrafiła udawać, że pomiędzy nami nic się nie wydarzyło — zwłaszcza w obecności Pałmiry?

Trzeba będzie spróbować.

Moje spojrzenie spoczęło na nie skończonym rysunku przedstawiającym Sabinę w chwili pojmania przez muskularnego mężczyznę. Podobnie jak Rzym, Florencja była miastem mężczyzn, zbudowanym z kamienia przez mężczyzn takich jak Wawrzyniec Wspaniały i Brunelleschi, postaci jakby wykute z kamienia. W zimie czuło się chłód kamieni poprzez podeszwy butów; w lecie kamienie rozgrzewały się od słońca. Jedyna kobieta, jaka zyskała ich uznanie, to żałosna, pokutująca Magdalena. To nie było miasto dla kobiet.

Może Genua będzie inna.

Genua nie miała Pietra.

Ja też już nie.

## PIETRO

Wieść o tobie rozchodzi się coraz dalej — powiedział Piętro, kiedy pokazałam mu list z Genui. Jego usta wykrzywiał grymas, który z początku wzięłam za zwykłą malarską zawiść, ale zaraz dodał: — Oczywiście akt. W tym jesteś najlepsza. A więc nie miał na myśli sztuki.

Wyglądało na to, że i do niego dotarły te kłamliwe pogłoski. Chyba że, oczywiście, on sam był ich źródłem. Ta myśl wstrząsnęła mną, kiedy zrozumiałam, że to możliwe. Nigdy nie wybaczył mi tego, że przyjęto mnie do akademii wcześniej niż jego, że osiągnęłam sukces szybciej niż on, mężczyzna. Czy te plotki były świadomą próbą odstąpienia ode mnie zleceniodawców? Czyżby chciał umocnić się w ten sposób w swym poczuciu wartości jako artysta i jako mężczyzna? Czy był do tego zdolny? Spojrzałam w jego gniewne oczy i zrozumiałam, że tak.

Gdyby to nie on sam był autorem tych plotek, z całą pewnością prędzej czy później doprowadziłby do jakiejś konfrontacji, zapytał mnie wprost, zamiast przebąkiwać i dawać mi do zrozumienia. Tak zachowałby się każdy mężczyzna. A tak, wystarczyło tylko szepnąć słówko Vannie, a ona już się postarała, by pogłoski rozeszły się po akademii.

Cisnął list na stół, jak śmieć bez znaczenia.

— Nie mam wyboru, muszę się zgodzić — powiedziałam spokojnie. Jego twarz wykrzywił grymas gniewu. Był nieogolony, czarne cienie na policzkach nadawały mu wygląd wynędzniały i dziki.

— Nie masz wyboru? — powiedział głośno, — Jesteś moją żoną! Wyprostowałam się.

— Przede wszystkim jestem malarzem.

— Przede wszystkim?! — Zerwał z siebie kubrak i cisnął go na krzesło.

— Posłuchaj mnie, Piętro. — Pochyliłam się do przodu i oparłam dłoń o blat stołu. — W dniu sądu oboje tak samo ukorzymy się u stóp Boga, a jeśli którekolwiek z nas nie uczyni użytku ze swych talentów, oznaczać to będzie, że odmawiamy Bogu pełnego wyrażenia Jego woli.

— Skąd ci to przyszło do głowy? Tego cię nauczyły zakonnice w Rzymie?

— Pamiętam słowa *Magnificat*. „Moja dusza wielbi Pana”. Ta modlitwa dotyczy nas wszystkich, Piętro. Być może to niewiele, ale zamierzam dodać mój własny kamyk do wielkiej mozaiki światowej sztuki. Tak samo jak ty.

— Przede wszystkim malarz. — Wykrzywił się szyderczo i podszedł do miski, żeby obmyć twarz.

— Przez całe życie chciałam być malarką i żoną. Byłam jedną i drugą. Jestem dobrą malarką i dobrą żoną, niezależnie od tego, co Vanna sądzi na ten temat.

Odwrócił się gwałtownie.

— Vanna!

Zaśmiałam się gorzko.

— Myślisz, że nie wiem? Myślisz, że tak bardzo zajęta jestem malarstwem i Palmirą, że nie widzę, co się dzieje?

Moje serce peka odrobinę każdego wieczoru, kiedy samotnie zapalam lampe- Policz, ile razy to już było... jak bardzo już jest popękane.

— Vanna to Vanna, ale ty jesteś moją żoną. Pochyliłam się ku niemu.

— Jak długo, Piętro? Jak długo mam czekać, aż spostrzeżesz różnice między nami?

— *Pio Mio!* Przestań przedstawiać sprawy w taki sposób, jakbym to ja cie opuścił. To ty chcesz odejść — warknął.

— Czy w naszym małżeństwie zdarzyło się coś dobrego... dobrego dla ciebie? — spytałam cicho. — Co wydarzyło się wtedy tam, na wieży?

Poruszył ramionami, jakby opędzał się od much.

Wzięłam do ręki list z Genui i trzymając go tuż nad lampką oliwną mamy, tak że osmalał go dym, ale nie dosięgały płomienie, zapytałam:

— Jeżeli to, co zdarzyło się na wieży, miało dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie, spale ten list i nigdy o nim nie wspomnę.

Spojrzał ukradkiem na moją drżącą reke— Powiedz mi, Piętro. Co to dla ciebie znaczyło? Zrobił taką minę, jaką miał zawsze, kiedy nie wiedział, co ma powiedzieć.

— A więc nic? Tak zupełnie bez powodu przemokłeś do suchej nitki na deszczu? To nic nie znaczy, że wspiąłeś się tak wysoko z powodu mojego kaprysu? Wszystkie te pocałunki i uściski tuż obok bożego domu nic dla ciebie nie znaczyły?

Przez ułamek sekundy patrzył mi w oczy. Nie potrafił wydobyć z siebie słowa. Odłożyłam list.

— Dla mnie to miało znaczenie. Oznaczało możliwość. Oznaczało odkrycie miłości, którą dano nam do rąk. Wystarczyło ją schwycić, Piętro. — Zacisnęłam pięść. — Tu, pod tym dachem. Czy chociaż przez chwilę myślałeś w ten sam sposób?

Znów poruszył ramionami, ale nie wykrztusił ani słowa.

— To znaczy, że nie chcesz, żebym została. Po prostu czujesz się urażony, bo twoja żona chce wyjechać. Wiesz, to nie to samo.

— Nie bądź małostkowa, Artemizjo. — Odsunął krzesło od stołu i usiadł na nim.

— Jeżeli było między nami coś... coś dobrego... to pojedź ze mną.

Prychnął tylko pogardliwie. Wiedziałam, o co mu chodzi — czuł się upokorzony, ponieważ jego żona znów zdobyła bogatego mecenasa, a on nie.

— Jeżeli teraz nie chcesz jechać, będziesz mógł przyjechać później.

Położyłam rękę na jego ramieniu. Był spięty, czułam to pod palcami. Wpatrywał się w mój sekretarzyk z przyborami malarskimi.

— Nie mogę cię powstrzymać przed tym wyjazdem.

— Po cóż miałbyś to robić, Piętro? Jeśli tamte chwile na dzwonnicy i tamta noc nic dla ciebie nie znaczyły, oznacza to, że jesteśmy mężem i żoną tylko na papierze.

Wodził palcem po sylwetce Artemidy na lampce oliwnej. Zauważył moje spojrzenie.

— Zabierz ją. Jest twoja — powiedział.

Wstał, podszedł do ściany, poprawił jeden ze swych obrazów, który wisiał krzywo, podszedł do drugiej ściany. Westchnął głęboko. A potem sięgnął po swój kubrak i wyszedł. Nie w gniewie, nie trzasnął drzwiami, nie krzyczał

i nie wymachiwał rękami. Po prostu podszedł do drzwi jak stary, zmęczony człowiek. Przez chwilę trzymał rękę na klamce, w końcu otworzył drzwi i zerknął na próg. A potem go już nie było. Kiedy spojrzałam na niego po raz ostatni, zobaczyłam przystojnego, zaniepokojonego mężczyznę, na którym ciążył jakieś sekretne obowiązki.

Nie płakałam. Serce mi pękało, ale nie płakałam. Miałam zbyt dużo do załatwienia. Przez całą noc się pakowałam, zostawiłam mu adres Gentilego na kartce wystającej z szufladki mojego pięknego sekretarzyka.

Rano Palmira była oszołomiona.

— Czy tata też z nami jedzie? Przycisnęłam jej główkę do siebie.

— Mam nadzieję. Pewnego dnia.

Przyjechał powóz, po który posłałam; załadowaliśmy nasze rzeczy i wsiedliśmy do niego. Piętro trzymał się z daleka, ale widziałam go po drodze. Stał samotnie w Loggia della Signoria i patrzył w ślad za nami.

Nie był potworem, był po prostu człowiekiem, niedoskonałym i niemądrym. Zwykłym człowiekiem.

## KLEOPATRA

Mamo, weź ode mnie — powiedziała Palmira, podając mi „kocią” kołyskę”. — Wolałabym teraz wyglądać przez okno.

— Mamo, proszę.

— Dobrze. Ale tylko raz. — Uchwyciłam sznurki dwoma palcami, przełożyłam przez nie kolejne palce i wzdrygnęłam się. Sznurek u podstawy moich palców przypomniiał mi sybillą. Palmira zręcznymi paluszkami zrobiła ze sznura kolejną figurę. Gdzie ona nauczyła się tej okropnej zabawy?

— Weź, mamo — powiedziała.

Stała pomiędzy mną a mężczyznami siedzącymi w powozie. Nudziła się. Dla niej ta podróż była nużąca i długa, kołysanie powozu, który czasem nieoczekiwanie podskakiwał na wybojach, doprowadzało ją do mdłości, więc była nieznośna. Chciałam dać jej chleba, żeby uspokoić jej żołądek, ale ona tylko potrząsnęła głową. Toskański krajobraz nie interesował jej wcale, ale mnie widoki za oknem napawały nostalgią, przykro mi było rozstawać się z tą krainą.

Przejeżdżając tego ranka przez Florencję, wykręcałam szyję, żeby raz jeszcze rzucić okiem na dzwonnice Giotto, najwyższą budowlę tej okrzyczanej Florencji, miasta wielkich możliwości...! Przykro mi było o tym myśleć. Kiedy po

raz ostatni jechałam przez corso dei Tintori, starałam się utrwalić w pamięci lśniące pasy jedwabiu zwisające z górnych okien. Umiliany nie było przy kadzi. To dobrze. Być może dla niej jeszcze istniały jakieś możliwości w tym mieście.

Teraz, kiedy minęliśmy już podmiejskie wille w kolorach ochry i brzoskwini otoczone oleandrami, kiedy za nami zostały winnice o złotych liściach z rosnącymi pośród krzewów winnej latorośli morwami, sady, w których rosły śliwy i grusze — czułam się, jakby wygnano mnie z tokańskiego raj.

— Weż — powtórzyła zniecierpliwiona Palmira. -Nie.

Zdjęła sznurek z palców i rzuciła nim we mnie. Owinęłam go wokół guzika *gorsetu*.

— Dlaczego masz takie kreski na palcach, mam? Ja nie mam takich. Czy to dlatego, że jesteś stara?

Rzuciłam okiem na mężczyzn, którzy przyglądali się teraz moim ręk.

— Tak, chyba dlatego. Jestem już stara. — Może rzeczywiście tak było, może utrata miłości sprawiła, że zestarzałam się w ciągu jednej nocy. — Zobacz, jedziemy przez jakieś miasto. Widzisz tę fortecę na wzgórzu?

— To głupie, że wszystkie miasta położone są na wzgórzach — powiedziała Palmira.

— Może to dlatego, że mieszkańcy chcą widzieć, kto nadjeżdża. A może szkoda im bardziej płaskich terenów, które są położone bliżej rzek i dzięki temu nadają się do uprawy różnych roślin.

Palmira pogardliwie zmarszczyła nose.

— Była kiedyś miejscowość zwana Pocopaglia, która położona była na tak stromym zboczu, że ludzie zawiązy-



wali worki pod ogonami kur, żeby jajka nie staczały się na dół.

Palmira ujęła się pod boki, wiedziała, że sobie z niej żartuje.

— Ale to i tak głupie — powiedziała, patrząc mi w oczy. Wzruszyłam ramionami.

— Może po prostu mieszkańcy chcą mieć lepszy widok.

Jeden z mężczyzn pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć „To bardzo możliwe”, ale zamiast tego powiedział:

— Jest pani dzielną kobietą, skoro zdecydowała się pani wybrać samotnie w tak daleką podróż. — Jego ton był protekcyjny.

— Nie samotnie, tylko z dzieckiem, które zadaje mnóstwo pytań — poprawił go drugi mężczyzna.

Postanowiłam uznać to za komplement, a nie zarzut, że czynię coś niestosownego.

— Nie miałam wyboru, jade w poszukiwaniu zatrudnienia.

— Zatrudnienia?

Rozumiałam doskonale podejrzliwość, jaka pobrzmiwała w jego głosie. Genua była miastem portowym, toteż roiło się tam od kobiet pracujących... w nocy. Nie mogłam pozwolić, żeby tak o mnie myśleli.

— Jestem malarką. Znalazłam nowego pracodawcę w Genui, będę dla niego malować. Wyobrażam sobie, że to musi być piękne miasto i że zawsze wieje tam wiatr od morza.

W czasie tej podróży jadący ze mną mężczyźni, nic o tym nie wiedząc, nauczyli mnie czegoś bardzo ważnego - jak zmieniać temat rozmowy, jak odpowiadać wymijająco na pytania dotyczące mojego życia osobistego,

dawać wyraźnie do zrozumienia, że miałam męża, i ucinać dalszą rozmowę na jego temat, tak jakby już nie żył.

Przykro mi było mówić o nim w ten sposób, wydawało mi się, że tym samym grzebie szanse na zmartwychwstanie czegoś, co kiedyś wydawało się możliwe. Już żałowałam, że nie nalegałam mocniej, by pojechał z nami.

Nie powiedziałam im, jak się nazywam. Genuńczycy okazali się bardzo rozmowni. „Genuńczyk, a więc kupiec” — głosiło przysłowie; dostarczali mi informacji równie chętnie, jak towarów swoim klientom. Słuchałam pilnie, ponieważ chciałam poczuć się tam jak u siebie w domu, nim jeszcze wieść o moim przybyciu dotrze do ojca.

Jak bardzo zmieniło się moje życie od czasu, kiedy ostatni raz wybrałam się w podróż powozem — gdy ojciec stał przy drzwiczkach i drżącym głosem powiedział: „Wsiadaj. Wsiadaj”. Ta jedna chwila z całego długiego dnia była teraz dla mnie tak wyraźna, jakby ktoś namalował ją i powiesił oprawioną w ramy. Nagle uświadomiłam sobie, że wcale nie jestem pewna, czy wierzy w moją niewinność. Z natury nie był niecierpliwy. Być może insynuacje Tuzii sprawiły, że zaczął coś podejrzewać. Niewykluczone, że chciał wydać mnie za żonę obywatela innego miasta również po to, by pozbyć się osoby rzucającej cień na jego reputację.

Trzeciego dnia dotarliśmy do Genui. Palmira wystawiała głowę przez okno; mijaliśmy białe wille, których schludny wygląd napawał mnie nadzieją, otoczone zieleniącyymi się tarasami ogrodów zwróconymi ku morzu. „Patrz, patrz” — powtarzała w kółko, co też czyniłam, nawet bez jej zachęty.

Oddychałam głęboko świeżym morskim powietrzem, orzeźwiającym po tak długiej podróży. Na wodach zatoki kołysały się wszelkiego rodzaju statki i okręty — galeony, statki kupieckie i groźnie wyglądające okręty wojenne o wysokich masztach. Kretę ulice tworzyły powikłany labirynt pośród wzgórz i oświetlonych słońcem pałaców w kolorze jasnej terakoty.

Palmira dygotała z podniecenia.

— W którym pałacu będziemy mieszkać, mamó? W którym?

— Palazzo Cattaneo-Adorno na piazza de<sup>1</sup>Banchi — powiedziałam woźnicy.

Kiedy powóz się zatrzymał, rozczarowana Palmira opadła na siedzenie. Pałac nie był nawet w połowie tak wielki i wspaniały jak palazzo D'Oria albo palazzo Bianco, które mijaliśmy po drodze.

— Pamiętaj, masz być grzeczna i uprzejma, choćby nie wiem co — napomniałam ją.

Portier wprowadził nas do wielkiej sieni zastawionej rzeźbionymi i intarsjowanymi meblami, na których stały rozmaite bibeloty. Moją uwagę zwróciły dwa dzbany z lapis-lazuli w kształcie ptaków, Palmira zachwyciła się dziwną rybą o rozdziawionym pysku wyrzeźbioną z kryształu górskiego, o wielkich, zielonych oczach i płetwach wykończonych srebrem. Na ścianach wisiało tylko kilka przeciętnych obrazów.

Na nasze spotkanie wyszedł brzuchaty mężczyzna w szlafroku z brokatu o musztardowym kolorze, wyciągając ku nam obie rece.

— jestem Cesare Gentile. Witajcie w moim domostwie. Artyści zawsze są tu mile widzianymi gośćmi. — Jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech, uwydatniający podwójny pod

bródek. Pulchną dłonią ozdobioną rubinami poklepał Palmirę po ramieniu. — Dwie artystki? Aż dwie? *Che splendi-do*. — Uniósł wysoko brwi i z wielce poważnym wyrazem twarzy skłonił się przed Palmirą z wielkim uszanowaniem. Do pomieszczenia weszła wysoka, przystojna kobieta. — *Santo cielo*\ Bianca, *che prodigioso* — zwrócił się do niej. — Nie spodziewałem się, że do mojego domu przybędą dwie malarki za cene jednej!

Spłoszona Palmira popatrzyła na mnie, nie wiedząc, jak się ma zachować, i wszyscy wybuchneliśmy śmiechem.

— On jest niemożliwy — stwierdziła kobieta pobłaźliwie.

— Moja żona, Bianca. Signora Gentileschi oraz signori-na...? — Pochylił się ku Palmirze, nadstawiając ucha.

— Palmira — odrzekła, nim zdążyłam ją przedstawić.

— Oraz signorina Palmira Gentileschi — powiedział z uśmiechem.

— Miło nam powitać was obie — oznajmiła Bianca. Była wytworną kobietą o ciemnych włosach; miała na sobie szlafrok z aksamitu w kolorze czerwonego wina ze wzorem przedstawiającym owoc granatu.

— Palmira i ja jesteśmy głęboko wdzięczne i dołożymy wszelkich starań, by was zadowolić.

— To są nasze córki, Teresa i Margherita. — Skinęła na nie, by podeszły bliżej.

Były starsze od Palmiry, miały na sobie piękne suknie, choć nie były szczególnie urodziwe. Pod ścianą w szeregu ustawili się wszyscy domownicy, czekając, by gospodarze nam ich przedstawili. Signora Gentile przywołała młodą kobietą, która opuszczała właśnie podwinięte rękawy.

— To jest Renata. Przez cały dzień podbiegała do okien za każdym razem, kiedy usłyszała przejeżdżający powóz. Ona będzie się wami zajmować.

Renata skłoniła się grzecznie, a zmieszana Palmira odpowiedziała jej dwornym ukłonem, co znów wzbudziło powszechną wesołość.

— Musicie być zmęczone tak długą podróżą — powiedziała Bianca — rozgośćcie się więc i odpocznijcie.

Renata poprowadziła nas szerokimi marmurowymi schodami. Palmira pociągnęła mnie za spódnicę.

— Tutaj będziemy mieszkać? — spytała, oszołomiona i zachwycona. Renata zachichotała.

Weszliśmy do obszernego pokoju o wysokim suficie, do którego światło wpadało przez dwa duże okna.

— To jest twoja pracownia — powiedziała Renata, głośno pociągając nosem.

— Rozumiem. — Uśmiechnęłam się, widząc, jak marszczy nos z powodu zapachu terpentyny.

W pracowni stały trzy sztalugi różnych rozmiarów, regulowany stółek, długi stół na kozłach, szeslong, kilka krzeseł i fotelik oraz poduszki i draperie do pozowania.

— Pokój służący tylko do malowania. Wspaniale.

— Signor Cappellini zostawił tu straszny bałagan. Pełno farby na podłodze, plamy oleju i wszystko pomazane węglem, a był u nas niecały rok.

Przeżegnałam się pospiesznie, wznosząc oczy ku niebu.

— *Madonna benedetta*, spraw, bym została dłużej. Roześmiała się, o to mi chodziło.

— To był stary zrząd. Cieszymy się, że to ty go zastąpisz.

Otworzyła podwójne drzwi prowadzące do sypialni, również obszernej. Na łóżku leżała elegancka pościel, pod ścianą stały dwie skrzynie na ubrania, znajdował się tam także piec.

— Co to takiego? — spytała Palmira, wskazując na przedmiot, który wyglądał jak skrzynka z okrągłą pokrywą.

— To jest sedes — wyjaśniła Renata. Palmira popatrzyła na nią pytająco. Renata uniosła pokrywę.

— Naczynie nocne.

— Wyściełany? — Palmira otworzyła buzię ze zdumienia.

— Są tylko dwa takie w całym domu. Możecie się domyślić, u kogo stoi ten drugi. — Zwróciła się do mnie: — Czy mam pomóc przy rozpakowywaniu?

— Może później.

Skłoniła się, ucałowała Palmirę w policzek i wyszła.

— Popatrz, mamo, jakie duże lustro. — Nad niskim stolikiem, na którym leżała złożona pościel, stał wazon z irysami i miednica do mycia, wisiało wysokie zwierciadło z polerowanego metalu. — Widzę siebie. — Palmira obróciła się na piecie, patrząc przez ramię na powiewającą spódnice.

Nie miałam ochoty przyglądać się swojej twarzy zmęczonej podróżą. Jutro sobie popatrzę. Teraz marzyłam tylko o tym, żeby położyć się na łóżku, które nie będzie się kołysać na wybojach, i podziękować Bogu, że wreszcie dojechałam na miejsce. Usiadłam i zdjęłam buty.

— Łóżko jest wystarczająco duże dla nas obu. Usłyszałam pukanie do drzwi i do pokoju weszła Renata

z zatroskanym wyrazem twarzy; niosła na tacy dwa kubki z zielonego szkła i dzban wody. Za nią weszła druga służąca, niosąc majolikowy półmisek ze słodyczami, gruszkami i orzechami.

— Signora, proszę nie mówić pani Gentile. Poczęstunek miał być gotowy przed waszym przybyciem, ale... próbowałyśmy wywiać ten zapach przez okno.

— W jaki sposób?

— Za pomocą pościeli — powiedziała zawstydzona. Druga dziewczyna zachichotała. Odstawiły tace i na

migi pokazały, jak próbowały schwycić powietrze, unosząc prześcieradło niczym trzepoczący żagiel, i biegły z nim do otwartego okna. Roześmiałam się— Szkoda, że tego nie widziałam. Nie, Renato, nie powiem nikomu. Na co by się przydał ten poczęstunek, dopóki nas tu nie było? Proszę, podziękuj swojej pani. I wam obu też dziękuje.

Renata zaczerwieniła się, ukłoniła i wypchnęła drugą dziewczynę za drzwi.

Położyłam się na plecach i patrzyłam na liście wyrzeźbione w obramowaniach kartuszy sufitu. Uświadomiłam sobie, że rzeczywiście chyba jesteśmy mile widzianymi gośćmi, i zrobiło mi się, ciepło na sercu. W wielkiej sieni było pełno miejsca na ścianach. Przy odrobinie szczęścia możemy pozostać tu dość długo, jak to jest, kiedy mieszka się w domu, w którym rozlega się śmiech? Zamknęłam oczy, poczułam, że mięśnie moich ramion się rozluźniają. Taka atmosfera dobrze zrobi Palmirze — i mi też.

Następnego ranka Renata przyszła wcześniej i oznajmiła, że Cesare czeka na mnie w gabinecie i chce pomówić ze mną o pierwszym obrazie.

— Można powiedzieć, że nie traci czasu — zauważyłam.

— To dobry znak, signora. Odkąd wrócił z Florencji, nie mówi o niczym innym. Kiedy zgodziłaś się przyjechać, był tak zadowolony, że dał wolne całej służbie.

Wybrałam parę rysunków, które chciałam mu pokazać.

— Wolne?

Skinęła ochoczo głową.

— A jak wykorzystywałeś swój wolny czas? Spuściła wzrok.

— Wybrałam się na spacer, poszłam na moje ulubione miejsce na wzgórzu ponad miastem i próbowałam cie narysować, chociaż nie wiedziałam, jak wyglądasz.

— Mam nadzieję, że na twoim rysunku wyszłam ładniejsza, niż się dziś czuję.

Spięłam włosy w dość niechlujny kok i umocowałam je pospiesznie grzebieniem.

Cesare Gentile znów powitał mnie z otwartymi rękami, ukazując koronki na wyłogach szlafroka.

— Wybacz, jeśli wezwałem cię zbyt wcześnie. Niech to jednak świadczy o mojej życzliwości, prawdę mówiąc, nie mogłem się doczekać.

— Przyniosłam kilka najnowszych rysunków.

— Z przyjemnością je obejrzę, choć znam już twój talent.

Obejrzał je z dużym zainteresowaniem, kiwając głową i pomrukując z zadowoleniem, a potem zaprowadził mnie do ogrodu. Szliśmy piaszczystą alejką wzdłuż kwitnącego żywopłotu.

— Po pierwsze, jak wiesz, chcę, żebyś namalowała postać kobietą. Kobieta namalowana przez kobietę... tak, abyśmy mogli wejrzeć w jej życie. Być może znasz jakiś sekret, którego my, mężczyźni, nie znamy. Po drugie, musi być piękna, ale nie nazbyt piękna, nie chciałbym budzić przesadnej zazdrości moich córeczek. Powinna być jednak dość urodziwa, żeby zrozumiały, że są cenne i godne podziwu. — Jego ręka zakreśliła w powietrzu jakby zmysłową



krzywiznę kobiecego ciała... — I, jak mówiłem, chce, żeby to był akt... właśnie dlatego. Ukaż nam kobiecość w pełnej krasie.

— A sama postać? Ma być alegoryczna czy historyczna?

— Historyczna, rzecz jasna. Sztuka powinna nie tylko ukazywać piękno, powinna także opowiadać nam o czymś.

— Zgadzam się w zupełności. Myślałam o pólężącej postaci Kleopatry. Postać, która ma w sobie tajemnice, piękno ducha i piękno ciała. Cierpiąca z powodu straty tak wielkiej jak Egipt.

— Temat jest bez znaczenia. Cieszyć się beda z każdej kobiety namalowanej przez ciebie, wielką malarzkę z Florencji.

Miałam wrażenie, że bardziej niż moje malarstwo interesuje go moja sława kobiety-malarza, ale uśmiechał się tak poczciwie... cóż, zobaczymy.

Zerwał z krzaka kwiat gardenii o słodkim, upajającym zapachu.

— Piękna i egzotyczna — powiedział. — Tak jak twoja Kleopatra, nieprawdaż?

Kiedy wróciłam do pokoju, Renata już czekała przy drzwiach.

— Mogę ci w czymś pomóc? Może rozpakować twoje rzeczy?

— Tak. Dziękuję.

Przez chwilę się zastanawiałam, czy nie użyć jej jako modelki. Była piękna w naturalny, bezpretensjonalny sposób — łagodne, szare i zamysłone oczy, wyraziste usta. Ale Kleopatra nie była przecież naturalną pięknnością, była kimś, kto doskonale zdaje sobie sprawę ze swej urody.

Chodziło przy tym o akt, co stwarzałoby niezręczną sytuację.

— Jak sądzisz, gdzie znajdę kobietę, która pozowałaby mi nago? — spytałam.

— Nic prostszego. Dziwki w porcie.

— W którym porcie? Przecież całe miasto jest portem.

— W tawernie mojego brata. Zabiorę cię tam.

Kilka dni później, kiedy państwo Gentile zabrali Palmirę na wycieczkę, za miasto, Renata poprowadziła mnie przez kręte uliczki zawieszane suszącą się bielizną, rojące się od kotów i szczurów. Potem wyszliśmy na szeroką ulicę, wzdłuż której stały pałace stanowiące dziwny kontrast w stosunku do reszty dzielnicy; potem zeszliśmy schodkami prowadzącymi na ruchliwe nabrzeże i do morza. Kręciło się tam pełno mężczyzn unoszących bele materiału na linach i toczących beczki wzdłuż doków. Spostrzegłam na nabrzeżu krótki kawałek liny i podniosłam go. Mógłby mi posłużyć zamiast żywej żmii. Obok siedział na skrzynce stary mężczyzna i palił fajkę.

— Mogę to wziąć? — spytałam.

— Co nie moje, tego dać nie mogę — wypuścił kłęb dymu z ust — ale bierz.

Handlarki sprzedawały węgorze i lśniące, złoto nakrapiane leszcze.

— Żywe kalmary! — krzyczała jakaś kobieta, trzymając w ręce wijące się stworzenie.

— Tutaj ostrygi i mule! — krzyczała inna, pochylając się nad swym straganem.

— *Frutti di mare* — zachwalała trzecia.

- Co to są *frutti di mare*? — spytałam Renatę.

— Nie wiesz? Musisz kiedyś spróbować — powiedziała. — To genueńska specjalność. Jeżowce.

Kobieta szczypcami wyciągnęła z wiadra ociekającą słoną wodą kolczastą kulę - Przecięła ją nożem, wydłubała czerwonawą, galaretowatą masę, która bynajmniej nie wyglądała apetycznie, umieściła ją na skorupce ostrygi, pokropiła cytryną i podała mi.

— Zobaczysz, jakie dobre — powiedziała Renata. Jakoś udało mi się to przełknąć.

— Smaczne — powiedziałam, chcąc jej sprawić przyjemność.

Tawerna należąca do brata Renaty wciśnięta była pomiędzy magazyn i noclegownię dla marynarzy. W zadymionym pomieszczeniu marynarze o smagłej cerze sączyli piwo i gapili się na nas. Jeden z nich, w czarnym berecie na głowie, ze złotym kółkiem w uchu, wykrzywił się w uśmiechu i powiedział:

— Szukacie roboty, co? Znajdzie się coś dla takich Ślicznotek jak wy.

— *Zitto, marinahn* — warknęła Renata.

Skulił się jak niepyszny i wrócił do gry w kości. Rozbawiło mnie, że służąca potrafi przemawiać tak rozkazującym tonem.

Poszliśmy na zaplecze, gdzie Renata wytłumaczyła bratu, o co nam chodzi. Szepnął coś swojemu chłopcu na posyłki... i po jakimś czasie rozpoczęła się istna parada prostytutek w pomarańczowych, czerwonych i fioletowych spódnicach, odprowadzanych pożądlivymi spojrzeniami mężczyzn. Rozchełstane bluzy ukazywały ich niczym nie skrupowane piersi. Niektóre były za stare, było mi ich żal. Jedna była niewiele starsza od Palmiry i tej było mi żal jeszcze bardziej.

Do pomieszczenia weszła Marokanka o szerokich biodrach, zamiatając krwistoczerwoną spódnicą.

— Proszę wybrać mnie, signora. — Przesunęła rękami od piersi do pasa i pochyliła się, żebym mogła zobaczyć więcej.

Odniosłam wrażenie, że w ten sam sposób kusiła mężczyzn na ulicy.

Potem pojawiła się brunetka o jaśniejszej skórze, ustawiła się bokiem i uniosła pomarańczowo-zieloną spódnicę.

— Ja już pozowałam do obrazu, signora. Pochodzę z Sycylii. — Uniosła dumnie podbródek.

Za bardzo przypominała mi Vannę. Piękna kobieta z ciasno spiętymi czarnymi włosami przepchnęła się łokciami do przodu.

— Jestem hiszpańską tancerką — przedstawiła się, wykonując piruet, przytupując i klaszcząc rękami nad głową.

— Aye, aye, aye! — krzyknęła inna. Mężczyźni podjęli okrzyk.

Najwyraźniej te kobiety znały się doskonale i przywykły do takiego współzawodnictwa.

— A ty skąd jesteś? — spytałam ciemnowłosą dziewczynę o nieobecny wyrazie twarzy i tęsknym spojrzeniu.

— Z Genui.

— Podwiń rękaw, proszę. — Miała skórę koloru jasnego miodu. — Unieś spódnicę. — Miała piękne nogi. — Popatrz teraz na chwilę w górę. Nie, nie unoś głowy. Tylko oczami. Przybierz zatroskany i proszący wyraz twarzy. A teraz wygląd spokojny i zadowolony. — Miała doskonałą mimikę i sylwetkę idealną dla moich potrzeb. — Jak masz na imię?

— Giuliana.

— Zgodzisz się pozować nago?

— Tak, signora.

— Aye, Giuliana! — krzyknęła Hiszpanka, co oznaczało szczere gratulacje, i wypchnęła ją do przodu.

Giuliana zaczerwieniła się. Renata wytłumaczyła jej, jak dojść do siedziby państwa Gentile. Po drodze do domu Renata powiedziała:

— Chyba dobrze wybrałaś.

— Dlaczego tak myślisz?

— Z nią będzie łatwiej pracować niż z innymi.

Giuliana wcale się nie wstydziła rozebrać przede mną i nie przeszkadzało jej, że Palmira kręci się po pokoju. Szkicując ją w różnych pozach, najpierw opartą na prawym łokciu, potem na lewym — opowiedziałam jej historię Kleopatry, królowej zmysłów, bogatej i potężnej kobiety, którą zachwycali się wszyscy mężczyźni.

— Chciałabym znać jej sekret — stwierdziła Giuliana.

— Tak jak my wszystkie.

Narysowałam ją trzymającą linę przy piersi, ale potem zmieniłam zdanie. To było zbyt pospolite. Może żmija powinna być owinięta wokół jej nadgarstka? Kleopatra sama zadecyduje, kiedy przyłożyć ją do swej piersi... być może.

— Przymknij oczy, Giuliano. Tak żeby zostały tylko szparki, jakbyś mocno się nad czymś zastanawiała.

— Ale nad czym?

— Myśl tak, jakby myślała Kleopatra.

Poczułam czyjaś obecność za plecami. To była Renata, przyniosła tacę z owocami, chlebem maczanym w oliwie, serem i migdałami.

— Och! — Cofnęła się o krok, ale dalej spoglądała w kierunku mojego rysunku. — Przepraszam, signora i signorina.

— Nic nie szkodzi. Nie masz chyba nic przeciwko temu, prawda, Giuliano?

— Nie. — Dziewczyna nie zmieniała pozy. Renata odstawiła tacę.

— To jakiś cud, jak ty to robisz? To znaczy, że nie jest płaska. Kiedy ja rysuje, wychodzi tylko płaski obrys.

— To kwestia cieniowania. — Pracowałam trochę wolniej, żeby jej pokazać.

— Skąd wiesz, jak to trzeba robić?

— Patrzysz, gdzie jest światło i gdzie jest cień. Milczała przez chwilę, przyglądając się Giulianie.

— To musi być jakiś inny sposób patrzenia. Tak jakby wcale nie było koloru, tylko jasne i ciemne.

— Tak, właśnie o to chodzi. Jednak to nie wszystko. Za pomocą cienia możesz też tworzyć interpretacje postaci. — Wstałam. — Na dziś wystarczy, Giuliano. Chodź i zjedz coś, zanim pójdziesz.

Przeciągnęła się, potrząsnęła ręką, na której była oparta, i całkiem naga usiadła obok nas, wzięła gruszką i zaczęła ją jeść.

— Podoba ci się pozowanie? — spytała Renata.

— Owszem, czemu nie. Miło tutaj. I spokojnie.

— O czym myślisz, jak siedzisz tak bez ruchu przez cały dzień? — indagowała dalej Renata.

— Mam być Kleopatram, więc się zastanawiam, jak to jest, kiedy się kocha prawdziwą miłością i jest się nawzajem kochaną tak bardzo, że mężczyźni gotowi są oddać królestwo za pocałunek.

Oczy Renaty rozwarły się szerzej. Ja też byłam trochę zaskoczona.

— Nie musisz być Kleopatram, żeby o tym myśleć — zaśmiałam się. — Tego pragną wszystkie kobiety.

Przez chwilę jadłyśmy w milczeniu; pewnie każda z nas zastanawiała się na swój sposób nad taką miłością.

— Łatwiej mnie o tym myśleć, niż tobie narysować — zauważyła Giuliana.

— Czy to jest właśnie interpretacja? Musisz narysować nie tylko postać, ale i jej myśli? — Renata zmarszczyła brwi, rozważając ten nowy dla niej aspekt sztuki rysunku.

— To nie jest niemożliwe, Renato, ale tego uczymy się przez całe życie.

Pewnego dnia, kiedy Giuliana poszła już do domu, a ja malowałam głowę żmii przy piersi Kleopatry, Renata tymczasem szkicowała moją kompozycję — Palmira wpadła do pracowni, wymachując skrawkiem koronki, który dostała od pani Gentile. Nagle stanęła jak wryta.

— Faj! Dlaczego ona trzyma tego węża? — spytała.

— To jest żmija. Jest jadowita. A to jest Kleopatra, królowa Egiptu, Cypru, Krety i Syrii, bardzo bogata i potężna — tłumaczyłam jej. — Kochała dwóch słynnych mężczyzn. Jednym był Juliusz Cezar, który rządził w Rzymie, a drugim Marek Antoniusz, który rządził w Azji Mniejszej.

— No ale dlaczego ona trzyma tego węża? — spytała zniecierpliwiona.

— Chce się zabić w ten sposób, że pozwoli się ukąsić tej żmii. A może to już się stało.

Palmira wzruszyła ramionami.

— Jest bogata i chce umrzeć?

— Została pokonana w wojnie przez rzymskiego cesarza i nie chciała, by wieziono ją ulicami Rzymu jako wojenne trofeum. Rzymianie zawsze lubili takie widowiska, zwłaszcza widok upokorzonych kobiet.

— Ale to głupie, żeby chcieć umrzeć.

— Nie zawsze — wtrąciła się Renata. — Chciałabyś, żeby

tłum ludzi obrzucał cię wyzwiskami i ciskał w ciebie różnym paskudztwem?

Palmira nie wydawała się przekonana.

— A gdzie jest ugryzienie?

Też się nad tym zastanawiałam. Może na piersi? Może umieszczę ślad ukąszenia na ramieniu, może na szyi... Jakoś nie mogłam się zdobyć na to, żeby zranić ciało, które było tak gładkie, choćby i na obrazie.

— Jeszcze nie wiem.

— Może nigdzie — odezwała się znów Renata. — Może umarła z samej chęci, żeby umrzeć. Może tak bardzo kochała w swoim życiu, że teraz oto właśnie przechodzi do innego królestwa... w mistyczny sposób... przywołana tam przez Marka Antoniusza, nim jeszcze zmija zdąży ją ukąsić.

Spodobało mi się to. Spojrzałam na Palmirę, żeby zobaczyć, co ona myśli.

— Nie jest zbyt ładna — orzekła Palmira.

— Ale ma piękną duszę — powiedziała Renata. Palmira owinęła koronkę wokół szyi i wykonała

taneczny krok, którego nauczyła się od Margherity.

— To się nie liczy.

Moja Kleopatra bardzo się spodobała Cesare i Biance; oprawili ją w kosztowną ramę i powiesili na widocznym miejscu w wielkiej sieni. Później tego samego dnia przyszli odwiedzić mnie w pracowni i zastali mnie przy tym, jak usiłowałam naciągnąć mój obraz ~ *Lutnistke* — na drewniane krosna.

— *No, no, signora.* Tak nie wolno — zaprotestował Cesare. — Trzeba oszczędzać ręce, te wspaniałe dłonie powinny zajmować się wyłącznie malowaniem.

Czy była w tym jakaś ukryta aluzja, czy szczerą sympa-



tia? Czy zdawał sobie sprawę z tego, jak brzmiały dla mnie jego słowa? Sądziłam, że raczej nie. Ranienie kogokolwiek nie leżało w jego naturze.

— Jutro przyśle stolarza, który naciągnie wszystkie obrazy na krosna i oprawi je w ramy. Muszą wisieć tutaj, w twojej pracowni, ponieważ jesteś pełnoprawnym mieszkańcem tego domu. Czyż nie, Bianco? Teraz ty sama wybierz temat na następny obraz — zaproponował Cesare, poklepując mnie po ramieniu pulchnymi palcami. — Zostało wiele ścian do zapełnienia.

— Jakikolwiek temat?

— Jakikolwiek, który zechcesz podjąć. — Patrzył na mnie z wyczekiwaniem, najwyraźniej spodziewając **się**, że od razu podejmę decyzję. Spłótnął dłonie na brzuchu i czekał.

— Hm. A może... na przykład stojący portret... — zawiesiłam głos, udając, że się intensywnie zastanawiam — ...portret pana osoby! Jako *condottiere*.

— Mój portret? — Twarz jego rozjaśnił szeroki uśmiech. — Mój? O tak! Mój!

Bianca roześmiała się.

— Czy ma pan jakąś zbroję?

— Jest zbroja mojego ojca.

— To dobrze. W takim razie trzeba ją wypolerować. Upozowałam go z rapierem u boku, obok na stole

ustawiłam hełm z piórami, w tle na ścianie znajdowała się bitewna chorągiew z frędzlami. Włożył do tego najsztynniejszą, najszerszą i najdziwaczniejszą kryzę, jaką kiedykolwiek widziałam, z mniejszymi kryzami przy nadgarstkach. Na jego ramieniu udrapowałam koronkową szarfę. Pewnego dnia przyszedł do pracowni, pobrząkując ostrogami, i przyprowadził czterech swoich przyjaciół, że-

by zobaczyli, jak pozuje. Przybrał dziarską pozę i tak nadał się, pyszniąc przed swoimi przyjaciółmi, że Bianca wybuchła śmiechem. Zrobił obrażoną minę.

— My tu ciężko pracujemy, więc bardzo proszę o ciszę.

— *Amore mio*, to piękna poza i wspaniały portret — orzekła Bianca.

— Kocham go niemał tak samo jak ciebie we własnej osobie!

Minął ponad rok od mojego przybycia do Genui. Odprowadzałam Palmirę i dwie córki państwa Gentile na przyjęcie urodzinowe dziecka pewnego wielmoży. Na krużganku jego willi stała grupa mężczyzn, a pod obsypanym żółtym kwieciami drzewem cztery kobiety grały zawzięcie w wista. Nie spodziewając się spotkać nikogo znajomego, usiadłam na ławce i patrzyłam, jak dzieci się bawią. Wybuch śmiechu, który doszedł od strony grupy mężczyzn, obudził mnie z zamyślenia; natychmiast rozpoznałam głos ojca. Serce zabiło mi gwałtownie. Stał tyłem; zamierzałam wymknąć się chyłkiem i schować za rogiem budowli, żeby mnie nie zobaczył, ale nim zdążyłam wstać, odwrócił się przypadkiem.

— *Buon Dio*. Artemizja! — usłyszałam. Podbiegł ku mnie z szeroko rozpostartymi ramionami.

— Ojczy. — Wstałam i padliśmy sobie w objęcia. Poczułam, jak jego broda drapie mnie w policzek, tak samo jak wtedy, kiedy byłam małą.

— Nie wiedziałem, że jesteś w Genui. Czy nie pisałem, że tu jestem?

— Tak, ale nie znałam przecież twojego adresu, jak miałam cię znaleźć? Mam nowego mecenasa. Nazywa się Cesare Gentile.

— Czy dobrze cie traktuje?

— O tak. To miły człowiek i przy tym bardzo hojny. Jestem bardzo zadowolona.

W jego oczach pojawiły się łzy.

— Pięknie wyglądasz.

— Zaczesejesz teraz włosy do przodu, na rzymską modłę. — Zaśmiałam się, ale nie zabrzmiało to zbyt naturalnie. — Kiedyś mówiłeś, że nigdy tak nie będziesz robił, że to za bardzo przywodzi na myśl dawnych rzymskich cesarzy.

— Doczekałem już siwych włosów, mam do tego prawo. My, śmiertelnicy, przez całe życie czynimy rozmaite obietnice...

— Popatrz, tamta dziewczynka w czerwonej koszuli, która bawi się w ciuciubabkę, to moja córka.

Uniósł wysoko brwi, nawet na jego czole był uśmiech.

— Moja wnuczka? — powiedział z zachwytem. — Myślałem, że już nigdy jej nie zobaczę— Palmira Prudenzia.

— Jaka śliczna...

— I doskonale zdaje sobie z tego sprawę- Ma już prawie dziewięć lat.

— Przypomina mi ciebie. Czy rysuje?

— Dość kiepsko. To mnie martwi. Malarstwo to dla niej jedyna szansa, żeby nadal żyć tak, jak teraz żyjemy.

— Nie musisz się martwić. Przecież od razu widać, że wyrośnie na piękną kobietę— Nie tak łatwo będzie zaspokoić jej zachcianki, jeśli chodzi o stroje. Stała się ulubienicą tutejszej szlachty, co trochę mnie niepokoi.

Popatrzył znów na mnie.

— Stiattesi powiedział, że porzuciłaś jego brata.

Powiedział to dość ostrym tonem, jakby wyrzucając mi niewdzięczność za wysiłek, który włożył w doprowadzenie do tego małżeństwa.

— Zależy, z której strony na to spojrzeć.

— Dlaczego go porzuciłaś?

Zacisnęłam szczękę i o mało nie zazgrzytałam zębami.

— Piętro mógł przyjechać ze mną. Mógł przyjechać później. Pisałam do niego. Nie odpisał ani razu.

Staliśmy przez chwile<sup>w</sup> milczeniu, oboje czuliśmy się niezręcznie.

— Artemizjo, musimy znowu się zobaczyć.

— Mam teraz zamówienie, które muszę wykonać.

— Tym lepiej. Chciałbym zobaczyć twój obraz. -Ja...

— W stylu Caravaggia?

— Nie, raczej nie.

Rzucił ukradkowe spojrzenie na moje ręce i powiedział ciepło:

— Nie bój się mnie, Artemizjo.

— Chyba mam powody, żeby się bać, czyż nie? Zmarszczki na jego czole pogłębiły się— Przecież nie pozbawisz starego człowieka jego wnuczki? — Popatrzył na Palmirę, która śmiejąc się, skakała z innymi dziećmi. Skóra na jego policzku stała się jeszcze bardziej szorstka, jakby pod wpływem kolejnych ziarenek piasku przesypujących się w klepsydrze.

— Nie.

## RENATA

Ojciec, Palmira i ja przyglądaliśmy się, jak marynarze za pomocą dźwigu wciągają belę bawełny na nabrzeże. Uwijający się mężczyźni mieli na sobie luźne spodnie i czarne pantofle, mówili chrapliwie brzmącym obcym językiem. Ich obszerne białe koszule trzepotały na wietrze jak żagle.

— Dlaczego mają taką ciemną skórę? — spytała Palmira.

— Z powodu słońca, *preziosa* — odparł ojciec. — Ci ludzie przybyli z Maroka, z północy Afryki.

Nie miałam nic przeciwko temu, że odpowiadał na jej pytania, skoro sprawiało mu to taką przyjemność. Dobrze, żeby czasem ktoś odnosił się do niej po ojcowsku; z pewnością brakowało jej ojca.

Wskazał na pękate worki leżące na nabrzeżu.

— Czujesz zapach pieprzu? — spytał. — A także cynamonu. — Wyglądała zabawnie, gdy tak gorliwie pociągała nosem. — Najpewniej przyprawy przybyły do nas z Syrii. Przywożą tutaj towary z różnych stron świata... z Egiptu, Sycylii, Korsyki. Złoto przywożą z północnej Afryki. — Spojrzał na nią, żeby się upewnić, czy go słucha. — Jedwab przybywa z Azji. Pomarańcze z Hiszpanii. A razem z towarami przybywają tu ludzie z najrozmaitszych krajów. Muzułmanie, Żydzi, Egipcjanie. Przywożą ze sobą też najrozmaitsze poglądy.

— Poglądy na co? — spytała Palmira.

— Na wszystko. Na życie, religie, sztukę, politykę. Stąd zaś statki zabierają wino, oliwę, srebrne naczynia, marmur. Genuieńscy uważają ten port za pępek świata.

Uśmiechnęłam się, myśląc, jak bardzo ograniczony jest taki sposób myślenia. Jeżeli kiedyś odkrycia Galileusza zostaną uznane, nikt już tak nie będzie myśleć. Świat będzie musiał się zmienić, byłam tego pewna.

Zajrzeliśmy do magazynu dostawcy okrętowego. Ojciec kupił trochę marynarskich sucharów i aromatyczną turecką kawę. Spostrzegł, że Palmira przygląda się mosiężnym guzikom marynarskim i odznakom z różnymi morskimi insygniami.

— Wybierz sobie jeden — powiedział i dał właścicielowi kilka monet.

— Przypnij mi go tutaj. — Stała wyprostowana, wskazując swoją pelerynkę.

— Opowiedz, co namalowałaś w Genui — poprosił ojciec.

To był bezpieczny temat.

— Najpierw namalowałam Kleopatę, ponieważ Cesare chciał mieć akt kobiety. Potem pozwolił mi samej wybierać tematy kolejnych obrazów. — Zanurzyłam usta w gęstej, ciemnej cieczy i ledwo zdołałam przełknąć mały jej łyk. Przesunęłam kubek w jego stronę. — Sam to wypij.

Uśmiechnął się.

— To kwestia przyzwyczajenia. Spróbuj sucharów. Spróbowałam.

— Raczej bez smaku.

— A mi smakują — powiedziała Palmira, machając nogami i uderzając piętami w beczkę.

— Nie rób tego, *cara*. Zniszczysz sobie buciki.

— A więc, co jeszcze namalowałaś? — spytał ojciec.

— Stojący portret pana Gentilego jako *condottiere*. To był mój pomysł, ale bardzo przypadł mu do gustu. Namalowałam go w stylu Tycjana. Być może nie był to temat, z którym byłam szczególnie związana, ale malowałam go z przyjemnością, ponieważ pan Gentile był taki uszczęśliwiony. Potem chyba namaluje portret pani Gentile. Tutaj maluje więcej niż kiedykolwiek. Myślę, że to dzięki życzliwej atmosferze panującej w ich domu.

Odstawił kubek na beczkę z cichym stuknięciem i popatrzył na mnie podejrzliwie.

— Wiesz, nie muszę przygotowywać posiłków, a Palmira spędza całe dnie z córkami państwa Gentile, dzięki temu mam więcej czasu na malowanie.

Nie bardzo wiem, dlaczego zaczęłam się tłumaczyć, wiedziałam jednak dobrze, że muszę być czujna. Nawet wobec ojca muszę uważać na to, co mówię i robię.

— Sprawiasz, że mi zazdroszczą — powiedział Cesare pewnego ranka, gdy czyściłam pędzle.

— W jaki sposób?

— Wielu szlachetnych panów w Genui pragnęłoby mieć obraz pędzla Artemizji Gentileschi... kobiety, która rozumie kobiety. Muszę dbać o ciebie. — Zamrugął. — W przeciwnym razie porzucisz nas i pójdziesz gdzie indziej.

— Nawet nie myślę o tym, żeby iść gdzie indziej. Tutaj jesteśmy szczęśliwe. Wie pan o tym.

— A więc czas pomówić o następnym obrazie. Moje córki dorastają... Tym razem musisz mi namalować Lukrecję.

— To jedyna postać, której z całego serca nie mam chęci malować.

Sapnął głośno.

— Ale czemu?

— Nie chce malować kobiety, która się zabiła, by uniknąć hańby po tym, jak została zgwałcona.

Uniósł brew.

— I dlatego właśnie musisz to zrobić.

A wiec wiedział o procesie. Czy również w Genui Rzym będzie mnie prześladować?

Przybrał żartobliwie groźną mine, zacisnął pięść i machnął nią w powietrzu.

— Stań twarzą w twarz z nieprzyjacielem i zmiażdż go. Namaluj własną Lukrecje-

Tylko Cesare potrafił przejść tak gładko od zmarszczenia brwi do zaraźliwego, serdecznego uśmiechu. Skoro takie było jego życzenie, nie sposób było się wykręcić.

Przez długie godziny czułam się podle, byłam tak małomówna podczas południowego posiłku, że Cesare i Bianca z pewnością to dostrzegli. Bawiłam się bezmyślnie jedzeniem na talerzu i przełknęłam zaledwie parę kęsów. Palmira nudziła, żebym zabrała ją na wycieczkę za miasto.

— Nie dzisiaj, Palmiro. Ile razy mam ci to powtarzać? Oparła się łokciami o stół i przycisnęła piąstki do policzków.

— Jesteś samolubna — powiedziała. — Dziadek na pewno by mnie zabrał.

Było mi wstyd, że jest taka niegrzeczna. Po jedzeniu uciekła na dół na podwórko i nie chciała przyjść, kiedy ją wołałam.

Późnym popołudniem pracownia była usiana nieudanymi szkicami kobiet wbijających sobie sztylet w pierś oraz kobiet leżących w różnych pozach i krwawiących. Do



pokoju weszła Renata, niosąc wielki bukiet ciemnoczerwonych mieczyków.

— To od pana Gentilego — powiedziała, stawiając je na stole pod oknem.

— To dla mnie? Powinny stać w sieni.

— Nie. Signor Gentile kazał mi przynieść je do pracowni.

— Są przepiękne. Popatrz tylko, jak gra światła i cienia na płatkach sprawia, że czerwień przechodzi od karmazynowej madery niemal do fioletu.

— Wewnątrz płatki wyglądają jak woskowane. — Wskazała palcem.

— Jak trzeba namalować, żeby wyglądały tak właśnie?

Miałam jej opowiedzieć o weneckim werniksie bursztynowym, kiedy rozejrzała się dookoła i zobaczyła moje rysunki.

— Znów kobieta, która popełnia samobójstwo!

— To nie mój wybór, taka była decyzja pana Gentilego. Dlatego jestem taka rozdrażniona. Po raz pierwszy w życiu nie chce czegoś namalować.

— Dlaczego? — Patrzyła na mnie poważnie. Naprawdę chciała wiedzieć. Opowiedziałam jej więc historie Lukrecji zgwałconej przez Tarkwiniusza.

Historia głosi, że zrobiła to, uważając, iż gdyby pozostała przy życiu, stanowiłoby to zły przykład dla cudzołóżników, tak mężczyzn, jak i kobiet.

— To pewnie z powodu córek pana Gentilego. Chce je nastraszyć i w ten sposób nakłonić do zachowania cnoty...

Rzuciłam pręcik do rysowania na stół.

— Nie znoszę tych obrazów, na których martwa Lukrecja spoczywa jako obraz cnoty, a na jej twarzy maluje się błogi spokój... to jest spokój malarza, nasmarowany farbą na jej twarzy. Samobójstwo tak nie wygląda.

Renata pochyliła się do mnie ze zmarszczonymi brwiami. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, i znów opadła na krzesło.

— Na obrazie Filippa Lippiego, w Palazzo Pitti we Florencji, Lukrecja dokonuje tego czynu publicznie. Według mnie to kompletny nonsens. Jeśli była niewinną ofiarą, nie musiała się wstydzić, a więc decyzja o samobójstwie była aktem dumy, czynem popełnionym bez zastanowienia... nie widzę w nim niczego szlachetnego. To droga ucieczki, która przez chwile wydawać się może kusząca, ale...

— Ale co?

— Nikt, kto kocha życie, nie zgodzi się z własnej woli na taką ucieczkę-

Na twarzy Renaty wciąż malowała się troska.

— W takim razie to nie ma sensu. Podniosłam palec w zamyśleniu.

— Chyba że naszym zdaniem ofiary dzielają winę lub są wręcz przyczyną zbrodni. Historia Lukrecji ma sens tylko dla tych, którzy nie chcą przyznać, że kobiety nie pragną być gwałcone. Moim zdaniem jest to ofiara fałszywa i niepotrzebna.

— Zamierzasz namalować jej myśli czy swoje?

— To dobre pytanie. Raczej moje. Zresztą Cesare powiedział, żebym namalowała moją własną Lukrecję- — Teraz, kiedy ujęłam to w słowa, zadanie wydawało się jeszcze trudniejsze do wykonania.

Po sposobie, w jaki pan Gentile spoglądał na mnie z uniesioną brwią, poznałam, że wiedział doskonale, co robi, pozwalając mi z początku samej dobierać tematy, a potem rzucając wyzwanie. A teraz ten wspaniały bukiet kwiatów, by złagodzić mój nastrój właśnie w chwili, gdy zaczęłam próbować stawiać czoło temu wyzwaniu.

A wszystko to uczynione ze zrozumieniem i pełną szacunku ojcowską troską.

Renata ułożyła moje szkice równo na podłodze. Jeden z nich był przedarty prawie na pół. Trzymała go w wyciągniętej rece.

— A ten, nie podoba ci się?

— Nie. Jest najgorszy ze wszystkich.

Przyglądała mu się uważnie, starając się zrozumieć, co mam na myśli.

— Jeżeli na pewno go nie chcesz — przygryzła wargę — mogę go sobie wziąć?

— Po co?

— Chciałabym poćwiczyć wieczorem w moim pokoju. Spróbowałabym skopiować rysunek i cieniowanie i zobaczyć, jak to jest...

Słyszając to, wzruszyłam się i zdziwiłam. Chciała się uczyć, chłoneła wszystko co nowe — tego właśnie pragnęłam dla Palmiry.

Renata czekała na moją odpowiedź, siedząc na brzeżku krzesła.

Nagle się przestraszyłam, bo nie wiadomo dlaczego wydawało mi się, że wszystko, co wiem, mogę przekazać tylko jednej osobie — że przekaz będzie świeży i prawdziwy tylko w chwili odkrycia, że będę umiała opowiedzieć tylko o tym, czego uczę się sama podczas malowania kolejnych obrazów — i tylko raz. Być może powinnam zachować tę istotę mojej twórczej jaźni dla Palmiry, która przez przypadek i z racji urodzenia miała do niej większe prawa, no i oczywiście była stale ze mną, tylko że...

Rzuciłam okiem na Renatę, wciąż przyglądającą się podartemu rysunkowi, jakby z obawą. Czego się lękała? Że ogląda go po raz ostatni?

— Weź go, *cañssima*. A kiedy skończę, będziesz mogła zabrać je wszystkie.

Z jej ust dobyło się ciche westchnienie ulgi.

Usłyszałam szelest spódnic i odwróciłam się. W otwartych drzwiach stała Bianca. Pomyślałam, że zostałam przyłapana na spoufalaniu się ze służącą i że jestem odpowiedzialna za odciąganie Renaty od jej obowiązków.

— Przepraszam, że ci przerywam. — Jej głos brzmiał nadzwyczaj poważnie.

— Ależ proszę, proszę wejść.

Renata szybko odłożyła przedarty rysunek na krzesło, skłoniła się i wyszła.

— Intendent mojego męża powrócił właśnie z Florencji i przywiózł wieści, byłam pewna, że zechcesz je poznać. Umarł wielki książę Kosma.

— Umarł? — Wiadomość spadła jak grom z jasnego nieba. - Był taki młody!

— Miał chyba zaledwie trzydzieści lat.

— Nie zdołał ukończyć swego wielkiego projektu, rozbudowy pałacu Pitti.

— Tytuł przejdzie na jego najstarszego syna, Ferdynanda, chociaż będzie pełnoletni dopiero za osiem albo dziewięć lat. Ale Giovanni, który przebywa teraz w Wenecji, jest jeszcze młodszy!

— Biedna księżna. Wyobrażam sobie te msze żałobne...

— Tym większy cios dla niej, że śmierć męża nastąpiła tak szybko po odejściu jej idola.

— Kogo ma pani na myśli?

— Papieża Pawła.

Pomyślałam o Galileuszu. Z pewnością nadal będzie się cieszył poparciem Medyceuszy, ale Ferdynand może nie zechcieć tak zdecydowanie opowiadać się po jego stronie

jak Kosma. Nie wiadomo, czego można się spodziewać po nowym papieżu.

— Martwi mnie to — wyszeptałam.

— Kosma być może nie był tak wielkim władcą jak Wawrzyniec, ale był dobrym człowiekiem — powiedziała Bianca.

— Był dla mnie hojny i byłam częstym gościem w pałacu Pitti. A teraz jego synowie pozostali bez ojca.

Bianca złożyła dłonie.

— Przykro mi, że mówię ci to w dniu, kiedy...

— Kiedy jestem samolubna, jak powiedziała Palmira? To nic. Dziękuję, że mi pani powiedziała.

Bianca postąpiła krok w kierunku drzwi.

— Proszę nie odchodzić. — Zabrałam podarty rysunek z krzesła. — Proszę jeszcze zostać. Przykro mi, że Palmira była dziś niegrzeczna.

— Jest uroczym dzieckiem, nawet jeśli jest niegrzeczna.

— I w tym problem... ona doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Chciałabym, żeby czymś się zainteresowała.

— Malowaniem?

— Oczywiście. Ale próbowałam też innych rzeczy. Uczy się haftu, ale nie chce czytać ani pisać, jeśli jej nie pilnuje, a to odrywa mnie od pracy.

— Moje córki mogłyby ją uczyć. To znaczy Teresa, na pewno chętnie to zrobi.

— Czy Teresa i Margherita tak się różnią między sobą?

— Jak słońce i księżyc. Nie zdziwiłabym się, gdyby Teresa została zakonnicą, tymczasem Margherita myśli wyłącznie o piknikach i balach.

— Dziwna rzecz z tymi naszymi dziećmi. — Zawahałam

się, ale Bianca gestem zachęciła mnie, bym ciągnęła dalej. — To, czego najbardziej od nich oczekujemy, czego najbardziej chcielibyśmy dla nich...

— Najmniej je interesuje?

— Właśnie. — Spojrzałam na podarty rysunek. — Charakter dziecka jest chyba raczej dziełem przypadku, nie wynika z więzów krwi. — Obracałam ołówek w ręce. — Myślałam właśnie o Renacie. Mianowicie...

— Mów dalej. Możesz być ze mną szczerą.

— Łakomie chłonie każdy strzępek wiedzy, jaki mogę jej dać.

— Wspaniała dziewczyna, prawda?

Pokiwałam głową. Bianca milczała, słuchając mnie uważnie.

— Która z nich jest naprawdę moim dzieckiem? Czy ta, którą wydałam na świat, ale która nie znajduje żadnego upodobania w czymś, co jest dla mnie najważniejsze na świecie, czy też dziecko obcej kobiety, które los postawił na mojej drodze, a które tak chętnie słucha każdego mojego słowa, uczy się każdego dnia czegoś nowego i bardzo chciałabym uczyć... gdybym się nie obawiała, że Palmira będzie zazdrosna...?

Zaczęłam nożem ostrzyć pręcik do rysowania; trochę czułam się zawstydzona, że przyznałam się do moich rozterek przed Biancą.

— Może ona bardziej przypomina ojca. To znaczy, Palmira.

Nieoczekiwanie dla siebie samej zaśmiałam się niewesoło.

— Nie. On też jest malarzem. Odziedziczyła po nim tylko to ponure spojrzenie, kiedy jest w złym humorze.

Siedziałyśmy przez chwilę w milczeniu, spoglądając na

rysunki rozłożone na podłodze. Czułam, że nie osądza mnie w żaden sposób, po prostu słucha i rozumie.

— Chciałabym zadać pewne pytanie, jeśli nie uzna pani tego za niestosowne.

— Proszę, pytaj.

— W jaki sposób doszło do tego, że Renata została u was służącą?

Bianca uśmiechnęła się.

— Z przyjemnością ci odpowiem. Przedtem pracowała na targu kwiatnym. Cesare uwielbia kwiaty i nie może bez nich żyć.

— To wiem! — Wskazałam na bukiet. — Wie pani, że kazał mi je przynieść?

— Tak. W każdą sobotę rano idzie do miasta, żeby wybrać najpiękniejsze. Przez długie lata zawsze chodził do straganu Renaty, ale pewnego dnia zachorował i przez jakiś czas był przykuty do łóżka. Musiała się skądś o tym dowiedzieć i z własnej inicjatywy zaczęła przynosić kwiaty do nas do domu, dobierając jego ulubione gatunki i kolory. Za pierwszym razem po prostu zostawiła kwiaty służącej i odeszła, nie czekając na zapłatę.

— To cała ona...

— Kiedy przyszła znowu, poprosiłam ją, żeby sama zaniosiła mu kwiaty, wiedziałam, że sprawi mu tym radość. Była tak serdeczna i rzeczywiście wносиła tyle radości, że pewnej soboty Cesare wymyślił sobie bajeczkę o tym, że rozpaczliwie potrzebuje pokojówki. „Może byś została, tylko na tydzień, i pomogła staremu, choremu człowiekowi?” Jego głos brzmiał tak żałośnie, że nie potrafiła odmówić, ale kiedy ten tydzień się skończył, poskładała suknię, którą jej dałam, zostawiła ją na skrzyni i wymknęła się; bez słowa, nim Cesare się obudził. Kiedy się dowie-

dział, że odeszła, ubrał się po raz pierwszy od miesiący i poszedł na targ kwietny, żeby sprowadzić ją z powrotem; oboje wrócili promiennie uśmiechnięci.

— Czy wie pani, jakie to szczęście mieć męża, który jest tak bardzo...?

— *Gentite?* Co dzień na nowo sobie to uświadamiam. Mogę tylko mieć nadzieje, że moim córkom trafią się mężowie choć w połowie tak dobrzy.

— Marze o tym samym dla Palmiry. I dla Renaty.

— To jest słynna Rzymianka imieniem Lukrecja — wyjaśniłam Palmirze, która siedziała na krześle za mną, machając nogami i wysysając sok z pomarańczy.

Pracowałam teraz nad tłem obrazu i nie potrzebowałam modelki — postać była już prawie gotowa. Namalowałam ją w rozchełstanej nocnej koszuli, siedzącą na łóżku przykrytym kapą w takim samym kolorze jak tamte ciemnoczerwone mieczyki. Trzymała w ręce sztylet mojej matki, kierując go w stronę lewej piersi, którą ścisnęła drugą ręką. Życie i macierzyństwo przeciwstawione samobójstwu i męczeństwu — chciałam ukazać obie drogi.

— Znałaś ją?

— Nie. Ona żyła dwa tysiące lat temu. — Minęło tyle czasu, pomyślałam, a tak niewiele się zmieniło. Odłożyłam pędzel. — W pewnym sensie ją znałam. — Być może Palmira była już dość dorosła, żeby móc usłyszeć o czymś innym niż tylko o koronkach i żabotach. — Została zgwałcona i pohańbiona przez pewnego mężczyznę. To znaczy, że zrobił jej coś, czego ona nie chciała.

Palmira dalej ssła pomarańcze.

— Ma strasznie dużą nogę.



— To dlatego, żeby zwrócić uwagę na napięcie jej uda i kolana. Chodzi o siłą wyrazu. Zrozum, ludzie byli dla niej niedobrzy. Myśleli, że ona chciała tego, co zrobił ów mężczyzna, ale się mylili. Nie rozumieli jej cierpienia, a ona nie mogła znieść wstydu.

Palmira zeskoczyła z krzesła.

— Tak więc wzięła sztylet...

— Nie chcą tego słuchać! Nie chcą słuchać tych strasznych historii!

— Rzuciła pomarańczą na podłogę, zasłoniła uszy rękami i wybiegła z pokoju.

Byłam zdumiona. Nie miałam pojęcia, że moje opowieści robią na niej takie wrażenie. Sięgnęłam po pędzel, a potem pomyślałam, że może powinnam pójść za nią. Wiedziałam jednak, że po prostu pójdzie do Margherity i będą się bawić. Nie było w tym nic złego. Ale co złego było w opowieściach?

Pewnego ranka nie wstałam z łóżka. Nie pracowałam nad obrazem przez całe trzy dni. Leżałam bez ruchu i gapiłam się na sufit, wciąż widząc mój obraz przed oczami. Skończyłam już tło, namalowałam fałdy białej koszuli, pogniecioną karmazynową kapę łóżka, na którym została zgwałcona, jej odsłoniętą nogę, nagie ramię i prawą rękę trzymającą pierś, w którą miała wbić ostrze. Lewa ręka z wygiętym nadgarstkiem kierująca sztylet w pierś była tylko naszkicowana. Nie mogłam malować dalej. Odprawiłam modelkę. Przez ostatnie trzy dni tylko siedziałam i patrzyłam. Renata przyglądała mi się ciemnymi, zaniepokojonymi oczami i nie wiedziała, czy ma zostawić mnie samą, czy dotrzymywać mi towarzystwa.

Nie mogłam sobie poradzić z tym sztyletem. Leżałam

w łóżku z zamkniętymi oczami i wyobrażałam sobie najrozmaitsze sposoby jego ułożenia — ostrze skierowane w prawo, potem w lewo, sztylet wbity w jej pierś, wreszcie leżący z zakrwawionym ostrzem w jej otwartej dłoni. Do pokoju wpadła Renata i powiedziała:

— Palmiro, pospiesz się. Zapomniałeś o pikniku?

— Jakim pikniku? — spytała.

Dziewczyna pomogła jej się ubrać i Palmira wybiegła za drzwi, trzymając buciki w ręce.

Renata otworzyła okiennice, żeby wpuścić do pokoju światło, a potem podeszła do łóżka i spytała mnie, przyglądając mi się bez uśmiechu:

— Może zostaw w spokoju jej rękę i namaluj dzisiaj twarz?

Wpatrywałam się w sufit.

— Wstań. Muszę wyprać pościel.

Ściągnęła ze mnie nakrycie i stanowczym gestem wskazała drzwi do pracowni. Byłam tak zaskoczona, że wstałam i w nocnej koszuli posłusznie poszłam do pracowni, siadłam na stołku przy sztalugach, ale nawet nie popatrzyłam na obraz.

— Skąd pada światło? — spytała, składając pościel. Nie o to jej chodziło. To było łatwe pytanie, na które obie znałyśmy odpowiedź.

— Od strony patrzącego.

— Powiedz mi, co to oznacza.

— Po drugiej stronie musi być ciemność. Mam tylko profil, połowę twarzy i jedno oko w świetle, żeby przekazać, co mam do powiedzenia.

— No, to bierz się do roboty — powiedziała takim samym głosem, jak wtedy w tawernie.

Renata stała nade mną ze zmarszczonymi brwiami,

dopóki nie zaczęłam malować. Zaglądała do mnie wielokrotnie w ciągu dnia. Kiedy tylko zauważała, że nie pracuje, znów stała za mną, nie mówiąc ani słowa, dopóki znów nie zabierałam się do pracy. Wtedy wychodziła.

Twarz Lukrecji zaczęła nabierać wyrazu. Malowała się na niej rozpacz, ale nic strach. Dałam jej brwi Renaty. Potem zaczęłam malować coraz ciemniejsze oko i cień pod nim. Stawała się coraz bardziej wzburzona, a tego właśnie chciałam. Miała wyglądać tak, jakby miały ją gwałtowne uczucia, i takie uczucia budzić.

Teraz, kiedy twarz Lukrecji z rozbieganym spojrzeniem była już prawie gotowa, wygięcie ręki ze sztyletem celującym w pierś wydawało się nienaturalne. Kiedy nabrałam farby w kolorze karnacji na czysty pędzel, wciąż nie mogłam się zdobyć, by namalować tę rękę. Moja własna ręka była jak sparaliżowana. Przemów do mnie, Lukrecjo. Co mam z tobą zrobić? W pokoju, w całym domu panowała cisza. Czekałam. Jej oko zdawało się mówić: „Pamiętasz?”

Czy pamiętam? Sprzątnęłam rzeczy ze stołu i ustawiłam na nim lustro. Wzięłam do ręki sztylet mamy. Był tak długi jak moje przedramię, z czarnej stali i z mosiężną rękojeścią. Dotknęłam płaszczyznę ostrza policzka. Było bardzo zimne. Zsunęłam koszulę i ujęłam prawą pierś ręką, tak jak moja Lukrecja. Oparłam łokieć o stół i wygięłam nadgarstek wyciągniętej ręki, kierując sztylet w moją pierś. Przypomniałam sobie dzień przesłuchania za pomocą sybilli. Nie posunęłam się tak daleko, nawet nie wyciągnęłam sztyletu spod łóżka, ale przecież myślałam o tym.

Bardzo powoli zgięłam rękę i zbliżyłam sztylet do piersi. Powoli. Zatrzymałam się. Trochę bliżej. Popatrzyłam na jego lśniąca krawędź, odbłysek światła na klindze przesuwiał

się, kiedy obracałam sztylet w dłoni. Bolał mnie nadgarstek. Pod drugą ręką czułam bicie serca, nawet teraz, kiedy tylko wyobrażałam sobie ostrze wbijające się w moje ciało. W lustrze widziałam, jak moja pierś porusza się, gdy oddycham. Zatrzymać to jednym silnym uderzeniem — czy potrafiłabym to naprawdę zrobić? A Lukrecja? Czy świat stał się dla niej tak nie do zniesienia? Dotknęłam ostrzem skóry.

Rozdzierający krzyk.

— Nie! - To była Renata. Sztylet wypadł mi z ręki.

— Nie rób tego! — Rzuciła się ku mnie, upuszczając przy tym na podłogę tacę z owocami i szklaną karafkę. Rozległ się przeraźliwy trzask i brzęk tłuczonego szkła. Przypadła mi do nóg.

— Nie chciałam tego zrobić — wybełkotałam. — Tylko próbuje sobie wyobrazić. Chodzi o obraz.

Pląkała, szlochając hałaśliwie.

— Mogłaś mi powiedzieć! Co ja miałam myśleć?

— Przepraszam. — Objęłam ją ramionami, głaskałam po głowie, czułam bicie serca przy moich kolanach, poprzez bezmiar przerażenia czułam jej przywiązanie. — Ale" teraz wiem. Wiem! Moja Lukrecja nie posunie się do tego. Ona tego nie robi. Rozważa taką możliwość, myśli o tym, co ludzie o niej mówią, rozpatruje swoje cierpienie, ale nie mierzy w swoją pierś. Będzie miała wyprostowaną rękę, ze sztyletem skierowanym ku górze.

Pocałowałam Renatę w czoło.

## LUKRECJA

Umyłam włosy i włożyłam czystą suknię. Tego dnia miał przyjść ojciec — z okazji rocznicy ślubu państwa Gentile nastąpić miało uroczyste odsłonięcie Lukrecji. Siedziałam w mauretańskim fotelu w wielkiej sieni, przesuając palcem po wzorach na tłoczonej skórze. Nie chciałam, żeby przyszedł do pracowni i ujrzał moje obrazy, kiedy mnie tam nie będzie, toteż czekałam i czekałam, przygryzając nerwowo dolną wargę — aż do krwi.

— Coś mnie zatrzymało — powiedział tylko, kiedy wreszcie przyszedł; było już po południu.

Obszedł całą sień, przyglądając się uważnie każdemu z moich obrazów. Kiwał głową, przyglądał się z bliska, potem cofał się, żeby popatrzeć z pewnej odległości. Kołysał się na piętach do przodu i do tyłu z obiema rękami założonymi za plecami. Przyglądał się z uznaniem i dumą, jakby sam je namalował, ale ja chciałam więcej. Powiedz coś, błagałam go spojrzeniem.

Przed *Kleopatry* zapytał:

— Gdzie jest ukąszenie żmii?

— Tylko tyle masz do powiedzenia? Od dziesięciu lat nie widziałeś moich prac i pytasz, gdzie jest ukąszenie żmii?

-ja...

— Być może umarła bez tego. Obawa przed publiczną hańbą była dość silna, by ją zabić.

Mruknął coś pod nosem, ale głośno nic nie powiedział.

— Jeszcze nie rozumiesz, ojczy? Nie rozumiesz, jak bardzo może ranić pohańbienie?

Odwrócił oczy od obrazu i spojrzał na mnie. Czekałam, ale ponieważ nic nie powiedział, dodałam:

— Miała prawo cierpieć z powodu swej straty w samotności.

Przygryzł wargi.

— Nauczyłaś się... Życie nauczyło cię więcej, niż ja mógłbym de nauczyć.

Powtórzyłam sobie te słowa, żeby usłyszeć je po raz drugi.

— Dziękuję ci.

Zaprowadziłam go do pracowni na górę. *Lukrecja* była zakryta tkaniną, żeby nie zobaczył jej od razu. Zobaczył *Judytę odcinającą głowę Hołofernesa* i *Zuzannę i starców*; uśmiechnął się, rozpoznając je jak dobre znajome.

— Są tak znakomite, jak pamiętam.

To właśnie chciałam od niego usłyszeć. Dopiero wtedy odkryłam *Lukrecję*. Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę i tym razem zastanawiał się dłużej, zanim powiedział:

— Wygląda, jakby lękała się to zrobić.

— Przyjrzyj się uważnie. To nie jest lęk. Jest wzburzona. Musi rozważyć powody, które ją do tego skłaniają. Być może wcale nie jest przekonana, że to jest konieczne.

Wyglądał na zatroskanego.

— To nie jest taka *Lukrecja*, jaką wszyscy sobie wyobrażają.

— Wiem. Ale taka musi być. Nie wie, czy ma to zrobić. Chodzi o to, żeby ludzie, którzy będą kiedyś patrzeć na ten

obraz, kobiety i mężczyźni też, żeby ubolewali nad tym, że były tak nieszczęsne czasy, kiedy to oczekiwano od zgwałconej kobiety, że się zabije.

Nie sądziłam, że kiedyś to powiem — jemu czy komukolwiek. Te słowa dobyły się z samego środka mojej jaźni, wypowiedziałam je jakby nie swoim głosem.

— Świat się zmieni, ojcze. Musi kiedyś się zmienić. A sztuka może się do tego przyczynić.

Jego oczy lśniły.

— Moja córka. Sybilla nowej epoki. — Objął mnie w talii i patrzył na obraz. — A co myśli o tym obrazie signor Gentile?

— Nie pokazałam mu go jeszcze. Zawsze, kiedy miał przyjść do pracowni, obraz był zasłonięty — zachichotałam — nie mógł się doczekać. „Ani kawałeczka?” — powiedziałam, naśladowując głos pana Gentilego i pokazując, jak trzymał przy oku kciuk zetknięty z palcem wskazującym, pozostałe palce rozłożone w kształcie wachlarza, i pochylał głowę na bok. — „Nie, ani skrawka”, odpowiadałam. Miał taką śmieszoną minę. Jest bardzo zabawny. Uwielbiam się z nim przekomarzać.

— Coś takiego... przekomarzasz się ze swoim mecenasem!

— On to lubi. Udawał, że chce dotknąć zasłony, ale tego nie zrobił. Postanowił pokazać... i zobaczyć... obraz dopiero podczas przyjęcia z okazji rocznicy ślubu.

— Ma do ciebie ogromne zaufanie.

— Wiem.

Skosztowaliśmy przekąsek, które Renata przyniosła nam do pracowni, a potem ona i ojciec zanieśli zakryty obraz do wielkiej sieni.

— Zobaczysz, jak pięknie pan Gentile udekorował salę — powiedziała, gdy wchodziliśmy do sieni. Teraz było w niej pełno róż, lilii, chryzantem i ogromny bukiet mieczyków na stole stojącym pośrodku. — Kiedy posyłał mnie po nie dziś rano, kilka razy powtórzył, że mają być ciemnoczerwone. Skąd wiedział, w jakim kolorze jest kapa na jej łóżku? Czyżby podglądał?

Uśmiechnęłam się.

— Chyba się domyślił.

Kiedy przybyli goście, Cesare pojawił się w tej samej sztywnej kryzje, którą miał na portrecie wiszącym nad kominkiem. Sala się stopniowo zapełniła, słodkawy zapach perfum ledwie łagodził ostry zapach potu. Służąca wniosła na tacy *crostiniz* anchois w oliwie z cytryną. Zrobiło mi się niedobrze, musiałam zaczerpnąć powietrza. Inna służąca niosła właśnie na tacy kubki wina. Wzięłam jeden i wyszłam na zewnątrz, zaczęłam przechadzać się wokół dziedzińca, żeby się uspokoić. Patrzyłam na Palmirę bawiącą się z dziećmi papierowymi lalkami, które zrobiłam dla nich, żeby miały się czym zająć.

Kiedy nadeszła pora odsłonięcia obrazu, intendent przywołał gości. Ojciec wyszedł po mnie.

— Zobaczymy, co są warci ci genueńczycy — powiedział półgłosem.

Cesare stanął obok Bianki z uniesionymi rękami, nakazując ciszę. Kiedy rozmowy zamilkły i wszyscy patrzyli w jego stronę, teatralnym gestem polecił swemu lokajowi podnieść zasłonę. Z początku panowało milczenie. Zamarłam. Słyszeć było tylko szum wody w fontannie. Ktoś kaszlnął.

— Aha — mruknęła Bianca. Musiała zauważyć, że zmieniłam ułożenie sztyletu, odkąd widziała obraz po raz ostatni.



Na twarzy pana Gentilego pojawił się z wolna szeroki uśmiech. Zaczerpnęłam powietrza; zdałam sobie sprawę, że przez chwilę przestałam oddychać. Rozległy się uprzejme oklaski. Potem zaś usłyszałam szepty.

— Myślałem, że będzie naga.

— Nie ma krwi.

— Prawie nie widać sztyletu.

— Ona nie jest martwa.

— Ona tego nie zrobi!

Bianca podeszła i stanęła przy mnie. Nasze obszerne spódnice nabrzmiące ukrytymi pod nimi halkami zetknęły się -- i uściśnięła mnie za rękę-

Cesare machnął pięścią w powietrzu, a potem otwartą dłonią wskazał w kierunku obrazu.

— **Brava!** Dokonałaś tego, Artemizjo Gentileschi! — powiedział. — Tryumf dwuznaczności. Gdyby wówczas, w tamtej chwili, czas się zatrzymał, nigdy byśmy się nie dowiedzieli, czy to zrobiła. Jest twoja i tylko twoja!

Zdawał sobie sprawę, że ma coś, czego nie ma nikt inny. Gdyby nie zgadzał się z tą interpretacją, rzuciłoby to cień na wartość poprzednich obrazów, jakie dla niego stworzyłam. Wyrażając zachwyt, tym bardziej podkreślał wartość pozostałych prac.

Renata stała samotnie pod ścianą, przyciskając ręce do piersi, z zamglonymi oczami.

Goście byli oszołomieni, zdezorientowani. Nie wiedzieli, co mają myśleć o Lukrecji. **Bene.** Jeśli ta Lukrecja da im do myślenia, być może zastanowią się też nad tym, dlaczego na ciele Kleopatry nie widać ukąszenia żmii.

— Zbiłaś ich z tropu, Artemizjo — wyszeptał ojciec.

— Widzę.

Nastąpiły gratulacje, niektóre entuzjastyczne, inne

raczej chłodne. Potem ojciec odprowadził mnie do ogrodu. Nie można było powiedzieć, że odniosłam wielki sukces. Wzięłam go pod reke i zaprowadziłam pod drzewo różane.

— Chyba minie sporo czasu, nim ci ludzie zrozumieją, czego mi gratulowali — powiedziałam. — I to, co myślą dzisiaj, może różnić się od tego, co myśleć będą jutro.

— Są rozczarowani. Chcieli krwi. Oczekiwali krwi. Wszyscy znają doskonale historie Lukrecji, a ty zamiast ilustracji dałaś im wątpliwość. Lukrecje wątpiącą!

— Czy wszyscy oczekiwali krwi, ojcze?

— A czego ty oczekiwałaś?

Patrzyliśmy sobie w oczy, jak nigdy nie patrzyliśmy w Rzymie. Po długiej chwili spuścił wzrok i usiadł na kamiennej ławce bez słowa. Siedziałam obok niego w cieniu drzewa i obserwowaliśmy bawiące się dzieci. Fontannę naprzeciwko nas okalały ciemnoniebieskie irysy i pomarańczowe tygrysie lilie. To bardzo miłe miejsce; szum wody był kojący, w powietrzu unosił się zapach róż. Ojciec skinął na Palmirę, która podbiegła do niego i usiadła mu od razu na kolanach. Zaczął podrzucać ją na kolanie.

— Dziadku, jestem już za duża. Mam już dziewięć lat — przerywała za każdym podskokiem, co bardzo nas rozśmieszyło.

Pewnie jak byłam mała, też mnie tak podrzucał. Niespodziewanie poczułam przyływ czułości w stosunku do niego i pomyślałam, że tak musi wyglądać szczęście. Chciałam zatrzymać czas, żeby ta chwila trwała bez końca. Przytrzymałam Palmirę za kostkę.

Odwrócił się ku mnie.

— Co się stało?

— Nic, tato. Jestem bardzo szczęśliwa.

Chyba nie wiedział co odpowiedzieć. Dalej podrzucał małą.

— Palmiro, czy jak będziesz duża, też będziesz malarką, tak jak twoja mama? — spytał.

Potrząsnęła energicznie głową i wyprostowała nogi, patrząc na swoje nowe aksamitne buciki.

— Będę damą i będę miała mnóstwo sukni i będę mieszkać w pałacu.

— W takim? Uniosła głowę.

— Większym. I będę miała czarny powóz z forysiami i dwa białe konie. — Przyłożyła dłoń do jego ręki, żeby zobaczyć, o ile jest mniejsza, ale potem szybko znudziła się naszym towarzystwem i pobiegła do dzieci.

— Kiedy miałaś tyle lat co ona, chciałaś mieć konie tylko po to, żeby je rysować.

Miło było tak siedzieć obok niego. Powróciła ufność z dawnych, dobrych czasów.

— Próbowałam ją nakłonić, żeby narysowała swoją lalkę, ale nie potrafi tak długo usiedzieć w miejscu.

— A ty siedziałaś całymi dniami, usiłując narysować chłopaka od piekarza; wycierałaś cały rysunek i zaczynałaś od początku.

— Miałam tyle lat co ona?

— W tym wieku zaczęłaś. To właśnie zawsze zdumiewało Agostina. Nie tyle tamte wczesne rysunki, ile twoja determinacja.

Wzdrygnęłam się na dźwięk tego imienia. Nie słyszałam go już od lat, nawet we własnych myślach.

— Kiedy nie udawało mi się czegoś namalować, zawsze mówiłaś; „Jutro też jest dzień. Zaczynaj od nowa jutro rano”. Czasami powtarzam sobie twoje słowa. — Dotknęłam

grzbietu jego dłoni. — Ale zawsze słyszą je wypowiedane twoim głosem.

Chmura zasłoniła słońce, a potem przegnał ją wiatr i słońce zaświeciło znowu. Palmira pluskała wodą z fontanny.

— Znów staliśmy się przyjaciółmi — powiedział cicho.

— Tak, tato.

Wyglądał na przestraszonego.

— To znaczy... Agostino i ja.

Te słowa, jak ciecie brzytwą, aż do kości.

— Zaprosiłem go na lato. Będzie tu w przyszłym tygodniu. Skończył teraz jedno zamówienie, a potem...

— Tutaj? Do Genui? — Miałam ochotę krzyknąć. Uniósł otwarte dłonie w moją stronę, jakby chciał powstrzymać moją reakcję.

— Tak — mówił szybko. — Ma świetne wyczucie perspektywy i razem zrobiliśmy piękne dekoracje w Casino delie Muse kardynała Borghese. Musisz je kiedyś zobaczyć. A także w Sala Regia na Kwirynale.

— jak mogłeś? Z a p r o s i ł e ś go? Przecież on o mało nie zniszczył mojego życia!

Nie patrzył mi w oczy. Machnął ręką lekceważąco.

— Drobne nieporozumienie, Artemizjo, pomiędzy starymi przyjaciółmi.

Poczułam, że robi mi się gorąco, świat zawirował. Odchrząknął.

— Pomyślałem sobie, że on i ja możemy popracować razem tutaj przez jakiś czas, a potem pojechać do Francji. Ma listy wprowadzające do różnych znakomitości w Paryżu.

— Czy ty ciągle nic nie rozumiesz?

— Myślałem... że będziecie mogli się pogodzić.

— Ojczy! — Wstałam. — Jak mogłeś choćby przez chwilę o tym myśleć? Moje szczęście i spokój nic dla ciebie nie znaczą. Mój pracodawca bardziej jest dla mnie ojcem niż ty!

Chwycił mnie za rękę, wyrwałam się.

— Artemizjo, nie...

— Kanalia!

Przywołałam Palmirę i zaciągnęłam ją na górę, nie zważając na protesty obojga.

Wzięłam kartkę papieru. Trzeba było działać, i to prędko. Gdyby Piętro napisał chociaż jeden list, wróciłabym od razu do Florencji — ale nie napisał. A więc ja napisałam:

Jego Książęca Mość wielmożny don Giovanni Medici Pragnę wyrazić mój najgłębszy smutek i serdeczne kondolencje z powodu śmierci przesławnego ojca Waszej Książęcej Mości. Na zawsze pozostanę mu wdzięczna za troskliwe zainteresowanie moją pracą. Teraz, zgodnie z jego życzeniem, oddaję się do usług Waszej Książęcej Mości w Wenecji. Z chęcią wykonam każde zadanie malarskie, pracować będę niezależnie od wysokości wynagrodzenia. Przybędę w ciągu dwóch tygodni w nadziei, że znajdę Waszą Książęcą Mość w dobrym zdrowiu. Padam do nóg.

Najpokorniejsza i najwdzięczniejsza sługa Waszej Książęcej Mości  
Artemizja Gentileschi

To śmieszne, pisać w ten sposób do dziesięciolatka. Tak czy inaczej decyzje podejmą jego doradcy. On sam nawet pewnie nie zobaczy tego listu.

Wyjęłam moje obrazy z ram, zdjęłam je z blejtramów i zwinęłam w rulon.

— Dlaczego to robisz? — spytała Palmira.

— Ponieważ ramy nie należą do mnie.

Dokładnie zamknęłam butelki z werniksem bursztynowym, terpentyną i olejem lnianym, otworzyłam skrzynię na przybory malarskie.

— Mamo! Co ty robisz?

— Pomóż mi. Włóż swoje ubrania do skrzyni.

— Nie! — krzyknęła. — Dlaczego?

— Wyjeżdżamy.

— Dlaczego?

— Z powodu twojego dziadka. — Zawinęłam lampkę olejną mamy w szmaty i schowałam ją do skrzyni,

— Nie! Nie pojedę! — Tupnęła głośno i uciekła do sypialni.

Jej krzyki sprowadziły Renatę, Ccsare i Biancę. Wbiegli do pracowni.

— Jest mi niezmiernie przykro. Obawiam się, że musimy wyjechać.

Na twarzy gospodarza odmalowało się zmieszanie.

— Czy urażiliśmy cię w jakiś sposób?

— Nie. Nigdy. — Poczułam ucisk w gardle. — Był pan dla mnie tak dobry jak nikt dotąd.

— Kochamy cię — powiedziała Bianca proszącym tonem.

— Wiem. Ja też kocham was wszystkich. — Głos uwiązał mi w gardle.

— A więc dlaczego? — spytała Bianca.

— Mój ojciec sprowadza tu człowieka, który kiedyś mnie zgwałcił. — Powiedziałam to na tyle cicho, żeby Palmira nie usłyszała. Bianca krzyknęła cicho. - On myśli, że ja będę chciała., chciała...

Twarz Renaty wykrzywiła się; zrozumiała. Wielkie, lśniące łzy spływały po jej policzkach.

Cesare przycisnął mnie do swego krągłego, miękkiego brzucha.

— Możemy trzymać go z dala od ciebie — powiedział mi do ucha. — Są na to sposoby.

Potrząsnęłam głową opartą o jego ramię.

— Nie mogę sprawiać wam takiego kłopotu. Staliśmy wszyscy przez dłuższą chwilę, patrząc po sobie

oszołomieni i zrozpaczeni. Renata poruszyła się pierwsza. Płacząc cicho, upadła na kolana przy mojej skrzyni i zaczęła pakować moje przybory malarskie, odnosząc się do każdego z nich z nabożnym szacunkiem.

— Zachowaj te rysunki Lukrecji. A tutaj masz czysty szkicownik i kilka pręcików do rysowania. Dla ciebie, *cara*.

## PALMIRA

Niemal rok później Palmira i ja wspinałyśmy się na wzgórze Pincio do klasztoru Santa Trinita. Obie z trudem łapałyśmy oddech.

— Już niedaleko. Dasz rade — powiedziałam.

— Dlaczego nie zrobią tutaj schodów? Gdyby to było w Wenecji, zrobiliby schody i postawili posagi.

— Tym bardziej siostry będą szczęśliwe, mogąc cię zobaczyć. Będą wiedziały, że wspięłaś się tak wysoko, by się z nimi spotkać.

— Co mam im powiedzieć?

— Co chcesz. Wiedzą o tobie wszystko. Nawet wiedzą, że jako papierowe lalki pływały w drewnianych łódkach.

— Mamo!

— Nic się nie stało. Obie uznały, że to zabawne.

Kiedy doszłyśmy na szczyt, zauważyłam, że na dzwonnicy po lewej stronie pojawił się wielki zegar. Zastanawiałam się, jakie jeszcze zmiany zaszły w klasztorze.

— Drzwi otworzy nam siostra Paola, to część jej obowiązków.

Kiedy Paola zobaczyła nas, wydała okrzyk, który dotarł do samego Nieba.

— *Cara wiał* — Wciągnęła mnie do środka i objęła mocno. — *Grazie a Dio*, jesteście.

— To jest Palmira, moja córka.



— Niech ci święci błogosławią! — Paola rozpostarła ramiona, by wyściskać Palmirę, która całkiem znikła pod jej czarnym habitem. — Siostra Graziella będzie zachwycona!

— Jak się miewa? — spytałam.

— Ostatnio była bardzo przygnębiona. Ten rok nie był dla niej łatwy. Dlaczego nie napisałaś, że przybywacie? — Paola ruszyła naprzód, potem stanęła i odwróciła się, żeby na nas popatrzeć. — Och! — krzyknęła znowu i potrząsnęła rękami, nie mogąc się powstrzymać.

Palmira zachichotała. Paola zaprowadziła nas do pracowni, gdzie malowała Graziella.

— Popatrz, Graziello! — krzyknęła.

— *Santa Mar/al* Nie do wiary — powiedziała Graziella. Wstała, przewracając stół, i podeszła ku nam z rozpostartymi ramionami. — Zeszłej nocy miałam sen o tobie. — Na jej twarzy malowało się zaskoczenie, zachwyt, ulga, wdzięczność, wszystko po kolei. — Ty na pewno jesteś Palmira. Wyglądasz tak samo jak twoja mama, kiedy pierwszy raz do nas przyszła.

Palmira wdzięcznie dygnęła.

— Mama wiele mi o tobie opowiadała. Twoje imię było pierwszym słowem, jakie nauczyłam się pisać.

— Moje! Czuję się zaszczycona.

Twarz Grazielli była szczuplejsza, miała nieco ostrzejsze rysy, ale wciąż była to piękna, dojrzała twarz, godna pędzla najlepszego portrecisty. Paola była tak samo pulchna jak zawsze.

— Myślałyśmy, że jesteście w Wenecji — powiedziała Graziella.

— Bo byliśmy. Spędziłyśmy tam prawie rok — odparłam.

— Dlaczego wyjechałyście? Nie podobało wam się tam? — spytała Paola.

— Mi się podobało — powiedziała Palmira, która wciąż jeszcze trochę miała mi za złe kolejną przeprowadzkę— A co ci się tam podobało? — Graziella dotknęła policzka Palmiry.

— Podobał mi się pałac, w którym mieszkaliśmy.

— Był bardzo piękny? — zainteresowała się Paola. Palmira entuzjastycznie pokiwała głową.

— I podobały mi się gondole i wyścigi łodzi.

— Myśle, że znów zaczęła mnie lubić podczas naszej pierwszej przejażdżki gondolą. — Przyglądałam jej włosy. - Nie chciałaś wyjeżdżać, prawda?

Jej oczy, tak podobne do oczu Pietra, spoglądały na mnie chłodno.

— Nie chciałam wyjechać z żadnego z miejsc, w których mieszkaliśmy.

— A więc to znaczy, że wszystkie te miejsca ci się podobały — uznała Paola, klaszcząc w dłonie.

— A jak ci się podobała commedia delParte? — przypomniałam córce.

— Była śmieszna.

— A koronki?

— Miałam koronki, jeszcze zanim pojechałyśmy do Wenecji — powiedziała Palmira z przechwałą w głosie. — W Genui signora Gentile kupowała mi koronki. — Uniosła rąbek spódnicy, żeby pokazać koronkowe obszycie halki.

— *Che meravigh'a* — zachwyciła się Paola.

— I dawała mi swoje stare suknie, żebym mogła się bawić — opowiadała Palmira.

Palmirze podobało się wszystko, co było frywolne,

ekstrawaganckie lub egzotyczne. Gdybyśmy przyjechały do Rzymu prosto z Genui albo przeniosły się do innego miasta, boczyłaby się na mnie znacznie dłużej, ale cuda Wenecji złagodziły jej gniew i oczarowały ją.

— A ty? Dlaczego zdecydowałaś się wyjechać? — Graziella zwróciła się do mnie.

— Wenecja to wspaniałe miasto, ale dla mnie oznaczało ono zimne, wilgotne i nieprzyjazne rozczarowanie.

— Czemu? — spytała ze zdziwieniem Graziella.

— Sztuka i w ogóle całe miasto są nadmiernie zapatrzone w siebie, we wszystkim jest przesada. Ogromny obraz olejny Tintoretta przedstawiający Raj ukazuje Chrystusa i Matkę Boską otoczonych pięciuset świętymi. Istne morze świętych. To po prostu zbyt wiele. Nie było tam dla mnie miejsca. Szkoła wenecka przeżyła się, może z wyjątkiem rzemiosła.

— Jaka szkoda.

— Ale to nie wina tego miasta. Mało które miasto mogłoby mi przypaść do gustu po Genui i Florencji.

— Dla kogo malowałaś?

— Dla Giovanniego, syna Kośmy. Wyobraźcie sobie księcia, który ma dziesięć lat. Wszystkie decyzje podejmowali jego doradcy i muszę powiedzieć, że nie zawsze łatwo mi było się z nimi porozumieć. A potem zmarł także Giovanni. Ród Medyceuszy upada.

— Zamierzasz pozostać w Rzymie? — spytała Graziella.

— Mam nadzieję, że tak. Słyszałam w Wenecji, że Scipione Borghese i kilku innych kardynałów kupuje teraz sporo obrazów do swych prywatnych siedzib.

— Papież Urban także ma wiele projektów — powiedziała Graziella.

— Gdzie będziesz mieszkać? — spytała Paola.

— W tej samej dzielnicy artystów, w której kiedyś mieszkałam. Jutro rozejrzę się za czymś. Ostatnią noc spędziłyśmy w zajeździe, ale nie chce zostawać w nim dłużej niż to konieczne. Nasze rzeczy są ciągle jeszcze w magazynie. — Wiedziałam, że chcę, bym została dłużej, ale to trzeba było odłożyć na później. — Przyjdziemy znowu, kiedy się zdomowimy. Chciałam tylko, żeby Palmira was poznała.

Obie odprowadziły nas do drzwi, znów nas wyściskały i ruszyłyśmy w dalszą drogę, kierując się ku domostwu Porzii Stiattesi.

Na via del Babuino nic się nie zmieniło. Ten sam sklep aptekarza, gdzie kupowaliśmy pigmenty, ten sam *vinaio* na rogu via delia Croce, mojej ulicy. Wyprostowałam się. Chciałam przejść moją ulicę z suchymi oczami i z godnością, równie czysta i pewna siebie jak w czasach dzieciństwa, z miłością do każdego brukowca, po którym kiedyś skakałam. Wzięłam Palmirę za rękę.

— Tutaj mieszkaliśmy — powiedziałam.

Dzieci bawiące się w wąskiej uliczce śpiewały po francusku piosenkę, którą znałam, więc zaśpiewałam razem z nimi po włosku. Popatrzyły na mnie ze zdziwieniem, a potem zaczęły chichotać i szeptać między sobą.

— Urodziłam się tutaj, w tym domu — wyjaśniłam cicho Palmirze przed bramą.

Tynk odpadł w kilku miejscach, pozostawiając plamy na ścianie.

— Nie jest zbyt ładny. — Dotknęła obluzowanego kawałka tynku, który spadł na ziemię.

Odciągnęłam ją od ściany.

— Gdzieś trzeba się urodzić. — Lewego skrzydła bramy w ogóle nie było, a prawe zwisało smętnie na jednym za-

wiasie. — W tym domu wydarzyły się różne rzeczy. Rzeczy, które odmieniły moje życie.

— I dosyć mały.

— A co, spodziewałaś się takiego pałacu, jak mają państwo Gentile albo Giovanni Medyceusz? Teraz jesteśmy zdane na siebie, więc pora przyzwyczać się do skromniejszych siedzib.

Popchnęłam ją przodem i pociągnęłam za sznur od dzwonka wiszący przy drzwiach.

— Mieliśmy taki sam dzwonek — powiedziałam; już było mi przykro, że odezwałam się do niej ostrym tonem. — Moja mama ciągle go polerowała, bo uważała, że lśniący dzwonek dzwoni radośniej. Tutaj mieszka twój stryj z żoną. Stryj, czyli brat twojego ojca.

Drzwi otworzyła Porzia.

— *Mamma Mia!* Artemizja! Ależ... *Dio Mio!* Roześmiałam się.

— Nie bądź taka zdziwiona, nie jestem duchem.

— Nie, nie. Nic się nie zmieniłaś!

— Ty też nie — powiedziałam, ale obie wiedziałyśmy, że to nieprawda. Ja przytyłam, a ona się postarzała, jedno jej ramię znajdowało się wyżej niż drugie. Nigdy wcześniej tego nie zauważyłam.

— To jest Palmira. Moja córka.

— Z Pierantoniem? — spytała przyciszonym głosem.

— Oczywiście. — Co ona sobie myślała, że przyprowadzę do jej mieszkania dziecko z nieprawego łóża?

— *Che beli/na.* Masz oczy i włosy po ojcu, ale cerę po matce.

Porzia otworzyła drzwi szerzej, weszłyśmy do środka. Kulą tak bardzo, że przykro było na nią patrzeć. Z żelaznego kociołka wiszącego nad ogniem nałożyła chochlą

trzy miski polenty. naląła dwa kubeczki wina i pokazała mi małą szklanę.

— Troszeczkę dla małej? Z wodą?

— Troszeczkę.

— Zostaniesz dłużej w Rzymie?

— Dopóki będzie praca. Musimy przyjąć do wiadomości, że zawód malarza wiąże się z licznymi przeprowadzkami, czyż nie, Palmiro?

— Co to znaczy?

— Ciągłe podróże. Pomyśl tylko; niewielu dorosłych poznało w swym życiu aż trzy miasta.

— Czy w Rzymie są gondole? — spytała Porzie.

— Nie, ale jest sporo innych ciekawych rzeczy, które ci się spodobają. Bardzo starych, z dawnych czasów.

Palmira skrzywiła się i zaczęła machać nogami. Pomyślałam, że będę zadowolona, kiedy wreszcie urośnie na tyle, żeby już nie móc tak bezustannie machać nogami. Zresztą rosła tak prędko, że nie sądziłam, bym miała na to długo czekać.

— Nastaly dobre czasy dla artystów w Rzymie — stwierdziła Porzia.

— Ludzie wprost nie posiadają się ze zdumienia, widząc, ile pieniędzy papież wydaje na dzieła sztuki.

— Pytanie tylko, czy choć trochę z tych pieniędzy zdoła do mnie dotrzeć. To może się nie udać, jeśli ludzie pamiętają o mojej splamionej reputacji. Czy sądzisz, że zapomnieli?

— O procesie? Na pewno. Życie toczy się dalej, zdarzają się kolejne nieszczęścia i przyciągają ludzką uwagę. Co prawda twój powrót może im przypomnieć.

— Agostina nie ma w Rzymie, prawda?

— O ile wiem, jakiś czas temu wyjechał do Genui, potem miał jechać do Paryża.

— Prawdopodobnie w towarzystwie mojego ojca. Nie musisz tego przede mną ukrywać. Wiem o wszystkim.

Skrobała paznokciem krople zastygłego wosku ze świecy na stole.

— Robiło mi się niedobrze, jak widziałam ich razem idących ramię w ramię ulicą. Serce krajało mi **się** za każdym razem...

Uniosłam reke. Nie chciałam tego słuchać.

— Nie wiesz, gdzie możemy tanio wynająć dwa pokoje? Najlepiej gdzieś w okolicy.

— Zawsze ktoś się wprowadza i wyprowadza... tutaj albo w pobliżu piazza del Popolo.

— Będziemy musiały jutro trochę pochodzić. — Odchyliłam się w fotelu, próbując znów poczuć się dobrze w tym domu.

— Wiesz, że Florencję nawiedziła zaraza? — powiedziała Porzia, szukając oczami mojego spojrzenia.

— Nie, nie wiedziałam. Przyjechałyśmy na południe wzdłuż wybrzeża. Myślałam, że zaraza jest tylko w Mediolanie,

— Procesje biczowników chodzą od kościoła do kościoła. Odwołali nawet *calcio* z obawy przed dżumą.

— Czy Piętro...? Masz od niego jakieś wieści?

— To on napisał do nas o zarazie, ale list przyszedł miesiąc temu.

Wypiłam łyk wina.

— Zmartwiliśmy się, kiedy go opuściłaś.

— Nie miałam wyboru. Kochałam go na tyle, na ile on sam mi na to pozwalał.

— A więc dlaczego go opuściłaś?

Zastanawiałam się, czy słyszę oskarżenie w jej głosie, ale nie mogłam tego wyczuć.

— Dostałam pracę gdzie indziej. A co on wam powiedział?

— To samo. — Oderwała kawałek chleba i pospiesznie strzepnęła okruszki ze spódnicy. — Zastanawialiśmy się, czy nie chodzi o coś innego.

Albo wiedziała o Vannie i współczuła mi, albo uwierzyła w jakieś usprawiedliwienia wymyślone przez Pietra. Pewnie mogłabym się dowiedzieć, czy jest z nią jeszcze, ale nie chciałam o tym rozmawiać przy Palmirze. Porzia też się wahała, jakby miała coś do powiedzenia, ale milczała, pewnie z tego samego powodu. Trzeba będzie zaczekać do następnego razu — powiedziałyśmy sobie spojrzeniem.

Następnego ranka Palmira i ja wybrałyśmy się na miasto, przemierzając kolejne ulice dzielnicy artystów rozciągającej się pomiędzy piazza del Popolo i via delia Croce. Spytałyśmy aptekarza, ciągnęłyśmy za sznury dzwonek, szłyśmy tam, gdzie mówiono nam, że coś może się znaleźć. Właścicielka domu na via del Greci obejrzała mnie od stóp do głów i powiedziała:

— Nie wynajmuję samotnym kobietom z dziećmi.

— Mam tylko jedno dziecko.

— O jedno za wiele.

Po tej rozmowie Palmira wlokła się za mną z ponurą miną, kopiąc kamień.

— Nie rób tego. Zniszczysz buciki. — Bezustannie musiałam walczyć o wygląd jej obuwia.

Raz jeszcze mocno kopnęła kamień i szła w milczeniu u mojego boku.

— Ludzie z pewnością dokuczą ci, jeśli im na to pozwolisz, więc nie pozwalaj.



Samotna kobieta. Jeżeli Piętro dalej żył z malarstwa, zapewne nie było mu łatwiej niż mnie. Co by było, gdybyśmy byli razem?

— Czy ma pani dwa pokoje do wynajęcia? — spytałam kobietę na via Laurina. — Jestem malarką, to jest moja córka. — Stałam wyprostowana, z godnością, trzymałam Palmirę za rękę.

— Tak, dwa pokoje na trzecim piętrze. Mieszkają tu także inni malarze. Wejdźcie i zobaczcie. Pierwsze drzwi na lewo na samej górze.

Z każdym pietrem narastał zapach terpentyny i było coraz goręcej. W pokoju nie było zasłon. Nędzne łóżko z zapadniętym materacem.

— Mamo, tu jest okropnie.

— *Stai zitta*! — Pociągnęłam ją za rękę.

Byłam zmęczona i bolały mnie nogi. Zeszliśmy na dół.

— Wezmę je. Czy **bede** mogła wprowadzić się od razu?

— Tak. Jak się nazywasz?

— Artemizja Gentileschi — powiedziałam — a to jest moja córka, Palmira.

Od razu spostrzegłam, że coś jest nie tak; wyglądała, jakby miała się skrzywić z obrzydzeniem.

— Zaczekajcie tu na mnie — powiedziała i znikła w drzwiach do drugiego pokoju. Po powrocie oznajmiła: — Nie. Mieszkanie jest już zajęte. Mój mąż wynajął je komu innemu dziś rano. — Otworzyła drzwi, zachęcając nas wymownie do wyjścia.

Wiedziałam, że powrót do Rzymu może rozjątrzyć stare rany, miałam jednak nadzieję, że nie będę już musiała znosić pogardy.

W domu przy via Margutta, w okolicy, gdzie kiedyś mieszkałam, był pokój, na który mogłabym sobie pozwolić.

Właścicielem był pomarszczony mężczyzna z bokobrodami, który wydawał mi się znajomy. Pokój mieścił się na drugim piętrze, był duży, ze sporymi oknami wychodzącymi na obie strony.

— Podoba mi się - powiedziałam. — Chciałybyśmy wprowadzić się dziś po południu. Czy to możliwe?

Skinął głową.

— Jak się nazywasz?

— Artemizja Lomi i Palmira.

Palmira popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

— Gentileschi — poprawiła.

Pajęczyna zmarszczek na twarzy mężczyzny ułożyła się we wzór intensywnego wysiłku pamięci. Próbował sobie przypomnieć, skąd zna to nazwisko... Popatrzył na moje ręce, a potem spojrzął podejrzliwie i z obrzydzeniem na Palmirę. Poczułam skurcz w żołądku.

— Nie, nie dla takich dziwek. — Zamknął nam drzwi przed nosem.

— *Mądre di D/o. Che v/Ilano.* Zresztą i tak nie chciałyśmy tu mieszkać, no nie? — powiedziałam do Palmiry i zbiegłyśmy po schodach.

— Dlaczego był taki niemiły, mamó? Co to jest dziwka?

— Powiem ci dziś wieczorem. Kiedy znajdziemy mieszkanie.

W końcu jednak znalazłyśmy. Czekaając, aż nasze rzeczy zostaną dostarczone pod nowy adres, zagrzałam wodę, wlałam ją do miednicy, żebyśmy mogły wymoczyć w niej nogi. Potem jadłyśmy- chleb i ser.

— Dlaczego ci ludzie tak dziwnie mówią?

— Dlatego, że nie znają dobrze naszego języka. To są

Holendrzy. Myślę, że ten człowiek zdecydował się wynająć nam mieszkanie, kiedy zobaczył, że podobają mi się jego obrazy.

Byłyśmy zbyt zmęczone, by się rozpakować, kiedy nasze bagaże przybyły z magazynu, napisałam jednak list do akademii florenckiej.

Szanowni i szlachetni panowie, chciałabym prosić o wieści dotyczące mojego męża. Pietra Antonia di Vincenzo Stattesiego. Czy żyje? Czy nadal uprawia malarstwo? Powołując się na moje członkostwo w waszym szacownym gronie, upraszam uprzejmie o jakąkolwiek informację dotyczącą jego losu.

Nie spodziewałam się za bardzo, by raczyli mi odpowiedzieć. Popatrzyłam na Palmirę; leżała w łóżku, miała na sobie koszulę nocną i prawie już spała.

— Byłaś dzisiaj grzeczna. Wiem, że to był dla ciebie l rudny dzień.

Zdjęłam gorset i spódnicę i położyłam się obok niej. Przewróciła się na plecy i otworzyła oczy. Razem patrzyłyśmy, jak za oknem zapada zmierzch, i czułyśmy, że jesteśmy bardzo blisko siebie. Byłyśmy tylko my dwie, a tam, na zewnątrz, była reszta świata. Powieki zaczęły mi opadać.

— Myślę, że będzie nam tu dobrze — powiedziałam cicho.

— Powiedziałaś, że mi powiesz — odezwała się Palmira po chwili.

— Co ci mam powiedzieć?

— Dlaczego tamten człowiek nazwał nas dziwkami.

— Tak powiedział, bo to było najgorsze, co mógł wy-

myśleć. Ale skoro to nieprawda, nie musisz się tym przejmować.

Teraz, o zmierzchu, gdy patrzę na popękany tynk na suficie, będzie mi łatwiej to powiedzieć. Palmira niedługo będzie miała pierwsze krwawienie. Był już czas.

— Pamiętasz, jak kiedyś we Florencji, w Loggii della Signoria rysowałam rzeźbę przedstawiającą mężczyznę porywającego kobietę? Padał wtedy straszny deszcz i biegłyśmy całą drogę do domu.

— Nie pamiętam — powiedziała takim głosem, jakbym oczekiwała od niej czegoś zupełnie niemożliwego.

— Kiedy mężczyzna zmusza kobietę, żeby zrobiła to, co mąż i żona robią, kiedy się kochają, i kiedy kobieta tego nie chce, to się nazywa gwałtem. Tamta rzeźba ukazuje chwile, nim do tego doszło.

- I co?

— To samo mnie się przydarzyło, tutaj w Rzymie. Chciałam zachować wszystko w tajemnicy, ale ojciec dowiedział się o wszystkim i oskarżył tamtego mężczyznę przed sądem. Ludzie myśleli, że ja tego chciałam, ale to nie była prawda. A kiedy kobieta chce to robić z kimkolwiek, kto nie jest jej mężem, nazywają ją dziwką.

Palmira milczała. Może próbowała zrozumieć, co mężczyzna i kobieta robią razem. O tym opowiem jej któregoś innego wieczoru. Również o procesie i o sybilli. Może kiedy będzie starsza. I kiedy również dla mnie będzie to tylko opowieść — tak jak historia Lukrecji albo Kleopatry, albo jakiejś innej postaci z dawno minionych czasów. Pomyślałam, że tamte wydarzenia wydają się coraz bardziej odległe i tym łatwiej będzie mi to zrobić. Zasypiałam.

Po dłuższym czasie w ciemnościach rozległo się nieśmiałe pytanie:

— Czy to tata cię zgwałcił?

— Twój tata? Nie, *cara*. On nigdy nie skrzywdził mnie w ten sposób. To był przyjaciel mojego ojca, miał na imię Agostino. Malowali razem. Dlatego właśnie tak szybko wyjechałyśmy z Genui. Twój dziadek zaprosił go do siebie.

— Czy to bolało, jak cię zgwałcił?

— Tak. Przez jakiś czas. Ale potem ból minął.

— Czy to, co robią mąż i żona, boli?

To było najważniejsze pytanie. Nie chciałam, żeby żyła w strachu.

— Nie. Pamiętasz, Cesare i Bianca bardzo się kochali i byli dla siebie dobrzy. Kiedy mężczyzna jest delikatny, a kobieta chce tego, wtedy nie boli. Tak **się** dzieje, kiedy ludzie się kochają.

— A czy ja bede tego chciała? -Tak.

— Czy wszystkie kobiety tego chcą?

— Prawie wszystkie.

— A siostra Graziella?

— Ona też kiedyś chciała. — Przewróciłam się na bok twarzą do niej i pocałowałam ją. — O niej opowiem ci kiedy indziej.

## GRAZIELLA

Jego Eminencja kardynał Scipione Borghese

Żywiąc nadzieję, że mój ojciec, Orazio Gentileschi, zadowolony! Waszą Eminencje, malując freski w należącym do Waszej Eminencji Casino delie Muse, pozwalam sobie oferować Waszej Eminencji moje usługi. Byłam uczennicą mojego ojca, miałam też zaszczyt pracować dla Jego Książęcej Wysokości zmarłego Kośmy Medyceusza.

Upraszam Waszą Eminencje: o łaskawe pozwolenie, bym mogła obejrzeć prace mojego ojca; byłabym wielce wdzięczna, jako że nigdy nie miałam okazji ich zobaczyć. Z całym *szacunkiem* dla Waszej Eminencji czekam cierpliwie na odpowiedź.

Pokorna i posłuszna sługa Waszej Eminencji Artemizja Gentileschi

Zapiecztowałam list woskiem ze świecy i odcisnęłam na nim figurę Artemidy z bransolety. Zaczęłam następny list, Palmira tymczasem dalej rozpakowywała nasze rzeczy. Do końca dnia napisałam listy do pięciu kardynałów i trzech wielmożów poleconych mi przez aptekarza oraz mojego holenderskiego gospodarza.

Wkrótce otrzymałam dwie odpowiedzi. Jeden z sekretarzy dworu kardynała Borghese odpisał, zezwalając mi na „krótkie odwiedziny w celu obejrzenia prac Orazia Genti-

leschiego; nie należy jednak z tego wnioskować — pisał — że oznacza to audiencje u jego Eminencji, jego Eminencja nie ma czasu". Jeden zaś ze szlachejnych panów życzył sobie „w możliwie najkrótszym czasie posiadać jedną z owych monumentalnych *fudyt*, podobną do tych, które znajdują się w Palazzo Pitti".

Byłam mu wdzięczna. Potrzebowałam poczucia bezpieczeństwa i radości płynącej z pracy nad nowym obrazem. Od razu zaczęłam szkicować na skrawkach papieru; Palmira zastąpiła mnie przy kuchni, pilnując, żeby zupa nie wykkipiała. Miałam nadzieję, że w tych nowych warunkach dorośnie nieco, zmądrzeje i stanie się bardziej odpowiedzialna.

— Kto to będzie? — spytała.

— Kolejna Judyta.

— Czy nie męczysz cię ciągle malowanie Judyty?

— Nie. jeśli każdy obraz jest inny. Zresztą nie malowałam jej. zaraz... już od pięciu lat. Teraz jestem inna, więc obraz też będzie inny.

— Czy znowu będzie pełno krwi?

Jej pytanie zabrzmiało tak poważnie; przynajmniej raz wyraziła zainteresowanie moim malarstwem. Może to była wina doboru tematów — ucięta głowa, żmija, sztylet — może to odstręczało ją od malarstwa.

— Nie. Specjalnie dla ciebie, *cara*, nie będzie krwi. Może zresztą nie tylko dla niej. Powtórzenie tej samej

gwałtownej sceny oznaczałoby dla mnie cofnięcie **się** w przeszłość. Nie miałam już na to ochoty.

Rysując, puściłam wodze wyobraźni. Ta Judyta powinna być bardziej ocięta, w średnim wieku, mądra i doświadczona — nie tylko kusicielka i zabójczyni, ale także istota myśląca. Tu, w Rzymie, gdzie wysoko ceniono tech-

nike Caravaggia, mogłam dać upust mojemu zamiłowaniu do dramatycznego *ch/aro scuro*, gry światła i cienia; nawet na jej twarzy. Judyta mogłaby wyciągać rece, osłaniając oczy od światła wpadającego przez uchyloną zasłonę namiotu, by móc skupić się na dobiegających dźwiękach. Ciało Holofernesa nie będzie widoczne, na obrazie znajdzie się tylko jego głowa — w zawiniątku Abry, pogrążona w głębokim cieniu. Żadnej krwi, żadnej przemocy. Tylko Judyta nasłuchująca dźwięków dobiegających z zewnątrz. Świadoma niebezpieczeństwa, czujna i uważna.

— Zobacz — powiedziałam, kiedy pierwszy szkic był już gotowy. — Nie ma krwi.

Przyjrzała się rysunkowi i popatrzyła na mnie.

— Nie będzie krwi ciekącej z zawiniątka? -Nie.

— To dobrze.

— Tak, to dobrze. — Poglądziłam ją po rece. — Wiesz co? Ponieważ byłaś dzisiaj taka grzeczna i pomogłaś mi się rozpakować, jutro pójdziemy zobaczyć piękny budynek, własność kardynała Borghese. To bardzo możny pan. W tym budynku znajdują się prace twojego dziadka. Pójdziemy je zobaczyć.

Nie byłam pewna, gdzie znajduje się Palazzo Pallavicini kardynała Borghese, wiedziałam tylko, że gdzieś na Kwirynale. Musiałam więc pytać aż trzy osoby, zanim trafił się jakiś woźnica, który wytłumaczył nam, że rezydencja znajduje się w głębi, oddzielona od ulicy stajniami i dziedzińcem. Kiedy pokazałam list od sekretarza kardynała, portier wpuścił nas do bujnego ogrodu pełnego żywopłotów, kwitnących pnączy, oleandrów, sosen i zwykłych drzew.



Przed drzwiami pałacu strażnik zagroził nam drogę laską.

— Czego tu szukacie? — spytał.

Co on sobie wyobrażał — że kobieta i mała dziewczynka napadną na siedzibę kardynała?

— Nazywam się Artemizja Gentileschi. Mój ojciec, Orazio Gentileschi, malował freski w Casino delie Muse należącym do Jego Eminencji. Czy to tutaj?

-Tak.

— Chciałabym je zobaczyć... ja i moja córka. Pokazałam mu list od sekretarza kardynała. Rzucił nań okiem i wpuścił nas do środka.

— Zwróćcie się do tamtego urzędnika. — Wskazał na starego człowieka siedzącego przy rzeźbionym, inkrustowanym sekretarzyku.

Starzec siedział z opuszczoną głową i czytał jakiś dokument. Nie uniósł głowy, nawet kiedy stanęliśmy tuż przed nim. Miał długą i wąską twarz, jakby w dzieciństwie ktoś mu ją zgniótł za pomocą dwóch desek. Był podobny do łasicy. Położyłam otwarty list na jego pulpicie. Przeczytał go z kamienną twarzą. Nie poruszył głową, ale jego oczy zerknęły w prawo, a potem w lewo.

— Gentileschi, co? Słyszałem o tobie. Byłem tu, kiedy twój ojciec i Tassi malowali freski. Wróciłaś do Rzymu prosić się o kolejny gwałt, co? Palmira wstrzymała oddech.

— Wróciłam do Rzymu, ponieważ tu się urodziłam. Wróciłam po to, żeby malować. Ja też jestem malarzem i z tej racji chciałabym obejrzeć freski.

— Nie wystarczyło ci to, czego nauczyłaś się od samego pana Tassiego, i teraz chcesz się uczyć z jego malowideł?

— Raczej z malowideł mojego ojca. — Najeżyłam się, czekając na kolejne obelgi.

— Jesteś malarką, co? Domyślam się, że malujesz piękne portrety ladacznic?

— Maluje bohaterki.

— Przelewasz na płótno własne kurestwo — powiedział to pod nosem, ale poczułam się, jakby plunął mi w twarz.

— To nieprawda! — Palmira nie wytrzymała. — Wcale nie!

Uścisnęłam jej rękę, żeby nic więcej nie mówiła. Patrzyła na mnie, czekając, co odpowiem. Mężczyzna uśmiechnął się pogardliwie, zadowolony z jej reakcji.

— Próbuje przelewać na płótno mój honor i durne, zachwyty i smutek, wątpliwości, miłość, pragnienia — mówiłam wyraźnie, ale na tyle szybko, żeby nie zdołał mi przerwać. — Mam nadzieję, że będę żyć dość długo, by namalować wszystkie uczucia, jakie towarzyszą ludziom.

Parsknął pogardliwie i powrócił do swej lektury.

— Jest zwyczajem, że malarzom pozwala się oglądać dzieła innych malarzy, nawet jeśli znajdują się one w posiadaniu naszej Świętej Matki Kościoła — powiedziałam. — Jeśli przychodzę w nieodpowiednim momencie, przyjdę kiedy indziej. Proszę mi powiedzieć...

— Idź już, idź. — Machnął ręką w stronę schodów, już nie chciało mu się drażnić z nami. Osiągnął to, czego chciał.

Poszłyśmy na górę. Położyłam rękę na ramieniu Palmiry.

— Przykro mi, że musiałaś słuchać tego prostaka.

— Rzym jest okropny. Nienawidzę go.

— Nie wszystko w Rzymie jest okropne. Pomyśl tylko, co zaraz zobaczymy.

Jakaś bardzo gruba kobieta szorowała podłogę, zоста-

wiając na niej mokre, lśniące zakola. Spytałam ją o Casino delie Muse. Człapiąc, przeszła przez sień i otworzyła jedne z drzwi.

Kiedy wchodziłyśmy, znów wzięłam Palmirę za rękę. Weszłyśmy do pomieszczenia przestronnego jak sala balowa; powyżej gzymsu, gdzie żebra sklepienia tworzyły luki sufitu, namalowano iluzjonistyczny system skomplikowanych kamiennych gzymsów wraz z konsolkami podtrzymującymi namalowany wystający balkon. Za balustradą balkonu znajdowały się namalowane kolumny i łukowo sklepiona loggia.

— Wyglądają jak prawdziwe — powiedziała Palmira z naciskiem na ostatnie słowo.

Pod łukami i wzdłuż balustrady urodziwi mężczyźni i dorodne kobiety grali na lutniach, wiolach, basach, tamburynach i bębenkach. Inne postacie śpiewały lub przysłuchiwały się; gdzieniegdzie widać było ramię oparte o balustradę, gdzie indziej zwisający szal. Ponad plamami ich szat w delikatnych odcieniach różu, zieleni i żółci, błękitne niebo z białymi chmurami sprawiało wrażenie, że widmowy balkon wznosi się do niebios. Wszystkie szczegóły, takie jak filary, kapitele, łuki, rozetki w kasetonach, konsole podtrzymujące balkon, podbródki, łokcie, nosy, tułowia, basy i inne instrumenty namalowane były tak, jak wyglądają widziane z dołu; zostały oddane we właściwych proporcjach i tworzyły zwartą całość. Efekt był oszałamiający.

— Jak to się dzieje, że wszystko wygląda jak prawdziwe? — spytała Palmira.

— To się nazywa malarstwem iluzjonistycznym — wyjaśniłam. — Elementy architektoniczne namalowane są z rozmysłem w taki sposób, żeby trudno było odróżnić,

które są prawdziwe, a które są malowaną iluzją. Wszystko wydaje się prawdziwe, ponieważ kształty i postacie ukazane są w skrócie perspektywicznym. Inaczej mówiąc, ukazane są w innych proporcjach, tak jak wyglądają oglądane z dołu. To bardzo, bardzo trudne.

— Czy robiłaś to kiedyś?

— Nie.

Puściła moją reke i obesza sale dookoła, licząc coś na palcach.

— Dziewiętnaście postaci!

— Stworzenie tak złożonej kompozycji, stanowiącej zarazem tak harmonijną całość, musiało wymagać wielkiego wysiłku i wielkiego skupienia.

Ojciec cały czas musiał myślami być tutaj, rozważając problemy, jakie stwarzała kompozycja. Szukał rozwiązań w drodze do domu, kiedy jadł, ubierał się, ucierał pigmenty, siedział w sali sądowej. Budząc się, każdego ranka musiał mieć przed oczami pozy poszczególnych postaci. Moje własne kłopoty zajmowały poślednie miejsce gdzieś na obrzeżach jego umysłu — nawet w dniu tortur.

— To namalował dziadek i tamten człowiek? — spytała Palmira.

— Tak. Widać, że dobrze im się współpracowało, prawda? Dziadek namalował ludzi, instrumenty muzyczne i niebo, a Agostino elementy architektoniczne.

Agostino zastąpił Orazia tam, gdzie mój ojciec radził sobie najgorzej: jako znawca perspektywy architektonicznej określił prawidłowe kąty, punkty zbieżne, cienie. Agostino stworzył scenę, na której pojawiły się postaci Orazia. Każda z nich obdarzona była własną osobowością, oddana muzyce lub oczarowana jej dźwiękiem. Orazio znalazł swoje słabe strony, Agostino swoje. Gdy działali osobno, ich moż-

liwości byiy zawsze ograniczone. Kiedy pracowali razem, rezultat był imponujący.

— To musiało być dla niego niezwykle przeżycie, kiedy całość nabierała życia i kształtów... — powiedziałam do siebie.

Teraz doskonale rozumiałam, dlaczego ojciec chciał jak najszybciej zakończyć proces. Nie miało to nic wspólnego z moją osobą.

Rozumiałam, ale zrozumienie nie oznaczało przebaczenia.

— Patrz, mamó! — Palmira wskazała jedną z postaci. — To ty!

Odwróciłam się--Nie.

— Ależ tak. Zawsze tak stoisz, z ręką opartą o biodro.

— Naprawdę?

— Tak. Kiedy się na mnie złościysz.

— Może to twoja babcia. — W chwili, kiedy to mówiłam, spostrzegłam u namalowanej postaci niesforny loczek wijący się u prawej skroni. Zawsze był moim utrapieniem, odkąd tylko nauczyłam się czesać. Moja matka miała włosy gładkie i proste, które zaczesywała w ciasny kok z tyłu, jak hiszpańskie tancerki.

— Nie, to ty. Popatrz na ten wachlarz, który trzyma w ręce. Ty zawsze narzekasz, że jest za gorąco.

A więc to byłam rzeczywiście ja i spoglądałam w dół, na siebie samą, w tym samym wieku. Postać namalowana została trzynaście lat wcześniej. Skąd wiedział, jak dodać mi lat? Przedziwny widok — ja jako zatroskana czymś matrona. Roztargniona, spoglądająca w dół zamiast na muzykantów, nie potrafiąca oddać się rozkoszy płynącej z muzyki. Spięta. Tak. Skąd on wiedział?

Kręciło mi się w głowie i bolała mnie szyja, ale nie mogłam przestać patrzeć w górę. Wielokrotnie pozowałam ojcu do różnych studiów, nie wiedziałam jednak, że wykorzysta jedno z nich w tej kompozycji. Tak więc jednak czasem myślał o mnie po zakończeniu posiedzeń sądu. Co więcej, zdołał wyobrazić sobie, co uczyni ze mną proces i lata, które dopiero miały nadejść. Przyciągnęłam Palmirę do siebie i przytuliłam ją.

— Masz rację. To rzeczywiście ja — powiedziałam.

Kiedy Palmira poszła już spać, długo siedziałam, sącząc wino i zastanawiając się, czy ojciec często o mnie myślał. Czy rozmawiał z kimś o mnie. Z Agostinem albo z kimś innym. Czy czuł się samotny. Czy czuje się samotny teraz, w tym momencie. Czy kiedykolwiek myślał o *matce*. Miałam nadzieję, że jest szczęśliwy, a przynajmniej dobrze mu się ma-luje... nawet z Agostinem. Wychyliłam się przez okno, by odetchnąć rześkim nocnym powietrzem w tym samym mroku, który otaczał go w Genui albo w Paryżu, czy gdziekolwiek się znajdował. Dałabym wiele, by wiedzieć, o czym myślał w tamtej chwili. Gdyby można było wiedzieć z całą pewnością, co robi inna osoba, co myśli — wówczas nie byłoby już na świecie czegoś takiego jak samotność.

Przypomniłam mi się Pietra i próbowałam sobie wyobrazić, co on robi w tej chwili. Czy jest z Yanną? Czy oddał jej się całkowicie, kiedy odeszłam? Czy był do tego zdolny? Czy zdarzało mu się czasem myśleć o mnie?

Czy zrobiłam coś podobnego do tego, co uczynił mój ojciec: czy poświęciłam kogoś dla mojej sztuki? Zateśniłam za tym, by móc przeprosić Pietra. A także Palmirę. Czy zraniłam kogoś, powodowana egoistycznym impulsem?

Bardzo pragnęłam przeprosić Cesare i Biancę., i Renatę i powrócić do tamtego etapu naszego życia, ale to nie było możliwe, jakże często miłość musi ustępować, gdy trzeba dokonywać życiowych wyborów.

Słyszałam kiedyś, że pewna angielska królowa wyrzekła się wszystkich zalotników, by jej jedynym małżonkiem pozostać mogło królestwo Anglii — i rozumiałam, jak wiele ją to musiało kosztować.

Nad dachami wzeszedł księżyc, był wyjątkowo jasny tej nocy. Wznosił się na trzymanej przez Boga niewidzialnej nici, jak papierowa kula, którą podsuwa się do zabawy kotu. Nie mogłam spać po tym, co zobaczyłam w Casino kardynała Borgbese. Wyciągnęłam papier listowy, ale uświadomiłam sobie, że nie wiem, gdzie mój ojciec się znajduje. Zamiast tego napisałam:

Mój szanowny i sławny przyjacielu Galileo, Od wielu lat nie widziałam tak klarownego nieba jak dzisiaj. Księżyc wygląda jak *perła barocca*, igraszka w rękach Boga kusząca śmiertelników pytaniami, na które nie ma odpowiedzi- Widzę wyraźnie wzgórza i doliny, które mi opisywałeś. Nigdy nie spoglądam na księżyc, nic myśląc od razu o Tobie; zawsze gdy patrzę na gwiazdy, zastanawiam się, która z nich jest Twoją Wenus.

Dziś wieczorem niepokoję się o naszą Ziemię. Powiadasz, że wiruje gdzieś na obrzeżu wszechświata, miast spoczywać spokojnie pod czujnym spojrzeniem Boga, i wcale nie znajduje się w centrum jego uwagi. My zaś popełniamy błędy, nie wiedząc o tym, a czasu cofnąć się nie da. Jak trudno polegać tylko na tym, co w nas najlepsze, kiedy trzeba podejmować decyzje dotyczące naszego nic nie znaczącego życia, godząc się z tym, że Ojciec wszelkiego stworzenia zajmuje się ważniejszymi sprawami-

Uważaj na siebie, *amico mio*. Twierdzisz co prawda, że papież Urban żywi dla Ciebie wielką sympatię, ale ja zastałam Rzym równie bezwzględny, jakim poznałam go w mojej młodości. Niech Ci się nie zdaje, że kiedy tak siedzisz sobie wygodnie w Twej willi z drzewkami cytronowymi, palce Rzymu nie sięgną toskańskich wzgórz, by zerwać ich najślawniejszy owoc. Zresztą długie ręce Rzymu to nie tylko papież.

Pomimo to, co piszę — wiem doskonale, że nadal głosić będziesz prawdę w najlepszej wierze, choć może to ściągnąć na Ciebie niebezpieczeństwo. Tak więc, jeśli nie masz nic przeciwko temu, pozwolę sobie tylko ulżyć nieco mojej trosce o Ciebie, prosząc moją zaufaną przyjaciółkę, siostrę Graziellę z Santa Trinita dei Monti, by modliła się za Ciebie.

Twoja Artemizja

Zagrzałam wodę, umyłam głowę i zabrałam się do mycia włosów Palmiry.

— Au! Za mocno! — krzyknęła.

— Nie lubisz, kiedy tak mocno drapię? Czujesz, że żyjesz.

— Ale to boli. Sama to zrobię.

Ustałam, niechętnie rezygnując z jednej z rozkoszy macierzyństwa, nie mogłam jednak oderwać oczu od uroczego widoku jej smukłej, namydlonej szyi.

— Chodźmy dziś odwiedzić siostry — powiedziałam. — Chcę podarować Grazielli trochę pigmentów. Weź swój haft i pokaż go siostrze Paoli. Jeśli nie będzie zajęta, na pewno nauczy cię nowego ściegu.

— Ona umie wyszywać?

— Oczywiście. Haftowała przepiękne szaty dla dostojników kościelnych. Również złotą nicią.



Zaplotłam jej mokre włosy w warkocze, żeby falowały, jak wyschną, i upięłam je na czubku głowy.

— Zobacz, teraz wyglądasz jak prawdziwa dama. Zastałyśmy Grazielle siedzącą beczynn timer na ławce

w kącie. Nigdy przedtem sie nie zdarzyło, żeby nie była czymś zajęta.

— Czy ona sie modli? — spytałam Paole.

— Nie, tylko rozmyśla. Ożywiła sie na nasz widok.

— Jak sie masz?

— Miewam sie tak, jak podoba sie Bogu. Czy znalazłaś jakieś mieszkanie?

— Tak, chociaż nie bez trudu. Ludzie wciąż jeszcze pamiętają. Minęło trzynaście lat, a oni nadal pamiętają.

Graziella popatrzyła zaniepokojona na Palmirę, a potem znów na mnie.

— Powiedziałam jej. Ona wie. — Usiadłam obok Grazielli. — Nie mogłam znaleźć mieszkania. Wczoraj zaś, kiedy poszliśmy do pałacu kardynała Borghese, żeby obejrzeć prace mojego ojca, jakiś urzędnik zelżył mnie w obecności Palmiry. Spytał, czy wróciłam do Rzymu, licząc na kolejny gwałt. Mieszkańcy Rzymu są gorsi od dzikich bestii.

— Ktoś o wierze silniejszej niż twoja nawet w tym dopatrzyłby sie dzieła Jego miłującej reki.

Spojrzałam na nią z niedowierzaniem. Gdzie podziało sie jej współczucie?

— Powiedział, że przelewam moje kurestwo na płótna. Gdzie w tym boża miłość?

Paola chciała czym prędzej zabrać ze sobą Palmirę i pokazać jej ogród, Palmira jednak zdecydowanie pokręciła głową i usiadła na drugim końcu ławki; Paola spoczęła obok niej.

— Miłość boża przejawia się, w tym, jak my sami zachowujemy się w trudnych sytuacjach — powiedziała Graziella. — Kiedy cesarzowi Konstantynowi powiedziano, że rzymski motłoch, ciskając kamieniami, uszkodził głowę jego posągu, uniósł rece do czoła i powiedział: „Jakie to dziwne. Wcale mnie nie boli”. Kobieta w twoim wieku, która uskarża się na małoduszność jakiegoś urzędasza, nie przedstawia pociągającego widoku, jakkolwiek próbowałabyś to odmalować!

Zrobiło rai się gorąco ze wstydu; zwłaszcza że powiedziała to w obecności Palmiry.

— Musisz zdać sobie sprawę z tego, jak wiele dokonałaś przez te wszystkie lata — mówiła dalej. — Mieszkałaś w trzech wspaniałych miastach, widziałaś najwspanialsze budynki, rzeźby i obrazy w całej Italii. Doświadczyłaś miłości z mężczyzną. Wydałaś na świat piękne, zdrowe dziecko. Zarabiałaś na życie własną pracą, a twój talent został doceniony na jednym z najwspanialszych dworów tego kraju. Inne kobiety dziękowałyby Bogu na kolanach za choćby jedną z tych rzeczy.

Palmira spoglądała na przemian na mnie i Graziellę. Poczułam się mała i samolubna.

— Wiem. Wiem.

— Miałam nadzieje, że nie będziesz się przejmować takimi drobiazgami, Artemizjo.

— Myślałam, że udało mi się odciąć od przeszłości, dopóki w Genui ojciec znów mnie nie zdradził.

— I cóż z tego? Musi w końcu nadejść chwila, kiedy córka odcina się od krótkowzrocznych błędów swego ojca. Uwierz mi. Wiem, o czym mówię.

Przypomniało mi się, w jaki sposób ona sama została zdradzona przez ojca, i poczułam ucisk w gardle.

— Najgorszemu wrogowi nie życzyłabym, żeby żywił do kogoś urazę- To uczucie, które zabija. Nie mów mi, że nie poczyniłaś postępów pod tym względem w ciągu trzynastu lat.

— Ależ tak...

— W takim razie wyprostuj się i opowiedz mi, czego się nauczyłaś.

— Ale o czym mam mówić?

— Zaczynij od dnia wczorajszego, od pałacu kardynała Borghese.

— Widziałam tam fresk mojego ojca. Jest wspaniały: przedstawia muzyków i ludzi słuchających muzyki, stojących na balkonie. — Przypomniałam go sobie znowu i poczułam się dumna.

— Tak. I co dalej...?

— Ojciec i Agostino dopełniają się znakomicie. Ojciec nigdy nie zdołałby namalować tak skomplikowanej perspektywy architektonicznej bez pomocy Agostina i doskonale zdawał sobie z tego sprawę- Nie byłby w stanie dobrze wykonać tego projektu i to byłby koniec jego kariery. Musiał więc doprowadzić do zakończenia procesu. — Starłam się mówić tak obojętnym głosem, jak tylko mogłam. — Poświecił moją reputację i sztukę dla swojej sławy i swojego dzieła.

Graziella przyglądała mi się uważnie.

— Nie mówię, że był to dobry czy zły wybór; chce tylko powiedzieć przez to, że tym samym zgodził się zapłacić nieuniknioną cenę.

— Gdybyś ty stanęła przed podobnym wyborem, czy zachowałabyś się tak samo?

Popatrzyłam na Palmirę wymachującą nogami. -Tak.

— Jaka z tego płynie nauka?

— W naszym życiu są takie chwile, kiedy pasja rani i niszczy. Kiedy indziej to my zostajemy skrzywdzeni... a wszystko to w imię sztuki. Czasem jesteśmy w stanie zdobyć to, czego chcemy. Czasami musimy płacić, by kto inny mógł to zdobyć. — Popatrzyłam przeprasząco na Palmirę. — Takie są koleje losu na tym świecie.

— A wybaczenie?

Czułam się, jakbym stała na samej krawędzi bezdennej przepaści.

— Nauczyłam się, że wybaczenie nie jest rzeczą łatwą.

— Ale jest możliwe.

— Tak, jest możliwe.

Po chwili milczenia powiedziałam do Palmiry:

— Pokaż siostrze Paoli, nad czym pracujesz. Wyciągnęła swój haft ze sznurowanej torebki.

— Ach, jakie śliczne! — Zachwycona Paola zaczęła opowiadać jej o ściegach nazwanych imionami rozmaitych świętych.

Teraz ja sięgnęłam do torby i wydobyłam z niej niewielkie grudki pigmentów zawinięte w papier. Oczy Grazielli zabłysły na ich widok.

— To piękne kolory i pięknie będą wyglądać na papierze. Tylko że... nie widuję nic nowego, więc wciąż maluję to samo.

Rozumiałam to doskonale. Sztuka tworzy sztukę. I ja powtarzałabym się bez końca, gdybym nie mogła oglądać nowych kształtów, nowych zestawów kolorowi kompozycji.

— Opowiedz mi o Wenecji — poprosiła Graziella. — Namaluj dla mnie obraz... tutaj, teraz.

W jej pochylonej postaci była jakaś rozpacz, desperacja; posłuchałam jej, nie pytając o nic.

— W Wenecji każdy pinakiel, kopuła, wieża, sklepienie czy attyka wznosi się ponad dachy — płaskie dachy z balustradami, z których spogląda się na miasto. Posągi na dachu jednego pałacu spoglądają przez kanał na posągi zdobiące inny dach. Maski wyrzeźbione nad zwornikami łuków pochylone są w dół, by lepiej je było widać z gondoli. Wszystko uczynione jest na pokaz.

Graziella wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w kamienie dziedzińca, byłam jednak pewna, że w myślach widzi kanały i kopuły. Nie mówiąc nic, dała znak, żebym opowiadała dalej.

— Kręte, wąskie uliczki nagle wychodzą na ukryte niewielkie place. Wąskie *kanaly* skręcają nagle. Błądziłyśmy tam bez przerwy. — Spojrzałam na Palmirę, była zajęta ściegiem, który pokazywała jej Paola. — W Genui czułam się swobodnie — ciągnęłam nieco ściszym głosem — ale w Wenecji każda loggia, każdy most, każdy kamień... wszystko w Wenecji zostało wybudowane niczym scenografia dla schadzek przy świetle księżyca, potajemnych spotkań, uścisków gorących dłoni.

Długie palce wysunęły się z czarnego rękawa i dotknęły mojego kolana. Palmira przestała wymachiwać nogami.

— A Florencja? Dlaczego tak nalegała?

— Nawet małe i nic nie znaczące kościoły w tym mieście posiadają arcydzieła, które gdzie indziej okrzyknięto by jako *opera piii importante*. — Zaczęłam jej opowiadać o rozmaitych szczegółach, o których nie pisałam w listach, na wypadek gdyby szukała pomysłu na jakąś iluminację, im więcej jednak jej opowiadałam, tym bardziej nalegała, by usłyszeć jeszcze więcej.

Kiedy przerwałam na chwile, jej twarz wykrzywił grymas.

— Opowiedz mi jeszcze raz o Masacciu. Spojrzałam na Paolę, ale ta tylko wzruszyła ramionami  
w odpowiedzi na moje pytające spojrzenie.

— To niezwykle geniusz. Serce mi się ścisnęło, kiedy patrzyłam na jego Adama skrywającego umęczoną twarz i Ewę, która wydaje okrzyk rozpaczony docierający do samej głębi duszy. Tamtej nocy nie mogłam usnąć.

— A co we Florencji podobało ci się najbardziej, czy właśnie Masaccio?

— Nie. Dzwonnica Giotto. Stoi w pobliżu Santa Maria dci Fiore, jest wyższa, niż można sobie wyobrazić; przypomina relikwiarz należący do samego Boga i sięgający niebios. Łukowate sklepienia wąskich, wysokich okien oddzielone są krętymi kolumnami, co nadaje jej niezwykłą lekkość. Wyłożona jest marmurem; w czasie deszczu przybiera odcienie bieli, różu i bladozielonego atłasu. Jest tak piękna, że można się zakochać.

— A Rzym?

— Rzym znasz.

— Już nie — jej głos zadrżał. Po policzkach spłynęły lśniąca strużki łez,

Paola, Palmira i ja popatrzyłyśmy po sobie zmieszane, nie wiedząc, co powiedzieć.

Graziella potrząsnęła przepaszając głową.

— Najtrudniejsze dla mnie jest zamknięcie. To, że nic widzę piękna tego świata. Oczywiście pamiętam cyprysy i zachód słońca nad Tybrem, ale pamiętam je niejasno, tak jak ktoś, kto dawno już oślepi. Trudniej jednak jest mi się wyrzec pięknych dzieł rąk ludzkich. One też są na swój sposób dziełem Boga...

Próbowała wytrzeć łzy szerokim, szorstkim rękawem, ale wciąż nowe płynęły jej do oczu.

— Otaczają mnie nieprzeliczone przepiękne dzieła sztuki, a moim przeznaczeniem jest nigdy ich nie zobaczyć. Umrzeć, nigdy ich nie widząc... — Zaniósła się szlochem.

Paola stanęła przed nią, żeby ją zasłonić.

— Czy to taka zbrodnia, żeby zakonnica... Nie utraciłabym ani okruszyny mojej miłości dla Boga, jeśli zobaczyłabym rzeźbioną fontannę albo loggię z marmurowymi rzeźbami czy freski na suficie.

Palmira delikatnie dotknęła ręką kolana Grazielli, tak samo jak zakonnica dotknęła ranie. Jej niepewny, pełny współczucia gest wzruszył mnie niemal do łez.

— Co by się stało, gdybym zobaczyła widok z tej wieży albo Ewę rozpaczającą w ogrodzie — mówiła wysokim, drżącym głosem. — Gdybym poczuła gładkość marmuru, gdybym przejechała się gondolą. Tylko raz, zanim umrę.

Dopiero teraz, widząc jej łzy, zrozumiałam, że nie potrafiłam być dostatecznie wdzięczna za to, co miałam szczęście obejrzeć.

Pod arkadami w naszym kierunku szła matka przełożona w towarzystwie innej zakonnicy. Powiedziałam o tym półgłosem. Paola odwróciła się, rozpostarła szeroko ramiona, zasłaniając Graziellę szerokimi rękawami, i ruszyła na spotkanie przeoryszy, by odwrócić od nas jej uwagę.

— A co by się stało, gdybyś to po prostu zrobiła? — spytałam szeptem. — Gdybyśmy po prostu wybrały się wszystkie trzy na spacer? Oczywiście, potem byś wróciła. Paola otworzyłaby ci drzwi. Co by się stało?

— Nie wiem. Karą byłoby zamknięcie i nakaz milczenia przez jakiś czas.

— A więc? Przecież i tak przebywasz przez całe życie w zamknięciu? Zaśmiała **się** gorzko. Pociągnęła nosem i otarła twarz wierzchem dłoni.

— Pomyślę o tym. Wzięłam ją za rękę.

— Tymczasem mam dla ciebie zadanie. We Florencji mieszka mój przyjaciel, uczony. Nazywa się Galileo Galilei.

— Och tak, słyszałyśmy o nim. Kobiety zamknięte w klasztorach nie są całkiem nieświadome sporów toczących się w zewnętrznym świecie. Kardynał Bellarmino...

— Galilei potrzebuje twoich modlitw, Graziello. Módl się za niego. To uczony i szlachetny człowiek... i wierzy w Boga, niezależnie od tego, co o nim opowiadają.

Znów pociągnęła nosem.

— Rozumiem. Będę się za niego modlić.

Wstałam, zbierając się do odejścia, i pocałowałam ją w czoło. Kiedy Palmira podeszła do niej, żeby się pożegnać, Graziella z kolei ją pocałowała w czoło. Wtedy Palmira pociągnęła mnie za rękę, żebym się schyliła, i uśmiechając się szeroko, hałaśliwie pocałowała m n i e w czoło.

Kiedy opuściliśmy klasztor, stałyśmy przez chwilę na placu przed bramą.

— Myślisz, że to zrobi? Że wyjdzie któregoś dnia z nami na spacer?

— spytała Palmira.

— Nie wiem. Mam nadzieję, że tak.

Patrzyłyśmy w dół, na via Condotti i na dachy domów.

— Popatrz. Widzisz tę kopułę, tę dużą, tam w oddali? To kopuła Świętego Piotra na *Watykanie*. Graziella widzi tylko to i nic więcej.



Wyraźnie to jej nie wystarczało. Nic dziwnego.

— Jak tu wysoko — powiedziała Palmira. — Jest cudownie.

W tej chwili pożałowałam, że nie zaprowadziłam jej na szczyt dzwonnicy Giotto. Rozplotłam jej warkocze.

— Potrząśnij głową, żebyś poczuła wiatr we włosach. Wieje prosto z Hiszpanii.

Wyjęłam szpilki z moich włosów i też je rozpuściłam.

— Patrz, patrz i nie zapomnij nigdy. A teraz zamknij oczy. Daj mi reke. Skup się na tym, co czujesz. Czy czujesz, jak Ziemia się porusza?

-Nie.

— Oprzyj ręce o balustradę i pochyl się do przodu. Wyobraź sobie, że szybujemy przez niebo jak wróble o zachodzie słońca, jak nietoperze nad rzeką we Florencji. Fiuuu!

— Tak! Teraz czuje'

Zrozumiałam, że cokolwiek wydarzy się w jej życiu, nie grozi jej nic złego.

Zacęłam natomiast martwić się o Grazielle.

## NEAPOL

Najpierw kamieniarze, signora. Takie jest polecenie biskupa.

-A. — Ale dlaczego malarz musi czekać, aż każdy nędzny kamieniarz dostanie swą zapłatę?

— Oni mają rodziny na utrzymaniu.

— A ja nie?

Wypolerowane paznokcie księdza wyglądające spod szerokiego rękawa wykonały nieznaczny ruch, jakby odganiając moje żądania.

— Czy zapomniał pan, monsignore, co powiedział apostoł Paweł? „Nie ma już Żyda ani poganina, nie ma już niewolnika ani człowieka wolnego, nie ma już mężczyzny ani kobiety, wszyscy bowiem jesteście kimś jednym w Chrystusie Jezusie”.

— Przykro mi. Proszę przyjść po Wszystkich Świętych. Nie zamierzałam zebrać o należne mi pieniądze.

Odwróciłam się do Palmiry, której oczy płonęły, i dałam jej znak, że wychodzimy. Na zewnątrz oślepiły nas promienie neapolitańskiego słońca.

— Matko, jak mogłaś mu pozwolić...

— Ciii. Zaczekaj.

Przeszłyśmy przez plac, zostawiając kościół za nami; wtedy wykonałam lekceważący gest, jakbym strzepywała nieistniejącą muchę, i powiedziałam:

— Książa! Od czterech lat pracuję na solidną reputację pośród patrycjuszy tego miasta, a jakiś księżyna wyobraża sobie, że może mnie traktować jak zwykłego robotnika.

Palmira z trudem dotrzymywała mi kroku.

— Co teraz zrobisz?

— Francesco napisze do biskupa. Albo nie, sama do niego napisze. Czego oni chcą? — przemawiałam do powietrza przede mną. — Mam nałożyć włosiennicę i posypać głowę popiołem? Mam kajać się za to, że jestem kobietą? Cieszę się, że się nią urodziłam, i mam nadzieję, że ty także ~- podniosłam głos. — Zbyt łatwo byłoby mi być malarzem, gdybym była mężczyzną.

— Ale jak my teraz zapłacimy za moją suknię balową?

— Będziemy spłacać ratami. Delia może zatrzymać suknię, dopóki jej nie spłacę.

— Ale co z balem u Andrei?!

— Andrea i Andrea. Ostatnio wciąż tylko słyszę to imię, lak jakby był kimś nie z tej ziemi, istny Adonis stojący nago na muszli!

Spojrzałam przelotnie na jej zatroskaną twarzyczkę i od razu zrobiło mi się żal. Jakie to musi być piękne i czyste, tak być pogrążoną w prostych młodzieńczych marzeniach o wspaniałym balu.

— No dobrze. Odbierzemy tę suknię dzisiaj i będziemy jeść chleb i bulion, dopóki biskup nie zmusi tego klechy, żeby mi zapłacił. — Uśmiechnęłam się do niej porozumiewawczo, żeby wiedziała, że nie grozi nam głód.

Na jej twarzyczce odmalowała się ulga. Szłyśmy wąską alejką, która ciągle zmieniała kierunek, ale wytrwale pięła się na kamieniste wzgórze, gdzie położona była obskurna dzielnica, w której mieszkała Delia — najtańsza z naszych krawcowych. Nędzne, lecz wysokie budynki wyrastały je-

den nad drugim, poźółkła pościel trzepotała, susząc się na sznurach rozciągniętych między balkonami. Obie trzymałyśmy rękawy przy nosach, osłaniając się przed dojmującym smrodem dobywającym się z kałuż i bram domów.

Żadna z nas nie lubiła Neapolu — w przeciwieństwie do Rzymu, gdzie spędziłyśmy cztery dobre lata, nim skończyły się zamówienia. W Neapolu jednak mieszkał don Francesco Maringhi, który był moim pełnomocnikiem i agentem. Załatwił dla mnie zamówienia od księcia Modeny, od don Antonia Ruffa z Messyny i hiszpańskiego księcia de Monterrey, rządcy Neapolu. Francesco prowadził nawet rozmowy dotyczące sprzedaży mojej pierwszej *Judyty*. Był mi bardzo pomocny, z czasem stał się moim serdecznym przyjacielem i tak już zostało.

W bramie sklepionej łukiem siedziała na stołku starucha o pomarszczonej, obwisłej i porośniętej brudem twarzy; doiła koze. Byłaby doskonałą modelką do jakiegoś alegorycznego przedstawienia starości, ale teraz nikogo już nie interesował realizm. Nabywcy nie dostrzegali niczego pociągającego w starości czy brzydocie. Nie potrafili zrozumieć, że szpetota uchwycona z prawdziwym uczuciem przemawiać będzie przez wieki. Wszyscy pragnęli tylko piękna idealnego. Gdybym była młodsza, może zdecydowałabym się jednak ją namalować, ale nie miałam już siły i odwagi na *invenzione*. Lata nauczyły mnie przyginać karku wobec upodobań, które opłacały nasz chleb i suknie balowe.

Dom Delii, do którego wchodziło się po wąskich schodkach, był czystszy, niż można by się spodziewać po tej okolicy. W środku, na stole leżał nie zszyty jeszcze kaftan, z haka wbitego w sufit zwieszała się jakaś nieobrobiona spódnica. Palmira niespokojnie rozejrzała się po pracowni, szukając swojej sukni.

— Jest gotowa i czeka na ciebie, dziecko. Bądź spokojna — powiedziała Delia i znikła na zapleczu. Powróciła po chwili, niosąc w wysoko podniesionych rekach bufiastą jedwabną suknie w kolorze Zatoki Neapolitańskiej, kiedy świeci słońce... Wzdłuż rękawów biegły nacięcia ukazujące podszycie z białego atłasu. Palmira była tak oczarowana, że doprawdy jej widok wart był ceny, jaką miałam zapłacić za suknie-

Delia obróciła swe dzieło, by ukazać rząd białych atłasowych kokardek wzdłuż pleców.

— Ale czy my będziemy umiały zawiązać tak ładnie te kokardy? — zaniepokoiła się Palmira.

— Nie będziecie musiały. Są zaszyte. Przymierz ją. Palmira pospiesznie zrzuciła gorset i spódnice. Delia

pomogła jej włożyć nowy gorset, przymocowała go za pomocą ukrytych haków do spódnicy i ciasno zasznurowała. Wszystko pasowało doskonale.

— Delio, jesteś prawdziwą artystką. — Położyłam pieniądze na stole, a Palmira ucałowała mnie w policzek.

Kiedy wróciłyśmy do domu — obie niosłyśmy części sukni — spostrzegłam róg listu wystającego spod drzwi. Widniała na nim pieczęć Accademia dei Lincei.

Droga moja przyjaciółko, pełna wdzięku i rozwagi Artemizjo Gentileschi,

Obawiam się wielce, że dawno już przestałaś oczekiwać listu ode mnie, błagam przeto o wybaczenie, abyś mogła czytać te słowa z otwartym umysłem, jaki zawsze u Ciebie podziwiałem.

Zostałem boleśnie dotknięty wydarzeniami, które potoczyły się tak, jak przewidywałaś. Dwa lata temu, ukończyw-

szy wreszcie *Dialog*, w którym omawiam kwestie plam na Słońcu oraz przyplływów, uzasadniając w ten sposób argumenty, o których opowiadałem ci już tak dawno -- udałem

takie zezwolenie, jeśli dokonam pewnych zmian we wstępie i zakończeniu oraz tytule, tak aby całość wyglądała jak hipoteza. Chętnie na to przystałem, wiedząc, że argumenty zawarte w traktacie są wystarczająco mocne, by przekonać samego Boga Ojca. jako że nie chciałem pozostawać w Rzymie w czas upałów, a ponadto w mieście panowała zaraza, powróciłem do mej willi w Bellosguardo, gdzie dowiedziałem się, że mój wierny szklarz padł ofiarą zarazy i umarł w strasznych cierpieniach.

Uzyskałem zgodę od florenckiego inkwizytora na wydanie *Dialogu* we Florencji i na początku tego roku w pałacu Pito" podarowałem pierwszy egzemplarz wielkiemu księciu Ferdynandowi. Jedną rzeczą tylko mąciła mą radość w tym uroczystym dniu — że nie byłeś świadkiem **Lego** wydarzenia.

Teraz jednak zostałem zawiadzany przez papieża Urbana we własnej osobie, by się stawić przed Świętym Oficjum inkwizycji. Tak jak mówiłaś, Rzym jest kapryśny i niebezpieczny; ponieważ nie cieszę się dobrym zdrowiem, poświęcam tygodnie poprzedzające mój wyjazd na uregulowanie spraw dotyczących majątku oraz powiadomienie przyjaciół o moich losach.

Pragnę pozostać na zawsze w Twojej pamięci jako człowiek godny zaufania i dociekliwy, tak jak ja w mej pamięci zachowam Cię jako kobietę nieskazitelną i obdarzoną wielką odwagą.

Zawsze poszukujący

Galileo Galilei

dwudziestego listopada 1632

Jego spokój i odwaga zdumiewały mnie. Położyłam list na stole, ponieważ rece drżały mi tak, że nie mogłam czytać, i spojrzałam na niego jeszcze raz. Pismo Galileusza było nierówne, przy pierwszej linijce widać było małe plamki atramentu. Czy pisał ten list w łóżku? Kwestia sukni Palmiry i nadarzającej się partii ze szlacheckiego domu stały się zagadnieniami błahymi, kiedy Galileuszowi groziło tak wielkie niebezpieczeństwo. Czarna ręka inkwizycji dosięgnie go, jeśli zechce. A tam, gdzie powstrzyma się od działania, do zadania ciosu gotowały się już szpony zarazy.

Ust szedł do mnie cztery miesiące, przypuszczalnie z powodu kordonów sanitarnych. Tak więc wyrok w jego sprawie zapaść mógł lada dzień, jeśli już nie zapadł. Za-siadłam do pisania listu, próbując dodać mu odwagi w miarę moich mizernych możliwości.

Mój wielce szlachetny i drogi przyjacielu, Załedwie przed chwilą otrzymałam Twój list i bardzo niepokoję się o Ciebie. Pamiętaj, że jak sani kiedyś mi powiedziałeś, zdaje nam się tylko, iż pozostajemy w bezruchu, w rzeczywistości jest to jedynie złudzenie. Świat naprawdę się zmienia, chociaż w krótkim czasie naszego życia wydaje nam się nieruchomy jak kamień, ale nawet na kamieniu po wielu, wielu tatach pojawiają się wgłębienia uczynione przez niezliczone stopy. Kiedyś po Twoich śladach ludzie dojdą do prawdy, która dziś jest dla nich nie do pojęcia. Niech moja przyjaźń i wielki szacunek, jaki żywię do Ciebie, podniesie Cię na duchu, jeśli zdoła. Modłę się za Ciebie.

Twoja Artemizja

Wysłałam list do ambasady tokańskiej znajdującej się w Villa Medici w Rzymie.

W niedzielę pełna lęku i złych przeczuć udałam się do kościoła. I w samej rzeczy — arogancki monsignore oznajmił triumfalnie, że wierni nie muszą już się lękać błędnych poglądów niejakiego Galileusza, jako że Święte Oficjum uświadomiło mu ohydną zbrodnię, jakiej się dopuścił, występując przeciwko świętym kanonom; on zaś uznał swe błędy, wyparł się ich, wyrzekając się pod przysięgą własnych teorii jako błędnych i heretyckich, teraz zaś myśli o nich ze wstrętem i gotów jest czynić pokutę i żałować za grzechy.

Cios zadany celnie, nieunikniony jak dzuma. Poczułam, że mnie mdli. Zostawiłam Palmirę z Andreą w kościele, poszłam prosto do domu i zaciągnawszy zasłony, położyłam się na łóżku. Wiedziałam, że padł ofiarą zmowy zdradzieckich klechów. Nigdy z własnej woli nie wyrzekłby się swych poglądów, jeśli nie zagrożono by mu torturami. Wiedziałam dobrze, jakim lękiem do szpiku kości przejmuje taka groźba, i nie osądzałam go. A ten nędzny księżulo wprost promieniał podczas oznajmiania radosnej wieści. Próbując sobie nie wyobrażać, co musiał przejść mój przyjaciel, spędziłam całe popołudnie trawiona gorączkowym niepokojem.

Przez kilka następnych dni byłam przygnębiona i źle się czułam. Palmira troszczyła się o mnie, zajęła się kuchnią i namawiała mnie do jedzenia. Obawiała się, że mój ponury nastrój nie minie do soboty, kiedy miał się odbyć bal u Andrei.

— Nie bój się. Jakoś się pozbieram. Obiecuję. Wystarczy, że zostawisz mnie w spokoju przez jakiś czas — powiedziałam.



Było gorąco i parno; przygotowywałyśmy się do balu jak dwie siostry, zawiązując sobie wzajemnie gorsety i zaplatając włosy. Potem dotknęłam jej ramienia i powiedziałam:

— Zaczekaj. — Sięgnęłam do skrzynki z pamiątkami i wydobyłam stamtąd diadem mojej matki.

— Nie chcesz go włożyć? — spytała Palmira.

— Nie, ty go będziesz nosić. — Umocowałam go w jej włosach. — Moja matka ucieszyłaby się, gdyby mogła cie teraz zobaczyć.

— Sądziś, że on go zauważy?

— Ależ głuptasku, jego rozmarzone oczy pieścić będą każdy szczegół twojej postaci, z każdej strony. — Zachichotała, jej radosny nastrój wyczekiwania udzielił mi się po trosze i poprawił humor. — Wstań.

Wykonała taneczny piruet; jej suknia wyglądała jak połyskująca fala, a spod rąbka spódnicy ukazały się kokardy białych, atłasowych bucików.

— Wyglądasz czarująco.

Francesco Maringhi przyjechał po nas powozem. Nigdy jeszcze nie widziałam, by był tak wystrojony: miał na sobie czarny aksamitny kaftan z białymi atłasowymi rękawami i białą kryzę. Skłonił się i najpierw ucałował dłoń Palmiry, a potem moją, patrząc mi tęsknie w oczy.

— Jestem wielce zaszczycony, mogąc towarzyszyć dwóm tak pięknym damom. Palmiro, wyglądasz jak twoja imienniczka, grecka królowa, a twoja matka zawstydzilaby boginię, której imię nosi.

— Jesteś bardzo uprzejmy, Francesco — powiedziałam. Jego zachwyty wywołał uśmiechy na naszych twarzach, rozproszył mój smutek i dodał Palmirze odwagi.

— Czy panie będą tańczyły *spagnoletto* dziś wieczór? — spytał.

— Palmira z pewnością. Przez cały tydzień ćwiczyła kroki z podręcznikiem tańca w rękach.

— Mamo! Nie musisz wszystkim o tym opowiadać.

— Przecież to tylko Francesco. Nic się nie stanie, jeśli on będzie wiedział.

Pałac oświetlony był blaskiem pochodni zatkniętych u szczytu frontonu oraz przy wejściu, gdzie pełno było powozów, a na każdym z nich świeciła migotliwa latarnia. Z okien pałacu sączył się żółtawy blask. Lokaj w liberii otworzył drzwi naszej karety i powitał nas. Francesco czym prędzej wyskoczył i pomógł nam wysiąść.

— Moje piękne panie...

Wzięliśmy go pod rękę z obu stron; poprowadził nas ku bramie, nucąc pod nosem. Palmira spytała go:

— Ale nie będziesz przez cały wieczór chodził za mną, jakbyś był moim wujkiem, prawda?

— Wręcz przeciwnie, obawiam się, że ścierpieć będę musiał stratę twojej osoby, jak tylko znajdziemy się w środku.

Dwaj odźwierni otworzyli podwójne drzwi i nagle zalała nas fala muzyki, światła, perfum i odgłosów konwersacji. Wielki hall rozświetlony był tysiącami świec umieszczonych w kryształowych kinkietach odbijających refleksy światła. Muzycy grali na wiolach, wiolonczelach i basach na końcu sali, goście kręcili się wokół długich stołów zastawionych wyszukanymi potrawami.

Kiedy Palmira weszła do sali, wszystkie twarze zwróciły się w jej stronę. Andrea spieszonym krokiem wyszedł nam na spotkanie.

— Signora, signor. witam. — Pocałował mnie w rękę, ale już w następnej chwili wpatrywał się w Palmirę. Skłonił się

przed nią dwornie i nisko. — *Che bella*. Jestem zaszczycony.

W ciemnogrzanym stroju, z włosami upiętymi z boku i przedziałkiem pośrodku Andrea wyglądał dojrzalej, niż kiedy go ostatni raz widziałam. Zaoferował Palmirze ramię, by oprowadzić ją po sali, a Francesco i ja szliśmy za nimi w pewnej odległości, witając znajomych, składając nasze uszanowanie rodzicom Andrei oraz hrabiemu i hrabinie de Monterrey — i przyglądaliśmy się tańczącym.

*Lo spagno* Jetto był najmodniejszym z tańców i za każdym razem, gdy muzycy go zagrali, na parkiecie pojawiały się coraz liczniejsze czwórki tańczących. Francesco i ja patrzyliśmy z zachwytem, jak Palmira i Andrea przyłączyli się do jednej z nich. Najpierw cała czwórka tworzyła koło; trzymali się za ręce, każde z nich wykonywało ćwierć obrotu w jedną stronę, pół obrotu w drugą; spódnice dam wirowały, a one same spoglądały zalotnie najpierw na jednego, a potem na drugiego z mężczyzn tworzących czwórkę. Potem następował szybki skok na bok, teatralny krok do przodu i cztery ręce łączyły się ze sobą. Palmira była pełna wdzięku, kokieterijna i ujmująca.

Nieco później zobaczyliśmy, jak Palmira i Andrea wymykają się na balkon i całują się tam pod księżycem wiszącym nad Zatoką Neapolitańską jak dorodny, egipski owoc. Gdy zobaczyłam, jak moja córka robi to, czego ja tak bardzo pragnęłam przez długie lata, moje serce ścisnęło się czułością — dla niej, dla mnie, właściwie nie wiedziałam. Może to z powodu muzyki, ale atmosfera zabawy i niedawny list Galileusza sprawiły mnie w dziwny nastrój.

— Nie wolno smucić się w taką noc — przywołał mnie do porządku Francesco.

— Nie. To nie smutek.

— O czym w takim razie myślisz?

— O Palmirze. Frunie jak motyl ku swej przyszłości — powiedziałam w zadumie. — Nieświadoma tego, jak szybko przemija życie. — Francesco słuchał uważnie. — Zrobiłam dla niej, co mogłam, ale jednocześnie pozbawiłam ją ojca i dziadka, narażałam na ciągłe i nagłe przeprowadzki oraz długie podróże, podczas których cały nasz świat pakowany był w skrzynie... Kiedyś bede musiała za to zapłacić.

— W jaki sposób?

— Choćby w taki, że mnie opuści, a ja zostanę sama.

— Sama? Nie musisz być sama. — Uniósł moją dłoń do ust.

Wyswobodziłam ją.

— Plotki, Francesco. Muszę być czujna. Plotki prześladują mnie wszędzie.

— A ten poeta w Wenecji? Loredano? To też tylko plotka?

— *Madonna benedetta*, to tylko chłopak obdarzony bujną wyobraźnią.

— Plotki sprawiają, że jestem zazdrosny, a zazdrość dodaje mi śmiałości. Jesteś wciąż młoda. Możesz mieć jeszcze jedną córkę. — Patrzył na mnie rozognionym wzrokiem.

— Ledwie stać mnie na tę jedną. Musisz zabrać się do roboty, Francesco, i zdobyć dla mnie jakieś większe zamówienia. Sam rozumiesz, że wkrótce będę musiała dać Palmirze posag.

Spojrzałam wymownie w stronę brzydkiej, ciemnowłosej hrabiny de Monterrey, która wraz z grupką kobiet znajdowała się w pobliskiej alkowie. Francesco popatrzył w tę samą stronę.

— Być może zechciałaby mieć jeszcze jeden portret, na

przykład jako jakaś postać z hiszpańskiej legendy — zastanawiał się Francesco.

— Czytasz w moich myślach.

— Na tym polega moja sztuka, Artemizjo, dlatego też jestem ci potrzebny.

— Widzę, że ciągle przebiera tymi swoimi palcami z żółtymi paznokciami, nawet jeśli nie pozuje do portretu. — Zaśmiałam się cicho. — Pewnego dnia, kiedy pozowała u mnie w pracowni, Palmira zaczęła przedrzeźniać ją za jej plecami. Zarzuciła na głowę czarny szal jak Hiszpanka, wciągnęła policzki, wybałuszyła oczy i zaczęła kręcić palcami. O mało nie roześmiałam się prosto w twarz hrabiny.

Francesco uśmiechnął się z pobłażaniem.

— Wiesz przecież, że na portrecie zrobiłam jej wyższe czoło i rozdzieliłam brwi, które ma zrosnięte? Dzięki temu jej wnuki będą mniej się bały, jeśli kiedyś będą podziwiał jej portret.

— Bardzo słuszne posunięcie. A więc wyświadczyłaś jej przysługę.

W tej właśnie chwili muzycy zaczęli grać florencki taniec *Venus tu w'as pñs* ułożony przez Wawrzyńca Wspaniałego. Wybiegłam na parkiet, żeby przyłączyć się jako druga dama do trójki. Sala wirowała kolorami sukien przy dźwiękach muzyki. Przez cały czas czułam na sobie spojrzenie Francesca. Kiedy taniec się skończył, bił mi brawo wraz z Andream i Palmirą.

Zdyszana oparłam się o filar. Hrabina stała po drugiej stronie sali, w tej właśnie chwili nie rozmawiała z nikim.

— To prawda, wyświadczyłam jej przysługę — powiedziałam do Francesca. — Może przekonasz się, czy nie zechciałaby wyrazić swej wdzięczności?

Posłusznie podszedł do niej, a ja odwróciłam się dyskretnie.

Prześliczna Palmira o rozmarzonych oczach znów wzięła Andree pod ramię, by po raz kolejny obejść sale. Inni mężczyźni wodzili za nią wzrokiem.

Ostatnio zdradzała szczególne upodobanie do niezwykle długich spacerów nad brzegiem Zatoki Neapolitańskiej; czy odbywała je w towarzystwie Andrei? Musiałam nie dostrzec spojrzeń, jakie wymieniali podczas dworskich uroczystości. Była nieświadoma jak jagniątko nad skrajem przepaści, choć przecież opowieści z mojego życia powinny nauczyć ją ostrożności. Martwiłam się o nią.

Co ja właściwie jej dałam oprócz licznych ostrzeżeń? Zrozumienie koloru i zasady tworzenia kształtów. Umiejętność rozumienia piękna. Dawałam jej przykład. I dałam jej miłość. Tę przede wszystkim.

Kiedy ja miałam osiemnaście lat, zeznawałam przed sądem w Rzymie; ona — była królową balu, była piękna i pewna siebie, czysta — przygotowana, by samodzielnie decydować o swoim życiu.

## BATSZEBA

Jeżeli masz zamiar malować, musisz się nauczyć malować akt kobiecy — powiedziałam jej któregoś dnia po kąpieli, było to jakiś czas po balu. — Tego właśnie oczekują od malarki. Don Ruffo chce mieć obraz przedstawiający Dawida i Batszebę. Namalujemy go razem. Zobaczymy, czy się zorientuje, która z nas namalowała Batszebe — Dorzuciłam dREW do ognia, zdjęłam szlafrok i ułożyłam się na niskiej ławce. — Narysuj mnie.

— Mamo!

Była tak zaskoczona widokiem ciała, mojego nagiego ciała, że przez dłuższy czas nie była w stanie zacząć, nie mogła nawet patrzeć.

— Zapomnij, że to ja. Niech ci się wydaje, że to wynajęła modelka. Pamiętasz, jak biegałaś po pracowni w Genui, kiedy malowałam Kleopatrze?

— To co innego. To nie byłaś ty.

— Była dobrą modelką, ponieważ nie przeszkadzało jej pozowanie nago. Mnie też nie przeszkadza. Nie mam nic do ukrycia. To jest ciało, które wydało cię na świat, *cara*. ~ Zamilkłam na chwilę, po czym dodałam: - Popatrz.

Jej spojrzenie wędrowało ostrożnie po mej postaci.

— Inaczej wyglądam niż zasznurowana w gorset, prawda? Skinęła głową.

— Czy ten widok zbyt brutalnie przywodzi ci na myśl twoją własną przyszłość?

— Tak jakby.

— Nie ma w tym nic złego, Palmiro — powiedziałam uspokajająco.

— To tylko inny aspekt kobiecości.

Narysowała pare kresek i zamarła, zaciskając ołówek w dłoni.

— Nie mogę.

— Najpierw wymierz proporcje, jak przy każdym innym rysunku. Potem zacznij od owalu głowy i rysuj resztę postaci.

Zaczęła na nowo, powoli i ostrożnie.

— Zwróć uwagę, jak ciężar ciała tworzy asymetrie kształtów — powiedziałam.

— Boje się, co wyjdzie z tego rysunku.

— Rysuj to, co widzisz, a nie będziesz musiała się niczego obawiać. Nie próbuj mnie upiększać. Nie pomijaj fałd skóry. Przypatrz się, jak zmieniają się sutki kobiety od karmienia niemowlęcia. To jest historia, którą opowiada moje ciało. Naszym zadaniem, twoim i moim, jest malowanie prawdy. Inni zaś mają dostrzec w niej piękno.

Nie mówiłam już nic, a ona w końcu zabrała się do rysowania. Był to czas bliskości i kontemplacji, przez te tygodnie, kiedy pracowała nad szkicami wstępnymi do obrazu, rozmawiałyśmy wyłącznie przyciszonym głosem.

Pewnego popołudnia pozowałam Palmirze. Rozległo się stukanie do drzwi. Przerwała pracę i poszła otworzyć.

— To posłaniec — powiedziała i podała mi list. Znajdowała się na nim pieczęć poczty Jego Wysokości

króla angielskiego. Podważyłam ją trzonkiem pędzla. Rozpoznałam charakter pisma ojca.



Najdroższa Artemizjo,

Porzia napisała mi, że przebywasz w Neapolu. Ja ciężko pracuje nad malowidłami przeznaczonymi do głównego hallu w Queen's House w Greenwich pod Londynem. Jest to alegoria pokoju i sztuk rozkwitających pod opieką angielskiej korony w technice *quadro riportato*. Jeśli zechcesz, jest też praca dla Ciebie. Król Karol kazał mi prosić Gę, byś przybyła jak najprędzej. Dwór Stuartów odnosi się do mnie przyjaźnie. Jest tu trochę ludzi, którzy mówią po włosku. Królewski architekt Inigo Jones spędził kilka lat w miastach Italii. Będziesz mile widzianym gościem na dworze, tak samo jak będziesz mile widziana przeze mnie. W nadziei otrzymania odpowiedzi „tak” napisanej twoją dłonią, zachowuję dla Ciebie kobiecą postać Mocy.

Twój kochający ojciec Orazio Gentileschi Jestem samotny.

Miałabym zostawić moich klientów, których z takim trudem zdobyłam? Zabrać Palmirę z dala od kogoś, kogo kochała? Nie mogłam i nie zamierzałam znowu jej tego zrobić. Położyłam list na rozżarzonych węglach w kominku. Przy słowie „samotny” pojawiły się jęczyczki ognia. Palmira popatrzyła na mnie ciekawie.

— Nic ważnego — powiedziałam i z powrotem przybrałam pozę.

Kiedy tylko pergamin spalił się na popiół, w moich myślach zaczęły powracać słowa. „Najdroższa...” „mile widziana...” „Jestem samotny”. Słowo „najdroższa...” sprawiło, że zawstydziałam się — zniszczyłam ten list i nawet go jej nie pokazałam.

Następny list przyszedł za ledwie parę tygodni później,

podczas gdy malowałyśmy obie. Oznaczało to, że nawet nie czekał na moją odpowiedź — gdybym zdecydowała się odpowiedzieć.

Moja jedyna i ukochana córeczko Artemizjo, Jestem samotny. Umieram. Wybacz staremu głupcowi. Pomóż mi skończyć.

Tata

Poczułam, że serce mi pęka. Tylko to jedno słowo. „Tata”. Wydobyło na światło dzienne coś, co jak sądziłam, dawno już umarło. Przypomniałam sobie, jak brał mnie na barana podczas naszych pikników na via Appia. Jak płakał, mówiąc mi, że matka umarła. Jak ściskaliśmy się za ręce, oglądając najwspanialsze dzieła sztuki Rzymu. Jak uczył mnie rysować postacie z *Ikonologii* Ripy. Kiedy jeszcze byłam zupełnie małym dzieckiem, pokazywał mi, które pigmenty wymagają więcej oleju, którym wystarczy mniej, by farba miała odpowiednią gęstość. Uczył, które można przygotować wcześniej, a które bezpośrednio przed malowaniem. Które pigmenty trzeba utrzcć bardzo drobno, a które grubiej, żeby zachować ich wyrazistość. *Alchiwista di colore* — tak mnie nazywał. Mój tato, który sprawił, że bardziej niż cegokolwiek na świecie pragnęłam być malarzem, a potem uczynił to tak trudnym.

Wsunęłam list do rękawa i zabrałam się do malowania. Palmira jęknęła przy swoich sztalugach.

— Nie wychodzi mi.

— *Cara*, cała rozkosz płynąca z malowania polega właśnie na tym bolesnym poczuciu, że ci nie wychodzi; wtedy próbujesz czegoś innego, próbujesz znowu i znowu,

aż w końcu osiągniesz pożądany rezultat. Być może nie będzie doskonałe, ale z pewnością twoje dzieło będzie lepsze niż na początku. Kiedy zaś dojdiesz do tego etapu, poczujesz się wspaniale, najwspanialej na świecie, i będziesz wiedziała, że na to zasłużyłaś.

Wyglądała żałośnie, miała łzy w oczach. Może powinna przerwać na jakiś czas. Odłożyłam pędzel i przeczytałam jej list.

— Dziadek! — krzyknęła. Minione lata odeszły w niepamięć. Schwyciła list jak niecierpliwa, mała dziewczynka. — Tamten list, który spaliłaś, też był od niego, prawda?

— Tak.

— Dlaczego mi go nie pokazałaś? On pisze, że jest umierający. — Patrzyła mi w oczy.

— Tego nie powiedział w pierwszym liście.

— Ale i tak nie miałaś prawa go spalić! Nawet mi nie pokazałaś.

— Może, ale co teraz mamy robić? Rzucić wszystko, co zdołałyśmy osiągnąć? A Andrea? Wyjechać właśnie teraz, kiedy...

Przerażona Palmira zasłoniła usta rękami.

— ...kiedy jesteś taka szczęśliwa? Nie mogę ci tego zrobić. — Wzięłam ją za reke- — Znasz swojego dziadka tylko z jednej strony i to nie jest cała prawda o nim. Myślałam, że może nigdy nie będę musiała ci tego mówić, ale pisząc ten list, on wcale nie myślał o nas. On myśli tylko o sobie.

Palmira nachmurzyła się. Wtedy, w Genui, była szczęśliwa, a on ją rozpieszczał.

— Jak możesz tak mówić? Mówiłam cicho, wyraźnie, rzeczowo.

— Pogodził się z mężczyzną, który mnie zgwałcił, po-

nieważ go potrzebował. Zaprzyjaźnili się na nowo. Jak myślisz, jak się czułam, kiedy mi to powiedział? Milczała.

— Teraz jesteś już wystarczająco dorosła, żeby to zrozumieć, więc powiem ci coś jeszcze. Kiedy byłam w twoim wieku, dwie akuszerki dokonały oględzin moich wstydliwych części podczas posiedzenia sądu, a on na to pozwolił... siedział tam i gapił się razem z całym tłumem obcych ludzi, którzy przyszli na rozprawę w poszukiwaniu rozrywki... dlatego że chciał dostać z powrotem pewien obraz. Gdyby nie to, mógłby doprowadzić do zakończenia procesu znacznie prędzej.

Milczała.

— I dla tego człowieka mamy rzucić wszystko i jechać? Nic. Nie *zadała ani* jednego pytania, jej powieki nawet nie drgnęły- Nie wydała żadnego dźwięku, nie uczyniła żadnego gestu.

Odsunęłam krzesło i wstałam, wciąż czekając, żeby się odezwała.

Zabrałam jej list, poszłam do drugiego pokoju i nalałam sobie kieliszek wina, usiadłam i wypiałam — szybko, trzema łykami. Mój kielich goryczy. Moja córka była pozbawiona współczucia dla innych ludzi.

Litery i cyfry w dacie — „24 grudnia 163...” — były ścieśnione przy prawym marginesie kartki, tak że ostatnia cyfra była nieczytelna. Nie świadczyło to zbyt dobrze o malarzu, który lepiej powinien rozplanować przestrzeń. W tych nieudolnie nabazgranych cyfrach było coś żalnego.

Przeczytałam list jeszcze raz. „Jestem samotny. Umieram. Wybacz staremu głupcowi. Pomóż mi skończyć”. Wiedziałam, co ma na myśli, pisząc, że jest samotny.

Umierania nie mogłam zrozumieć. To było coś, co nieraz malowałam, niejednokrotnie wyobrażałam sobie, ale nic o tym nie wiedziałam. Pomóc mu skończyć — ale co? Nie mogło chodzić tylko o malowidło na suficie.

Chciał, żebym przyjechała i pomogła mu umrzeć. Tak jak każdy tęsknił, chciał być otoczony miłością. Ja dla siebie pragnęłabym tego samego, umrzeć w ramionach córki, może kochanka. Może wystarczyłoby, żeby był przy mnie ktoś obcy, byle tylko ten ktoś trzymał w rece pędzel Michała Anioła i muskał nim moje skronie, by przypomnieć mi, że był kiedyś człowiek, który uznał mnie za godną takiego podarunku. Przygotowujemy się do śmierci, hołubiąc wspomnienie tych chwil, w których czuliśmy, że nawet najmniejszy z nas jest potrzebny dla pełnego wyrażenia się Boga. Być może ojciec potrzebował kogoś, kto wyszeptałby mu to do ucha po włosku.

Niech zrobi to ten człowiek o dziwnym imieniu, Inigo, czy jak mu tam, niech mu to wyszepcze.

Wróciłam do dużego pokoju.

— Wróćmy do pracy — powiedziałam jak najłagodniej. Sięgnęłam po pędzel i próbowałam skupić się nad moim malowaniem i pozwolić Palmirze pracować nad jej własnym obrazem. Po chwili jednak Palmira cisnęła pędzel na stół stojący pomiędzy nami. Wzdrygnęłam się nerwowo.

— Nie potrafię tego zrobić. To za trudne! — krzyknęła. Popatrzyłam na jej Batszebę. Proporcje były dobre, ale

postać była jak z drewna. Gest Batszeby pozbawiony był wyrazu. Moja rodzona córka nie potrafi ukazać ekspresji.

— Musisz odmalować jej uczucia, akcentując kształt policzka za pomocą...

— Światła i cienia — powiedziała kpiącym głosem. Patrzyła na mnie tak, jak zdarzało jej się już wiele razy

wcześniej: zwężone, nieprzyjazne oczy, zaciśnięte szczęki. Miałam nadzieję, że to spojrzenie minie z czasem, w miarę jak będzie dorastać.

— No widzisz, sama wiesz, co trzeba robić.

— Tak, ale ja nie potrafię tego zrobić. Nie tak jak ty.

— To przyjdzie z czasem.

— Kiedy? Gdy będę miała trzydzieści lat? Nie mam zamiaru poślubić malarstwa tak jak ty.

— Czy ty wiesz, co teraz powiedziałaś?! — zaczęłam mówić ostrym głosem.

Patrzyła bezmyślnie na dolną krawędź swojego obrazu.

— No dobrze. Najpierw musisz zdecydować, co jej twarz ma wyrażać, a potem znajdziemy sposób na ukazanie tego. Znasz historie. Zastanów się, jaką była kobietą, co czuła, co myślała, obnażając się przed Dawidem?

— Nie wiem! — zamachała rękami jak Cesare Gentile. — Nie potrafię wymyślić, co ktoś myśli. Nie obchodzi mnie to!

— Za mało cie to obchodzi. W niewystarczającym stopniu. Ale żeby być malarzem, musisz się interesować ludźmi i muszą cie obchodzić ich uczucia. Musisz rozumieć ludzkie uczucia, żeby móc je przekazać. A ty nie rozumiesz. — Stukałam trzonkiem pędzla w stół, akcentując każdą sylabę

— Skąd wiesz?

— Ponieważ opowiadam ci o upokorzeniach i cierpieniach mojego życia, a ty nie mówisz nic. Nic! Nie masz w ogóle współczucia dla innych ludzi, dla ich bólu i dramatów, jakie rozgrywają się w ich życiu.

— To co innego. Nie obchodzą mnie ludzie na obrazach.

— Ludzie są ludźmi, niezależnie od tego, czy oddychają tu i teraz przed twoimi oczami, czy żyli dawno temu.

Osoba, którą malujesz, musi cie obchodzić tak samo jak rzeczywista; jakby trafne i prawdziwe przekazanie jej ekspresji na twoim obrazie było najważniejszą rzeczą na świecie, przynajmniej w danym momencie. A jeżeli nie obchodzi cie rzeczywista osoba stojąca przed tobą, to w jaki sposób...

— Kto powiedział, że mnie nie obchodzi?

— Twoje milczenie. Właśnie teraz. Kiedy opowiedziałam ci, co robili ze mną w sądzie, na co zgodził się twój dziadek. Nie mam ochoty rozdrapywać zabliznionych ran. To dla mnie zamierzchła przeszłość. Zmęczyło mnie rozmyślanie o tym. Ale ty usłyszałaś te historie po raz pierwszy i nie powiedziałaś ani słowa.

— A co mam powiedzieć?

— Powiedz, co czujesz.

Patrzyłyśmy na siebie przez chwile w głuchym milczeniu. Próbowалаm przełknąć ślinę, ale czułam się tak, jakbym w gardle miała pełno piachu.

— Widzisz? Nie okazujesz żadnych uczuć, ani słowami, ani malarstwem. Tymczasem uczucia artysty są samym rdzeniem jego sztuki. Czy chcesz na zawsze pozostać ograniczona, tak jak Agostino? On nie potrafi malować ludzi, bo nie ma serca. Dlatego jego sztuka przeminie. A co kryje się w tobie? Serce, czy tylko stroje i marzenia? Serce to nic innego jak wyobraźnia, współodczuwanie z drugą osobą. Pomyśl. Jakie gwałtowne uczucie skłoniło Batszebę, by zdradzić męża? Poczuj je — dotknęłam jej brzucha — tutaj. Jakie uczucia dla Andrei płoną w tobie? Musisz posłużyć się własnymi uczuciami i malować własną krwią, jeśli to będzie konieczne, by odkryć i uzasadnić prawdziwość swojej wizji!

— To szaleństwo. Nikt by tego nie zrobił.

— Renata by to zrobiła! — warknęłam. — Zrobiłaby wszystko, żeby dobrze malować.

— Ta mała dziwka... Pamiętam, jak błagała: „Weź mnie ze sobą, weź mnie ze sobą”, kiedy wyjeżdżałyśmy; zachowywała się jak małe dziecko.

— O tym właśnie mówię. Determinacja. Musisz chcieć czegoś tak mocno, żeby sama myśl, że możesz to stracić, doprowadzała cie do szaleństwa. Trzeba było zabrać ją ze sobą. Ona nigdy by się nie poddała, nie jęczałaby, że to za trudne. Bo oczywiście, to jest trudne. Gdyby nie było, wszystkie pomywaczki mogłyby uprawiać malarstwo. Ale one nie malowałyby krwią ociekającą z ich dłoni na płótno. A ja malowałam!

— Kiedy? Nigdy tego nie robiłaś!

Rzuciłam pędzel i rozpostarłam palce tuż przed jej oczami.

— Przyjrzyj się dobrze, Palmiro. Długo i dokładnie — powiedziałam to wyraźnie, oddzielając słowa. — Trudniej na to patrzeć niż na moją nagość, czyż nie? Powiedz, co widzisz?

— Linie.

— O tak, linie. A więc posłuż się swoją wątlą wyobraźnią i powiedz mi, skąd się wzięły.

— Zawsze mówiłaś mi, że to oznaka starości... — powiedziała niepewnie.

— To dlatego, że chciałam, byś nie widziała brzydoty tego świata. To był mój błąd. To nie są oznaki starości, Palmiro. Mam je, odkąd byłam w twoim wieku.

Szłam w jej kierunku, pochylona do przodu, powoli, krok za krokiem, z ręką wyciągniętą ku jej twarzy; ona cofała się.

— To są ślady tortur, blizny pozostałe po ranach, które



zadano mi tego samego dnia, gdy gwałciciel nazwał mnie dziwką. A więc nie używaj tego słowa pochopnie!

Chwycałam ją za łokieć i poprowadziłam do mojej *Judyty odcinającej głowę Holofernesa*.

— Na tym materacu jest moja krew i od mojego cierpienia zaczęła się ta kariera, dzięki której masz co jeść i masz balowe suknie, więc lepiej nie mów, że to szaleństwo.

Wyszłam, trzaskając drzwiami. Niech się zastanawia, czy wróćę- Jej życie było zbyt łatwe, a kiedy czyjeś życie jest zbyt łatwe, wyobraźnia przestaje się rozwijać.

Szłam aleją, zrywając liście z krzewów. Palmiro, Palmiro. Jaki błąd popełniłam, co spowodowało, że jesteś tak nieczuła? Ani pomruku współczucia. Żadnego dotknięcia reki. Ani śladu zrozumienia na twojej twarzy.

Przypomniało mi się, że kiedy na ostatnie urodziny podarowałam jej pędzel Michała Anioła i powiedziałam, że ten pędzel jest najcenniejszą z rzeczy, jakie posiadam — wzięła go do ręki, musnęła nadgarstek włosiem, przez chwilę udawała, że nim maluje, a potem oddała mi go, mówiąc: „Zachowaj go, mamó”. Wtedy myślałam, że zrobiła to z szacunku dla mnie, ale nie. To nie było to. Ona po prostu nie czuła, co to znaczy!

Spacer przyniósł mi ulgę. Zimowy zmierzch zapadał szybko, okiennice domów pozamykały się. Szłam w kierunku niewielkiego wzgórza, z którego widać było kawałek morza, na szczycie zatrzymałam się, żeby odetchnąć.

Nie, życie Palmiry wcale nie było łatwe. To niezupełnie tak. Widziała, jak żyją bogacze, a potem wracała do domu, w którym było zimno, bo nie miałyśmy pieniędzy na opał. Cztery razy przenosiłyśmy się z miasta do miasta, musiała porzucić przyjaciół i znajome miejsca. Przysięgam, że nie zrobię jej tego więcej. Czy teraz, skoro zna już całą moją

historię, zdoła mi wybaczyć, że dla dobra sztuki pozbawiłam ją obecności ojca? Czy też uważała, że narzuciłam jej zbyt wielkie poświęcenie? Czymże w końcu jest sztuka, żeby płacić za nią tak wielką cenę?

Musiałam pogodzić się z tym, że historie opowiadane przeze mnie w obrazach nic nie znaczą dla Palmiry, choć dla mnie tamte kobiety były równie rzeczywiste, jakby były moimi siostrami. Na szczęście kilku zleceniodawców intrygowała kobieta-malarz, która maluje kobiety. Jeśli jednak kobiety, które malowałam, były obojętne mojej rodzonej córce, kogo jeszcze mogły obchodzić? Czy kiedy upłyną lata i stulecia, moja praca będzie miała jakiegokolwiek znaczenie? Musiałam wierzyć, że jest jakiś sens malowania każdej Batszeby, każdej Judyty, Lukrecji, Zuzanny, Gdybym w to nie wierzyła, oznaczałoby to całe życie poświęcone zajęciu pozbawionemu celu.

Patrzyłam na owal księżyca wschodzący nad zatoką i oświetlający chybotliwy szlak ciekłej cyny na dole. Brakowało mu połysku. Nocna perła Galileusza, matowa i płaska jak brudny talerz. Czy Galileusz czuł, że jego praca pozbawiona jest celu, gdy musiał wyprzeć się swych poglądów?

Uspokoiliłam się wreszcie i wróciłam do domu. Cicho otworzyłam drzwi. Palmira wpatrywała się w kafelki podłogi, trzymając w ręce kawałek chleba. Na talerzu zostało nieco sera i dwa plasterki kiełbasy. Przesunęła go w moją stronę. Nalałam wina do kieliszka i usiadłam.

Wpatrywałam się w rubinowy płyn.

— Czego chcesz tak naprawdę? — moje słowa zabrzmiały głucho, pusto.

— Chcę wyjść za mąż.

Oderwałam kawałek chleba i umoczyłam go w oliwie.

— Chcesz tego bardziej niż czegokolwiek na świecie? Mówię właśnie o czymś takim.

Skinęła głową. Jej dłonie spoczywały na kolanach, wierzchem do góry, zagięte jak muszelki. Jak dotąd nie widać było na nich śladów pracy ani cierpienia.

— Nie chodzi o sam pomysł, żeby wyjść za mąż, tak samo jak nie chodzi o samą idee bycia malarzem.

— Wiem, wiem — westchnęła głośno, znużona. — Naprawdę chce wyjść za mąż. Chce poślubić mężczyznę, a nie pracę.

Na to nie mogłam odpowiedzieć, bo kłótnia zaczęłaby się na nowo.

— Andrea też tego chce. Powiedział mi to podczas balu — mówiła takim samym marudnym głosem jak dawno temu we Florencji.

Przypomniało mi się, jak kiedy była jeszcze dzieckiem, Piętro i ja braliśmy ją ze sobą do najwspanialszych kościołów i galerii miasta. Jak byliśmy wszyscy ze sobą, razem, jak jedno ciało i jedna dusza — kiedy biskup udzielał jej chrztu w Baptysterium. Jak piękno ciała Pietra sprawiło, że na nowo zapragnęłam miłości. I pomyślałam też, jak bardzo Palmira musi tęsknić za nią. Czyż mogłam oczekiwać, że moją pasję życia przedkładać będzie nad swoją? Miała szanse dokonać czegoś, o czym ja przez całe życie tylko marzyłam — wyjść za mąż z miłości.

— Ja bym tylko chciała, żebyś pragnęła czegoś tak bardzo, jak bardzo ja pragnę dobrze malować. — Wypiłam łyżeczek wina i uśmiechnęłam się do niej. — Spróbuje się czegoś dowiedzieć.

— Naprawdę?

— Zazwyczaj nie rozpoczyna się pertraktacji ze strony rodziny narzeczonej, ale Francesco nam pomoże. Ojciec Andrei jest dworzaninem hrabiny. Francesco powiada, że wyświadczyłam jej pewną przysługę. Będzie więc wiedział, co trzeba powiedzieć, żeby wszystko to wyglądało na jej pomysł.

Palmira rzuciła się ku mnie i objęła mnie, klęcząc.

— To jeszcze nie wszystko. Pozostaje kwestia posagu. Puściła mnie i usiadła na piętach.

— Długo będę musiała pracować, zanim zdobędę tyle pieniędzy, ile spodziewać się może rodzina Andrei — powiedziałam. — Ty także będziesz musiała pracować. Być może łatwiej ci to przyjdzie, skoro masz przed sobą cel, który jest dla ciebie ważny. Nie jesteś wcale zbyt młoda, żeby sprzedać tę Batszebę, więc jutro wcześniej rano obie bierzemy się do roboty.

Piłyśmy z tej samej szklanki, rozmyślając o przyszłości. Przypomniałam sobie o liście ojca, który wciąż leżał na stole. Przeczytałam go jeszcze raz. Właściwie mogłam pojechać do Anglii — sama, po ślubie — jeśli w ogóle dojdzie do ślubu. Być może była to dla mnie jakaś szansa, żeby... właściwie, żeby co? Nie wiedziałam.

Przesunęłam list w jej stronę.

— Jak myślisz, co powinnam z tym zrobić?

— Myślę, że powinnaś jechać.

— Dla niego rzucić wszystko, zburzyć moje dotychczasowe życie?

— Nie dla niego. Dla ciebie samej. Żeby powiedzieć mu, jaki był samolubny. Czy kiedykolwiek czuł się odpowiedzialny za to, co zrobili z twoimi rękami? Albo za te wszystkie upokorzenia? Czy powiedział kiedyś, że jest mu przykro?

Odetchnęłam powoli i głęboko, byłam zaskoczona. Spoglądałam na słowo „tato”.

— Nie — szepnęłam.

— Powinnaś jechać.

— To oznacza mniejszy posag dla ciebie. I skromniejszą wyprawę.

— Wiem.

— To oznacza mniej pościeli, sukien, koszul. Skromniejszy ślub.

— Powinnaś jechać.

## PALMIRA

W dniu ślubu Palmiry wpięłam w jej włosy gardenię i cofnęłam się, żeby popatrzeć. Delia uszyła dla niej jasno-lawendową spódnicę wierzchnią z najpiękniejszego jedwabiu, jaki kiedykolwiek widziałam; falowała ponad suknią balową Palmiry, ciągnąc się z tyłu po ziemi tak lekko jak morska piana. Zastąpiła białe kokardy lawendowymi i zmarszczyła z przodu wierzchnią spódnicę, by ukazać wyglądający spod niej gorset w kolorze błękitu.

— Przepiękne kolory. Wyglądasz jak świt w raju.

— Sądzisz, że Andrea też tak będzie uważać?

— Wszyscy będą tak uważać. Szkoda, że Piętro nie może cię zobaczyć. Byłby zachwycony i na pewno bardzo szczęśliwy. Ojciec także byłby z ciebie dumny.

— Nie rozczulaj się, mamó. Pamiętaj, masz mu powiedzieć, że moim zdaniem był samolubny.

— Nikt nie jest całkiem dobry ani całkiem zły, Palmiro. Z całą pewnością bardzo chciałby być tu dzisiaj. Myślmy dzisiaj tylko o miłych rzeczach, chcę, żebyś jak najmilej wspominała ten dzień.

Usiadłam na krawędzi łóżka i uniosłam pokrywę szkatułki mojej mamy. Trzymałam tam moje najcenniejsze pamiątki, nie było ich wiele: matczyny diadem z heliotropów, listy Galileusza, liściki Palmiry z czasów, kiedy

uczyła się pisać. Na samym dnie leżał mały, płócienny woreczek. Powąchałam go: oregano. Zapach słaby, ale wciąż wyraźny. Nie były noszone od czasów, gdy Umiliana pozowała mi do *Magdaleny*. I tak być powinno, bo Umiliana była zakochana. A miłość Grazielli do jej męża z pewnością starła wszelką skazę z niedoskonałych pereł podarowanych jej jako fałszywy zastaw miłości.

— Chodź tutaj, *cara*.

Usiadła obok mnie, szeroko rozpościerając spódnice.

— Co, mamusiu? Zaśmiałam się.

— Nie nazwałaś mnie w ten sposób od wielu lat. — Uśmiechnęła się, mrugając powiekami, po tonie mojego głosu poznała, że mam dla niej coś specjalnego. — Otwórz dłoń.

Wysunęła otwarte dłonie przed siebie. Dotknęła go kciukami. Otworzyła oczy i rozpoznała woreczek.

— Mamo! Naprawdę?

— Otwórz.

Wysypała kolczyki na dłoń i westchnęła z zachwytem. Obracała je kolejno w palcach, przyglądając się wypukłościom i zagłębieniom pereł, uniosła je i patrzyła, jak się kołyszają.

— Załóż je. Pamiętasz? Należały kiedyś do Grazielli.

— Ona chce, żebym je założyła?

Odwrociłam twarz, żeby nie spostrzegła, że kłamię.

— Żebyś je dostała.

— Naprawdę?!

— Francesco dopisał je już do inwentarza twojej wyprawy. Załóż je.

— Przysunęłam moje stołowe lustro. — Widzisz? Pięknie w nich wyglądasz.

Przejrzała się najpierw z jednej, potem z drugiej strony.

— Graziella byłaby szczęśliwa, gdyby mogła zobaczyć cię w nich. Ona też kiedyś była mężatką.

— Nie wiedziałam.

— Te kolczyki były podarunkiem od jej męża, pewnego mężczyzny imieniem Marcello. Graziella... — urwałam w pół zdania. Tej historii nie mogłam jej opowiedzieć w takim dniu, nawet jako delikatne ostrzeżenie. Dziś ma myśleć tylko o szczęściu. A poza tym, jeśli okazałoby się, że Palmira nie potrafi współczuć smutkowi Grazielli, byłoby to więcej, niż potrafiłabym znieść.

— Co Graziella?

— Graziella przez te wszystkie lata powiedziała mi dużo rzeczy, ale chciałabym, żebyś mi obiecała, że jedną z nich zawsze będziesz pamiętać: Nie wierz złudzeniom.

Czekając na don Francesca, który poprowadzić miał Palmirę przez kościół, siedziałam w pierwszej ławce, przyglądając się ołtarzowi udekorowanemu czerwonymi różami. Ślub nie był tak wspaniały, jak w marzeniach Palmiry, kiedy była małą dziewczynką, z pewnością jednak był lepszy niż mój — ukradkowy, w prawie pustym kościele. Obejrzałam się za siebie i uśmiechnęłam się do zaproszonych gości — kilku malarzy, ludzie, dla których malowałam, mój aptekarz, mój stolarz i Delia... tak bym chciała, żeby Graziella i Paola mogły być tutaj.

Odziany w swój czarny aksamitny kaftan z koronkowym kołnierzem i mankietami Francesco pojawił się w drzwiach kościoła i podał ramię Palmirze. Prowadził ją do ołtarza z taką dumą, jakby był jej rodzonym ojcem. Poczulałam przyływ wdzięczności. Pertraktacje przeprowadził wprost po mistrzowsku. Obiecał w moim imieniu rodzi-



com pana młodego obraz, który namaluje po powrocie z Anglii, i dzięki temu przystali na skromny posag, jaki mogłam zaoferować. Najważniejsze, że miała prawdziwe *impalmamento*, a jej zaręczyny ogłoszone zostały trzykrotnie podczas mszy w parafialnym kościele.

Przebrzmiały ostatnie dźwięki potężnych organów; Francesco przekazał pannę młodą Andrei, którego młodzieńcza twarz promieniowała miłością.

Kiedy ksiądz poprosił państwa młodych do ołtarza, Palmira wpatrywała się w Andreę oczami zamglonymi z zachwytu. Czułam, jak ogarnia mnie ciepło, tak jakbym to ja miała zostać dziś poślubioną i kochaną tej nocy. Powtarzała za kapłanem przysięgę głosem, w którym brzmiała niewinność. Kiedy ksiądz ogłosił *Ego coniungo vos in matrimonium* i złączył ich ręce, ze szczęścia zakreśliło jej się w głowie. Mnie także.

Modły kapłana i odpowiedzi wiernych zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Nie mogłam się doczekać, by uściskać ją i wyszeptać do ucha jakąś mądrą radę, tylko jaką? Żeby każdego dnia wynalazła coś, czym będzie mogła mu się przypodobać? Żeby nie zważała na żadne oznaki niewierności i kochała go mimo wszystko? Żeby dbała o zgodę w małżeństwie i była posłuszna teściowej? Poczułam w sercu bolesne ukłucie na myśl, że teraz Palmira będzie bardziej córką tej kobiety niż moją.

Podczas wieczerzy weselnej Francesco, spoglądając ku szczytowi stołu, gdzie siedzieli młodzi, przechylił się w moją stronę i spytał półgłosem:

— Czyż to nie byłoby piękne, gdyby przez całą resztę życia darzyli się wzajemnie takim uczuciem jak w tej chwili?

— To nie jest wykluczone, jeśli ona będzie miała dość rozumu, by nie pozwolić mu otrząsnąć się z oczarowania,

by sprawić, żeby czuł się prawdziwym mężczyzną, i jeśli nie będzie wymagać zbyt wiele.

— A jeśli nie?

— Jeśli nie, też da sobie radę. Zawsze zostaje jej malarstwo.

Podając mi na widelcu kawałek karczocho i uśmiechając się, powiedział:

— Tak więc od tej chwili, moja piękna, utalentowana i pełna wdzięku damo, jesteś wolna od trosk macierzyństwa. Możesz być bez reszty sobą. Możesz...

— Nigdy nie będę wolna od trosk macierzyństwa. Palmira na zawsze pozostanie moją córką. *Grazie a Maria*, zawsze miała możliwość wyboru. Dziś wieczór i zawsze będę modlić się, by o tym pamiętała.

— A komu jeszcze jesteś wdzięczna za to, że mogła poślubić mężczyznę, którego sobie wybrała?

Spojrzałam na niego z ukosa i trąciłam kieliszkiem jego kieliszek.

— Tobie, don Maringhi, mojemu wspaniałemu mediatorowi.

— Mediatorowi? Tylko tyle?

Zamknęłam oczy, uśmiechnęłam się i wzruszyłam ramionami.

— Chciałbym tylko, żebyś podczas pobytu w Anglii, podczas tej bezsensownej wyprawy wiedziała, że czekam na twój powrót... by nadal służyć ci wiernie.

— To nie jest bezsensowna wyprawa.

— Cóż więc? Spełniasz swój obowiązek jako córka?

— Nie jestem pewna.

— Po co więc tam jedziesz?

— Żeby się przekonać, na co mnie jeszcze stać, choćby po to... - Wypiłam łyk wina, odwracając się nieco w jego

stronę. — Nie zapominaj, że to w końcu on, mój ojciec, nauczył mnie tej sztuki, z której i ty korzystasz.

Ksiądz powrócił z sypialni znajdującej się ponad salą jadalną; spryskał właśnie łożo małżeńskie świeconą wodą.

— Wszystko gotowe — oznajmił.

Przyjaciele Andrei zaczęli zachowywać się hałaśliwie, rzucając docinki pod adresem młodych; poczęli śpiewać sprośne piosenki miłosne, wskazując pełnymi kieliszkami na sufit. Młode kobiety, którym nie wolno było uczestniczyć w mszy ślubnej, ale pojawiły się na weselu, rozsypały czerwone płatki róży na schodach wiodących do ich sypialni. Nagle uświadomiłam sobie, co symbolizują: dziewiczą krew mojej córki. Młodzi ludzie skupili się wokół Palmiry i Andrei, ponaglając ich, by udali się do swej łożnicy. Przepchnęłam się przez tłumek, stanęłam obok Andrei i pociągnęłam go za łokieć. Schylił się, tak że mogłam wyszeptać mu do ucha:

— Nie bądź zbyt gwałtowny. To delikatny kwiatek. Została mi tylko krótka chwila, by objąć Palmirę

ramionami i powiedzieć cicho:

— Łatwiej będzie, kiedy się rozluźnisz. Nic się nie stanie, jeśli mu powiesz, żeby się zbytnio nie spieszył.

— Nie martw się, mamó. On mnie kocha.

— Śmieję się choć trochę każdego dnia, cokolwiek by się działo.

— *Si*, mamó.

W następnej chwili Palmira i Andrea zostali wydzwignięci na ramiona młodych mężczyzn, którzy nieśli ich na górę po schodach. Palmira rzuciła mi pożegnalne spojrzenie, gardenia wysunęła się nieco z jej włosów, a na twarzy malowało się rozbawienie i udawana trwoga. Gardło ścisnęło mi się ze szczęścia i wzruszenia. Posłałam jej pocałunek.

## PAOLA

Powóz dowiózł mnie do głównej stacji pocztowej w Rzymie. Mineły dopiero dwa tygodnie, a ja już stęskniłam się za Palmirą. Nic dziwnego — do jej ślubu nie było dnia, którego nie spędziłybyśmy razem. Oddałam skrzynie i torbę do przechowalni, by ruszyć od razu do Santa Trinita.

Paola otworzyła bramę- Pobladła, nie cofnęła się, by mnie wpuścić.

— Co się stało?

— Musze ci coś powiedzieć.

— O Grazielli?

Skinęła głową i rozejrzała się niespokojnie dookoła.

— Nie mamy dokąd pójść — powiedziała. Wydało mi się, że zastanawia się nad jakimś miejscem, gdzie Graziella nas nie znajdzie.

— Może do kościoła?

— Nie, chyba najlepiej tutaj. — Wskazała na krużganek. Usiadłyśmy na tej samej ławeczce, co ostatnio z Graziellą. Wzięła głęboki wdech, jakby chciała nabrać sił.

— Powiedz mi.

— Umarła.

Oślupiałam. Nie mogłam tego pojąć. Nie byłam w żaden sposób na to przygotowana.

— Kiedy?

Wykonała niejasny ruch ręką.

— jak to się stało? Twarz Paoli wykrzywił ból.

— Wyszła na zewnątrz.

— I to ją zabiło?

— Wychodziła z klasztoru. Wiele razy.

— Jak często?

— Wiele razy. Zazwyczaj między jutrznią i laudą. Chciała zobaczyć Rzym.

Poczułam, jak wyrzuty sumienia wkradają się w mój umysł niczym jadowity wąż. „Chodź, skosztuj zakazanego owocu. Okaż nieposłuszeństwo świętemu zakonowi”.

— Ale w jaki sposób to ją zabiło?

— Zaraza.

— To nie do wiary. Zaraza? Czyżby nie wiedziała?

— Oczywiście, że wiedziała. Ale to było silniejsze od leku. Kiedy raz wyszła poza mury klasztoru, nie mogła przestać. Widziała rzeczy, który czyniły ją szczęśliwą. — Wpatrywała się we mnie załzawionymi oczami, jakby bała się, że nie zrozumie. — Za każdym razem czuła się potem lepiej przez jakiś czas.

Zrobiło mi się słabo, wpiłam dłonie w brzeg ławki. Próbowałam pojąć ogrom jej pragnienia i przypominałam sobie, jak je w niej podsycalam.

— Dlaczego nie napisałaś do mnie?

— Wybacz, Artemizjo. Nie potrafiłam.

— W jaki sposób wydostawała się na zewnątrz? Paola przesuwiała paciorki różańca.

— Słyszałam, jak płacze po nocach. Jej zduszone szlochanie. Próbowała je stłumić. Nie mogłam już tego słuchać — podniosła głos o pół tonu, jakby broniła się przed nie wypowiedzianym oskarżeniem. — Była moją

najukochańszą przyjaciółką przez dwadzieścia lat. Najczystsza dusza, jaką znałam. Jak mogłam jej tego odmówić?

— Wiec ją wypuszczałaś? Schyliła głowę.

— Modliłam się w każdej minucie, kiedy jej nie było.

— I nie kładłaś się, by móc ją wpuścić z powrotem? Z poblady ust Paoli dobył się cichy okrzyk.

— Czyniłam pokute już następnego dnia i od tamtej pory czynię ją codziennie.

— Ale jak to się stało, że... że się me zaraziłaś?

— Nie było w tym mojej woli. Wolałabym umrzeć zamiast niej — płakała.

— To nie był zarzut — powiedziała cicho, objęłam ją ramieniem, płakała z twarzą wtuloną w moje kolana. — Tylko się zdziwiłam.

— Spodobało się naszemu Ojcu w niebiesiech pokarać mnie bezsennością i wyrzutami sumienia.

Poczułam ciężar na mojej piersi.

— Nie tylko ty jedna jesteś odpowiedzialna.

— Widziała *Pietę* Michała Anioła. — Paola uniosła głowę. — A także nowy baldachim Berniego w Bazylice Świętego Piotra. Wyobraź sobie tylko, wysoki na osiem pięter. I plafon twojego ojca.

— A wiec i to chciała zobaczyć, mój Boże! Musiała pójść tam w dzień.

— Miedzy tercją a sekstą.

— Czy została ukarana?

— Przez długi czas nikt nie wiedział, przynajmniej dopóki wychodziła nocami, ale kiedy wyszła w dzień, została przyłapana. Kara zamknięcia i nakaz milczenia pozwoliły jej przemyśleć w samotności każdy szczegół, który oglądała. Była potem taka spokojna.

— To dobrze. Przynajmniej tyle.

— Kiedy wyszła ostatni raz, spędziła całą noc poza klasztorem, poszła aż na via Appia. Była pełnia księżyca. Wydawało jej się, że znalazła to miejsce, gdzie Piotr zobaczył Chrystusa. Powiedziała, że stopami czuła żar jego miłości. W drodze powrotnej zobaczyła człowieka umierającego pod łukiem Konstantyna i uklękła obok niego, by odmówić Modlitwę Pańską, a potem zrobiła znak krzyża na jego czole. — Głos Paoli stał się wysoki i drżący jak napięta nić. — Chyba to ją zabiło. Litość i współczucie.

Poczułam, że kurcze się w sobie, jakbym była tylko suknią opadłą w nieładzie na posadzkę, suknią, w której mnie nie ma.

— Czy bardzo cierpiała?

— Zaledwie trzy dni.

— Sprowadziłyście lekarza?

— Przez pierwsze dwa dni zakrywałam wrzody, żeby matka przełożona nie zobaczyła.

— A potem?

— W końcu musiałam jej powiedzieć. Matka przełożona bała się, że lekarz, przychodząc do klasztoru, może przywlec zarazę- Poza tym, gdyby lekarz **się** dowiedział, musiałby złożyć raport. Poddano by nas kwarantannie, być może nawet otoczono by klasztor kordonem — teraz mówiła szybciej i ciszej. - Postanowiła, że jeśli spośród zakonnic umrze tylko Graziella, przedstawimy to jako śmierć z przyczyn naturalnych i pochowamy ją tutaj, i że nie oddamy jej do domu zadzumionych ani do zbiorowej mogiły — przy ostatnim słowie jej głos załamał się, zacisnęła oczy.

— Nie było księdza podczas pogrzebu?

— Matka przełożona udzieliła jej ostatniej posługi.

Pochowałyśmy ją między jutrznią i laudą. To trwało najwyżej godzinę. Na jej sienniku. Przy świetle latarni. Same. Nie pozwoliłam nikomu innemu jej dotknąć.

— Więc spoczywa tutaj? Pod krużgankiem?

— Nie. W ogrodzie. Grób nie jest oznaczony, na wypadek gdyby przyszła inspekcja.

— Pokaż mi to miejsce.

W milczeniu przeszliśmy pod arkadami, przez korytarz na parterze, do ogrodu na tyłach budynku. Paola przyciskała obie dłonie do ust.

— Wybacz nam, Artemizjo. Spoczywa pod oregano.

Uklękłam i poczułam ziemisty, korzenny zapach i wiedziałam, że odtąd zawsze ten aromat będzie budzić we mnie żal. Pogłaskałam dłonią liście, urwałam gałązkę i zatknęłam ją za sznurówki gorsetu. Moje łzy kapały na liście.

— Zobacz, posadziłam wokół niej rutę. — Paola uklękła obok mnie.

— Nigdy sobie nie wybaczę, nawet jeśli dobry pan Bóg mi wybaczy — mówiła piskliwym głosem. — Nigdy.

— Działaaś powodowana współczuciem. Pamiętaj o tym. A ona zawsze głosiła wybaczenie. Graziella powiedziała mi kiedyś, żebym nie modliła się jak pokutnica. Chyba chciała przez to powiedzieć, żeby nie głosić w modlitwie nienawiści do samej siebie. Nie powinnaś siebie karać. Ona by tego nie chciała. Uczyniła coś, czego pragnęła, i zrobiła to świadomie.

Paola przytaknęła skinieniem głowy, jej krągła twarz była wciąż skrzywiona.

— Dotknęłaby dłoni trędowatego tak samo jak dłoni Marii.

— Pamiętasz, czego uczyłaś mnie, kiedy byłam mała? „Miłość cierpliwa jest...”



— „Miłość cierpliwa jest... miłość wszystko znosi...”

— I przez całe życie uczymy się, jak tego dokonać... Czas jakby zatrzymał się w miejscu, milczyliśmy przez dłuższą chwilę.

— Być może dotknęła ręki Marii... marmurowej *Piety* Michała Anioła. Trzeba było słyszeć, jak o niej opowiadała. — Paola uśmiechnęła się smutno na to wspomnienie. — „Rzeźba natchniona przez niebiosy, Pasja Chrystusowa. Głęboka, smutna, bezradna miłość w twarzy Marii spoglądającej na Niego, gdy spoczywał na Jej kolanach. Jego gładkie, nieskazitelne policzki, które zniosły wszystko z miłości do ludzi. Sztywność Jego marmurowych ramion dopiero co zdjętych z krzyża. Jej delikatne, lecz silne palce podtrzymujące Jego zraniony bok. Cudowne, niewielkie fałdy materii przy Jej szyi”. Graziella była tak przejęta, gdy o tym opowiadała, mogłaby w tamtej chwili zostać żywcem wzięta do nieba.

Jej naiwna wiara sprawiła, że uśmiechnęłam się mimo woli. Nagle zrozumiałam coś i od razu poczułam, że jestem tego zupełnie pewna.

— Temu właśnie służy wielka sztuka... żeby pomóc nam w życiu duchowym i pomóc nam umrzeć w pokoju.

Po długiej chwili Paola powiedziała cicho:

— Dziękuję ci, że to powiedziałaś.

— Co się stało z listami, które do niej pisałam, kiedy już nie żyła?

— Przeczytałam jej wszystkie. Właśnie tutaj, przed nieszporem. Piękne listy. Czytałam je wiele razy i zachowałam wszystkie.

— W takim razie nadal będę pisać. — Wstałyśmy i wyszłyśmy z ogrodu. — Jadę do Anglii. Do Rzymu przyjechałam po drodze. Jadę odwiedzić mojego ojca.

— Wybaczyłaś mu? Wzruszyłam ramionami.

— Skąd mogę to wiedzieć?

— Dowiesz się właśnie w ten sposób, kiedy go zobaczysz.

— Mam nadzieje, że cie nie zawiodę.

— Nie zawiedziesz, jeśli będziesz mieć w pamięci ciąg dalszy tego, co powiedział święty Paweł Apostoł. „...Nie unosi się gniewem, nie pamięta złego...” Miłość pojawia się sama z siebie, gdy odłożymy na bok dziecinne urazy i potrafimy poznać samych siebie, twarzą w twarz.

Skinęłam głową, wciąż nie byłam pewna, czy zdołam tego dokonać.

Wskazała ruchem głowy wejście do ogrodu.

— Powiedz jej, *cara*.

— Pozostawiam to tobie.

Przeszliśmy jeszcze kilka kroków i znów się zatrzymała.

— Jest jedna rzecz, którą Graziella chciała ci przekazać. Modliła się za Galileusza.

— Wiedziała, że będzie to robić.

— Przetrzymano go właśnie tutaj. — Wskazała ręką ponad murem.

— W Villa Medici, kiedy nie przebywał w celi Świętego Oficjum. Później zaś przebywał w klasztorze Santa Maria sopra Minerva. — Zniżyła głos: — Nie martw się, Artemizjo. Teraz ja modle się za niego.

— Dziękuję.

Nigdy jeszcze nie było mi tak trudno stawiać stopy przed stopą jak wtedy, kiedy szłam przez krużganek, patrząc na wszystkie pęknięcia na ścianie, które Graziella знаła tak dobrze jak żyły na grzbiecie swojej dłoni. Powoli, ku bramie, czarny klucz w ręce Paoli — narzędzie, które

otworzyło przed Graziellą drzwi do miłości tego świata, a później wrota na tamten świat.

— Jeszcze jedno — powiedziała Paola przy bramie. — Kiedy umarła, przeniosła się w milczeniu na łono Pańskie. Nie cierpiała już. Naprawdę wierze, że w tamtej chwili widziała Jeruzalem niebieskie i że oglądała je w całej krasie. Kopyły, wieże i loggie pełne marmurowych aniołów.

— Skąd wiesz? Podbródek Paoli zadrżał.

— Usłyszałam ciche westchnienie, otworzyła szeroko oczy, a potem odeszła.

## ORAZIO

Spędzałam już drugą noc na pokładzie niewielkiego statku stojącego na kotwicy na redzie Calais, wśród obcych; czekaliśmy, aż mgła uniesie się na tyle, żeby można było przebyć kanał La Manche. Słabiutkie migotanie światła w nadbudówce pośród mrocznej szarości uświadamiało mi kruchość ludzkich dzieł. Myślałam o tym, że nie ma nic pewnego na tym świecie. Owinięte całunem cienie pojawiały się i znikwały, igrając z moją wyobraźnią. Czy tam, po drugiej stronie pokładu, ten kształt to słupek czy też przykucnięta zakonnica? Maszt i reja czy krucyfiks? Czy w taki mglisty sposób Graziella pamiętała Rzym — nim podjęła swe nocne wędrówki? Czy kolejne bliskie jej sercu kształty zamazywały się z czasem, zatarte odczuciem codziennej, beznadziejnej rutyny, której w końcu nie potrafiła już znieść? Skrzypienie i kołysanie statku, postukiwanie drewnianych bloków o olinowanie składały się na najbardziej melancholijny koncert, jaki kiedykolwiek słyszałam.

Owinęłam się szczelniej płaszczem, ale i tak drżałam z zimna i wilgoci. Z mgły wyłonił się jakiś mężczyzna, podszedł do mnie. Mówiąc coś w języku, którego nie rozumiałam, owinał mnie swoim kocem. Czy może było to kolejne złudzenie zrodzone we mgle? Dotknięcie wełny i ciężar okrycia na mych ramionach były jak najbardziej

rzeczywiste. Czy był to znak przypominający mi o przebaczeniu i chrześcijańskiej miłości w nadchodzącym czasie?

Trzeciego dnia widoczność była już lepsza, ale zmrok zapadł tak wcześnie, jakby minęło dopiero pół dnia. Jak ojciec mógł malować w porze poobiedniej? Pomimo leku przed uczuciami, jakie wzbudzić mogło we mnie to spotkanie, czułam niewidzialną wież krwi; dość silną, by pociągnąć statek przez wody Kanału.

Następnego ranka wsiadłam do łodzi, która miała mnie przewieźć przez szerokie, cuchnące błotem ujście rzeki. Krajobraz był płaski i nieciekawym, drzewa pozbawione liści, powietrze gęste, ciężkie i zimne. Przesławna rzeka Tamiza, duma wielkiego narodu o historii pełnej chwały, była mętna, brązowoszara i ohydnie śmierdziała. Krakanie ogromnych czarnych ptaków nie brzmiało jak serdeczne powitanie. Ostry wiatr przewiewał mnie na wskroś. Załoga łodzi wiosłowała miarowo w górę rzeki, choć łąd zdawał się na wszelkie sposoby odstręczać od siebie przybyszów. Byłam już całkiem blisko, wiatr wiał mi prosto w twarz, płynęłam pod prąd na spotkanie narodu, który wcale na mnie nie czekał.

Okręty i barki przemieszczały się powoli, mijając ceglane magazyny i stocznie. W głębi ładu widać było owce pasące się na łąkach otaczających wiejskie siedziby. Gdzie to wspaniałe miasto, które rządziło morzami? Widać było tylko jeden okręt wojenny zakotwiczony w pobliżu wysokiego, wznoszącego się na południowym brzegu brązowego zamku o mnóstwie wież. Budowla była mroczna i nieprzyjazna, bardziej przypominała fortece niż wygodną siedzibę— Greenwich, madam — powiedział steward.

Czy ojciec był tam jeszcze? Kto wie, być może przybyłam za późno.

— Czy to jest Queen's House? — zapytałam w jedynym języku, jaki znałam.

Steward popatrzył na mnie bezmyślnie, nie rozumiał. Pokazałam mu litery napisane ręką ojca na liście: „The Queen's House, Greenwich”. Wiatr o mało nie wyrwał mi listu z ręki.

Mężczyzna pokazał mi dłonią niewielki biały pałacyk stojący na zboczu wzgórza, jedyny biały budynek w okolicy. Kiedy moja skrzynia została wyladowana na pomost, zaczęło padać. Steward dźwigał moją torbę wyladowaną słoikami oliwy, karczochemi, oliwkami i butelkami wina. Poszłam za nim po deskach pomostu; pokazał list woźnicy, wyrzucając z siebie jakieś słowa, których nie rozumiałam.

Niewielki powóz wiozł mnie przez ulice wybrukowane lśniącymi kamieniami, najpierw obok brązowego, kamiennego zamku, a potem pod górę, do białego budynku. Wychyliłam się przez okienko i pokazałam list jakiemuś Strażnikowi. Skinął głową i wskazał na biały pałac.

— Orazio Gentiieschi? *Fktore kaliami?* — zapytałam. Potrząsnął głową i skierował woźnicę z powrotem ku kamiennemu pałacowi nad rzeką.

Przy bramie zapalono już pochodnię. Co zrobię, jeśli i tutaj mnie nie wpuszczą? Znów wychyliłam się za okno.

— Orazio Gentiieschi? *Pittore ita/iano?*

Tym razem jeden ze strażników powtórzył imię portierowi, który wszedł do środka.

Gdzieś wewnątrz tej budowli z mokrego kamienia mój ojciec Oddychał i malował, ale nie mógł wiedzieć, że tu jestem. Mogłam jeszcze powiedzieć woźnicy, żeby zawrócił. Nikt by się nie dowiedział. Mogłam wrócić do domu, do cie-

bie, do ludzi, których znałam. Do Genui. Mogłabym przeprosić Cesare i Bianę. Mogłabym zabrać Renatę do Florencji, nauczyć ją malować, a potem polecić ją Bandinellerou, powiedzieć mu prosto w oczy: „Ona dokona wielkich rzeczy”. Mogłabym podarować jej pędzel Michała Anioła.

Ale takich rzeczy się nie robi. Zamiast tego brnie się przez życie z dnia na dzień, zastanawia, co będzie się jadło nazajutrz, i próbuje nie myśleć o swoim ostatnim obrazie. Jaki kolor? jaki pędzel? jaki efekt?

Po jakimś czasie portier powrócił, najwyraźniej uzyskałam pozwolenie na wejście do pałacu; mój kufer został tymczasem wniesiony do strażnicy przy bramie. Wzięłam torbę do ręki i ruszyłam pewnym krokiem naprzód, choć wcale nie czułam się pewna siebie. Drogę wskazywała mi kobieta idąca schodami przede mną, wypowiadała jakieś słowa, których nie rozumiałam — gardłowe dźwięki odbijające się o nagie kamienne ściany klatki schodowej. Wydawało mi się, że w jej głosie słyszę przyganę: dlaczego nie przybyłam wcześniej? Przechodziłyśmy przez kolejne sale, aż wreszcie otworzyła jakieś drzwi i zobaczyłam go.

Orazio Gentileschi, okryty płaszczem, kaszłał, przyciskając ręce do piersi. Na mój widok wydal z siebie coś pomiędzy stęknięciem a jękiem. Podszedł kilka kroków, potem zatrzymał się.

-- Przecież chciałeś, żebym przyjechała — powiedziałam; słyszałam bicie swojego serca.

— Straciłem już nadzieję.

— Nie mogłam pojawić się wcześniej. Palmira wyszła za mąż. Sporo czasu zajęło mi uzbieranie posagu.

— Trzeba było się do mnie zwrócić. Wypowiadane przez nas zdania dzieliły chwile niezręcznego milczenia. Staliśmy w pewnej odległości od siebie-

bie. Wciąż trzymałam w ręce torbę. Dał mi znak ręką, żebym ją odstawiła na podłogę.

— Wyszła za szlachcica, z miłości. Oboje tego pragnęli. Nigdy już nie weźmie pędzla do ręki. Nienawidzi malarstwa.

Chyba było mu przykro.

— Z pewnością była piękną panną młodą.

— Tak, ale piękno to nie wszystko. Więcej wart jest głód piękna i umiejętność jego zrozumienia, niż tylko piękno zewnętrzne. Wtedy życie jest bogatsze. Może kiedyś to zrozumie.

— Jak widzę, upływ lat zaowocował wielką mądrością.

— Lata nauczyły mnie życia i dały mi ukojenie. Cieszę się, że jest szczęśliwa.

— A ojciec Palmiry? Czy był na ślubie?

— Nie.

— Szkoda. To byłaby dobra okazja, żeby się pogodzić. — Przyglądał mi się krytycznie. — Próbowłaś?

Miałam ochotę zapytać, co go to może obchodzić.

— To nie takie proste, jak myślisz.

— Pomógł ci uzbierać posag?

— Nie prosiłam go o to.

Przyglądaliśmy się sobie z rezerwą, doskonale wiedząc, że najdrobniejsze nieostrożne posunięcie może wywołać burzę.

— Mogę usiąść? Jestem wykończona.

Zrzucił jakieś szmaty z krzesła i przysunął je do kominka. Ani słowa wdzięczności czy radości z powodu mojego przybycia.

— Ten pałac jest taki pusty. Są meble i gobeliny, ale nie ma ludzi. Widziałam tylko kilku służących i strażników. Mieszkasz tu cały czas tak... tak samotnie?



Zamknął oczy i wykrzywił się, unosząc podbródek.

— Co się stało? Coś ci dolega?

— To nic, tylko dawno nie słyszałem włoskiego. — Wylał nos w zszarganą chustkę.

— Pisałeś, że ten człowiek o dziwnym imieniu mówi po włosku.

— Inigo Jones. *Uomo vanissimo* — powiedział gniewnie. — Znaczący wszechstronny. Jest wszędzie. Bystry, ma niezłe wycucie rysunku, ale niezwykle zapatrzony w siebie. Pyszni się, bo jest królewskim faworytem. Tak jak ten flamandzki malarz, van Dyck. Gburowaty i zawistny cham jedzący królowi z ręki i pławiący się w zbytkach. — Uderzył pogrzebaczem w palenisko i dorzucił drew do ognia.

— A więc ktoś tu mieszka?

— Para królewska wraz z dworem przybywa tu dwa razy do roku na polowanie. Królowa przyjeżdża częściej, by doglądać prac przy wykończeniu swej siedziby.

— Mówisz o tym białym budynku?

— Tak.

— Jak ona ma na imię?

— Henrietta Maria. Maria Medycejska była jej matką.

— Porozumiewasz się z nią po francusku?

— Pięć lat spędzonych na tamtym dworze czegoś mnie jednak nauczyło.

— A po angielsku?

— Trochę, ale słabo.

Co teraz? Co powinnam powiedzieć? Nie mogłam opowiedzieć mu o Grazielli. Nie mogłam mówić o śmierci. Nie przeszłoby mi to przez gardło, bo widziałam, jak mizernie wygląda.

— Przywiozłam ci oliwki i karczochy. — Sięgnęłam do

torby po słoiki; wiedziałam, że to przynajmniej z całą pewnością przypadnie mu do gustu. — Zachowałam je dla ciebie z uczty weselnej Palmiry.

Ukruszył szpachelką wosk na zamknięciu słoika, zjadł kilka oliwek.

— Czy masz chleb? — spytałam.

— Tak. Jest ohydny.

Wyciągnęłam wino i oliwę. Przysunął sobie krzesło i bacznie obserwował każdy mój ruch, jakby był ciekaw, co jeszcze znajduje się w mojej torbie. Nalał wina; siedzieliśmy przy ogniu, jedząc karczochy na chlebie umoczone w oliwie. Zamknął oczy, by skupić się na smaku.

— Spędziłem tu zbyt wiele lat. Tu i we Francji. Zbyt wiele.

— Tak. Wiem. — Czułam, jak wino rozgrzewa mnie w środku, a ciepło kominka od zewnątrz. Przysunęłam dłonie do ognia i odetchnęłam głęboko, z ulgą po dniach spędzonych w chłodzie.

— I na cóż to wszystko? By przypodobać się bezlitosnym dworzanom panoszącym się tu dwa razy do roku? — ciągnął. — Dla ludzi o dwóch twarzach, którzy we dnie jedzą mięsiwo króla, by spiskować przeciw niemu po nocach? Tutaj nosi się watowane kaftany, ale bynajmniej nie z powodu zimna. Powodem jest obawa przed ciosem sztyletu. — Machnął ręką, zapominając o chlebie trzymanym w dłoni. Kawałek karczocha spadł na podłogę. Podniósł go i zjadł. — Dla tej wyniosłej królowej, intrygantki?

Nie spodziewałam się takiego rozgoryczenia,

— Dla przyszłych pokoleń, ojczy.

— Nie, Artemizjo. Ludzie zawsze będą spokojnie przeżuwać chleb, obserwując biczowanie, wieszanie, palenie

na stosie, wszelkiego rodzaju widowiska. -- Stukał palcami w drewniane oparcie krzesła przy każdym słowie. — I ani trochę nie będą ich obchodzić malarze i ich praca. Takie były i będą wszystkie pokolenia.

— Pisałeś jednak, że na tym dworze odnoszą się do ciebie przyjaźnie i że mnie również czeka życzliwe przyjęcie.

— Po to, by cię tu sprowadzić.

— To znaczy, że mnie okłamałeś? — Zesztywniałam. Machnął tylko lekceważąco ręką w odpowiedzi na moje

pytanie. Czyżby kolejna zdrada? Czy nie będzie tu dla mnie pracy? Gdybym teraz coś powiedziała, z pewnością wywołałabym kłótnię.

— Tolerują mnie tu, ponieważ wnoszę nieco ożywienia, moje obrazy różnią się od ich sztywnych, nudnych portretów. — Upił łyk wina, wyciągając szyję, by rozkoszować się jego smakiem. — Artemizjo, w nich nie ma radości życia. — Zacisnął pięść i przytknął ją do serca. — Nie potrafią docenić piękna i radować się nim. Tutejszy wykwint to wyrachowanie i manipulacja. Nie obchodzi ich sztuka. Interesują się polowaniem, końmi i statkami.

— Ale nas sztuka obchodzi. Każdy obraz daje nam radość.

Popatrzy! na mnie sponad kieliszka, jakby zaskoczony.

— Dobrze ci się powodzi?

— Różnie. Mam teraz pełnomocnika, który dba o moje interesy. Zdołał sprzedać moją pierwszą *Judytę*.

— Wreszcie trafił się ktoś, kto potrafi docenić twój talent. Kto ją kupił?

— Książę Gennaro di San Martino.

— Miał szczęście, że tylu głupców nie potrafiło się na niej poznać.

— Wciąż muszę tłumaczyć, że wyznaczam cenę tak jak

w Rzymie, określoną z góry. Im się wydaje, że zachowuje się jak wszyscy w Neapolu, żądam trzydziestu skudów, a w końcu zgodzę się na cztery. — Dziwne, że o tym akurat zaczęłam mówić, ale między nami wciąż panowało napięcie. Nie mieliśmy do siebie zaufania. I ja nie ufałam samej sobie. — Pracowałam dla sycylijskiego patrycjusza, don Antonia Ruffa, oraz dla hrabiego de Monterrey. Ale to wszystko tylko portrety. Nikt nie chce *invenzione*. Chcą natomiast ideału kobiecości. Odkąd przybyłam do Neapolu, nie namalowałam żadnej heroicznej postaci kobiecej. Czasy tortur przeminęły.

W jego oczach pojawił się gniew na dźwięk tego słowa, wymówiłam je zbyt wcześnie, zbyt prędko mu przypomniałam. Chciałam tylko powiedzieć... Właściwie nie wiedziałam co. Po prostu to powiedziałam.

— Wciąż gniewna? — Jego głos stał się lodowaty.

— Nie. Przestałam malować krwawe Judyty. Z tego chyba wynika, że gniew minął. Może z wyjątkiem pewnego zdarzenia w Rzymie, kiedy Palmira była jeszcze mała, a różni nędznicy zaczęli wywlekać stare historie. Ale to była tylko przejściowa słabość, która minęła. Byłam zagniewana tylko na nich... nie na ciebie i nie na niego.

— Myślałem, że jeśli znajdę ci męża, sprawa będzie załatwiona. Biorąc pod uwagę twoją reputację...

— Moją reputację?! Skoro to takie ważne, dlaczego nie sprawdziłeś, jaką reputację miał mężczyzna, któremu zapłaciłeś, by mnie wziął?

— Był bratem Giovanniego. Zacisnęłam dłoń na oparciu krzesła.

— Ten brat Giovanniego miał przede mną całą masę kochanek i po ślubie także. Dlatego właśnie się z nim nie pogodziłam, skoro tak koniecznie chcesz wiedzieć. Dlatego

właśnie tak chętnie zgodził się poślubić kobietę, której nigdy nie widział. Musiał wyjechać z Florencji, żeby znaleźć kogoś, kto nie wiedziałby o jego reputacji. — Wciąż panowałam nad głosem, ale niewiele brakowało, bym zaczęła krzyczeć. — Poślubił mnie dla posagu, który wydawał potem na pokoje wynajmowane dla swych kobiet. Był zamknięty w sobie, niezdolny do prawdziwej miłości. O tak, ojczy, doskonałego wyboru dokonałeś.

— Ja. Zawsze ja, wszystko to moja wina. — Wstał i odszedł parę kroków. — Tego właśnie się obawiałem — mruknął. — Niepotrzebnie do ciebie pisałem.

— Czy muszę ci mówić, że gdyby nie skandal, który wywołałeś, mógł mnie wybrać ktoś, kto by mnie kochał?

— Tak być musiało.

— Wszystko musiało być ważniejsze? Twoja przyjaźń z tym łajdakiem, twoje chore przywiązanie do niego? — Wypowiadałam słowa, które powtarzałam w myślach tysiące razy, obiecując sobie, że on nigdy ich nie usłyszy. — Musiałeś, naprawdę musiałeś zaprosić go do Genui?

— Ile lat można żyć, pokutując? Od dwudziestu lat traktujesz mnie jak trędowatego. — Przechadzał się nerwowo po pokoju.

— A ty od dwudziestu lat ani razu nie przyznałeś, że mnie zdradziłeś. Nigdy nie powiedziałeś, że tego żałujesz. Żądasz przebaczenia, ale nie potrafisz nawet przeprosić.

— Nadejdzie czas, w tym życiu lub w przyszłym, kiedy powiesz, że to wszystko po prostu się wydarzyło, a nie, że wydarzyło się przeze mnie. — Wskazał palcem na swoją pierś. — Zbyt wiele ode mnie wymagasz. Nic innego nie powstrzymałoby Agostina. Ja go znam, Artemizjo.

Przez chwilę miałam wrażenie, że naprawdę wierzy w to, co mówi. Ale teraz nie mogłam już przestać.

— Wysłałeś do mnie list, w którym użalałeś się nad sobą, prosiłeś, żebym przyjechała i ci wybaczyła. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jakie to samolubne z twojej strony? Czy mógłbyś chociaż raz spojrzeć na moje życie z mojej perspektywy? W twoich żyłach nie płynie krew twoich przodków. Powiem ci, co w nich płynie: Orazio Gentiieschi, to i tylko to, zawsze i wszędzie.

Położył drżące ręce na oparciu krzesła.

— jeśli masz mi to tak za złe, niepotrzebnie przyjechałaś. Czy myślisz, że stary człowiek pragnie, by go dobijano, wypominając wszystko złe, co uczynił w życiu? Osądzi mnie Bóg, Artemizjo, w dniu mojej śmierci. Nie ty.

Wstałam.

— Ale mogę mówić...

— Nie! — wrzasnął. — Zostaw mnie w spokoju. Wyjdź. Oślupiałam. Nie chciał nawet na mnie patrzeć.

— Wyjdź. — Postąpił ku mnie, jakby chciał mnie wypchnąć za drzwi. Nie potrafiłam ruszyć się z miejsca.

— Ech, *porca miseria*. — Chwyci! kaftan i wyszedł.

## ARTEMIZJA

Miałam wyjść? Niby dokąd? Stałam pośrodku jego pokoju i cała się trzęsłam. Jechałam do niego cały miesiąc, a teraz mam wyjść. Znów zburzył całe moje dotychczasowe życie, a potem powiedział „wyjdz”. Ani cienia wdzięczności. Niepotrzebnie przyjechałam.

Chodziłam po pokoju. Nie miałam zamiaru nigdzie wychodzić. Nie miałam zresztą dokąd. Nawet gdybym wyszła, i tak by mnie nie zrozumiał. Niech on spędzi tę noc gdzie indziej. Najpierw sprowadza mnie tu pod jakimś pozorem, a potem wyrzuca za drzwi. Stał się po prostu zgorzkniałym starcem.

Napiłam się wina i opadłam na krzesło przy kominku; padałam ze zmęczenia. Tylko jedna rzecz, którą powiedział, miała jakiś sens — *te* Agostino nadal by się mną zabawiał, gdyby ojciec nie wytoczył mu procesu. Prawdopodobnie miał rację. Miesięczna podróż po to tylko, żeby się tego dowiedzieć.

Zjadłam oliwkę i rozejrzałam się dookoła. W pokoju panował straszliwy bałagan. Na sztalugach wisiała kamizelka i pludry. Na długim stole wały się książki, talerze z resztkami jedzenia, słoki z pędzlami, zniszczona kopia *IkonoJogti*, jakieś niewielkie szkice na skrawkach papieru. Pomiedzy dwiema lampkami oliwnymi leżał stos więk-

szych rysunków. Byłam ciekawa, ale czułam się zbyt zmęczona, żeby wstać i je obejrzeć. Odchyliłam głowę do tyłu, zamknęłam oczy.

Po chwili usłyszałam jakiś dźwięk. Może stał za drzwiami i czekał, żebym go przeprosiła. Otworzyłam je i zajrzałam do kilku innych pokoi. Były puste i zimne. Wróciłam do jego pokoju i dołożyłam dREW do ognia.

Nie potrafiłam powstrzymać ciekawości. Na okładce teczki widniał napis uczyniony jego ręką „Alegoria pokoju i sztuk rozkwitających pod angielską koroną”. Przejrzałam cały stos rysunków. Przedstawiały muzy i postaci alegoryczne dzierzące rozmaite symbole zaczerpnięte z *Iko-nologii*— książkę, hełm, kule, flet, liść palmy, snop pszenicy, wieniec laurowy, róg obfitości. Wciąż miał świetne wyczucie formy i kompozycji. Wyglądało to na projekt o dużym rozmachu. Ciekawa byłam, na jakim etapie prac się znajduje.

Wzięłam do ręki kawałek pergaminu pokryty szkicami twarzy z profilu i w trzech czwartych. Pomyśleć, że w tym wieku nadal jeszcze robi studia portretowe. Była w tym pokora i to mnie wzruszyło. Przypomniało mi się, jak uparcie ćwiczyłam rysunek stóp. Po drugiej stronie znajdował się brudnopis listu z kleksami i odpryskami atramentu. Adresowany był do wielkiego księcia Ferdynanda.

Pozwalam sobie przesłać Waszej Książęcej Wysokości ten oto skromny przykład mojego malarstwa, by Wasza Wysokość mógł ocenić, czy zasługuje na zatrudnienie w Jego służbie przez ten krótki czas życia, jaki mi jeszcze pozostaje — jeśli mój niegodny talent zdoła dorównać memu gorącemu pragnieniu powrotu do ukochanej ojczyzny. Polecając się łaskom Waszej Książęcej Wysokości, której z oddaniem i umiłowaniem pokłon składam z Anglii.



Jeśli wysłał ten list, a to był tylko brudnopis, najprawdopodobniej nie otrzymał odpowiedzi. Przypuszczalnie od dawna marzył o powrocie do domu, ale obawiał się rzucić pracę, która dawała mu zabezpieczenie. Nietrudno było to zrozumieć. Ja też cierpiałam katusze przy każdej przeprowadzce. Z przykrością spostrzegłam, że przesadnie poniżał się w tym liście. Właściwie zebrał o zamówienie od księcia, który był zaledwie młodzieńcem — choć całe życie spędził, malując dla kardynałów i królów. Poczułam ucisk w gardle. On także nieraz musiał znosić upokorzenia.

Jego skrzynia na ubrania była otwarta, zobaczyłam odzież leżącą w nieładzie. Ze ściśniętym sercem spostrzegłam, że bielizna była podarta.

Na parapecie okna stała drewniana szkatułka, taka sama jak ta, którą zawsze miałam przy sobie. Podeszłam do drzwi i nasłuchiwałam przez chwilę, ale na zewnątrz panowała cisza. Wróciłam więc do okna i otworzyłam szkatułkę. Na wierzchu leżały moje listy z Florencji, pomięte i wyblakłe. Przeczytałam je jeszcze raz — narodziny Palmiry, pierwsza praca dla księcia Kośmy, przyjęcie do akademii. Poczułam lekki wyrzut sumienia. Zaledwie zdawkowo podziękowałam mu za list do Buonarrotiego, a przecież od tego zaczęła się moja kariera we Florencji. Pod listami leżało kilka rzymskich monet, które wydały mi się wyjątkowo zimne. Prawdopodobnie zachował je w nadziei powrotu. Był tam też pierścień ślubny mojej matki. Ktoś wydłubał z niego duży rubin, który pamiętałam z dawnych czasów. Wolałam się nie zastanawiać, co to mogło oznaczać. Na dnie leżał dziecięcy rysunek, poskładany w taki sposób, by mógł zmieścić się w szkatułce. Przedstawiał twarz kobiety. Po drugiej stronie znajdował się napis: „*Amore mio*, Artemizja narysowała mój portret

dla Ciebie na swoje dziesiąte urodziny. Dopilnuj, żeby była szczęśliwa w małżeństwie, tak jak my. Prudenzia". Jak bardzo cierpiałyby moja matka, gdyby była świadkiem sceny, która dopiero co rozegrała się pomiędzy nami.

Wiódł życie godne pożałowania — spędził ostatnie trzydzieści lat bez niej, ponad dziesięciolecie na obczyźnie, z trudem, porozumiewał się w obcych sobie językach, ile czasu minęło, odkąd ktoś go dotknął — nie licząc rubasznych klepień w plecy, które przypominały mu, że jeszcze żyje? Podziwiałam odwagę, z jaką stawiał czoło samotności. Czy zdołałabym jej sprostać, gdybym była w jego wieku i gdybym była sama? Nie mogłam mu mieć za złe, jeśli lata spędzone we Francji przeżył w towarzystwie Agostina.

Ułożyłam rzeczy ojca z powrotem w szkatułce, tak jak były, włożyłam nocną koszulę i dopiłam wino. Nie mogłam przestać myśleć o upokorzeniu i tęsknocie, których doczytałam się pomiędzy wierszami listu do Ferdynanda, chociaż i ja pisywałam nie mniej rozpaczliwe listy. Miałam wrażenie, że oboje przeżywaliśmy nieustanne upokorzenia, nieliczne triumfy i krótkie chwile radości. Oboje powinniśmy uznać, że szczęście nam sprzyja, jeśli w ostatecznym rozrachunku miłych chwil nie będzie mniej niż tych gorzkich.

Mój przyjazd do Anglii nie miał sensu, gdyby miał żałować, że mnie do tego namówił. Uciążliwa podróż była niczym w porównaniu z tym, co mnie czekało — miałam dopełnić gestu, miałam dokonać dzieła wybaczenia, a to było czymś więcej niż podarowanie obcej osobie pledu; było to dla mnie tak niezwykle, jak dotknięcie trędowatego przez Chrystusa, dotknięcie umierającego na dżumę przez Graziellę. Przerazało mnie to. Nie dlatego, że mogło się

zdarzyć, lecz ponieważ — jeśli mam być całkiem uczciwa wobec własnego sumienia — nie byłam pewna, czy mogę zaufać swojej szczerości.

Poluzowałam sznurówki gorsetu, położyłam się na jego łóżku i okryłam się jego kocem. Może powróci jutro rano, równie zawstydzony jak ja.

Obudziłam się późnym rankiem. Z sąsiadujących pomieszczeń nie dobiegały żadne dźwięki. Poruszyłam węgle dogasające w kominku, by rozpalić na nowo ogień, i stałam przy nim dłuższą chwilę. Byłam wygłodniała, zjadłam jeszcze trochę karczochów i oliwek oraz resztę chleba, cały czas stojąc przy kominku. Nalałam z dzbana wody do miski i zanurzyłam w niej ręce, aby umyć twarz. Woda była tak zimna, że aż krzyknęłam. Zdołałam jakoś uporządkować włosy, nie myte przez długie tygodnie podróży.

Wyjrzałam przez okno. Przestało padać. Prawdopodobnie Anglicy uznaliby, że niebo jest niebieskie. Po drugiej stronie me odrodzonej łąki wznosił się Queen's House, do którego woźnica zawiózł mnie, nim przybyłam do pałacu. Przyglądałam się jego klasycznemu zarysowi dowodzącemu wysublimowanego poczucia równowagi. Na dachu znajdował się taras otoczony balustradą, z którego można było spoglądać na wiejski krajobraz, na pierwszym piętrze zaś loggia.

Pozostawało mi tylko przejść przez łąkę i sprawdzić, czytam znajde ojca. Wydobyłam; z torby pędzel Michała Anioła i wsadziłam go do wewnętrznej kieszeni płaszcza Wysoka trawa na łące była wilgotna, moje buty natychmiast przemokły. Uniosłam spódnicę, starając się jej nie zamoczyć,

Przy wejściu do Queen's House spotkałam robotników niosących dużą, nie wykończoną drewnianą ramę - „Orazio Gentileschi?” — spytałam. Popatrzyli po sobie, powiedzieli kilka niezrozumiałych słów i potrząsnęli głowami. „Sala grande?” Wymachując rękami, próbowałam dać im do zrozumienia, że mam na myśli obszerne pomieszczenie, i udawałam, że maluje sufit. Zrozumieli mnie jakimś cudem i dali znak, bym szła za nimi. Minęliśmy sztukatorów i snycerzy pracujących nad jakąś ramą; robotnicy pokazali mi wielkie schody. Pokoje na górnym piętrze w niczym nie przypominały rzymskich czy florenckich pałaców; żadnych ozdób czy ornamentów...

W wielkiej sieni rozpoznałam postaci namalowane przez ojca, umieszczone już w obramowanych kasetonach sufitu. Projekt był rzeczywiście ogromny — dziewięć prostokątów i środkowa rotunda; jednaście kobiet otaczających postać przedstawiającą Pokój, dzierżącą berło i liściastą girlandę z gałązek oliwnych. Emanowała z niej siła i piękno. Doliczyłam się dwudziestu dwóch postaci, wszystkich kobiecych; były tam nawet *Pittura* oraz *Scultura* na tle nieba i chmur. Pozostały jeszcze cztery płaszczyzny. A on był tak wymizerowany i stary.

Plafon był doprawdy wspaniały, tylko... kolory. Głównie zielenie, blady fiolet, jasny błękit i złoto — były jakby stłumione w porównaniu z obrazami, które stworzył w jasnym świetle Rzymu. Wydawało się, że wszystkie postaci są wyblakłe, umierające.

— Anglicy mają bardziej konserwatywne upodobania niż my — usłyszałam jego głos za sobą. Mówił jakby przeproszającym tonem. Obróciłam się na piecie. W jego oczach wyczytałam prośbę — Zostały mi jeszcze cztery kasetony.

— Pomogą ci.

Z wolna, niepewnie, jakby obawiał się mnie zranić, wyciągnął ramiona. Poczułam, że moje ciało rozluźnia się w jego uścisku — tak jak ciało Palmiry, kiedy jako dziecko usypiała w moich ramionach. Odsunęłam się od niego, by popatrzeć w górę.

— Są wyśmienite, ojciec. Nie możesz zaprzeczyć, że dały ci radość. Widzę to w każdej twarzy, nawet jeśli było to zaledwie twoje zadowolenie z udanej pracy, które zachowałeś tylko dla siebie. Nie miałeś ochoty krzyknąć: „Patrzcie! Patrzcie i niech to piękno przemieni wasze serca”? Czyż nie było tak? Widok niektórych z nich przepelnia mnie szczęściem.

Patrzył na mnie, mrugając ciemnobrązowymi oczami.

— Mieliśmy szczęście — powiedziałam. — Żyliśmy tym, co kochamy ponad wszystko. A żyć malarstwem... tak, jak nam się to przydarzyło... to żyć pasją i wyobraźnią, zrozumieniem i podziwem, czerpać z życia to, co najlepsze. Żyć mocniej niż inni.

— Niż kto? Żyć mocniej niż kto?

— Choćby moja córka. Odczuwam życie mocniej niż ona. Całą pełnią przeżywam zarówno cierpienie, jak i piękno. Mam nadzieję, że umrę zadowolona z tego, że żyłam.

— Niczego nie żałujesz?

To było najbardziej niebezpieczne pytanie, jakie mógł zadać. Potrafiłam docenić jego odwagę, jego chęć stawienia czoła najtrudniejszej kwestii, choć była to zarazem niemal zniewaga.

— Masz na myśli moje życie po opuszczeniu Rzymu?

— Nie tylko. Pytałem, czy żałujesz czegokolwiek. Widziałam napięcie w całej jego postaci, przygotowywał się na moją odpowiedź.

Czy powinien usłyszeć, że zbyt wiele przedsięwzięć spaliło na panewce, że słomiany ogień rozpałał się i gasł równie szybko, by pozostawić po sobie żalosne, zwęglone szczątki? **Czy** miałam się uskarżać dlatego, że nie zdołałam utrzymać przy sobie mężczyzny, którego nauczyłam się **kochać**? Czy powinnam wyjaśnić mu odkrycie Galileusza: nie jesteśmy tym, czym się sobie wydajemy — nasze życie pozbawione jest większego znaczenia, znajdujemy się tylko gdzieś na skraju obrazu, współtworzymy całość kompozycji, ale mało kto nas dostrzega? Czy miałam przyznać, że choć ślad, jaki pozostawiam po sobie na tym świecie, jest dla mnie wszystkim — dla Medyceuszy to tylko błaha ozdoba?

Wpijając dłonie w oparcie krzesła, ojciec czekał: stary człowiek przygotowujący się, by sprostać morderczemu atakowi.

Przeżył wystarczająco dużo upokorzeń w swoim życiu. Nie było potrzeby, by wysłuchiwał jeszcze moich narzekań.

— Nie. Nie żałuję niczego. — Odetchnęłam głęboko, wdech i wydech, jak przyływ i odpływ. — Tyle tylko, że nigdy nie zdołałam odpocząć.

Zmarszczył brwi, próbując zrozumieć, co mam na myśli.

— Było tylko malarstwo i Palmira. Gdybym miała kochanka albo kochającego męża, wówczas w moim życiu byłoby coś jeszcze... ktoś, z kim mogłabym dzielić *la dolce vita*.

Pokiwał głową w zamyśleniu.

— Tylko malarstwo i córka — mruknął.

Tak jak on -- uświadomiłam sobie nagle. On też miał tylko to. Tyle że ja pozbawiłam go jednej z tych radości;

Palmira nie zrobiła mi tego. W tej samej chwili popatrzyliśmy sobie w oczy, oboje przepełnieni smutkiem i zrozumieniem. Czułam, że więzy między nami zacieśniają się na nowo.

— Jestem córką mojego ojca. — Co masz na myśli?

— Oboje przedłożyliśmy sztukę nad córki — powiedziałam cicho.

— Tylko czas pokaże, czy było warto. — Po chwili dodał niepewnie:  
— Nie znalazłaś w życiu miłości?

— Miłość. — Skrzywiłam się. — Kochać, to znaczy z własnej woli włożyć głowę w pętlę uludy, uwielbiając kogoś, czekać, aż pętla się zaciśnie.

Na jego twarzy pojawił się grymas bólu. — Jeśli to nazywasz miłością... tak, poznałam ją. Ale nawet nie odwzajemniona miłość, miłość przemijająca jest lepsza niż zupełny brak miłości, jestem wdzięczna losowi za to, że dane mi było ją poznać. Tak więc chyba nie żałuję niczego.

Dotknęłam nieśmiało jego ramienia. Stopniowo rysy jego twarzy rozpoznały się. Zachwiał się lekko i usiadł na krześle. Przysunęłam drugie krzesło, by siąść obok niego.

— Chcę ci coś pokazać — powiedziałam i podałam mu pędzel owinięty w płótno. Rozwinął go. — Należał do boskiego. Podarował rai go Buonarroti Młodszy.

Przyglądając się pędzlowi, odetchnął głęboko i chrapliwie.

— Tym pędzlem malował dusze, ja malowałam tylko ciało.

— Malowałeś swoją duszę, ojciec. Pamiętasz *Magnificat* „Moja dusza wielbi Pana”. To właśnie uczyniłeś... pracą swojego życia przyczyniłeś się do umocnienia Jego chwały.

— Naprawdę tak sądzisz?

— Całym sercem.

— Ale za jaką cenę? Wzruszyłam ramionami.

— „Do Boga należy odpłata i kara”. Siostra Paola nauczyła mnie tego już dawno temu. Nie nam sądzić o cenie.

Przez chwile trzymał pędzel, jakby malował nim coś w powietrzu; uśmiechał się i spoglądał na mnie, jakbym była modelką.

— Przecież namalowałaś mnie już, prawda? W Casino delie Muse kardynała Borghese.

— Widziałaś? — Jego twarz rozjaśniła się — Wspaniałe dzieło. — Musiałam to powiedzieć. —

Owoc doskonałej współpracy. — W jego oczach dostrzegłam cierpienie i rozpacz, którą potrafiłam zrozumieć. — Dopełnialiście się wzajemnie.

— To najlepsza i najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem. Prześladowuje mnie po dziś dzień.

— Dlaczego spoglądam gdzieś w roztargnieniu, zamiast patrzeć na muzyków?

— To nie jest roztargnienie. — Zaśmiał się cicho i smutno. — Spoglądasz na mnie i oskarżasz, podczas gdy ja cie maluje.

Podał mi pędzel.

— Nigdy go nie użyłam — powiedziałam.

— Rozumiem. Wszystko oprócz doskonałości byłoby świętokradztwem.

Mogłam się poczuć urażona. Już miałam powiedzieć, że Buonarroti chciał, żebym nim malowała, ale popatrzyłam w oczy ojca i dostrzegłam w nich tylko uwielbienie ideału.



Ojciec postarał się, by urządzono dla mnie pokój w pobliżu jego pracowni; sam przyniósł drwa, by rozpalić u mnie w kominku. Potem przyniósł jeszcze chodnik mamy i położył go przy moim łóżku. W końcu przejrzelśmy razem jego rysunki, by zdecydować, nad którymi z pozostałych do wykonania obrazów mam pracować.

— Zagruntujmy je teraz. — Wskazał na cztery ogromne b lej tramy.

— Wszystkie cztery?

— A czemu nie?

Ustawiliśmy je pod ścianą i rozrobiliśmy grunt z gipsu, kleju kostnego i bieli ołowiowej. Przyniósł szerokie pędzle do gruntowania i podał mi jeden — A teraz patrz uważnie — polecił. Oczy mu lśniły. Na pierwszym z płócien namalował wielką literę S, rozciągającą się od brzegu do brzegu. Cofnął się i wskazał na kolejne trzy krosna. — Już rozumiesz? - Nie.

Zaśmiał się i podszedł do drugiego płótna. Cieszyłam się, widząc jego radość. Pospiesznie namalował wielką literę P— Jak ci się podoba, co? — Mrugnął ku mnie łobuzersko i wskazał ręką dwa pozostałe. — Nigdy tego nie pojma.

Nie byłam jeszcze całkiem pewna, o co mu chodzi, ale namalowałam na trzecim płótnie wielkie O.

— *Si, si*— powiedział.

Domalowałam ogonek pod spodem, tworząc literę Q.

— *Bene*\ — wykrzyknął. — *Eccellente*\

Na ostatnim płótnie namalowałam wielkie R.

— *Che meraviglia*\ Gotowe! SPQR. Senat i lud rzymski — powiedział, chichocząc. — Pod angielską koroną,

roszczącą sobie pretensje do sztuk i pokoju, jest i zawsze będzie *Rzym*.  
— Jako fundament — dodałam.

Ucałował mnie w oba policzki. Kiedy zamalowywaliśmy płótna gruntem, śpiewa! jedną ze starych piosenek miłosnych, tak jak kiedyś w Rzymie.

Jak wolno malował. Jak ostrożnie mieszał farby. Niekiedy pracowaliśmy nad tym samym płótnem, on malował jedną postać, ja drugą. Często spostrzegałam, że mi się przygląda. Każdego ranka zaczynał malować nieco później. Wcześniej układał się do popołudniowej drzemki. Jednak każdego dnia malował, choćby tylko niewielka cześć tła. Podczas jego *drzemek* pracowałam na wyścigi z czasem, wsłuchując się jednocześnie w jego nierówny, powolny, świszczący oddech.

Często nuciłam melodie, których kiedyś się od niego nauczyłam, tylko po to, żeby przyłączył się do mnie i zaczął śpiewać. Odkrywaliśmy siebie wzajemnie na nowo i w nowy sposób. Przepęniała mnie dziwna, nieoczekiwana lekkość. Przedtem zawsze trzymałam się na uboczu, nigdy nie czułam się naprawdę swobodnie — ani w towarzystwie Pietra, ani nawet wobec Palmiry. Tutaj jednak, gdzie nikt mnie nie znał, nie obawiałam się osadu, a skoro ojciec i ja odczuwaliśmy to samo, sztywność, która towarzyszyła mi przez całe życie, znikła gdzieś i czułam, że staję się sobą. Jeśli to odczucie nie kłamało, jeśli nie ustąpi, było to wspaniałe odkrycie.

Zbyt poważnie podchodziłam do życia, zbyt surowo oceniałam siebie i innych, a lęk przed ich oceną mnie paraliżował. Nic dziwnego, że zawsze bolały mnie plecy. Były

rzeczy, których nie zrobiłam, a które należało uczynić — w moich obrazach powinnam była zawrzeć więcej ukrytych treści; trzeba było zabrać Palmirę na dzwonnice; odwiedzić Galileusza w Bellosguardo, namalować go i podarować mu ten portret; trzeba było więcej tańczyć, cieszyć się z uwielbienia Franceses, zamiast przed nim uciekać... Trzeba było wziąć tamten kamień, który znalazłam na via Appia w dniu wyroku, i cisnąć nim — nie w kogoś i nie w coś — po prostu rzucić go mocno, by poleciał daleko i upadł gdzieś, gdzie nikt go nie znajdzie.

Nie dość korzystałam z życia i sama sobie byłam winna. Francesco powiedział, że teraz wreszcie mogę być sobą. To prawda. Neapol będzie inny. kiedy tam wrócę.

Pewnego ranka ojciec powiedział, że ma sprawy do załatwienia w Londynie; nie chciał, żebym mu towarzyszyła. To zdarzyło się już drugi raz. Niepokoiłam się o niego -słaby starzec podróżujący samotnie. Staralam się namalować jak najwięcej pod jego nieobecność. Wrócił wieczorem, był bardzo zmęczony. Opadł na najbliższe krzesło i przyglądał się moim dokonaniom.

— Jesteś dobrym malarzem. Lepszym niż ja, ~ Oddychał ciężko.

— Byłeś moim nauczycielem.

— Tak. Nauczyłem cię cierpienia.

— Nauczyłeś mnie widzieć i posługiwać się wyobraźnią. Uchroniłeś mnie przed strawieniem życia na piknikach.

— Przykro mi, że ominęły ci pikniki.

-- Mam jeszcze na to mnóstwo czasu Być może nawet w towarzystwie wnuków. Pamiętasz błękitne chabry przy via Appia?

— Twoja matka wplatała ci je we włosy i robiła z nich naszyjniki. Wyglądałaś w nich jak boginka.

— W twoich oczach.

— Podejdź do mnie. — Sięgnął pod płaszcz i wyciągnął niewielką sakiewkę, którą położył na mojej dłoni. — Kazałem to zrobić dla ciebie. Otwórz.

Niecierpliwie, jak mała dziewczynka, rozwiązałam sznurek i wydobyłam brązowy medalion w kształcie maski, zawieszony na długim złotym łańcuchu.

— Czy wiesz, co to jest? — spytał.

— Coś z *Ikonologii*?

— Przynieś mi ją, leży na stole.

Pokazał mi alegoryczną postać Malarstwa — według Cesare Ripy miała to być piękna kobieta dzierżąca pędzel i paletę, a na jej szyi zwieszał się złoty łańcuch z medalionem w kształcie maski.

— Malarstwo. To przecież kobieta. Zapomniałam. — Spojrzałam na medalion i na niego. Patrzył na mnie rozmarzony. — Jest piękny.

Oparł się dłońmi o kolana, żeby wstać, wziął medalion z mojej reki i założył mi go na szyję— Tutaj jest jego miejsce.

— Nigdy jeszcze nie dostałam tak wspaniałego daru — wyszeptałam.

Pewnego dżdżystego ranka upadł pośrodku wielkiego hallu, upuszczając plik rysunków. Podbiegłam do niego, objęłam ramionami. Leżał na moich kolanach z głową w zagięciu łokcia jak Chrystus z *Piety* Michała Anioła. Skrzywił się i przycisnął rękę do piersi.

— Artemizjo — powiedział cicho, chrapliwym głosem.

— Gdzie cie boli?

— Drobną nieprzyjemność. To minie.

Śmiałość tych słów wzruszyła mnie. Ja nie potrafiłabym przebaczyć śmierci.

Uścisnął moją dłoń, w jego oczach płonęło pytanie, którego nie potrafił zadać nawet teraz.

- *Si.* — Czułam, jak wielki supeł zawiązany w mojej piersi dwadzieścia lat wcześniej rozwiązał się nagle, i wreszcie zrozumiałam, że nie tylko pragnął wybaczenia dla siebie, ale i uzdrowienia dla mnie.

Jakby odetchnął z ulgą. Nie byłam pewna, czy wpatruje się we mnie, czy w swój plafon. Miałam nadzieję, że nim zamknął oczy, widział swą postać Pokoju, lekką i świetlistą, trzymającą girlandę z gałązek oliwnych i szybującą na chmurze.

Myślałam, że odszedł. Odszedł, a ja nie zdążyłam powiedzieć mu tego, co chciał usłyszeć. Potem jego pierś uniosła się. Jego zwiędłe wargi poruszyły się w oddechu.

- Artemizjo?

- Jestem, tato. Jestem tutaj.

- Użyj tego pędzla. Namaluj autoportret - szeptał powoli, z trudem. - Namaluj siebie jako alegorie Malarstwa. Dla przyszłych pokoleń.

- *Si, papa.* - Ucałowałam go delikatnie w czoło. - Namaluje.

## NOTA AUTORKI

Każdy utwór literacki o charakterze historycznym lub opowiadający o jakiejś postaci historycznej jest i musi być dziełem wyobraźni. Autor musi dochować wierności czasom, o których opowiada, i swoim bohaterom; trzyma się faktów historycznych tylko w takiej mierze, w jakiej dostarczają mu one danych koniecznych dla rozwoju akcji. Aby się skupić na głównym temacie mojej książki, zdarzało mi się tworzyć postacie, których pierwowzorem było kilka osobistości, inne usunęłam, jeszcze inne są całkowicie fikcyjne. Posługując się dostępnymi materiałami źródłowymi, starałam się odtworzyć postaci i związki łączące Artemizję Gentileschi, jej ojca i męża. Niemniej jednak istnieją akta jej procesu, jej znajomość z Galileuszem. Kosmą II Medyceuszem oraz Michałem Aniołem Buonarroum Młodszy są udokumentowane i zostały opisane przez historyków sztuki. Wszystkie obrazy, o których pisze, są bez wątpienia dziełami malarki i powstały — o ile wiadomo — w takiej właśnie kolejności. Nade wszystko starałam się ukazać bohaterkę jako postać istotną dla nas współcześnie — pomimo, że minęło 350 lat - a zarazem pozostać w zgodzie z duchem i uczuciami prawdziwej Artemizji Gentileschi (1593-1653), ponieważ w jej wypadku wydarzenia, do których odnoszą się dzieła sztuki, są szczegó-

golnie ważne. Przypominało to nieco pracę malarza, który na swym obrazie ubiera postaci sprzed wieków zgodnie z moda panującą w ich czasach...